



B E R N A R D

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VII



POGAŃSKI
PAN



B E R N A R D
Cornwell

POGAŃSKI
PAN

TŁUMACZENIE
JAKUB JEDLIŃSKI


OTWARTE
KRAKÓW 2019

Dla Toma i Dany

Go raibh mile maith agat
Niech dobro będzie przy tobie

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VII

POGAŃSKI
PAN





NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru, a także Lundres. Bez wątpienia znajdują się czytelnicy, którzy będą zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Przykładowo nazwa Hayling w 956 roku zapisywana była zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: wolałem posługiwać się współczesną nazwą Anglia niż staroangielskim terminem Englalund, a zamiast Nordhymbrolund wybrałem Northumbrię, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego poniższą listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

AESCA	Ashdown, hrabstwo Berkshire
AFEN	rzeka Avon, hrabstwo Wiltshire
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex
BEARDDAN IGGE	Bardney, hrabstwo Lincolnshire
BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BEDEHAL	Beadnell, hrabstwo Northumberland
BEORGFORD	Burford, hrabstwo Oxfordshire

BOTULFSTAN	Boston, hrabstwo Lincolnshire
BUHESTANES	Buxton, hrabstwo Derbyshire
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CEODRE	Cheddar, hrabstwo Somerset
CESTERFELDA	Chesterfield, hrabstwo Derbyshire
CIRRENCEASTRE	Cirencester, hrabstwo Gloucestershire
WZGÓRZA CODDESWOLD	Cotswolds, hrabstwo Gloucestershire
CUMBRALAND	Kumbria
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durhamshire
DYFLIN	Dublin, Irlandia
EOFERWIC	York, hrabstwo Yorkshire
ETHANDUN	Edington, hrabstwo Wiltshire
EXANCEASTER	Exeter, hrabstwo Devonshire
FAGRANFORDA	Fairford, hrabstwo Gloucestershire
FARNEA	wyspy Farne, hrabstwo Northumberland
FLANEBURG	Flamborough, hrabstwo Yorkshire
FOIRTHE	rzeka Forth, Szkocja
GEWAESC	estuarius i zatoka Wash na wschodnim wybrzeżu Anglii
GLEAWECESTRE	Gloucester, hrabstwo Gloucestershire
GRIMESBI	Grimsby, hrabstwo Lincolnshire
HAITHABU	Hedeby, Dania
LICCELFELD	Lichfield, hrabstwo Staffordshire
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire
LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland
MAERSE	rzeka Mersey
PENCRIC	Penkridge, hrabstwo Staffordshire
SAEFERN	rzeka Severn
SCEAPIG	wyspa Sheppey, hrabstwo Kent

SNOTENGAHAM	Nottingham, hrabstwo Nottinghamshire
TAMEWORTHIG	Tamworth, hrabstwo Staffordshire
TEOTANHEALE	Tettenhall, zachodnio-środkowa Anglia
TOFECEASTER	Towcester, hrabstwo Northamptonshire
UISC	rzeka Exe
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WODNESFELD	Wednesbury, zachodnio-środkowa Anglia
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka Temes) oraz Kornwalii (w oryginale: Cornwallum). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

DRZEWO GENEALOGICZNE KRÓLÓW WESSEXU

AETHELWULF
król Wessexu
839–858
żona: Osburga

AETHELSTAN

AETHELBERT
król Wessexu
860–866

ALFRED WIELKI
król Wessexu
871–899
żona: Aelswith

AETHELBALD
król Wessexu
858–860

AETHELRED
król Wessexu
866–871

AETHELFLAED
earl Mercji
mąż: Aethelred

AETHELGIFU

AELFTHRYTH

EDWARD STARSZY
król Wessexu
899–924

AETHELWEARD

CZĘŚĆ PIERWSZA
OPAT

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo było chmurne.

To bogowie tworzą niebo, ono odzwierciedla ich nastrój, który w tych dniach był pochmurny. Choć była pełnia lata, ze wschodu zacinął deszcz. Można by pomyśleć, że to zima. Dosiadłem Pioruna, mojego najlepszego wierzchowca. Był to czarny jak noc ogier, tylko wzdłuż jego zadu biegły pasma siwej sierści. Nadałem mu imię po ogromnym psie, którego kiedyś złożyłem w ofierze Thorowi. Niechętnie zabiłem psisko, lecz bogowie są surowi, żądają ofiar, a później o nas zapominają. Mój wierzchowiec był potężnym zwierzęciem, silnym i posępnym rumakiem bojowym, a ja tego chmurnego dnia wystąpiłem w pełni wojennej chwały. Miałem na sobie kolczugę oraz zbroję ze stali i skóry. U mojego lewego boku wisiał przypasany Oddech Węża, najlepszy z mieczy, chociaż do starcia z wrogiem, z którym miałem się zmierzyć, nie potrzebowałem ani miecza, ani tarczy, ani topora. Mimo wszystko wziąłem broń, bo Oddech Węża jest moim najlepszym towarzyszem. Nadal mam ten miecz. Kiedy umrę, co nastąpi już niedługo, ktoś zaciśnie moje palce na jego owiniętej rzemieniem, zużytej rękojeści, a on zaprowadzi mnie do Walhalli, do komnaty poległych, gdzie będę ucztować.

Dzień ten jednak jeszcze nie nadszedł.

Tego chmurnego letniego dnia siedziałem na koniu pośrodku błotnistej drogi i czekałem na wrogów. Słyszałem ich, ale nie widziałem. Oni z pewnością wiedzieli o mojej obecności.

Droga była na tyle szeroka, żeby pomieścić dwa mijające się wozy. Po obu stronach stały domy wzniesione z gliny i drewnianych prętów, pokryte strzechą z trzciny pociemniałej od deszczu i porosłej mchami. Błoto sięgało końskich pęcin, trakt pokrywały koleiny i nieczystości pozostawione przez wałęsające się samopas psy

i wieprze. Przenikliwy wiatr marszczył wodę zebraną w koleinach i rozwiewał dym unoszący się nad dziurami w dachach chałup, niosąc zapach palonego drewna.

Towarzyszyło mi dwoje ludzi. Wyjechałem wprawdzie z Londynu z dwudziestoma dwoma wojownikami, ale w tej cuchnącej gównem, spowitej deszczem wiosce miałem do załatwienia prywatne sprawy, zostawiłem więc ich milę od tej miejsciny. Na siwym ogierze siedział Osbert, mój najmłodszy syn. Skończył już dziewiętnaście lat, ubrany był w kolczugę, a u pasa miał miecz. Osiągnął wiek męski, chociaż ja nadal myślałem o nim jak o chłopcu. Bał się mnie tak samo, jak ja bałem się swojego ojca. Niektóre matki sprawiają, że ich synowie stają się miękcy, ale Osbert nie miał matki, a ja wychowywałem go surowo, bo mężczyzna musi być twardy. Świat jest pełen wrogów. Chrześcijanie mówią, że należy miłować nieprzyjaciół i nadstawiać drugi policzek. Chrześcijanie to głupcy.

Przy Osbercie stał Aethelstan, najstarszy bastard króla Edwarda z Wessexu. Miał tylko osiem lat, ale tak jak Osbert nosił kolczugę. Nie udało mi się nastraszyć Aethelstana. Próbowałem, ale tylko spojrzał na mnie swoimi zimnymi niebieskimi oczami i uśmiechnął się. Kochałem tego chłopaka równie mocno jak Osberta.

Obaj byli chrześcijanami. Prowadziłem beznadziejną walkę. W świecie pełnym śmierci, zdrady i nieszczęścia chrześcijanie zyskali przewagę. Dawnych bogów oczywiście nadal czczono, ale wycofali się oni do dolin otoczonych wysokimi zboczami, do odosobnionych miejsc, na mroźne obrzeża świata. Chrześcijaństwo zaś szerzyło się jak zaraza. Ukrzyżowany bóg jest potężny, przyznaję. Zawsze wiedziałem, że ma ogromną moc, i nie rozumiem, dlaczego moi bogowie pozwolili temu łajdakowi zwyciężyć – tak jednak się stało. On musi grać nieczysto. Innego wyjaśnienia nie znajduję. Ukrzyżowany bóg kłamie i oszukuje, a kłamcy i oszuści zawsze wygrywają.

Czekałem więc na tej błotnistej drodze, a Piorun grzebał ciężkim kopytem w kałuży. Na skórzany pancerz i kolczugę założyłem oblamowaną gronostajami pelerynę z granatowej wełny. Miałem też naszyjnik z młotem Thora i hełm zwieńczony figurką wilka. Rozpiąłem osłony policzkowe. Krople deszczu skapywały z runda hełmu. W cholewy wysokich skórzanych butów napchałem szmacianych

gałganów, żeby woda nie spływała do środka. Miałem też rękawice, a na ramionach złote i srebrne bransolety – naramienniki wodza, które zdobywa się, zabijając wrogów. Stawiłem się w całej swej wojennej chwale, choć wróg, z którym chciałem się zmierzyć, nie zasługiwał na takie przejawy szacunku.

– Ojczy – odezwał się Osbert – a jeśli...?

– Mówiłem coś do ciebie?

– Nie.

– Więc zamilcz – odburknąłem.

Nie miałem zamiaru zabrznieć aż tak gniewnie, ale byłem rozgniewany. To był gniew bez ujścia, wściekłość skierowana przeciwko światu, przeciw głupiemu, szaremu światu. Bezsilna wściekłość. Wrogowie chowali się za zamkniętymi drzwiami i śpiewali. Słyszałem ich głosy, chociaż nie mogłem rozróżnić słów. Widzieli mnie, nie miałem co do tego wątpliwości, i wiedzieli, że właśnie moja obecność sprawiła, iż na drodze nie pojawiła się żywa dusza. Ludzie mieszkający w tej wiosce nie chcieli być w żaden sposób zamieszani w to, co miało się wydarzyć.

Sam nie wiedziałem, co się stanie, mimo że miałem przyczynić się do tego, co nastąpi. A może drzwi pozostaną zamknięte i wróg przychazi się wewnątrz tej przysadzistej drewnianej budowli? Bez wątplenia o to właśnie chciał zapytać Osbert. A jeśli wróg pozostanie w środku? Zapewne nie powiedziałby „wróg”. Zapytałby: „A jeśli oni pozostaną w środku?”.

– Jeżeli pozostaną w środku – odezwałem się – wyważę te przeklęte drzwi i wywlekę tego bękarta na zewnątrz. Wy dwaj zostaniecie tu i przytrzymacie Pioruna.

– Tak, ojczy.

– Pójdę z tobą – powiedział Aethelstan.

– Zrobisz dokładnie tak, jak rzekłem.

– Tak, panie – odparł z szacunkiem, ale wiedziałem, że się uśmiecha. Lekceważąco.

Nie obejrzałem się na niego, bo w tym momencie śpiewy ucichły. Czekałem. Po chwili drzwi się rozwarły.

I wtedy wyszli. Najpierw sześciu starszych mężczyzn, później młodzi,

zobaczyłem, że ci młodszy patrzą na mnie, ale nawet widok rozgniewanego wodza Uhtreda w pełnej krasie nie zdusił ich radości. Uśmiechali się, klepali po plecach, obejmowali i wybuchali gromkim śmiechem.

Starszy mężczyźni byli poważni. Podeszli do mnie, ale ja się nie ruszyłem.

– Powiedziano mi, że jesteś lordem Uhtredem – rzekł jeden z nich.

Nosił brudną białą szatę przepasaną sznurem, miał siwe włosy i brodę, ogorzałą od słońca wąską twarz i głębokie bruzdy wokół oczu i ust. Włosy opadały mu poniżej ramion, a broda sięgała pasa. Pomyślałem, że ma twarz przebiegłą, ale budzącą szacunek. Musiał być kimś ważnym wśród duchownych, bo trzymał masywną laskę zwieńczoną ozdobnym srebrnym krzyżem.

Nie odpowiedziałem mu. Patrzyłem na młodszych mężczyźni. W większości byli to chłopcy albo młodzieńcy. Od ich czaszek, w miejscu wygolonych włosów, odbijało się blade światło dnia. Z budynku wyszła grupa starszych osób, domyśliłem się, że byli to rodzice tych chłopaków i młodych mężczyźni.

– Lordzie Uhtredzie – odezwał się znów starzec.

– Przemówię, kiedy będę gotów – odburknąłem.

– To niewłaściwe – odparł, wyciągając w moją stronę krzyż, jakby miało mnie to przestraszyć.

– Przepłucz swą cuchnącą gębę kozimi szczynami! – rzuciłem.

Zobaczyłem chłopaka, po którego tu przyjechałem, i ścisnąłem boki Pioruna piętami. Dwóch starców próbowało mnie zatrzymać, ale mój rumak kłapnął zębami, zmuszając ich do ucieczki. Nawet zbrojni we włócznie Duńczycy umykali przed Piorunem, nic dziwnego więc, że starcy też rozpierzchli się jak wróble.

Poprowadziłem ogiera w stronę grupki młodzieńców, nachyliłem się w siodle i chwyciłem młodzika w czarnej szacie. Podniosłem go, przerzuciłem przez siodło i dałem kolanami znak Piorunowi, żeby zawrócił.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Dwaj czy trzej młodszy mężczyźni próbowali mnie zatrzymać. Jeden z nich złapał za uzdę mojego rumaka, i to był jego błąd, poważny błąd. Koń trzasnął zębami, a młodzik krzyknął. Pozwoliłem rumakowi stanąć dęba i stratować go przednimi

kopytami. Usłyszałem dźwięk kości łamiących się pod ciężkimi podkowami i zobaczyłem jasną krew. Piorun, przebierając kopytami, ruszył do przodu, gdyż został wyszkolony tak, żeby nie pozwolić wrogowi okaleczyć swoich tylnych nóg. Ścisnąłem mu boki piętami, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć leżącego mężczyznę z zakrwawioną czaszką. Kolejny głupiec chwycił za mój prawy but, próbując ściągnąć mnie z siodła, wymierzyłem cios dłonią i uwolniłem się od niego. Do walki stanął też mężczyzna o długich włosach. Pobiegł za mną, krzycząc, że mam uwolnić jeńca, a później – jak dureń – zamachnął się ciężkim srebrnym krzyżem na długim drzewcu, celując w czoło Pioruna. Ale mój koń był szkolony do walki, więc zrobił unik, a ja wychyliłem się z siodła, złapałem za laskę i wyrwałem ją z rąk starca. Ten jednak nie rezygnował. Obrzucał mnie przekleństwami, złapał za uzdę i próbował zawrócić wierzchowca w stronę grupy młodych, zapewne z nadzieją, że ulegnę ich przewadze liczebnej.

Podniosłem drzewce i z całej siły uderzyłem. Użyłem grubszego końca niczym włóczni, nie wiedząc, że jest zakończony metalowym kolcem, zapewne by wbijać krzyż w ziemię. Zamierzałem tylko ogłuszyć gardłującego głupca, ale zamiast tego wbiłem mu bolec w głowę. Przebiłem mu czaszkę. Krew rozjaśniła ów ponury, pochmurny dzień. Na ten widok zaczęto wzywać chrześcijańskie niebiosy, a ja upuściłem drzewce. Mężczyzna ubrany w białą szatę, teraz poplamioną posoką, stał, chwiejąc się, otwierał i zamykał usta, z zaszklonymi oczami i krzyżem wbitym w głowę. Jego siwa broda zrobiła się czerwona, po chwili się przewrócił. Upadł martwy jak kamień.

– Opat! – wykrzyknął ktoś.

Spiąłem Pioruna i koń ruszył z kopyta, rozpędzając ostatnie grupki młodzików i zostawiając z tyłu ich krzyczące matki. Chłopak, którego uwoziłem przerzuconego przez siodło, próbował walczyć, uderzyłem go więc w skroń, gdy tylko wyjechaliśmy spośród ciżby na otwartą drogę.

To był mój syn. Mój najstarszy syn. Uhtred, syn Uhtreda. Nie zdążyłem przyjechać z Londynu na czas, by powstrzymać go przed staniem się mnichem. O jego decyzji dowiedziałem się od wędrownego kaznodziei, jednego z tych długowłosych

klechów o zapuszczonych brodach i z obłędem w oczach, którzy naciągają głupców, żeby oddawali im srebro w zamian za błogosławieństwo.

– Chrześcijaństwo się raduje – powiedział, patrząc na mnie chytrze.

– Raduje się? Z czego? – zapytałem.

– Iż twój syn zostanie mnichem. Za dwa dni, słyszałem o tym w Tofecestarze.

I tym właśnie zajmowali się ci chrześcijanie w swoim kościele, wyświęcaniem swoich czarowników, zmienianiem chłopców w ubranych na czarno klechów, którzy rozpowszechniają plugastwa, i mój syn, mój najstarszy syn, został przeklętym chrześcijańskim mnichem. Znow go uderzyłem.

– Ty łajdaku – rzuciłem. – Ty tchórzliwy łajdaku. Ty wiarołomny durniu.

– Ojcie... – zaczął.

– Nie jestem już twoim ojcem – odwarknąłem.

Powiozłem go drogą do miejsca, gdzie pod ścianą stodoły zalegała szczególnie cuchnąca sterta mokrego łajna. Wrzuciłem go w gnój.

– Nie jesteś już moim synem – rzekłem. – I nie nazywasz się Uhtred.

– Ojcie...

– Chcesz poczuć Oddech Węża na gardle?! – krzyknąłem. – Jeśli chcesz pozostać moim synem, zdejmij ten przeklęty czarny habit, wdziej kolczugę i rób, co każe.

– Służę Bogu.

– Więc wybierz sobie własne, przeklęte imię. Nie jesteś już Uhtredem Uhtredsonem. Osbercie! – zawołałem, obróciwszy się w siodle.

Młodszy syn skierował swojego ogiera w moją stronę. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Ojcie?

– Od dziś nazywasz się Uhtred.

Chłopak spojrział na brata, a później znow na mnie. Niechętnie przytaknął.

– Jak masz na imię? – zapytałem.

Nadal się wahał, ale widząc mój gniew, odpowiedział:

– Mam na imię Uhtred.

– Jesteś Uhtredem Uhtredsonem, moim jedynym synem – oznajmiłem.

Dawno temu to samo mnie się przytrafiło. Mój ojciec, imieniem Uhtred, nazwał mnie Osbertem, ale kiedy Duńczycy zabili mojego starszego brata, przyjąłem jego imię. W naszej rodzinie tak było od zawsze. Najstarszy syn nosi to imię. Moja macocha, głupia kobieta, nawet po raz drugi mnie ochrzciła, mówiąc, że aniołowie strzegący bram niebios nie rozpoznają mnie pod nowym imieniem, zostałem więc zanurzony w beczce z wodą, ale chrześcijaństwo spłynęło po mnie – niebiosom niech będą dzięki – odkryłem dawnych bogów i od tamtej pory ich czczę.

Dogoniło nas pięciu starszych duchownych. Dwóch z nich znałem: byli to bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht. Jakieś trzydzieści lat temu razem ze mną zostali zakładnikami w Mercji. Duńczycy pojмали nas, gdy byliśmy chłopcami. Ja przywitałem to zrządzenie losu z otwartymi ramionami, ale bliźniacy nie mogli się z tym pogodzić. Teraz byli starzy, dwaj identyczni mnisi o masywnej budowie ciała, siwiejących brodach i sinych ze złości, okrągłych obliczach.

– Zabiłeś opata Wihtreda! – rzucił w moją stronę jeden z braci.

Był wściekły, roztrzęsiony, ze złości wyrażał się bez ładu i składu. Nie miałem pojęcia, z którym bliźniakiem mam do czynienia, nigdy nie potrafiłem ich rozróżnić.

– A ojciec Burgred ma zmasakrowaną twarz – powiedział drugi.

Zrobił ruch, jakby zamierzał chwycić Pioruna za uzdę, szybko więc obróciłem konia i pozwoliłem, aby napędził im stracha żółtymi zębiskami, które wcześniej poharatały bużkę świeżo wyświęconego mnicha. Bracia się cofnęli.

– Opata Wihtreda – powtórzył imię pierwszy bliźniak. – Najświętszego z ludzi chodzących po ziemi!

– Zaatakował mnie – odparłem.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem zamiaru zabijać starca, ale nie było sensu im o tym mówić.

– Odpokutujesz za to! – zawołał jeden z braci. – Będziesz przeklęty na wieki!

Drugi wyciągnął rękę do nieszczęsnego chłopaka leżącego w gnoju.

– Ojczy Uhtredzie – powiedział.

– Nie nazywa się już Uhtred – burknąłem – a jeśli ośmieli się używać tego

imienia – spojrzałem na niego i ciągnąłem: – odnajdę go i rozpruję mu brzuch do kości, po czym nakarmię jego tchórzliwymi flakami moje wieprze. Nie jest moim synem. Nie jest godzien być moim synem.

Człowiek niegodny bycia moim synem, cały przemoczony, wygramolił się ze sterty nieczystości, ociekając łajnem. Spojrzał na mnie.

– Więc jak się nazywam? – zapytał.

– Judasz – odparłem z drwiną.

Zostałem wychowany jako chrześcijanin i musiałem wysłuchiwać wszystkich tych ich historyjek, pamiętałem więc, że mężczyzna o imieniu Judasz zdradził ukrzyżowanego boga. Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Ten bóg musiał zginąć na krzyżu, żeby zostać ich zbawicielem, a teraz chrześcijanie obwiniają człowieka, który umożliwił mu wypełnienie jego przeznaczenia. Uważałem, że powinni raczej otoczyć go czcią jak świętego. Ale oni napiętnowali go jako zdrajcę.

– Judasz – powtórzyłem zadowolony, że zapamiętałem to imię.

Chłopak, który był kiedyś moim synem, kiwnął głową.

– Od teraz... – powiedział do bliźniaków – chcę, żeby nazywano mnie Judasz.

– Nie możesz przybrać imienia... – zaproponował Ceolnoth albo Ceolberht.

– Jestem ojcem Judaszem – powtórzył chłopak.

– Będiesz ojcem Uhtredem! – krzyknął do niego jeden z braci, a potem wskazał na mnie. – On nie ma tu żadnej władzy! Jest poganinem, wyrzutkiem znienawidzonym przez Boga!

Cały trząśł się z wściekłości, ledwie był w stanie mówić, ale wziął głęboki oddech, zamknął oczy i podniósł obie ręce ku zachmurzonemu niebu.

– O Boże! – zawołał. – Ześlij swój gniew na tego grzesznika! Ukarz go! Zniwecz jego ciało, niech powali go choroba! Okaż swoją moc! O Panie! – Jego krzyk zmienił się w pisk. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, przeklinam tego człowieka i cały jego ród.

Wziął oddech, a ja dałem znak Piorunowi, ściskając go kolanem, i wierzchowiec podszedł do tego pomstującego głupca. Byłem równie wściekły, jak bliźniacy.

– Przeklnij go, o Panie! – zawołał mnich. – Okaż miłosierdzie i go poniż! Przeklnij

go i ród jego, niech nigdy nie zaznają Twojej łaski! Ukarz go, ześlij na niego plugastwo, ból i nędzę!

– Ojczy! – krzyknął człowiek, który niegdyś był moim synem.

Aethelstan się zaśmiał. Uhtred, mój jedyny syn, wydał stłumiony okrzyk.

Bo kopnąłem tego pomstującego głupiego mnicha. Wysunąłem prawą stopę ze strzemiesienia i z całej siły uderzyłem ciężkim butem, potok słów nagle się przerwał, zastąpiła go krew na wargach. Mężczyzna zatoczył się w tył, prawą dłonią dotykając okaleczonych ust.

– Wypluj zęby – rozkazałem, a kiedy nie chciał posłuchać, zacząłem wyciągać Oddech Węża z pochwy.

Wypluł na ziemię mieszaninę krwi, plwocin i potrzaskanych zębów.

– Jak się nazywasz? – zapytałem drugiego bliźniaka.

Gapił się na mnie z szeroko rozdziawioną gębą, po czym odzyskał przytomność.

– Ceolnoth – odpowiedział.

– Przynajmniej teraz będę was rozróżniał – rzekłem.

Nawet nie spojrzałem na ojca Judasza. Po prostu odjechałem.

Pojechałem do domu.

Możliwe, że klątwa Ceolberhta zadziałała, bo zastałem tam śmierć, spaleniznę i ruiny.

Kanut Ranulfson najechał mój dwór. Podпалиł zabudowania. Wymordował ludzi. Porwał Sigunn.

To nie miało żadnego sensu. Moje włości leżały w pobliżu Cirrenceastre, w głębi Mercji. Banda Duńczyków na koniach zapędziła się aż tak daleko w głąb lądu, narażając się na bitwę i pojmanie tylko po to, żeby mnie zaatakować. To byłem w stanie zrozumieć. Zwycięstwo nad Uhtredem zapewniłoby mu sławę, skłoniłoby bardów do układania pieśni o triumfie, ale oni napadli na dwór, kiedy siedziba była niemal pusta. Musieli przecież wcześniej wysłać zwiadowców. Mogli przekupić miejscowych, by dla nich szpiegowali i donosili, kiedy jestem na miejscu, a kiedy mnie nie ma, i ci szpiegdy z pewnością poinformowaliby ich, że zostałem wezwany do

Londynu, żeby doradzić ludziom króla Edwarda w sprawie murów obronnych. A jednak zaryzykowali atak na niemal pusty dwór. To nie miało żadnego sensu.

I porwali Sigunn.

Była moją kobietą. Nie żoną. Od śmierci Giseli nie wziąłem sobie nowej żony, choć miewałem kochanki. Aethelflaed stała się moją kochanką, ale ona była żoną innego mężczyzny i córką zmarłego króla Alfreda, nie mogliśmy żyć ze sobą jak mąż i żona. Za to Sigunn ze mną żyła i Aethelflaed o tym wiedziała.

– Gdyby nie było Sigunn, byłaby inna – powiedziała mi pewnego dnia.

– Może kilkanaście innych – odparłem.

– Może.

Wziąłem do niewoli Sigunn w Beamfleot. Jest Dunką, smukłą, bladolicą, ładną Dunką, która opłakiwała śmierć męża, kiedy wyciągnąłem ją z wypełnionego krwią rowu przeciwwalewowego. Żyliśmy ze sobą niemal od dziesięciu lat, traktowałem ją z szacunkiem i obwieszałem złotem. Była panią mojego dworu, a teraz zniknęła. Porwał ją Kanut Ranulfson, Kanut Długi Miecz.

– To się wydarzyło trzy ranki temu – powiedział mi Osferth.

Był nieślubnym synem króla Alfreda, który próbował uczynić z niego księdza, ale chociaż chłopak miał twarz i umysł kleryka, wolał zostać wojownikiem. Był ostrożny, skrupulatny, inteligentny, godny zaufania i rzadko tracił cierpliwość. Przypominał ojca, a z wiekiem stawał się do niego coraz bardziej podobny.

– A zatem w niedzielę rano – odparłem posępnie.

– Wszyscy byli wtedy w kościele, panie – wyjaśnił Osferth.

– Z wyjątkiem Sigunn.

– Ponieważ nie jest chrześcijanką, panie – odparł, a ja wyczułem przyganę w jego głosie.

Finan – mój przyjaciel, który przejmował dowództwo, gdy opuszczałem dwór – zabrał dwudziestu mężczyzn, żeby wzmocnić straż Aethelflaed w czasie objazdu Mercji. Robiła przegląd burhów strzegących Mercji przed Duńczykami, a zapewne też oddawała się pobożnym praktykom w rozsianych po całym państwie kościołach. Jej mąż Aethelred niechętnie opuszczał bezpieczną siedzibę w Gleawecestre, więc

Aethelflaed wypełniała należące do niego obowiązki. Miała własnych wojowników, którzy jej strzegli, ale mimo to obawiałem się o jej bezpieczeństwo. Nie ze strony mieszkańców Mercji, bo oni ją kochali, lecz ze strony popleczników Aethelreda. Nalegałem więc, aby wzięła ze sobą Finana i jego dwudziestu ludzi. Pod nieobecność Irlandczyka Osferth dowodził więc oddziałami strzegącymi Faganfordy. Zostawił sześciu zbrojnych, żeby pilnowali dworu, stodoł, stajni i młyna. I tych sześciu ludzi powinno w zupełności wystarczyć, bo moja posiadłość leży daleko od północnych ziem, opanowanych przez Duńczyków.

– Siebie o to obwiniam – odezwał się Osferth.

– Sześciu to aż nadto – odparłem.

I wszyscy oni polegli, podobnie jak Herric, mój kaleki zarządca, oraz trzech innych służących. Zniknęło czterdzieści czy pięćdziesiąt koni, a dwór spalono. Niektóre ściany nadal stały – zniszczone, wypalone pnie, ale ze środkowej części budynku została tylko kupa popiołu. Duńczycy pojawili się nagle, wyłamali wrota, zabili Herrica i wszystkich, którzy próbowali stawić im opór, po czym pojмали Sigunn i odjechali.

– Wiedzieli, że wszyscy będziecie w kościele – powiedziałem.

– Dlatego właśnie zrobili to w niedzielę – dokończył myśl Sihtric, jeden z moich ludzi.

– Wiedzieli też, że ty nie będziesz brał udziału w mszy – zauważył Osferth.

– Ilu ich było? – zapytałem.

– Około czterdziestu–pięćdziesięciu – odparł cierpliwie Osferth.

Już kilkanaście razy go o to pytałem.

Duńczycy nie dokonują takich najazdów dla rozrywki. Istniało mnóstwo saskich dworów i gospodarstw, do których bez trudu dotarliby ze swoich ziem, ale oni podjęli ryzyko zapuszczenia się w głąb Mercji. Z powodu Sigunn? Ona przecież nic dla nich nie znaczyła.

– Przyjechali, żeby zabić ciebie, panie – zasugerował Osferth.

W takim wypadku Duńczycy najpierw wysłaliby kogoś na przespiegi, przepytaliby napotkanych podróżnych, wiedzieliby, że zawsze towarzyszy mi co

najmniej dwudziestu zbrojnych. Postanowiłem nie brać ich do Tofeceasteru, gdzie zamierzałem ukarać człowieka, który był moim synem, bo wojownik nie potrzebuje dwudziestu ludzi do poradzenia sobie z gromadą mnichów. Mój syn i chłopak byli wystarczającym wsparciem. Ale Duńczycy nie mogli wiedzieć, że jestem w Tofeceasterze, sam nie wiedziałem, iż się tam udam, dopóki nie usłyszałem, że mój przeklęty syn zamierza zostać chrześcijańskim czarownikiem. A jednak Kanut Ranulfson naraził życie swoich ludzi w długim, bezsensownym rajdzie – mimo ryzyka spotkania z moimi wojownikami. Miałby nade mną przewagę liczebną, ale poniósłby ciężkie straty. A przecież zawsze ważył ryzyko i nie narażał się głupio na zbyteczne niebezpieczeństwo. Nic z tego nie miało sensu.

– Jesteś pewien, że to był Kanut Ranulfson? – zapytałem Osfertha.

– Mieli jego chorągiew, panie.

– Topór ze złamanym krzyżem?

– Tak, panie.

– A gdzie jest ojciec Kutbert?

Trzymam u siebie księży. Nie jestem chrześcijaninem, ale ukrzyżowany bóg zyskał taką popularność, że większość moich ludzi wyznaje chrześcijaństwo, i w tym czasie Kutbert był moim kapłanem. Lubilem go. Syn kamieniarza. Był tyczkowaty i niezdamy, ożenił się z wyzwoloną niewolnicą o osobliwym imieniu Mehrasa. Tę ciemnoskórą piękność pojmano na jakimś dziwnym, odległym południowym lądzie i przywieziono do Brytanii. Handlarz niewolników, który ją sprowadził, zginął od mojego miecza. Mehrasa zawodziła i krzyczała, że jej mąż jest zgubiony.

– Dlaczego nie było go w kościele? – zastanawiał się Osferth.

W odpowiedzi otrzymał tylko wzruszenie ramion.

– Dupczył się z Mehrasą? – zapytałem kwaśno.

– Czy nie zawsze tak robi? – W głosie Osfertha znów pobrzmiwała dezaprobata.

– Więc gdzie on jest? – ponowiłem pytanie.

– Może oni go zabrali? – zasugerował Sihtric.

– Zazwyczaj zabijają księży, zamiast brać ich w niewolę – odparłem.

Zbliżyłem się do spalonego domostwa. Ludzie grabili popiół, wywlekali

zwęglone, dymiące się belki. Może tam kryje się zeschnięte, szerniałe ciało Kutberta.

– Opowiedz mi, co widziałeś. – Zażądałem, żeby Osferth ponownie powtórzył swoją relację.

Po raz kolejny cierpliwie opowiedział przebieg wydarzeń. Był w kościele, kiedy usłyszał niepokojące okrzyki dochodzące z mojego dworu. Wyszedł ze świątyni i zobaczył dym unoszący się na tle letniego nieba, ale zanim zebrał ludzi i dosiadł konia najeźdźcy zdążyli już odjechać. Ruszył w pościg i zdążył dostrzec Sigunn między porywaczami odzianymi w poczerniałe kolczugi.

– Miała na sobie białą sukienkę, panie, tę, którą lubisz.

– Nie zauważyłeś ojca Kutberta? – zapytałem.

– Był ubrany na czarno, tak jak większość jeźdźców, panie, możliwe więc, że go nie rozpoznałem. Nie udało mi się do nich zbliżyć. Pędzili jak wicher.

Pośród popiołu ukazały się kości. Kiedy przeszedłem przez miejsce, w którym niegdyś stały drzwi główne – pozostały po nich tylko dwa pale – poczułem smród spalonego ciała. Kopnąłem leżącą obok zwęgloną belkę i pod popiołem ujrzałem harfę. Dlaczego nie spłonęła? Struny zmieniły się w czarne kikuty, ale rama pozostała nietknięta. Pochyliłem się, żeby wyjąć instrument, kiedy jednak wziąłem go w dłoń, ciepłe drewno rozkruszyło mi się w rękach.

– Co się stało z Oslikiem? – zapytałem.

Oslic był harfistą, bardem, który śpiewał wojenne pieśni w moim dworze.

– Zabili go, panie.

Mehrasa zaczęła głośniej łkać na widok kości, które wyłoniły się spod popiołu.

– Powiedz jej, żeby się zamknęła! – warknąłem.

– To są kości psów, panie – powiedział człowiek z grabiami, skłaniając się w moją stronę.

Dworskich psów, które Sigunn tak kochała. To były małe teriery, znakomite do tępienia szczurów. Mężczyzna wydobył stopiony srebrny półmisek spod popiołu.

– Nie przyjechali, żeby mnie zabić – odezwałem się, nie odrywając wzroku od żeber psa.

– Kogóż więc? – zapytał Sihtric, który kiedyś był moim sługą, a wtedy należał do

służących mi wojowników, i to dobrych.

- Przyjechał po Sigunn – odparłem, bo nie znajdowałem innego wytłumaczenia.
- Ale dlaczego, panie? Przecież nie jest twoją żoną.
- Wie, że mi na niej zależy, a to znaczy, że czegoś ode mnie chce.
- Kanut Długi Miecz? – zapytał złowieszczym tonem.

Sihtric nie był tchórzem. Odziedziczył po swoim ojcu Kjartanie Okrutnym umiejętność obchodzenia się z bronią. Stał obok mnie w murze tarcz, doskonale więc wiedziałem, że jest odważny, a mimo to usłyszałem niepokój w jego głosie, kiedy wymawiał imię Kanuta. Trudno się dziwić. Kanut Ranulfson stał się legendą na terenach opanowanych przez Duńczyków. Był drobnym, bardzo chudym mężczyzną o niezwykle jasnej skórze i włosach białych jak śnieg, choć nie był starcem. Musiał mieć wtedy jakieś czterdzieści lat, czyli był już dość stary, ale miał siwe włosy od dnia swoich narodzin. Od dnia, w którym pojawił się na świecie. Był też przebiegły i bezwzględny. Jego miecza, Lodowej Furii, obawiano się od północnych wysp do południowego wybrzeża Wessexu, a jego sława przyciągała pragnących mu służyć wojowników nawet zza morza. Ze swoim przyjacielem Sigurdem Thorrsonem należeli do największych duńskich lordów w Northumbrii, a ich ambicją było zdobycie pozycji najpotężniejszych panów Brytanii, mieli jednak przeciwnika, który stale im to udaremniał.

A teraz Kanut Ranulfson – Kanut Długi Miecz – wojownik, którego otaczał największy strach w Brytanii, porwał kobietę tego przeciwnika.

- Chce czegoś – powtórzyłem.
- Ciebie? – zapytał Osferth.
- Dowiemy się tego – powiedziałem, i tak zrobiliśmy.

Odkryliśmy, czego chciał Kanut Ranulfson jeszcze tego samego wieczoru, kiedy ojciec Kutbert wrócił do domu. Księża przywiózł kupiec handlujący skórami zwierzęcymi, który wziął Kutberta na swój wóz. Powiadomiła nas o tym Mehrasa. Zaczęła krzyczeć.

Byłem w wielkiej stodole, której Duńczycy nie zdążyli spalić, wykorzystałem więc ten budynek jako tymczasową siedzibę do czasu odbudowania dworu.

Doglądałem ludzi budujących kamienne palenisko, kiedy usłyszałem krzyk, wybiegłem na zewnątrz i zobaczyłem wóz toczący się drogą. Mehrasa szarpała męża, a Kutbert wymachiwał długimi, chudymi ramionami. Kobieta wrzeszczała na całe gardło.

– Cisza! – ryknąłem.

Moi ludzie wyszli za mną przed stodołę. Handlarz skórami zatrzymał wóz i padł na kolana, kiedy się zbliżyłem. Wyjaśnił, że znalazł ojca Kutberta na północy.

– Był w Beorgfordzie, panie – powiedział – przy rzece, rzucali w niego kamieniami.

– Kto rzucał kamieniami?

– Chłopcy, panie. Po prostu bawiący się chłopcy.

A więc Kanut zapewne przejeżdżał przez bród i tam wyrzucił księdza. Długa szata Kutberta była poplamiona błotem i podarta, a jego czaszkę pokrywały strupy.

– Co zrobiłeś tym chłopcom? – zapytałem handlarza.

– Tylko ich przegoniłem, panie.

– A jego gdzie znalazłeś?

– W sitowiu, panie. Nad rzeką. Płakał.

– Ojcie Kutbercie – rzekłem, podchodząc do wozu.

– Panie! Panie! – zawołał, chwytając mnie za rękę.

– Nie mógł płakać – odparłem handlarzowi. – Osfercie! Wypłać temu człowiekowi pieniądze. – Wskazałem na wybawiciela księdza. – Nakarmimy cię i pozwolimy koniom odpocząć przez noc w stajni.

– Panie! – jęknął ojciec Kutbert.

Pochyliłem się i go podniosłem. Był wysoki, ale zdumiewająco lekki.

– Utrzymasz się na nogach? – zapytałem.

– Tak, panie.

Postawiłem go na ziemi, podtrzymałem i odszedłem, gdy Mehrasa objęła męża.

– Panie – powiedział nad jej ramieniem – mam wiadomość.

Brzmiał tak, jakby płakał, i może tak było, ale człowiek bez oczu nie może płakać.

Człowiek z dwoma krwawymi oczodołami nie może płakać. Oślepiiony pragnie płakać, a nie może.

Kanut Ranulfson wyłupił mu oczy.

Tameworthig. To tam miałem spotkać się z Kanutem Ranulfsonem.

– Stwierdził, że będziesz wiedział dlaczego – przekazał mi ojciec Kutbert.

– Tylko tyle rzekł?

– Będziesz wiedział dlaczego – powtórzył. – Zrobisz to, jak należy, i spotkasz się z nim, zanim księżyc ubędzie, albo zabije twoją kobietę. Powoli.

Podszedłem do drzwi stodoły i spojrzałem w noc, ale księżyc ukrywał się za chmurami. Nie musiałem jednak sprawdzać, wiedziałem, że mam tydzień.

– Co jeszcze powiedział?

– Tylko to, żebyś przybył do Tameworthig, zanim księżyc będzie w nowiu, panie.

– I żebym zrobił to, jak należy? – zapytałem zdziwiony.

– Powiedział, że będziesz wiedział, o co chodzi, panie.

– Nie wiem!

– I powiedział jeszcze... – cedził powoli słowa ojciec Kutbert.

– Co jeszcze powiedział?

– Że oślepił mnie, bym nie mógł jej zobaczyć.

– Zobaczyć? Kogo?

– Mówił, że nie jestem godzien na nią patrzeć, panie.

– Patrzeć na kogo?

– Więc mnie oślepił – jęknął.

Mehrasa zaczęła wrzeszczeć, a ja nie mogłem zrozumieć żadnego z dwojga.

Przynajmniej jednak znałem Tameworthig, choć los nigdy nie zawiódł mnie do tego miejsca, które leży na granicy ziem Kanuta Ranulfsona. Kiedyś było to imponujące miasto, stolica króla Offy, władcy Mercji, który wybudował mur przeciwko Walijczykom i opanował Northumbrię oraz Wessex. Offa utrzymywał, że jest władcą wszystkich Sasów, ale od jego śmierci upłynęło wiele lat i z jego

potężnego królestwa Mercji pozostały nędzne resztki, które obecnie wydzierają sobie Duńczycy i Sasi. Tameworthig, będące niegdyś siedzibą najpotężniejszego króla Brytanii, twierdzą obsadzoną budzącymi strach oddziałami wojowników, zmieniło się w ruinę, gdzie Sasi harują na rzecz duńskich jarłów. Tam też znajdował się najdalej wysunięty na południe dwór Kanuta, stanowiący bastion duńskiej władzy na tych spornych terenach.

– To jest pułapka – ostrzegł mnie Osferth.

Coś mi kazało w to wątpić. Wewnętrzny głos jest najważniejszy. Czyn Kanuta był niebezpieczny i wiązał się z ogromnym ryzykiem. Wysłał ludzi – albo ich poprowadził – w głąb Mercji, gdzie bez trudu można było odciąć drogę powrotną oddziałowi i wyciąć go w pień. A mimo to coś kazało mu podjąć to ryzyko. Czegoś chciał i był przekonany, że ja to mam. Wzywał mnie, i to nie do jednego ze swoich wielkich dworów w głębi należących do niego ziem, lecz do Tameworthig graniczącego z terytoriami saskimi.

– Jedziemy – rzekłem.

Zebrałem wszystkich mężczyzn zdolnych dosiąść konia. Było nas sześćdziesięciu ośmiu wojowników, zbrojnych w kolczugi, hełmy, tarcze, topory, miecze, włócznie i młoty bojowe. Jechaliśmy na północ za moją chorągwią ze znakiem wilka, przez chłodny wiatr i nagłe nieprzyjemne ulewy.

– Zbiory będą słabe – powiedziałem do Osfertha, kiedy wyjechaliśmy na drogę.

– Tak jak w zeszłym roku, panie.

– Będziemy bardziej uważać na złodziei ziarna.

– Zapanuje drożyzna.

– To lepsze niż martwe dzieci – odparłem.

– Jesteś hłafordem.

Odwróciłem się w siodle i zawołałem:

– Aethelstanie!

– Chłopak pogonił konia.

– Dlaczego nazywają mnie hłafordem?

– Ponieważ strzeżesz bochna, panie – odrzekł – a do obowiązków hłaforda należy

wykarmienie swoich ludzi.

Mruknąłem z zadowoleniem, słysząc jego odpowiedź. Hlaford to pan, człowiek, który pilnuje *hlaf*, czyli bochna. Do moich obowiązków należało zapewnianie środków do życia służącym mi ludziom podczas surowych zim. Jeśli trzeba zapłacić za żywność złotem, należy to zrobić. Miałem złoto, ale nigdy wystarczająco dużo. Marzyłem o odzyskaniu Bebbanburga, fortecy na północy, którą ukradł mi Aelfric, mój stryj. Była to niezdojta twierdza, ostatni szaniec na northumbryjskim wybrzeżu, tak ponura i przerażająca, że Duńczycy nigdy nie zdołali jej zdobyć. Opanowali całą północną Brytanię, od żyznych pastwisk Mercji po dziką granicę ze Szkocją, lecz nigdy nie zajęli Bebbanburga, ale jeśli miałem go odzyskać, potrzebowałem więcej złota na opłacenie ludzi, zakup włóczni, toporów, mieczy, bym mógł pokonać krewnych, którzy odebrali mi moją twierdzę. Jednakże aby tego dokonać, musielibyśmy przeprowić się przez ziemie Duńczyków, i zaczynałem się obawiać, że przed śmiercią nie uda mi się odzyskać Bebbanburga.

Dotarliśmy do Tameworthig drugiego dnia naszej podróży. Udało nam się przekroczyć granicę między terytoriami saskimi i duńskimi. Granicy nie tworzyła ściśle wytyczona linia, lecz szeroki pas ziemi, na którym spalono osiedla, wycięto sady, a na łąkach pasły się głównie dzikie zwierzęta. Niektóre stare gospodarstwa zostały jednak odbudowane. Widziałem nowe stodoły z jasnego drewna, a na pastwiskach od czasu do czasu było. Pokój znów sprowadził ludzi na te ziemie. Od czasu bitwy w Anglii Wschodniej, w której zginął król Alfred, panował rozejm, choć był on bardzo niepewny. Nadal dochodziło do najazdów, których celem była kradzież trzody, pozyskanie niewolników. Zdarzały się też zatargi o ziemię, nie prowadzono jednak regularnych działań wojennych. Duńczycy nadal pragnęli podbić południową część wyspy, a Sasi marzyli o odzyskaniu północy, ale od dziesięciu lat żyliśmy w posępnym pokoju. Chciałem zakłócić ten pokój, poprowadzić wojska na północ, ku Bebbanburgowi, lecz ani Mercja, ani Wessex nie wspomogłyby mnie zbrojnymi, musiałem więc także przestrzegać rozejmu.

A teraz Kanut go zakłócił.

Wiedział, że nadchodzimy. Z pewnością wysłał zwiadowców, żeby obserwowali

każdy trakt prowadzący z południa, nie podejmowaliśmy więc żadnych środków ostrożności. Zazwyczaj kiedy przekraczaliśmy dziką granicę, wysyłaliśmy na czele ludzi, tym razem jednak śmiało parliśmy naprzód, trzymając się rzymskiej drogi, bo wiedzieliśmy, że Kanut na nas czeka. I tak było.

Tameworthig znajdował się na ziemiach rozciągających się na północ od rzeki Tame. Kanut spotkał się z nami na terytorium leżącym na południe od jej brzegu. Zamierzał zrobić na nas wrażenie, bo miał ze sobą ponad dwustu ludzi tworzących wzdłuż drogi mur tarcz. Pośrodku szeregu zbrojnych powiewała jego chorągiew z toporem roztrzaskującym chrześcijański krzyż, a sam Kanut, w kolczudze, ciemnobrunatnym płaszczu, futrze osłaniającym plecy i ramionami ozdobionymi złotem, czekał na koniu, nieco wysunięty przed szereg swoich ludzi.

Kazałem zatrzymać się swoim towarzyszom i w pojedynkę pojechałem w jego stronę.

Kanut ruszył ku mnie.

Powściągnęliśmy nasze wierzchowce i stanęliśmy od siebie w odległości włóczni. Wzajemnie się sobie przypatrywaliśmy.

Jego szczupłą twarz obramowywał hełm. Wydawał się wymizerniały, a usta, tak zwykle skore do uśmiechu, były ponuro zacięte. Wyglądał starzej, niż zapamiętałem, i patrząc w jego szare oczy, nagle przyszło mi na myśl, że jeśli Kanut Ranulfson zamierza spełnić swoje życiowe marzenie, musi zrobić to jak najprędzej.

Kiedy tak się sobie przyglądaliśmy, zaczął padać deszcz. Kruk wzniósł się z jesionu, a ja zastanawiałem się, co mi to wróży.

– Jarlu Kanucie – przerwałem ciszę.

– Lordzie Uhtredzie – odrzekł.

Jego koń, siwy ogier, rzucił się na bok, a on klepnął wierzchowca dłonią w rękawicy, żeby go uspokoić.

– Wezwałem cię – odezwał się – a ty przybyłeś biegiem jak wystraszone dziecko.

– Chcesz walczyć na obelgi? – zapytałem. – Ty, syn kobiety, która na każde skinienie kładła się z mężczyzną?

Przez chwilę milczał. Z mojej lewej strony, częściowo osłonięta przez drzewa,

pośród smętnego, letniego deszczu płynęła zimna rzeka. Dwa łabędzie wzniosły się nad strugą, ich skrzydła wolno poruszały się w chłodnym powietrzu. Kruk i dwa łabędzie? Dotknąłem młota zawieszzonego na szyi z nadzieją, że to szczęśliwy omen.

– Gdzie ona jest? – Kanut w końcu przemówił.

– Gdybym wiedział, kim ona jest, mógłbym ci odpowiedzieć.

Popatrzył na stojących za mną zbrojnych.

– Nie przywiozłeś jej – stwierdził bezbarwnym głosem.

– Masz zamiar przerzucać się zagadkami? – zapytałem. – Więc powiedz mi, co to jest: cztery cycki, cztery długie tyczki, dwa zakrzywione patyczki i chwościk.

– Uważaj – powiedział.

– Odpowiedź brzmi „koza”. Cztery wymiona, cztery nogi, dwa rogi i ogon.

Utkwił we mnie spojrzenie.

– Dwa tygodnie temu ta chorągiew znalazła się na mojej ziemi – rzekł, wskazując na mój sztandar.

– Nie wysłałem nikogo ani nie przyjechałem na czele wojska – odparłem.

– Siedemdziesięciu ludzi, jak mi powiedziano, pojechało do Buchestanes – kontynuował, nie zważając na moje słowa.

– Od wielu lat tam nie byłem.

– Zabrali moją żonę, syna i córkę.

Spojrzałem na niego. Mówił spokojnie, ale na jego twarzy malowała się gorycz i arogancja.

– Słyszałem, że masz syna – rzekłem.

– Na imię mu Kanut Kanutson, a ty wzięłeś go w niewolę razem z jego matką i siostrą.

– To nie byłem ja – odparłem stanowczo.

Pierwsza żona Kanuta zmarła wiele lat temu, podobnie jak dzieci, ale słyszałem, że powtórnie się ożenił. To był zadziwiający ślub. Można by się spodziewać, że Kanut poślubi kobietę z wyrachowania: dla ziemi, posagu lub sojuszy, ale plotka głosiła, że jego wybranka była wieśniaczką. Mówiono, iż jest kobietą o wyjątkowej urodzie, która dała mu bliźniaki – chłopca i dziewczynkę. Oczywiście miał też inne

dzieci, bękart, ale nowa żona dała mu upragnionego dziedzica.

– Ile lat ma twój syn? – zapytałem.

– Sześć lat i siedem miesięcy.

– A czemu pojechał do Buchestanes? Żeby poznać przyszłość?

– Żona zabrała go do wiedźmy.

– Ona jeszcze żyje? – zdziwiłem się. Wiedźma była już sędziwa, kiedy się z nią widziałem, i myślałem, że już dawno umarła.

– Módl się, żeby moja żona i dzieci żyły – rzucił szorstko Kanut. – I żeby były całe i zdrowe.

– Nie mam nic wspólnego z twoją żoną i dziećmi – odparłem.

– Twój ludźcie uprowadzili moją rodzinę – warknął. – Nieśli twoją chorągiew. Dotknął dłonią w rękawicy swego słynnego miecza. – Zwróć mi ich albo oddam twoją kobietę moim wojownikom, a kiedy z nią skończą, powoli obedrę ją ze skóry i ci ją przyślę, żebyś zrobił sobie z niej derkę – zagroził.

Obróciłem się w siodle.

– Uhtredzie! Podejdz tu.

Mój syn spał wierzchowca, spojrzał na Duńczyka, a później na mnie.

– Zsiądź z konia i podejdz do strzemienia jarła Kanuta – rozkazałem.

Uhtred przez moment się wahał, po czym zeskoczył z siodła. Pochyliłem się, żeby złapać za uzdę jego ogiera. Kanut zmarszczył brwi, niczego nie pojmując, i spojrzał na chłopaka, który posłusznie stał obok jego rosłego siwka.

– To mój jedyny syn – powiedziałem.

– Myślałem... – zaczął Kanut.

– To mój jedyny syn – powtórzyłem gniewnie. – Jeśli nadal uważasz, że cię okłamuję, możesz wziąć go i zrobić z nim, co ci się żywnie podoba. Przysięgam na życie mojego jedynego syna, że nie uprowadziłem twojej żony i dzieci. Nie wysłałem ludzi na twoją ziemię. Nie mam nic wspólnego z najazdem na Buchestanes.

– Nieśli twoją chorągiew.

Deszcz padał coraz mocniej, podmuchy wiatru, które go sprowadziły, marszczyły powierzchnię kałuż w koleinach pobliskiego pola. Kanut spojrzał na Uhtreda.

– Podobny do ciebie – zauważył. – Brzydki jak ropucha.

– Nie najechałem na Buchestanes i nie nasłałem ludzi na twoją ziemię – odrzekłem szorstko.

– Wsiadaj na konia – powiedział do mojego syna Kanut, po czym spojrzał na mnie. – Jesteś moim wrogiem, Uhtredzie.

– To prawda.

– Ale pewnie jesteś też spragniony?

– To też prawda – przyznałem.

– Więc powiedz swoim ludziom, żeby trzymali miecze w pochwach. Powiedz im, że to jest moja ziemia, a ja z przyjemnością zabiję każdego, kto mnie będzie drażnił. A potem zaprowadź ich do mojego dworu. Mamy ale. Niezbyt dobre, ale pewnie wystarczająco dla saskiego wieprza.

Odwrócił się i spiął konia. Pojechaliśmy za nim.

Dwór stał na szczycie niewielkiego wzniesienia otoczonego starym wałem ziemnym, zapewne usypanym jeszcze na rozkaz króla Offy. Obwarowania wieńczyła palisada, a za wałem wznosiło się domostwo z wysokim dwuspadowym dachem o belkach pociemniałych ze starości. Niektóre z nich zostały ozdobione intrygującymi wzorami, ale większość pokrywał mech. Nad głównymi drzwiami wisiało poroże jeleni i czaszki wilków, a wewnątrz starego budynku wysoki strop wspierał się na masywnych belkach również obwieszonych czaszkami zwierząt. Salę oświetlał ogień płonący na umieszczonym pośrodku palenisku. Zdziwiła mnie gościnność Kanuta, ale jeszcze bardziej zdumiałem się, kiedy wszedłem do sali. Na podwyższeniu, uśmiechnięty niczym łasica, czekał na nas Haesten.

Haesten. Lata temu darowałem mu wolność i życie, a on odpłacił mi zdradą. Swego czasu był potężny, jego wojska zagrażały samemu Wessexowi, ale zrządzenie losu doprowadziło do jego upadku. Nie pamiętam już, ile razy z nim walczyłem, za każdym razem go pokonywałem, a mimo to zdołał ocalić życie – niczym wąż, który umyka spod wideł chłopów. Od lat zajmował stary rzymski fort w Ceasterze, tam go zostawiłem z garstką ludzi, a teraz znalazł się tu, w Tameworthig.

– Przysiągł mi wierność – wyjaśnił Kanut, widząc moje zaskoczenie.

– Lord Uhtred! – Haesten pospieszył mi na spotkanie z wyciągniętymi rękami i uśmiechem szerokim jak Tamiza. Wyglądał starzej, postarzał się, wszyscy posunęliśmy się w wieku. Jego jasne włosy zrobiły się srebrne, twarz pokryła zmarszczkami, lecz oczy nadal pozostały przenikliwe, żywe i wesołe. Najwyraźniej nieźle mu się powodziło. Na ramionach nosił złote ozdoby, na szyi złoty łańcuch z młotem i kolczyk w kształcie młota w lewym uchu. – Twój widok zawsze napawa mnie radością – rzekł.

– Nie podzielam twojego zadowolenia – odparłem.

– Musimy się zaprzyjaźnić – oznajmił. – Wojny się skończyły.

– Doprawdy?

– Sasi trzymają południe, my, Duńczycy, mieszkamy na północy. To dobre rozwiązanie, lepsze niż wzajemne wybijanie się, prawda?

– Mówisz, że wojny się skończyły? – zapytałem. – A ja ci powiem, że wkrótce znów staną mury tarcz.

Stałoby się tak, gdyby udało mi się ich sprowokować. Od dziesięciu lat miałem zamiar wykopać Haestena z Ceasteru, ale mój kuzyn Aethelred, władca Mercji, nigdy nie chciał użyć mi swoich wojsk, których bym do tego potrzebował. Błagałem o wsparcie nawet Edwarda z Wessexu, on jednak też mi odmówił, wyjaśniając, że Ceaster leży na terenie Mercji, nie Wessexu, więc udzielenie mi wsparcia należy do Aethelreda. Kuzyn jednak zawsze mnie nienawidził i wolał już pozwolić Duńczykom pozostać w Ceasterze, niż mnie okryć się sławą. Zdobycie fortu, gdy Haesten uzyskał protekcję Kanuta, stało się znacznie trudniejszym zadaniem.

– Lord Uhtred mi nie ufa – zwrócił się do Kanuta Haesten. – Ale ja się zmieniłem, czyż nie, panie?

– Zmieniłeś się – odparł jarl – bo jeśli mnie zdradzisz, wyrwę ci kości z ciała i nakarmię nimi moje psy.

– Twoje nieszczęsne psy będą zatem chodziły głodne – odparł Haesten.

Kanut zignorował go i poprowadził mnie do stołu na podwyższeniu.

– Jest użyteczny – wyjaśnił mi obecność Haestena.

– Ufasz mu?

– Nikomu nie ufam, ale go nastraszyłem, więc tak, ufam, że będzie wykonywał, co każe.

– Dlaczego nie zajmiesz Ceasteru?

– Ilu ludzi pomieści fort? Stu pięćdziesięciu? Niech więc Haesten ich karmi, a ja oszczędzę swój skarb. Jest teraz moim psem. Drapię go po brzuchu, a on słucha moich poleceń.

Mimo wszystko przydzielił Haestenowi miejsce przy wysokim stole, choć z dala od nas. Sala była wystarczająco duża, żeby pomieścić wszystkich wojowników Kanuta i moich ludzi, a na jej krańcu – z dala od paleniska, w pobliżu drzwi wejściowych – stały dwa stoły przeznaczone dla kalek i żebraków.

– Dostają resztki – wyjaśnił Kanut.

Chromi i biedacy najedli się do syta, bo jarl tej nocy wydał dla nas ucztę. Pieczone końskie udźce, półmiski fasoli i cebuli, tłuste pstrągi i okonie, świeży chleb, olbrzymie porcje faszerowanej kiszki, która niezwykle mi smakowała, wszystko to podawano z ale i było nadspodziewanie smaczne. Kanut pierwszy róg podał mi osobiście, później posepnym wzrokiem patrzył, jak moi ludzie mieszają się z jego.

– Rzadko korzystam z tego dworu, stoi zbyt blisko parszywych Sasów.

– Może zrobię ci przysługę i go spalę? – zaproponowałem.

– Bo ja spaliłem twój dwór? – Ta myśl wydawała się go bawić. – Spalenie twojego domostwa było zapłatą za Morskiego Barbarzyńcę – odparł z uśmiechem. To była jego ulubiona łódź, którą kiedyś zmieniłem w wypalony wrak. – Ty łajdaku – powiedział i dotknął swoim rogiem mojego. – A zatem co się stało z twoim drugim synem? Nie żyje?

– Został chrześcijańskim mnichem, więc dla mnie umarł.

Kanut zaśmiał się i wskazał na Uhtreda.

– A ten?

– Jest wojownikiem.

– Wygląda jak ty. Miejmy nadzieję, że nie walczy jak ty. Kim jest drugi chłopak?

– To Aethelstan – odparłem. – Syn króla Edwarda.

Kanut popatrzył na mnie krzywo.

– I go tu przyprowadziłeś? Co mnie może powstrzymać przed wzięciem tego bękarta jako zakładnika.

– Jest bękartem – wyjaśniłem.

– Aha, nie zostanie więc królem Wessexu?

– Edward ma innych synów.

– Mam nadzieję, że mój syn przejmie moją ziemię – odparł Kanut. – Zapewne tak będzie. To dobry chłopak. Ale rządzić powinien najsilniejszy, a nie ten, kto wyśliznął się spomiędzy nóg królowej.

– Królowa może być odmiennego zdania.

– Któż by się przejmował zdaniem żony? – odparł lekceważąco, ale myślę, że kłamał. Chciał, żeby jego syn odziedziczył ziemię i majątek. Wszyscy tego chcemy, poczułem, że trzęsę się z wściekłości na myśl o ojcu Judaszu. Miałem przynajmniej drugiego, porządnego syna, tymczasem Kanut miał tylko jednego, i on zaginął. Mój gospodarz ukroił kawał udźca i podał mi sporą porcję.

– Dlaczego twoi ludzie nie jedzą koniny? – zapytał. Zauważył, jak wielu z nich nie tknęło mięsa.

– Ich bóg im nie pozwala – wyjaśniłem.

Spojrzał na mnie, jakby chciał upewnić się, czy nie żartuję.

– Naprawdę?

– Tak. Mają najwyższego czarownika w Rzymie, nazywają go papieżem, a on powiedział, że Chrystus nie zezwala na jedzenie koniny.

– A dlaczegóż to?

– Bo skoro my składamy konie w ofierze Odynowi i Thorowi oraz jemy końskie mięso, oni nie będą tego robić.

– Więcej zostanie dla nas. Szkoda, że ich bóg nie każe im zostawiać w spokoju kobiet. – Roześmiał się. Zawsze lubił żarty, ale zdziwiło mnie, że przyszła mu ochota rozbawić mnie w tych okolicznościach. – Wiesz, czemu pierdnięcia śmierdzą?

– Nie.

– Żeby głuchy też mógł się nimi nacieszyć. – Wybuchnął śmiechem, a ja

zastanawiałem się, jakim cudem człowiek zamartwiający się zaginięciem żony i dzieci potrafi zachowywać się tak beztrosko. Nagle spoważniał, jakby czytał w moich myślach, i zapytał: – A zatem kto uprowadził moje dzieci oraz żonę?

– Nie wiem.

Przez chwilę bębnił palcami o stół.

– Moimi wrogami – odezwał się – są Sasi, norwescy wikingowie w Irlandii i Szkoci. A więc zrobił to ktoś od nich.

– Dlaczego nie jakiś Duńczyk?

– Nikt by się nie odważył – powiedział z pewnością w głosie. – Myślę, że to byli Sasi.

– Dlaczego?

– Ktoś słyszał ich mowę.

– Sasi służą też Norwegom – odparłem.

– Niezbyt wielu. Kto więc ich porwał?

– Ktoś, kto wykorzysta ich jako zakładników.

– Ale kto?

– Nie ja.

– Z jakiegoś powodu ci wierzę – odparł. – Może stałem się łatwowiernym starcem, ale w takim razie wybacz, że spaliłem ci dwór i oślepiłem księdza.

– Kanut Długi Miecz przeprasza? – zapytałem z kpiącym zdziwieniem.

– Musiałem się zestarzeć.

– Ukradłeś mi też konie.

– I je zatrzymam. – Wbił nóż w ser, odkroił kawałek i rozejrzał się po sali oświetlonej przez ogromne palenisko, dokoła którego spało kilkanaście psów. – Dlaczego nie zająłeś Bebbanburga?

– A ty?

Przytaknął mi krótkim kiwnięciem głowy. Jak wszyscy Duńczycy z północy pożądał tej twierdzy i wiedziałem, że zastanawia się, jak można ją zdobyć.

– Potrzebowałbym czterystu ludzi – odparł, wzruszając ramionami.

– Masz czterystu ludzi, w przeciwieństwie do mnie – zauważyłem.

– Nawet nie udałoby się im przebyć cypla.

– Żeby zająć Bebbanburg, musiałbym przeprowadzić czterystu zbrojnych przez twoje ziemie, posiadłości Sigurda Thorrsona, a później zmierzyć się z wojskami stryja na cyplu.

– Twój stryj jest już stary. Ponoć choruje.

– To dobrze.

– Jego syn będzie władał twierdzą. Lepiej, żeby to był on niż ty.

– Lepiej?

– Nie dorównuje ci jako wojownik – stwierdził Kanut.

Wypowiedział ten komplement niechętnie, nie patrząc na mnie. – Jeśli wyświadczę ci przysługę... – ciągnął, nie odrywając wzroku od paleniska – zrobisz coś dla mnie?

– Możliwe – odrzekłem ostrożnie.

Walnął dłonią w blat, na dźwięk uderzenia cztery leżące pod stołem psy zerwały się na równe nogi, po czym skinął na jednego ze swoich ludzi. Mężczyzna wstał, jarl wskazał na drzwi, a człowiek posłusznie wyszedł w noc.

– Dowiedz się, kto porwał moją żonę i dzieci – powiedział Kanut.

– Jeśli dopuścił się tego Sas, zapewne jestem w stanie się tego dowiedzieć – odrzekłem.

– Zrób to – odparł szorstko. – I pomóż mi ich odzyskać. – W milczeniu wpatrywał się w przestrzeń. – Słyszałem, że masz ładną córkę.

– Tak mi się wydaje.

– Niech wyjdzie za mojego syna.

– Stiorra musi być z dziesięć lat starsza od Kanuta Kanutsona.

– No i co z tego? Przecież ożeni się z nią nie z miłości, głupcze, ale dla sojuszu. Razem możemy opanować całą tę wyspę.

– Po cóż ci cała wyspa?

– Ta dziwka trzyma cię na smyczy, co? – zapytał z półuśmiechem.

– Dziwka?

– Aethelflaed – rzucił szorstko.

– A kto trzyma smycz Kanuta Długiego Miecza?

Wybuchnął śmiechem, ale nie odpowiedział na moje pytanie. Zamiast tego zrobił ruch głową w kierunku drzwi.

– Tam jest twoja druga dziwka. Nic jej nie jest.

Człowiek posłany przez Duńczyka przyprowadził Sigunn, która zatrzymała się w progu, rozejrzała ostrożnie, a potem zobaczyła mnie obok Kanuta. Przebiegła przez salę, minęła koniec stołu i zarzuciła mi ramiona na szyję. Jarl roześmiał się, widząc ten objaw czułości.

– Możesz tu zostać, kobieto, między swoimi – zwrócił się do Sigunn, która nie odezwała się, tylko mocniej do mnie przywarła. – Kanut uśmiechnął się w moją stronę, ponad jej ramieniem. – Jesteś wolny, Sasie, ale odkryj, kto mnie nienawidzi. Kto porwał moją żonę i dzieci.

– Jeśli tylko zdołam – odparłem.

Musiałem jednak poważniej się nad tym zastanowić. Kto odważył się pojmać rodzinę Kanuta Długiego Miecza? Kto śmiał to zrobić? Nie byłem jednak w stanie jasno myśleć. Uważałem, że porywacz chciał skrzywdzić Kanuta, ale się myliłem. Haesten służył jarlowi, ale on przypomina Lokiego, najbardziej podstępnego z bogów – to powinno dać mi do myślenia. Tak się jednak nie stało, zamiast tego piłem, słuchałem żartów Kanuta i pieśni harfisty sławiącego jego zwycięstwa nad Sasami.

Nazajutrz rano zabrałem Sigunn i ruszyłem na południe.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mój syn Uhtred. Dziwnie było tak go nazywać, przynajmniej na początku. Przez niemal dwadzieścia lat wołałem na niego Osbert i niełatwo mi było używać nowego imienia. Mój ojciec musiał czuć się podobnie, kiedy nadał mi to imię. Podczas drogi powrotnej z Tameworthig wezwałem go do siebie.

– Nie brałeś jeszcze udziału w murze tarcz?

– Nie, ojcze.

– Nie staniesz się mężczyzną, dopóki tego nie doświadczysz.

– Chcę tego.

– A ja będę cię chronił – obiecałem. – Straciłem już jednego syna, nie chcę stracić drugiego.

Jechaliśmy w milczeniu przez przygnębiającą, szarą okolicę. Wiatr był słaby, a mokre liście ciężko zwisały na drzewach. Zbiory w tym roku okazały się słabe. Zapadał zmierzch i zachód był skąpany w zielonkawym świetle, które odbijało się od pokrytych kałużami pól. Dwa kruki leciały powoli ku chmurom spowijającym umierające słońce.

– Nie zawsze jednak będę mógł cię chronić – powiedziałem. – Wcześniej czy później musisz walczyć w murze. Musisz się sprawdzić.

– Wiem o tym, ojcze – odparł.

A jednak to nie była wina mojego syna, że jeszcze nie miał okazji się sprawdzić. Niepewny pokój osiadł nad Brytanią jak wilgotna mgła i zatrzymał wojowników w ich dworach. Dochodziło do licznych potyczek, ale nie zazналиśmy żadnej wielkiej bitwy od czasu, kiedy w Anglii Wschodniej wycieliśmy w pień Duńczyków uzbrojonych we włócznie. Chrześcijańscy kapłani lubią mówić, że to ich bóg zesłał pokój na te ziemie, bo taka była jego wola, w rzeczywistości jednak przyczyną był brak woli ludzi. Król

Edward z Wessexu zadawała się obroną posiadłości, które odziedziczył po ojcu, i nie przejawiał dużych ambicji, jeśli chodzi o poszerzenie ich granic, Aethelred z Mercji zaszył się w Gleawecestre, a Kanut? Był wielkim wojownikiem, ale jednocześnie bardzo ostrożnym, może też nowa, ładna żona zapewniała mu wystarczająco dużo wrażeń, tyle że teraz ktoś mu ją porwał razem z bliźniakami.

– Lubię Kanuta – odezwałem się.

– Był szczodry – odrzekł mój syn.

Pominałem milczeniem jego uwagę. Jarl rzeczywiście okazał się szczodrym gospodarzem, ale taka już jest powinność władcy. Musiałem jeszcze raz to dokładnie przemyśleć. W Tameworthig przyjęto nas wystawną ucztą, która została wcześniej przygotowana, co znaczy, że Kanut wiedział, iż raczej mnie ugości, niż zabije.

– Pewnego dnia będziemy musieli go zabić – powiedziałem. – A także jego syna, jeśli kiedyś się odnajdzie. Stoją nam na drodze. Ale na razie zrobimy to, o co prosił. Dowiemy się, kto porwał jego żonę i dzieci.

– Dlaczego? – zdziwił się Uhtred.

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego będziemy mu pomagać? Przecież jest Duńczykiem. Naszym wrogiem.

– Nie powiedziałem, że będziemy mu pomagać – odburknąłem. – Jednakże ten, kto porwał żonę Kanuta, coś knuje. A ja chcę się dowiedzieć co.

– Jak ma na imię jego żona?

– Nie zapytałem. Słyszałem jednak, że jest piękna. Nie jak ta pulchna szwaczka, którą co noc orzesz. Ta ma twarz niczym tyłek prosięcia.

– Nie patrzę na jej twarz – odrzekł, po czym zmarszczył brwi. – Czy Kanut powiedział, że jego żonę porwano w Buchestanes?

– Owszem.

– To daleko na północ?

– Dość daleko.

– A zatem saski oddział zapuścił się w głąb ziem Kanuta i nikt go nie zauważył ani nie stanął mu na drodze? – powiedział z powątpiewaniem w głosie.

– Raz mi się to udało.

– Ty jesteś lordem Uhtredem, cudotwórcą – odparł z uśmiechem.

– Pojechałem się tam spotkać z wiedźmą – wyjaśniłem mu i przypomniałem sobie tę dziwną noc i piękną istotę, która mi się wówczas ukazała. Mówiono na nią Erce, ale rano była tam tylko stara wiedźma Aelfadell. – Ona widzi przyszłość – dodałem, ale nie wspominała o Bebbanburgu, a to chciałem od niej usłyszeć. Pragnąłem, żeby przepowiedziała, że odzyskam fortecę, stanę się jej prawowitym władcą, myślałem o stryju, starym i chorym, i wzbierała we mnie złość. Nie chciałem, by umarł, zanim zdołam zadać cios. Bebbanburg nie dawał mi spokoju. Ostatnie lata spędziłem na gromadzeniu złota, które pozwoli mi wyruszyć na północ i przeprowadzić szturm na jego mocarne obwarowania, ale słabe zbiory nadwerężyły moje zasoby. – Starzeję się – rzekłem.

– Ojczy? – zdziwił się Uhtred.

– Jeżeli nie uda mi się odzyskać Bebbanburga, ty będziesz musiał to zrobić. Później zawieszysz tam moje szczątki i mnie pochowasz. Włóż Oddech Węża do mojego grobu.

– Tak zrobię – obiecał.

– Starzeję się – powtórzyłem.

Była to prawda. Żyłem już ponad pięćdziesiąt lat, a większość mężczyzn miała szczęście, jeśli dożyła czterdziestki. Jednak starość zawsze przynosi śmierć marzeń. Swego czasu chcieliśmy tylko zjednoczonego państwa wolnego od Duńczyków, ziemi należącej do angielskiego rodu, ale północą nadal rządzą Norwegowie, a saskie południe opanowali mnisi, którzy głoszą kazania o nadstawianiu drugiego policzka. Zastanawiałem się, co wydarzy się po mojej śmierci, czy syn Kanuta przeprowadzi ostatni wielki najazd, dwory spłoną, kościoły popadną w ruinę, a wyspą, którą król Alfred nazwał Anglią, będą rządzić Duńczycy.

Osferth, nieślubny syn Alfreda, popędził konia, żeby do nas dołączyć.

– To dziwne – powiedział.

– Dziwne?

Śniłem na jawie, niczego nie widziałem, ale teraz, kiedy spojrzałem przed siebie, dostrzegłem, że niebo na południu jest płomiennie czerwone, krwiście czerwone,

czerwone jak ogień.

– Dwór pewnie nadal się tli – odezwał się Osferth.

Zapał zmierzch, niebo było ciemne, jaśniało tylko na dalekim zachodzie i ponad ogniem na południu. Płomienie odbijały się od chmur, a smuga dymu snuła się ku wschodowi. Zbliżaliśmy się do domu, dym musiał pochodzić z Fagranfordy.

– Domostwo jednak nie mogło się tak długo palić – ciągnął ze zdziwieniem Osferth. – Ogień przygasł, już kiedy wyruszyliśmy w drogę.

– Poza tym padało – zauważył mój syn.

Przez chwilę myślałem o palącym się ściernisku, ale to nie miało sensu. Do żniw było jeszcze daleko, spiąłem więc Pioruna, żeby przyspieszył. Wielkie kopyta wierzchowca rozpryskiwały wodę z kałuży, a ja ponownie go popędziłem, żeby przeszedł w galop. Aethelstan minął mnie na swoim lżejszym i mniejszym koniu. Zawołałem chłopaka, żeby zawrócił, ale on udawał, że nie słyszy.

– Uparty jest – stwierdził z przyganą Osferth.

– Musi być – odparłem. – Jako bękart musi wywalczyć sobie własną drogę w życiu.

Osferth dobrze to wiedział. Aethelstan, tak samo jak Osferth, może i był synem króla, ale żona Edwarda nie była jego matką, co sprawiało, że stawał się zagrożeniem dla rodu żony władcy. Musiał być uparty.

Byliśmy teraz na mojej ziemi, przeciąłem więc rozmokłe pastwisko i dotarłem do strumienia, który nawadniał należące do mnie pola.

– Nie – powiedziałem z niedowierzaniem. – Palił się młyn. To był młyn wodny, który wybudowałem, a teraz stał w płomieniach, w pobliżu zaś niczym demony tańczyli mężczyźni w czarnych szatach.

Aethelstan, który znacznie nas wyprzedził, powściągnął konia i wpatrywał się w młyn, pozostałe zabudowania także płonęły. Wszystko, co ludzie Kanuta Ranulfsona oszczędzili, teraz się paliło: stodoła, stajnie, wiaty dla krów, wszystko. Cały teren roił się od podskakujących w blasku ognia ludzi ubranych w ciemne szaty.

Byli to mężczyźni i trochę kobiet. Dziesiątki. A także dzieci, biegające w podnieceniu wokół huczących płomieni. Podniósł się radosny okrzyk, kiedy

kalenica stodoły upadła, wzniecając słup iskier wznoszący się ku ciemniejszemu niebu, wtedy w świetle ognia ujrzałem jasne chorągwie trzymane przez odzianych w czarne szaty mężczyzn.

– Klechy – powiedział mój syn.

Teraz doszły do mnie pieśni. Spiałem Pioruna i skinąłem na ludzi, żeby pogalopowali ze mną przez łąkę do miejsca, które było moim domem. Kiedy się zbliżyliśmy, ujrzałem, że czarne suknie gromadzą się, dostrzegłem też błysk broni. Setki ludzi. Drwili, krzyczeli, a nad głowami trzymali włócznie, motyki, topory i kosy. Nie widziałem tarcz. To był fyrd, chłopskie pospolite ruszenie mężczyzn, którzy zwykle bronili swych ziem i obsadzali burhy, kiedy nadchodzili Duńczycy. A teraz zajęli moje włości i wykrzykiwali obelgi na mój widok.

Mężczyzna w białym płaszczu na siwym koniu przeciskał się przez tłum. Uniósł dłoń, aby uciszyć cizbę, a kiedy to okazało się nieskuteczne, zawrócił wierzchowca i krzyknął gniewnie. Słyszałem jego głos, ale nie rozróżniałem słów. Uciszył zebranych, przez krótką chwilę patrzył na nich bez słowa, po czym odwrócił się i ruszył w moją stronę. Zatrzymałem się. Moi ludzie ustawili się rzędem po mojej prawej i lewej stronie. Wpatrywałem się w tłum, szukałem znajomych twarzy, ale żadnej nie dostrzegłem. Najwidoczniej moi sąsiedzi nie brali udziału w tym podpaleniu.

Jeździec zatrzymał się kilka kroków przede mną. To był ksiądz. Pod białym płaszczem nosił czarną suknię, a od czarnej tkaniny odcinał się srebrny krzyż. Mężczyzna miał podłużną twarz pokrytą płytkimi zmarszczkami, szerokie usta, orli nos, głęboko osadzone ciemne oczy pod grubymi ciemnymi brwiami.

– Jestem biskup Wulfheard – oznajmił. Nasze spojrzenia się spotkały i pod jego butą dostrzegłem niepokój. – Wulfheard z Herefordu – uściślił, jak gdyby nazwa biskupstwa dodawała mu dostojęstwa.

– Słyszałem o Herefordzie – odparłem.

Hereford jest to miścina na granicy Mercji i Walii, mniejsza nawet od Gleawecestre. Z jakichś powodów, które tylko chrześcijanie potrafią wyjaśnić, małe dziury mają biskupstwa, a większe nie. O Wulfheardzie też słyszałem. Należy do tych

ambitnych klechów, którzy szepczą królowi do ucha. Może był biskupem Herefordu, ale przebywał w Gleawecestre jako piesek Aethelreda.

Odwróciłem wzrok i spojrzałem na szereg mężczyzn, którzy zagrodzili mi drogę. Mogło być ich nawet trzystu. Dostrzegłem trochę mieczy, ale większość była uzbrojona w narzędzia gospodarskie. Jednak trzystu ludzi z siekierami, motykami i sierpami mogło stanowić śmiertelne zagrożenie dla moich sześćdziesięciu ośmiu wojowników.

– Spójrz na mnie! – zażądał Wulfheard.

Nie odrywając wzroku od tłumu, dotknąłem prawą dłońią rękojeści Oddechu Węża.

– Nie będziesz mi rozkazywał, Wulfheardzie – odparłem, nie patrząc na niego.

– Rozkazuję ci – powiedział wyniośle – w imieniu Boga Wszechmogącego i lorda Aethelreda.

– Żadnemu z nich nie składałem przysięgi – odrzekłem. – Ich rozkazy mam więc za nic.

– Kpisz z Boga! – zakrzyknął biskup wystarczająco głośno, aby tłum go usłyszał.

Cizba wydała pomruk, a niektórzy nawet zrobili krok w przód, jakby zamierzali zaatakować.

Wulfheard także się zbliżył. Teraz zwrócił się tylko do moich ludzi.

– Lord Uhtred – krzyknął – został wyklęty przez Kościół! Zabił świątobliwego opata i skrzywdził sługi Boże! Orzeczono, że zostanie wygnany z tych ziem, a także iż każdy, który z nim pójdzie, złoży mu przysięgę wierności, również zostanie wyklęty przez Boga i ludzi.

Siedziałem nieruchomo w siodle. Piorun uderzył ciężkim kopytem w miękki torf i koń biskupa bojaźliwie się cofnął. Moi ludzie milczeli. Zobaczyły nas żony i dzieci niektórych moich wojowników, biegły przez łąkę, szukając ochrony naszych mieczy. Ich domy zostały spalone. Widziałem dym unoszący się nad drogą przecinającą pagórek na zachodzie.

– Jeśli chcecie osiągnąć zbawienie – przemówił do moich ludzi biskup – jeśli chcecie, aby wasze żony i dzieci cieszyły się łaską naszego Zbawiciela Jezusa

Chrystusa, musicie opuścić tego grzesznego człowieka! – Wskazał na mnie. – Jest przeklęty przez Boga. Pogrzyżł się w otchłaniach ciemności. Jest skazany! Potępiony! Przeklęty! Wstrętny Bogu! Wstrętny. – Najwidoczniej podobało mu się to słowo, bo powtórzył je jeszcze raz: – Wstrętny. A jeśli pozostaniecie z nim, jeśli będziecie walczyć po jego stronie, również zostaniecie przeklęci, i żony wasze, i dzieci wasze! Wy i oni zostaniecie skazani na wieczne męki w piekle! Tym samym jesteście zwolnieni z przysięgi wierności wobec tego człowieka! Od teraz zabicie go nie jest grzechem! Zgładzenie tego wstrętnego Bogu człowieka zapewni wam łaskę naszego Pana.

Klecha podburzał ich przeciwko mnie, ale żaden z moich ludzi nawet się nie ruszył, choć w motłoch wstąpiła nowa odwaga i tłum z pomrukiem znów się do nas zbliżył. Wzajemnie zagrzewali się do obrzucania mnie obelgami. Spojrzałem na swoich ludzi i dostrzegłem, że nie mają ochoty walczyć z tą ciżbą rozwścieczonych chrześcijan, bo ich żony wcale nie szukały bezpieczeństwa u naszego boku – jak początkowo myślałem – lecz próbowały ich ode mnie odciągnąć. Przypomniałem sobie słowa ojca Pyrliga, że niewiasty zawsze są najgorliwszymi wyznawcami. I zorientowałem się, że te kobiety i reszta chrześcijan osłabiają lojalność moich ludzi.

Czym jest przysięga? Obietnicą, że będzie się służyć swojemu władcy, ale chrześcijanie zawsze mają kogoś, komu należne jest większe posłuszeństwo. Moi bogowie nie żądają przysięg, ale bóg na krzyżu jest zazdrosny bardziej niż kochanek. Wmawia swoim wyznawcom, że nie ma innych bogów przed nim. Jakież to jest śmieszne. A jednak chrześcijanie płaszcą się przed nim i porzucają starych bogów. Widziałem, że moi ludzie się wahają. Spoglądali w moją stronę, kilku się oddaliło, nie w kierunku ciskającego obelgi motłochu, lecz ku zachodowi, dalej od tłumem i ode mnie.

– To twoja wina. – Biskup Wulfheard zawrócił konia w moją stronę. – Zabiłeś opata Wihtreda, świętego człowieka, a lud Boży ma tego dość.

Nie wszyscy moi ludzie się wahali. Niektórzy, w większości Duńczycy, ruszyli w moją stronę, tak jak Osferth.

– Jesteś chrześcijaninem – powiedziałem do niego. – Dlaczego mnie nie opuścisz?

– Zapomniałeś, że Bóg mnie porzucił – odparł. – Jestem bękartem, już zostałem przeklęty przez Boga.

Mój syn i Aethelstan zostali przy mnie, ale obawiałem się o młodszego chłopca. Większość moich ludzi była chrześcijanami, więc mnie opuścili, tymczasem tłum składał się z setek rozwścieczonych mężczyzn, których zagrzewali księża i mnisi.

– Poganie muszą zostać zgładzeni! – krzyczał klecha z czarną brodą. – On i jego kobieta weszli na naszą ziemię! Dopóki oni żyją, będziemy przeklęci!

– Twoi księża grożą kobiecie? – zapytałem Wulfharda. Sigunn była przy mnie. Dosiadała niewielkiej siwej klaczy. Podjechałem do biskupa, który szarpnął cugle swojego konia. – Dam jej miecz – powiedziałem do niego. – I pozwolę jej wypatroszyć twoje tchórzliwe trzewia, ty mysi wypierdku.

Osferth podjechał do mnie i złapał Pioruna za uzdę.

– Roztropnie byłoby się wycofać, panie – zauważył.

Wyciągnąłem Oddech Węża. Zapadł późny wieczór, ciemności, w których pierwsze gwiazdy migotały pomiędzy chmurami. Ogień odbijał się od szerokiej głowni mojego miecza.

– Może sam najpierw zabiję biskupa – warknąłem i zawróciłem Pioruna w stronę Wulfharda, który wbił piętę w boki swojego konia, tak że ten ruszył z kopyta, niemal wysadzając jeźdźca z siodła.

– Panie! – zawołał Osferth i skierował wierzchowca w moją stronę, żeby mnie powstrzymać.

Tłum pomyślał, że ruszyliśmy w pogoń za biskupem, i zaczął kroczyć w naszą stronę. Szalał, wrzeszczał, potrząsał prymitywnym uzbrojeniem, zatracając się w gorączce zesłanej mu przez boga powinności. Wiedziałem, że zostaniemy zmiażdżeni, ale byłem wściekły i pomyślałem, że wolę wyciąć sobie przejście przez ten motłoch, niż uciekać na jego oczach.

Tym samym zrezygnowałem ze ścigania biskupa i zawróciłem w kierunku ciżby. Wtedy usłyszałem dźwięk rogu.

Podczas gdy brzmienie instrumentu rozlegało się po okolicy, zobaczyłem strumień jeźdźców galopujący w stronę łąki dzielącej mnie od tłumu. Mieli na sobie kolczugi,

uzbrojeni byli w miecze i włócznie, a ich twarze zasłaniały hełmy. Płomienie odbijały się w nich, upodabniając przybyszy do skapanych we krwi wojowników, a grudy wilgotnej ziemi ulatywały spod kopyt ich ogierów, kiedy rumaki zatoczyły koło, żeby jeźdźcy znaleźli się naprzeciw tłumowi.

Jeden z mężczyzn zawrócił w moją stronę. Opuścił miecz, gdy jego wierzchowiec zbliżał się kłusem do Pioruna, a następnie podniósł broń w pozdrowieniu. Dostrzegłem, że się uśmiecha.

– Co zrobiłeś, panie? – zapytał.

– Zabiłem opata – odparłem.

– Uczyniłeś więc nowego świętego i męczennika – odrzekł niefrasobliwie, po czym obrócił się w siodle i spojrzał na tłum, który się zatrzymał, ale nadal wyglądał groźnie. – Myślałeś, że będą ci wdzięczni za kolejnego świętego, co? A oni wcale nie wyglądają na zadowolonych.

– To był wypadek – wyjaśniłem.

– Wypadki same cię znajdują, panie – odpowiedział, uśmiechając się w moją stronę.

To był Finan, przyjaciel, który dowodził moimi ludźmi podczas mojej nieobecności, a także człowiek strzegący Aethelflaed.

Ona również się pojawiła i wściekły pomruk motłochu ucichł, kiedy powoli ruszyła w jego stronę. Siedziała na grzbiecie białej klaczy, miała na sobie biały płaszcz i srebrną opaskę na płowych włosach. Wyglądała jak królowa i była córką króla – w Mercji ludzie ją miłowali. Kiedy biskup Wulfheard rozpoznał przybyłą, skierował ku niej swojego wierzchowca i przemówił natarczywym, ściszym głosem. Ona go jednak zignorowała. Na mnie też nie zwróciła uwagi, lecz stanęła naprzeciw tłumowi, prostując się w siodle. Milczała przez chwilę. Płomienie płonących zabudowań odbijały się migotliwie w srebrnych ozdobach, które nosiła we włosach, na szyi i wokół szczupłych nadgarstków. Nie widziałem jej twarzy, ale dobrze ją znałem i wiedziałem, że jest lodowato surowa.

– Odejdźcie – powiedziała niemal od niechcienia. Rozległ się pomruk, a ona powtórzyła głośniejszym głosem: – Odejdźcie! – Czekwała do chwili, aż zapadła cisza. – Obecni tu

księża i zakonnicy was poprowadzą. Ci z was, którzy przybyli z daleka, będą potrzebowali schronienia i żywności. Znajdziecie to w Cirrenceastre. A teraz idźcie już!

Kiedy zawróciła konia, biskup Wulfheard ruszył za nią. Widziałem, że błaga ją o coś, ale ona, unosząc dłoń, zapytała:

– Kto tu wydaje rozkazy, biskupie, ty czy ja?

Jej słowa były jawnym wyzwaniem.

Aethelflaed nie rządziła Mercją. Panem Mercji był jej mąż i gdyby miał jaja, można by nazywać go królem tych ziem, ale on stał się niewolnikiem Wessexu. Był uzależniony od pomocy zachodniosaskich wojowników, a oni wspierali go tylko dlatego, że poślubił Aethelflaed, córkę króla Alfreda – największego z władców Sasów zachodnich – i siostrę Edwarda, który teraz panuje w Wessexie. Aethelred nienawidził swojej żony, ale jej potrzebował, nienawidził również mnie, bo wiedział, że jestem jej kochankiem. Biskup Wulfheard też o tym wiedział. Zesztywniał, słysząc słowa królowej, spojrzał w moją stronę, a ja dostrzegłem, że kusi go, by podjąć rzucone przez nią wyzwanie. Próbował odzyskać władzę nad żadnym zemsty motłochem, ale Aethelflaed uspokoiła ludzi. To ona tu rządziła. W Mercji kochano ją i tłum, który spalił moje zabudowania, nie chciał jej obrazić. Biskup nie wydawał się tym przejmować.

– Lord Uhtred... – zaczął, ale Aethelflaed natychmiast mu przerwała.

– Lord Uhtred – przemówiła na tyle głośno, żeby jak najwięcej zgromadzonych ją słyszało – jest głupcem. Obraził Boga i ludzi. Został wyklęty! Ale nie dojdzie tu do rozlewu krwi. Dość krwi już przelano. A teraz odejź!

Ostatnie słowa skierowała do biskupa, ale mówiąc je, patrzyła na tłum, robiąc dłonią gest, by również odeszli.

A oni jej posłuchali. Obecność zbrojnych Aethelflaed oczywiście była przekonująca, ale najwięcej działały jej pewność siebie i majestat, to one odebrały władzę wściekłym księżom i mnichom, którzy podburzyli motłoch do spalenia moich zabudowań. Tłum oddalił się, pozostawiając po sobie płomienie rozświetlające noc. Zostali tylko moi ludzie i zbrojni Aethelflaed. Królowa w końcu zwróciła się w moją

stronę i popatrzyła na mnie gniewnie.

– Ty głupcze! – rzuciła.

Nic jej nie odpowiedziałem. Siedziałem w siodle, gapiąc się na ogień, a moje myśli były ponure jak północne wrzosowiska. Nagle pomyślałem o Bebbanburgu uwięzionym między dzikim północnym morzem i nagimi górami.

– Opat Wihfred był dobrym człowiekiem – powiedziała Aethelflaed. – Opiekował się ubogimi, karmił głodnych, odziewał nagich.

– Zaatakował mnie – odparłem.

– Ty jesteś wojownikiem. Wielkim Uhtredem. A on był mnichem! – Zrobiła znak krzyża. – Pochodził z Northumbrii, z twoich stron. Duńczycy go prześladowali, ale zachował wiarę! Zachował wierność prawdzie mimo pogardy i nienawiści pogan tylko po to, by zginąć z twojej ręki!

– Nie zamierzałem go zabić.

– Ale to zrobiłeś! I z jakiego powodu? Bo twój syn został mnichem?

– Nie jest już moim synem.

– Ależ z ciebie głupiec! Jest twoim synem i powinieneś być z niego dumny.

– Nie jest już moim synem – powtórzyłem z uporem.

– A teraz jest synem nikogo. – Splunęła. – Zawsze miałeś wrogów w Mercji. Teraz oni są górą. Spójrz tylko na to. – Ze złością wskazała na płonące zabudowania. – Aethelred wysłał ludzi, żeby cię pojмали. Chrześcijanie żądają twojej śmierci.

– Twój mąż nie ośmielił się mnie zaatakować – odrzekłem.

– Ależ zrobi to! Znalazł sobie nową kobietę, a ona chce, żebyśmy oboje zginęli. Pragnie być królową Mercji.

Burknąłem coś, ale zachowałem milczenie. Aethelflaed mówiła prawdę. Jej mąż, który równie mocno nienawidził nas obojga, znalazł sobie kochankę – Eadith, córkę tana z południowej Mercji, jak głosiła plotka, ambitną i piękną. Jej brat Eardwulf został dowódcą oddziału konnych Aethelreda i ponoć dorównywał sprawnością ambicji siostry. Kiedy banda wygłodniałych Walińczyków łupiła zachodnią granicę, Eardwulf wyruszył im naprzeciw, usidlił ich i wyciął w pień. Słyszałem o nim, że jest mądry, ma trzydzieści lat mniej ode mnie, a do tego jest bratem kobiety, która pragnie

zostać królową.

– Chrześcijanie wygrali – powiedziała Aethelflaed.

– Ty jesteś chrześcijanką – zauważyłem.

Zignorowała moją uwagę. Wpatrywała się niewidzącymi oczami w ogień, po czym pokręciła głową ze znużeniem.

– Przez ostatnie lata panował pokój.

– To nie moja wina – odparłem ze złością. – Nieustannie prosiłem o ludzi. Powinniśmy zająć Ceaster, zgładzić Haestena i wyprzeć Kanuta z północnej Mercji. To nie jest pokój! Pokój nie zapanuje dopóty, dopóki Duńczycy nie opuszczą tych ziem.

– Ależ mamy pokój – upierała się. – A chrześcijanie nie potrzebują cię w czasie pokoju. Podczas wojny pragną, żeby Uhtred z Bebbanburga walczył po ich stronie. Ale teraz? Kiedy panuje pokój? Już cię nie potrzebują i od dawna chcą się od ciebie uwolnić. A ty co robisz? Zabijasz najświętszego człowieka w Mercji!

– Świętego? – parsknąłem. – To był głupiec, który postanowił walczyć.

– Traf chciał, że postanowił walczyć właśnie z tobą! – odrzekła ostro. – Opat Wihfred nauczał o świętym Oswaldzie. Miał widzenia. A ty go zabiłeś!

Nic na to nie odpowiedziałem. Saską Brytanię opanowało święte szaleństwo, wiara, że odnalezienie ciała Świętego Oswalda doprowadzi do zjednoczenia Sasów, czyli że Sasi zamieszkujący ziemie opanowane przez Duńczyków nagle odzyskają wolność. Northumbria, Anglia Wschodnia, północna Mercja zostaną oczyszczone z pogańskich Duńczyków, a wszystko to dzięki połączeniu rozczłonkowanego ciała świętego, który zmarł niemal przed trzema wiekami. O świętym Oswaldzie wiedziałem wszystko. Niegdyś władał Bebbanburgiem i Aelfric miał ramię tego człowieka. Wiele lat temu eskortowałem głowę świętego do bezpiecznej kryjówki, pozostałe jego szczątki zostały prawdopodobnie pochowane w jakimś klasztorze w południowej Northumbrii.

– Wihfred chciał tego samego co ty – ciągnęła ze złością Aethelflaed. – Chciał saskiego panowania w Northumbrii!

– Nie zamierzałem go zabić – powtórzyłem. – I żałuję tego.

– Powinieneś żałować! Jeśli zostaniesz tu dłużej, wkrótce zjawi się tu dwustu włóczników, żeby zaprowadzić cię pod sąd.

– Będę z nimi walczył.

Skwitowała moje słowa pogardliwym śmiechem.

– Skąd weźmiesz ludzi?

– Ty i ja mamy razem więcej niż dwustu zbrojnych – odparłem.

– Jesteś prawdziwym głupcem, jeśli myślisz, że każę swoim ludziom walczyć przeciwko innym mieszkańcom Mercji.

Oczywiście, że nie. Kochano ją tu, ale ta miłość nie przełożyłaby się na powołanie wojsk wystarczająco licznych, żeby pokonać siły jej męża, który rozdaje złoto, chleb i jest w stanie powołać pod broń tysiąc mężczyzn. Musiał udawać, że pozostaje w dobrych stosunkach z Aethelflaed, bo bał się otwarcie zaatakować żonę. Jej brat, król Wessexu, mógłby chcieć się zemścić. Bał się też mnie, Kościół jednak pozbawił mnie właśnie dużej części mojej władzy.

– Co zrobisz? – zapytałem.

– Będę się modlić – odpowiedziała. – I przyjmę twoich ludzi na służbę. – Skinęła w stronę tych moich wojowników, którzy poświęcili lojalność na ołtarzu religii. – Będę cicho i nie dam mężowi pretekstu do zniszczenia mnie.

– Jedź ze mną – zaproponowałem.

– Mam się związać z głupcem i wyrzutkiem? – rzuciła z goryczą.

Spojrzałem na dym unoszący się ku niebu.

– Czy twój mąż wysłał ludzi, żeby pojмали rodzinę Kanuta Ranulfsona?

– Czy co zrobił? – spytała zdumiona.

– Ktoś podszył się pode mnie, żeby uprowadzić jego żonę i dzieci.

– Skąd wiesz? – Zmarszczyła brwi.

– Właśnie od niego wracam.

– Wiedziałabym, gdyby to Aethelred za tym stał – odparła.

Miała szpiegów na dworze męża, tak samo jak on swoich w jej otoczeniu.

– Ktoś to jednak zrobił – rzekłem. – I nie byłem to ja.

– Inni Duńczycy? – zasugerowała.

Wsunąłem Oddech Węża do pochwy.

– Myślisz, że wojny się skończyły, ponieważ w Mercji w ostatnich latach panował pokój. Ale się mylisz. Kanut Ranulfson ma pewne marzenie i chce je spełnić, zanim zbyt się zestarzeje. Uważaj więc na przygraniczne ziemie.

– Już to robię – odrzekła, ale jej głos brzmiał teraz znacznie mniej zdecydowanie.

– Ktoś wprowadza zamieszanie, jesteś pewna, że to nie Aethelred?

– On chce zaatakować Anglię Wschodnią.

Tym razem to ja zareagowałem zdziwieniem.

– Co chce zrobić?

– Zaatakować Anglię Wschodnią. Jego nowa kobieta pewnie lubi wrzosowiska. – W jej głosie pobrzmiwała gorycz.

Atak na Anglię Wschodnią nie był całkiem bezsensownym pomysłem. Było to jedno z utraconych królestw, utraconych dla Duńczyków, i sąsiadowało z Mercją. Gdyby Aethelredowi udało się zająć te ziemie, mógłby zdobyć koronę i tron. Stałby się królem Aethelredem, dysponowałby fyrdem Anglii Wschodniej oraz tanami Anglii Wschodniej i dorównałby potęgą swemu szwagrowi królowi Edwardowi.

Istniał jednak pewien problem, jeśli chodzi o najazd na Anglię Wschodnią. Duńczycy z północnej Mercji przybyliby jej na ratunek. Wojna nie toczyłaby się między Mercją a Anglią Wschodnią, lecz między Mercją a każdym Duńczykiem zamieszkującym Brytanię. W konflikt zostałyby wciągnięty Wessex, a wojna spustoszyłaby całą wyspę.

Chyba że udałoby się uciszyć Duńczyków z północy, a czy był na to lepszy sposób, niż wziąć jako zakładników najbliższych Kanuta?

– To musiał być Aethelred – stwierdziłem.

Aethelflaed pokręciła głową.

– Nie wiem, czy to był on. Poza wszystkim boi się Kanuta. – Spojrzała ze smutkiem na płonące zabudowania. – Dokąd pójdziesz?

– Daleko stąd.

Wyciągnęła rękę o jasnej skórze i dotknęła mojego ramienia.

– Jesteś głupcem, Uhtredzie.

– Wiem o tym.

– Jeśli wybuchnie wojna... – powiedziała niepewnie.

– Wrócę – odparłem.

– Obiecujesz?

Przytaknąłem krótkim kiwnięciem głowy.

– Jeśli wybuchnie wojna, będę cię bronił. Przysiągłem ci to lata temu i jeden martwy opat tego nie zmieni.

Obróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na płonące zabudowania i ogień sprawił, że jej oczy wydały się mi załzawione.

– Zajmę się Stiorrą – obiecała.

– Nie pozwól jej wyjść za mąż.'

– Już jest gotowa – odparła i zwróciła się w moją stronę.

– A zatem jak cię znajdę?

– Nie będziesz musiała, to ja znajdę ciebie.

Westchnęła, obróciła się w siodle i skinęła na Aethelstana.

– Jedziesz ze mną – rozkazała.

Chłopak spojrział na mnie, a ja na znak zgody kiwnąłem głową.

– A ty dokąd pojedziesz? – zapytała ponownie.

– Daleko stąd – powtórzyłem.

Ale już wiedziałem, co zrobię. Zamierzałem udać się do Bebbanburga.

Po napaści chrześcijan zostało przy mnie trzydziestu trzech ludzi. Kilku – między innymi Osferth, Finan i mój syn – wyznawało chrześcijaństwo, ale większość była Duńczykami i Fryzami, a więc wyznawcami Odyna, Thora i innych bogów Asgardu.

Wykopaliśmy skarb ukryty pod domostwem, a następnie razem z żonami i dziećmi wojowników, którzy pozostali mi wierni, ruszyliśmy na wschód. Przenocowaliśmy w lasku niedaleko Fagranfordy. Sigunn towarzyszyła mi, ale była zdenerwowana i małomówna. Wszyscy czuli się niepewnie z powodu ponurego i gniewnego nastroju,

który mnie ogarnął, i tylko Finan miał śmiałość, żeby do mnie zagadać.

– A zatem co się właściwie wydarzyło? – zapytał szarym świtem.

– Mówiłem ci już, że zabiłem jakiegoś przeklętego opata.

– Wihtreda. Człowieka, który głosił kazania o Świętym Oswaldzie.

– To jakieś szaleństwo – rzuciłem ze złością.

– Zapewne – odparł Finan.

– Ależ oczywiście, że to szaleństwo! Szczątki Oswalda pochowano na duńskim terytorium, a Duńczycy już dawno starli jego kości na pył. Nie są głupcami...

– Może go wykopali, a może nie – odparł Finan. – Czasem jednak szaleństwo bywa skuteczne.

– Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami i powiedział:

– Pamiętam z Irlandii świętego człowieka, który głosił, że deszcze ustaną, jeśli będziemy bić w bębny kością udową Świętej Athracht, nieszczęsna kobieta. Panowała wtedy powódź. Nigdy więcej nie widziałem takich ulew. Nawet kaczki miały dość.

– I co się stało?

– Wykopali szczątki kobieciny, zaczęli walić jej kośćmi w bęben i przestało padać.

– To nie mogło powstrzymać deszczu – mruknąłem.

– Racja, ale mogli zrobić to albo zbudować arkę.

– No cóż, zabiłem tego drania przez pomyłkę – odparłem. – A teraz chrześcijanie chcą uszykować puchar z mojej czaszki.

Nastał ranek, pochmurny ranek. Chmury w nocy się przerzedziły, ale teraz znów napłynęły i zaczął padać przelotny deszcz. Jechaliśmy drogą biegnącą pośród podmokłych pól, na których ulewa położyła żyto, jęczmień i pszenicę. Jechaliśmy w stronę Londynu i po prawej stronie mignęła mi Tamiza, wolno i leniwie tocząca fale ku odległemu morzu.

– Chrześcijanie szukali powodu, żeby się ciebie pozbyć – odezwał się Finan.

– Sam jesteś chrześcijaninem, dlaczego więc przy mnie zostałeś? – zapytałem.

Finan uśmiechnął się leniwie.

– Co jeden ksiądz ogłosi, drugi odwołuje. Czy więc pójdę do piekła, jeśli zostanę przy tobie? I tak pewnie tam trafię, ale bez trudu znajdę księdza, który powie, że będzie inaczej.

– Dlaczego Sihtric nie podziela twojego zdania?

– Przez swoją kobietę. One bardziej boją się księży.

– A twoja się nie boi?

– Kocham ją, ale nie może mną rządzić. Będzie jednak godzinami modliła się na klęczkach – powiedział, ponownie się uśmiechając. – Ojciec Kutbert też chciał pojechać z nami, biedaczyna.

– Ślepy ksiądz? – zapytałem. – Jaki może być pożytek ze ślepego księdza? Lepiej, żeby pojechał z Aethelflaed.

– Ale on chciał pozostać przy tobie – odparł Finan. – Jeśli więc ksiądz tak postanowił, jaki grzech popełniam, czyniąc to samo? Co zatem robimy? – zapytał z wahaniem.

Nie zamierzałem mówić Finanowi, że chcę wyruszyć do Bebbanburga. Czy sam w to wierzyłem? Żeby zająć Bebbanburg, potrzebowałem złota i setek ludzi, a stałem na czele trzydziestu trzech zbrojnych.

– Będziemy rabować – powiedziałem więc.

– Tak też myślałem. A potem wrócimy.

– Wrócimy?

– Wszystko zależy od tego, co nam pisane, czyż nie? Raz na wozie, raz pod wozem. A zatem lord Aethelred szykuje się do wojny?

– Tak słyszałem.

– Chcą tego jego kobieta i jej brat. A kiedy Aethelred już doprowadzi do chaosu w Mercji, będą nas wzywać, żebyśmy ratowali ich nędzne żywoty. – Finan wydawał się pewny siebie. – Księża będą całować nas w dupę z języczkiem, mogę się założyć, że tak będzie.

Uśmiechnąłem się, słysząc jego słowa. Od lat przyjaźniliśmy się z Finanem. Razem zostaliśmy sprzedani w niewolę, później ramię w ramię walczyliśmy w murze tarcz, a teraz patrząc na niego, dostrzegłem siwe włosy pod jego wełnianą czapką.

Broda też mu posiwała. O mnie pewnie można było powiedzieć to samo.

– Postarzeliśmy się – zauważyłem.

– To prawda, ale nie zmądrzeliśmy, co? – Zaśmiał się.

Przejechaliśmy przez kilka wiosek i dwa miasteczka, trzymałem się na baczności i zastanawiałem, czy księza wysłali wiadomość, że należy nas zaatakować, ale nigdzie nie zwracano na nas uwagi. Często oglądałem się za siebie, żeby sprawdzić, czy lord Aethelred wysłał za nami ludzi, lecz nikt się nie pojawił, doszedłem więc do wniosku, że zadowolili się usunięciem mnie z Mercji. Był moim kuzynem, mężem mojej kochanki i moim wrogiem, a tego mokrego lata wreszcie odniósł nade mną zwycięstwo, którego od tak dawna pragnął.

Droga do Londynu zajęła nam pięć dni. Przemieszczaliśmy się powoli nie tylko dlatego, że drogi były zalane wodą, lecz także z powodu braku wystarczająco dużej liczby koni, żeby przewieźć kobiety, dzieci, zbroje, tarcze i broń.

Zawsze lubiłem Londyn. To jest okropne, zadymione, cuchnące miasto o ulicach porytych grubą warstwą nieczystości. Nawet rzeka tam śmierdzi, a jednak właśnie rzece Londyn zawdzięcza swoje istnienie. Płynąc na zachód, można dotrzeć daleko w głąb Mercji i Wessexu, jeśli wyruszysz na wschód, przed dziobem twojej łodzi rozpościera się cały świat. Do Londynu przyplływają kupcy z ładunkami oleju, skór, pszenicy, siana, niewolników i towarów luksusowych. Rzekomo należy do Mercji, ale Alfred zadbał o to, żeby obsadzić je oddziałami zachodniosaskimi, a Aethelred nigdy nie ośmielił się przeciwstawić temu oblężeniu. W istocie Londyn mieści w sobie dwa miasta. My najpierw udaliśmy się do nowego, wzniesionego przez Sasów i rozpościerającego się wzdłuż północnego brzegu szerokiej, leniwej Tamizy, kluczyliśmy długimi ulicami, zatłoczonymi ludźmi i wozami, aż trafiliśmy do dzielnicy rzeźni, gdzie ziemię pokrywały kałuże krwi. Baseny garbarzy znajdowały się dalej na północ, skąd dochodził stęchły smród uryny i gówna, następnie zeszliśmy nad rzekę rozdzielającą nowe miasto od starego, i tam dopadły mnie wspomnienia. Tutaj walczyłem. Przed nami wznosił się mur rzymski i rzymska brama, gdzie odpierałem ataki Duńczyków. Potem wszedłem na wzgórze, a strażnicy bramy rozpoznali mnie i odsunęli się, pozwalając mi przejść. Obawiałem się trochę, że będą

chcieli mnie zatrzymać, ale oni powitali mnie z ukłonem, więc przejechałem pod rzymskim łukiem i wjechałem do starego miasta rozciągającego się na wzgórzu, miasta wzniesionego przez Rzymian z kamieni, cegieł i dachówek.

Sasi nigdy nie polubili starego miasta. Stawaliśmy się tu nerwowi. Zamieszkiwały je duchy, obce duchy, których nie rozumieliśmy, bo przybyły z Rzymu. Nie Rzymu chrześcijan, ten nie krył tajemnic. Znałem dziesiątki osób, które odbyły tam pielgrzymkę, a po powrocie opowiadały o cudownym placu otoczonym kolumnami, kopułach, łukach, ruinach, wilkach błakających się między pokruszonymi kamieniami oraz chrześcijańskim papieżu, który rozpowszechniał swój jad z jednego z podupadających pałaców na brzegu stęchłej rzeki. To wszystko było zrozumiałe. Rzym przypominał Londyn, tylko był większy. Ale duchy ze starej części Londynu pochodziły z innego Rzymu, potężnego miasta, które niegdyś władało całym światem. Jego wojownicy przemierzali pustynie i śniegi, miażdżyli plemiona i państwa, a później – z nieznanego mi powodu – siła je opuściła. Wielkie legiony stały się słabe, podbite plemiona odżyły, a chwała wielkiego Rzymu legła w gruzach. To samo da się powiedzieć o Londynie. Można się o tym przekonać na własne oczy! Wspaniałe budowle popadają w ruinę, i jak zwykle dopadło mnie tu uczucie straty. My, Sasi, budujemy z drewna i słomy, nasze domy gniją od deszczu i rozpadają się pod wpływem wiatru. Nikt nie jest w stanie odtworzyć rzymskiego przepychu tego miejsca. Zmierzamy ku chaosowi. Świat ogarnie zamęt, kiedy bogowie ruszą do boju, a ja byłem przekonany. Nadal jestem – że niewytłumaczalny wzrost siły chrześcijaństwa to pierwszy znak tego nadchodzącego upadku. Trwamy niczym dziecięce zabawki rzucone do rzeki, która niesie nas ku zagładzie.

Wszedłem do karczmy nad rzeką. Nosła porządną nazwę U Wulfreda, ale wszyscy mówili o niej U Martwego Duńczyka, bo pewnego dnia podczas odpływu w błocie ukazało się ciało Duńczyka nabitego na przegniły pał dawnej przystani. Wulfred znał mnie, zdziwił się więc, że chcę zatrzymać się w jednym z jego przepastnych budynków. Miał jednak dość przyzwoitości, żeby to ukryć. Zwykle goszczono mnie w królewskim pałacu wznoszącym się na szczycie wzgórza, tym razem jednak zjawiłem się u niego i oferowałem mu zapłatę w gotowiźnie

– Przeszedłem kupić łódź – powiedziałem.

– Masz w czym wybierać.

– I znaleźć ludzi.

– Wielu z chęcią będzie służyć pod rozkazami wielkiego Uhtreda.

Wątpiłem w to. Swego czasu niejeden błagał, bym przyjął jego przysięgę wierności, bo wiedziano, że jestem hojnym panem, teraz jednak – kiedy księża z pewnością rozgłosili, iż zostałem wyklęty – powstrzyma ich strach przed piekłem.

– To dobrze – stwierdził Finan tego wieczoru.

– Dlaczego?

– Bo łajdacy, którzy zdecydują się do nas dołączyć, nie będą bali się piekła. – Uśmiechnął się, ukazując poźółkły ząb w pustych dziąsłach. – Potrzebujemy drani, którzy przebrną przez piekło.

– My też będziemy musieli.

– Wiem, co zamierzasz.

– Doprawdy?

Wyciągnął się na ławie i rozglądał po sali, w której mężczyźni oddawali się picciu.

– Od ilu lat się znamy? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – I o czym marzyłeś przez te wszystkie lata? I czy kiedykolwiek nadarzyła się lepsza sposobność?

– Dlaczego akurat teraz?

– Bo to ostatnia rzecz, jakiej ci łajdacy się spodziewają.

– Zdobędę pięćdziesięciu ludzi, jeśli mi się poszczęści.

– A ilu ma twój stryj?

– Trzystu? Może więcej?

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Ale ty obmyśliłeś sposób, w jaki dostaniemy się do środka, prawda?

Dotknąłem kościanego młota Thora, który nosiłem na szyi, z nadzieją, że starzy bogowie nadal mają władzę w tym szalonym, chylącym się ku upadkowi świecie.

– Prawda.

– A więc, niech Chrystus ma w opiece tych trzystu – odparł. – Bo czeka ich śmierć.

To było szaleństwo.

A jak powiedział Finan, szaleństwo czasem bywa skuteczne.

Nazywała się Middelniht, czyli Północ. Dziwna nazwa dla łodzi, ale Kenric, człowiek, który mi ją sprzedał, wyjaśnił, że została zbudowana z drzewa świętego o północy.

– Ta łódź przynosi szczęście – dodał.

W Middelniht mieściło się czterdziestu czterech wioślarzy, składany maszt ze świerkowego pnia, żagiel w kolorze błota wzmocniony konopnymi linami i wysoki dziób w kształcie głowy smoka. Poprzedni właściciel pomalował rzeźbę na czarno i czerwono, ale farba wyblakła i się złuszczyła, tak że smok wyglądał, jakby miał szkorbut.

– Ta łódź przynosi szczęście – powtórzył Kenric.

Był to niski, szeroki w ramionach, łysy i brodaty mężczyzna, który budował łodzie w warsztacie znajdującym się w niewielkiej odległości na wschód od rzymskich murów miejskich. Zatrudniał czterdziestu–pięćdziesięciu robotników, niektórzy z nich byli niewolnikami. Używali ciosel i pił do budowy łodzi dla kupców – szerokich, ciężkich i powolnych. Middelniht była jednak statkiem innego rodzaju. Była to długa jednostka o szerokim śródokręciu, płaskim dnie i małym zanurzeniu. Szlachetna bestia.

– Ty ją wybudowałeś? – spytałem.

– Znalazłem ją jako wrak – odparł Kenric.

– Kiedy?

– Rok temu, w Dzień Świętego Marcona. Wiatr z północy przygnał ją na Sceapig Sands.

Poszedłem wzdłuż nadbrzeża, patrząc na Middelniht. Drewno było pociemniałe, pewnie od niedawnego deszczu.

– Nie wygląda na uszkodzoną – stwierdziłem.

– Kilka pasów poszycia się połamało – odparł Kenric. – Nic, czego nie dałoby się naprawić w dzień czy dwa.

– Należała do Duńczyków?

– Konstrukcja jest fryzyjska – odrzekł Kenric. – Dobry, twardy dąb, lepszy od duńskiego badzewia.

– Dlaczego więc załoga jej nie ratowała?

– Głupi dranie wyszli na brzeg, rozbili obóz i dali się zaskoczyć przez ludzi z Centish.

– Dlaczego więc oni jej nie zatrzymali?

– Bo głupi dranie walczyli tak długo, aż utknęli w martwym punkcie. Kiedy zszedłem na brzeg, ujrzałem sześciu jeszcze dychających Fryzów, ale dwóch nie żyło. Biedacy. – Zrobił znak krzyża, wypowiadając te słowa.

– A pozostali czterej?

Wskazał kciukiem na czterech niewolników budujących nową łódź.

– Wyjawili mi, jak się nazywa. Jeśli nazwa ci się nie podoba, możesz ją zmienić.

– To przynosi pecha – odparłem.

– Nie, jeśli każesz dziewczycy nasikać do zęzy – powiedział Kenric. – Cóż, z tym może być pewien problem – dodał po chwili.

– Pozostanę przy tej nazwie, jeśli kupię tę łódź.

– Jest porządnie zbudowana – stwierdził niechętnie, jakby powątpiewał w to, że jakikolwiek Fryz jest w stanie wybudować łódź równie dobrze jak on.

Fryzowie jednak słyną ze swoich łodzi. Saskie są ciężkie, można by pomyśleć, że boimy się morza, a mieszkańcy Fryzji i Norwegowie budują lżejsze statki, które nie prują fal, lecz wydają się po nich ślizgać. To oczywiście bzdura – nawet tak elegancka łódź jak Middelniht jest obciążona kamiennym balastem i nie może ślizgać się po powierzchni, tak samo jak ja nie mogę latać, ale w jej konstrukcji było coś magicznego, co sprawiało, że wydawała się lekka.

– Miałem zamiar sprzedać ją królowi Edwardowi – odezwał się Kenric.

– I co, nie chciał jej?

– Za mała była dla niego. – Kenric splunął z niesmakiem. – Sasi z zachodu zawsze są tacy sami. Chcą dużych łodzi, a potem dziwią się, że nie mogą dogonić Duńczyków. A więc dokąd się udajecie?

– Może do Fryzji. Albo na południe.

– Popłyńcie na północ.

– Dlaczego?

– Tam nie ma zbyt wielu chrześcijan, panie – odparł chytrze.

A zatem wiedział. Nazywał mnie wprawdzie „panem” i okazywał mi szacunek, ale wiedział, że fortuna się ode mnie odwróciła. To musiało wpłynąć na cenę, jakiej zamierzał zażądać.

– Jestem już za stary na pluchy, deszcz i lód – odrzekłem i wskoczyłem na fordek Middelniht. Statek zadrżał pod moimi stopami. To była bojowa łódź, drapieznik, wybudowana z drobnoziarnistego fryzyjskiego dębu. – Uszczelniałeś ją niedawno? – zapytałem Kenrica.

– Przy okazji remontu.

Zdjąłem dwie deski z pokładu i spojrzałem na kamienie balastowe. Dostrzegłem wodę, ale to normalne w przypadku nieużywanej jednostki. Musiałem przekonać się, czy jest to deszczówka czy słona woda morska przyniesiona podczas przyływu. Nie mogłem sięgnąć i jej spróbować, więc splunąłem i obserwowałem plamę śliny unoszącą się na ciemnej wodzie, co wskazywało, że jest ona słodka. W słonej wodzie ślina rozpuszcza się i znika. To był porządnie zbudowany okręt. Skoro woda w zębie była słodka, znaczyło to, że pochodzi z chmur, a nie z morza.

– To porządna łódź – zachwalał Kenric.

– Trzeba oczyścić kadłub – powiedziałem.

– Mogę to zrobić. – Wzruszył ramionami. – Ale plac jest zajęty. To będzie kosztować.

– Znajdę plażę i sam się tym zajmę w okresie między przyływami. – Spojrzałem na pochylnię Kenrica, na której stała umocowana ciemna niewielka kupiecka łódź. Była o połowę mniejsza od Middelniht, ale równie szeroka. Balia przeznaczona do przewożenia ciężkich ładunków wzdłuż wybrzeża.

– Może wolisz tę? – zapytał z rozbawieniem Kenric.

– To jedna z twoich?

– Nie buduję takiego gówna. Nie, ona należała do pewnego łajdaka, Sasa

wschodniego, który jest mi winien pieniądze. Wykorzystam ją na drewno.

– A zatem ile chcesz za Middelniht?

Targowaliśmy się przez chwilę, ale Kenric wiedział, że mi się spieszy, więc przepłaciłem. Potrzebowałem też wioślarzy i ożaglowania, jednak w końcu dogadaliśmy się co do ceny. Kenric splunął na dłoń i wyciągnął ją w moją stronę. Przez chwilę się wahałem, po czym uściśnąłem mu rękę.

– Należy do ciebie – oznajmił. – I niech przyniesie ci szczęście, panie.

Stałem się posiadaczem Middelniht, łodzi wybudowanej z drzewa ściętego w nocy.

Znów byłem szyprem. I ruszałem na północ.

CZEŚĆ DRUGA
MIDDELNIHT

ROZDZIAŁ TRZECI

Kocham szlak wielorybów, długie bałwany, wiatr wypełniający świat mgiełką, dziób łodzi zanurzony we wzburzonej wodzie, salwy białej piany, słone krople na żaglu i masztach, szmaragdowe serce bezkresnego morza toczącego fale pod kadłubem, narowisty, groźny, grzywiasty ocean, który na spiętrzonych wodach unosi łódź prującą pośród huczącej kipieli. Kocham ptaki szybujące nad siwym morzem, wicher będący jednocześnie przyjacielem i wrogiem, unoszące się i opadające wiosła. Kocham morze. Mam już swoje lata i poznałem trudy życia, troski obciążające duszę człowieka oraz smutki, które sprawiają, że jego włosy siwieją i jest mu ciężko na sercu, wszystko to jednak ulatuje na szlaku wielorybów. Tylko na morzu człowiek jest prawdziwie wolny.

Sześć dni zajęło mi załatwienie wszystkich spraw w Londynie, z których najważniejsze było znalezienie bezpiecznego miejsca dla rodzin moich ludzi. Miałem tu przyjaciół i chociaż chrześcijanie zaprzysięgli, że mnie zabiją, Londyn jest wyrozumiałym miastem. W jego uliczkach przybysze znajdują schronienie i choć tu także dochodzi do zamieszek, a księża potępiają innych bogów, ludzie zwykle pozwalają każdemu żyć własnym życiem. Spędziłem w tym mieście wiele lat, dowodziłem jego garnizonem, brałem udział w odbudowie rzymskich murów starego miasta i miałem tu przyjaciół, którzy obiecali zaopiekować się naszymi rodzinami. Sigunn chciała mi towarzyszyć, ale tam, dokąd się udawaliśmy, miecze miały utoczyć krwi i nie było to miejsce dla kobiet. Poza tym nie mogłem jej zabrać ze sobą, skoro swoim ludziom kazałem zostawić ich kobiety. Dałem jej więc sakiewkę złota, obiecałem wrócić i kazałem czekać. Dopiero kiedy kupiliśmy zapas solonych ryb i mięsa, wypełniliśmy beczki ale i załadowaliśmy je na pokład Middelniht, mogliśmy popłynąć w dół rzeki. Zostawiłem dwóch starszych mężczyzn, żeby strzegli rodzin,

ale czterech fryzyjskich niewolników, którzy wcześniej należeli do załogi Middelniht, dołączyło do mnie, więc dowodziłem trzydziestoma pięcioma wioślarzami. Skorzystaliśmy z pływów, aby poniosły nas przez szerokie zakola rzeki, tak dobrze mi znane, minęliśmy błotniste brzegi zarośnięte trzcina i rozbrzmiewające ptasimi krzykami, zostawiliśmy za sobą Beamfleot, gdzie odniosłem wielkie zwycięstwo, które stało się inspiracją dla bardów i pozostawiło rowy wypełnione krwią, a potem gnani nieokiełznanym wiatrem znaleźliśmy się na bezkresnym morzu.

Wyciągnęliśmy Middelniht na plażę zatoczki u wybrzeży Anglii Wschodniej, gdzie trzy dni spędziliśmy na oczyszczaniu jej kadłuba z glonów i osadu. Pracowaliśmy w czasie odpływu. Najpierw szorowaliśmy jedną stronę, uszczelnialiśmy łączenia, wykorzystaliśmy przypływ, żeby ją spławić i odwrócić na drugi bok. Później zwodowaliśmy łódź i wypłynęliśmy z zatoki, by podnieść żagiel oraz skierować zakończony rzeźbioną głową smoka dziób łodzi na północ. Wciągnęliśmy wiosła i pozwoliliśmy, by pchał nas wschodni wiatr, a ja poczułem się szczęśliwy, jak zawsze, gdy miałem dobrą łódź i mocny wicher.

Kazałem synowi przejąć wiosło sterowe, żeby przyzwyczał się do kierowania łodzią. Na początku, oczywiście, za mocno odpychał lub zagarniał wodę albo zbyt późno korygował kurs, przez co Middelniht kołysała się i zbaczała z trasy, wytracając prędkość, ale drugiego dnia zobaczyłem, że Uhtred uśmiecha się pod nosem, i już wiedziałem, że wyczuł długi kadłub kiwający się przy każdym ruchu wiosła. Nauczył się sterować łodzią. Widziałem też, że sprawia mu to przyjemność.

Nocowaliśmy na lądzie – wpływaliśmy w zatoki bezludnych wybrzeży – a z pierwszymi promieniami brzasku wracaliśmy na morze. Spotkaliśmy niewiele łodzi poza rybackimi kutrami, których załogi na widok naszego wyniosłego dziobu wyciągały sieci i czym prędzej wiosłowały do brzegu. Przemykaliśmy obok, nie zwracając uwagi na rybaków. Trzeciego dnia daleko na wschodzie dostrzegłem maszt, a Finan – który ma sokoli wzrok – zauważył go w tym samym momencie i otworzył usta, żeby mi o tym powiedzieć, ale dałem mu znak, żeby milczał, wskazując głową Uhtreda. Finan uśmiechnął się szeroko. Wioślarze w większości także spostrzegli odległą łódź, ale zrozumieli mój zamiar i też trzymali język za zębami. Middelniht prętała do przodu, a mój syn wpatrywał się z zachwytem w nadchodzące fale, podczas

gdy wiatr zawiewał mu jego długie włosy na twarz.

Łódź się zbliżała. Jej żagiel był szary jak niskie chmury, duży, szeroki i gruby, wzmocniony krzyżującymi się konopnymi pasami. Była to nie jednostka handlowa, lecz niemal na pewno zwinny, szybki okręt. Moja załoga wpatrywała się teraz, czekając na moment, aż jego kadłub pojawi się nad poszarpanym horyzontem, ale Uhtred zastanawiał się nad łopoczącym krańcem żagla.

– Powinniśmy go zwinąć? – zapytał.

– Dobry pomysł.

Uśmiechnął się pod nosem, zadowolony z mojej aprobaty, ale nic nie powiedział.

– Wydadz rozkaz, przekłety głupcze – powiedziałem tonem, który sprawił, że uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. – To ty jesteś sternikiem.

Chłopak wydał rozkaz, a dwóch ludzi zaczęło skracać żagiel do czasu, aż przestał łopotać. Middelniht zanurzyła dziób w wodzie, po czym znów uniosła go ponad zieloną falę, a kiedy wpłynęła na jej grzbiet, spojrzałem na wschód i ujrzałem przód zbliżającej się łodzi. Ozdabiała ją wyniosła i dzika głowa potwora. Po chwili okręt zniknął za zasłoną mgiełki wznoszonej przez wiatr.

– Co jest podstawowym obowiązkiem sternika? – zapytałem syna.

– Dbanie o bezpieczeństwo łodzi – odpowiedział prawidłowo.

– A w jaki sposób ma to robić?

Uhtred zmarszczył brwi. Wiedział, że coś zrobił źle, ale nie wiedział co. Aż wreszcie zauważył, że załoga wpatruje się we wschód i też obrócił się w tym kierunku.

– O Boże! – zawołał.

– Tak, jesteś nieuważnym głupcem – prychnąłem. – Twoim obowiązkiem jest zachowanie czujności. – Widziałem, że jest zły na mnie za to publiczne połajanie, ale nic mi nie odpowiedział. – To łódź bojowa – ciągnąłem. – Dostrzegła nas już jakiś czas temu. Jest ciekawa i płynie tu, żeby nas obwąchać. Co robimy?

Chłopak ponownie spojrzał na okręt. Jego dziób był teraz stale widoczny i wkrótce mieliśmy ujrzeć cały kadłub.

– Jest większy od nas – odparł Uhtred.

– Zapewne.

– A więc nic nie robimy – powiedział.

To była właściwa decyzja, którą ja podjąłem, gdy tylko zamajaczył mi na horyzoncie. Załoga była nas ciekawa i ta ciekawość nas do siebie zbliżała, ale teraz dostrzegli, że też możemy stanowić zagrożenie. Nie byliśmy statkiem handlowym załadowanym skórą, naczyniami czy innymi towarami, które można by przywłaszczyć sobie i sprzedać, lecz wojownikami, i nawet jeśli mieli dwukrotną przewagę, narażali się na niepotrzebne straty.

– Trzymamy kurs – zarządziłem.

Na północ. Gdzie dawni bogowie nadal mają władzę, gdzie świat jest ocieniony lodem – ku Bebbanburgowi. Ta twierdza wznosi się nad nieokiełznanym morzem jak dom boga. Duńczycy opanowali całą Northumbrię, ich królowie rządili w Eoferwicu, ale nigdy im się nie udało zająć Bebbanburga. Chcieli tego. Pragnęli tego jak pies, który wyczuł sukę w rui, ale ta suka miała kły i pazury. A ja z jedną łodzią marzyłem o zdobyciu grodu, którego nie udało się podbić duńskim armiom.

– To łódź z Anglii Wschodniej. – Finan stanął obok mnie.

Nieznajomi zbliżali się, skręcając w naszą stronę. Mieli łódź większą, szybszą od Middelniht.

– Anglia Wschodnia? – zdziwiłem się.

– To nie smok. – Finan wskazał głową łódź. – Takie dziwactwa król Eohric montuje na wszystkich swoich statkach. To lew.

Wiedziałem, że Eohric zmarł i teraz Anglią Wschodnią rządzi inny władca, prawdopodobnie jednak zachował stary symbol.

– Mają pełne obłożenie – ciągnął Finan.

– Siedemdziesięciu ludzi? – rzuciłem.

– Mniej więcej.

Załoga obcego statku była przygotowana do walki, mężczyźni mieli na sobie kolczugi i hełmy, ale pokręciłem głową, kiedy Finan zapytał, czy też powinniśmy się uzbroić. Widzieli, że nie jesteśmy kupcami. Mogli próbować napędzić nam stracha, ale wątpiłem, by chcieli nas niepokoić, a nie było sensu przywdziewać zbroi, jeśli nie

chcieliśmy walczyć.

Obcy okręt miał dobre ożaglowanie. Zrobił łuk, żeby się do nas zbliżyć, po czym zwinął żagiel, by zwolnić i utrzymać tempo Middelniht.

– Kim jesteś? – zawołał po duńsku wysoki mężczyzna.

– Wulf Ranulfson! – podałem mu zmyślane imię.

– Skąd?

– Z Haithabu – krzyknąłem.

Haithabu to niewielka miejscowość we wschodnim Danelandzie, kawał drogi od Anglii Wschodniej.

– Co cię tu sprowadza?

– Eskortowałem parę kupców do Londynu, a teraz wracamy do domu. A ty kim jesteś?

Wydawał się zaskoczony moim pytaniem. Przez chwilę się wahał, po czym odpowiedział:

– Aldger! Służymy królowi Raedwaldowi!

– Niech bogowie dadzą mu długie życie! – odparłem uprzejmie.

– Wypłynęliście za daleko na zachód, jeśli zmierzacie do Haithabu! – wrzasnął Aldger.

Oczywiście miał rację. Gdybyśmy udawali się do południowego Danelandu, musielibyśmy wcześniej przepłynąć morze i podążać w górę fryzyjskiego wybrzeża.

– Przeklęty wiatr!

Aldger patrzył na nas przez chwilę w milczeniu, po czym wydał rozkaz postawienia żagla i skierowania statku na kurs do domu. Po chwili obca łódź ruszyła w naszą stronę.

– Kim jest Raedwald? – zapytał Finan.

– Rządzi Anglią Wschodnią – odpowiedziałem. – I z tego, co wiem, jest stary, chory i mniej więcej tak użyteczny jak kastrat w burdelu.

– Słaby król zachęca do wojny – stwierdził Finan. – Nic dziwnego, że Aethelreda kusi.

– Król Anglii Wschodniej Aethelred – odparłem pogardliwie.

Mój kuzyn bez wątpienia pragnął jednak tego tytułu, inna sprawa, czy Anglia Wschodnia pragnęła go jako władcy. To jest dziwne królestwo, zarówno Duńczycy, jak i chrześcijanie mają z nim problem, ponieważ większość Duńczyków czci moich bogów, a Sasi ukrzyżowanego, tymczasem Duńczycy z Anglii Wschodniej przyjęli chrześcijaństwo, co sprawiło, że nie są uważani ani za jednych, ani za drugich. Zawierali sojusze z Wessexem i Northumbrią, a one są odwiecznymi wrogami, co znaczy, że Anglia Wschodnia próbowała lizać jedną dupę, jednocześnie całując drugą. Było to słabe królestwo. Stary Eohric starał się przypodobać Duńczykom z północy, najeżdżając Wessex, i zginął razem z wieloma swoimi wielkimi tanami w bitwie, która zmieniła się w rzeź. To ja im ją urządziłem. To była moja bitwa. Na to wspomnienie ogarnęła mnie wściekłość zdradzonego. Tak często walczyłem po stronie chrześcijan, zabijałem ich wrogów, a teraz wypłuli mnie niczym kawałek zjełczalej chrząstki.

Aldger przeciął nam trasę. Celowo zbliżył swój okręt do burty naszej łodzi, może zamierzał zajechać nam drogę, ale warknąłem na Uhtreda, żeby nie zbaczał z kursu, i nasz dziób prześliznął się na długość miecza obok wiosła sterowego Aldgera. Byliśmy wystarczająco blisko, żeby poczuć zapach jego statku, mimo że płynął pod wiatr. Pomachałem mu, a później obserwowałem, jak zawraca dziób ponownie na północ. Utrzymawał nasze tempo, ale miałem wrażenie, że się nudzi. Towarzyszył nam przez godzinę albo trochę dłużej, po czym zawrócił, jego maszt rufowy wydał się od wiatru i obcy statek pomknął ku odległemu lądowi.

Tę noc spędziliśmy na morzu. Nie widzieliśmy brzegu, ale wiedziałem, że niedaleko na zachodzie musi znajdować się ląd. Zwinęliśmy wielki żagiel i pozwoliliśmy Middelniht sunąć na północ przez krótkie, strome fale, które opryskiwały pokład zimną mgiełką. Przez większość nocy trzymałem wiosło, a Uhtred przykucnął obok mnie, podczas gdy ja opowiadałem mu o Grimnirze – Zamaskowanym.

– W rzeczywistości był to Odyn, ale gdy bóg chciał zejść między ludzi, przywdziewał maskę i przyjmował nowe imię – wyjaśniłem.

– Jezus też tak robił – zauważył Uhtred.

– Nosił maskę?

– Zszedł między ludzi.

– Bogowie mogą czynić, co im się podoba – odparłem. – Ale od teraz my także nosimy maski. Nie wypowiadaj mojego imienia, a ja nie będę wspominał twojego. Ja nazywam się Wulf Ranulfson, a ty Ranulf Wulfson.

– Dokąd płyniemy? – zapytał.

– Wiesz przecież dokąd.

– Do Bebbanburga – wymówił nazwę bezbarwnym głosem.

– Który należy do nas – powiedziałem. – Pamiętasz Beocę?

– Oczywiście.

– Dał mi te statuty.

Kochany ojciec Beocca, taki brzydki, niezgrabny i solenny. Był moim nauczycielem, przyjaźnił się z królem Alfredem i był dobrym człowiekiem. Zmarł całkiem niedawno, a jego krzywe kości zostały pochowane w kościele w Wintanceasterze, w sąsiedztwie grobowca jego ukochanego Alfreda. Przed śmiercią wysłał mi dokumenty potwierdzające moje prawa do Bebbanburga, choć nikt z żyjących nie potrzebuje ich oglądać, by wiedzieć, że jestem prawowitym panem warowni. Mój ojciec zmarł, kiedy byłem dzieckiem, stryj przejął twierdzę i żadna ilość atramentu na pergaminie nie była w stanie mu go odebrać. Miał miecze i włócznie, a ja miałem Middelniht i garstkę ludzi.

– Pochodzimy od Odyna – powiedziałem Uhtredowi.

– Wiem, ojcze – odparł cierpliwie.

Wielokrotnie rozmawiałem z nim o naszym pochodzeniu, ale przez chrześcijan zaczął niedowierzać moim słowom.

– W naszych żyłach płynie krew bogów – ciągnąłem. – Kiedy Odyn był Grimnirem, położył się z kobietą, a my pochodzimy od niej. Gdy dotrzemy do Bebbanburga, będziemy więc walczyć jak bogowie.

To Grimesbi skłoniło mnie do myślenia o Grimnirze. Było to niewielkie miasto leżące w pobliżu otwartego morza, na południowym brzegu rzeki Humber. Według

legendy Odyn wybudował tam dwór, chociaż nie mogłem pojąć, dlaczego bóg miałby wznosić siedzibę na tym smaganym wiatrem wrzosowisku, ale osiedle to zapewnia dobre kotwicowisko, gdy sztormy się spustoszenie poza szerokim ujściem rzeki.

Grimesbi było northumbryjską osadą. W czasach, kiedy władcy Mercji zarządzili ziemiami do granicy wyznaczonej przez rzekę Humber, Grimesbi było ich najdalej na północ wysuniętą posiadłością. Dziś jednak te czasy są odległe. Obecnie Grimesbi znajduje się pod panowaniem Duńczyków, choć jak każde portowe miasto przyjmie każdego podróżnika: Duńczyka, Sasa, Fryza, a nawet Szkota. Wpłynięcie do tego portu wiązało się z pewnym ryzykiem, bo nie miałem wątpliwości, że stryj nasłuchuje wieści o moim pojawieniu się na północy i z pewnością miał w mieście ludzi, którym płacił za dostarczanie mu wiadomości do Bebbanburga. Ja także jednak potrzebowałem informacji, a to oznaczało konieczność przybicia do Grimesbi, bo port odwiedzali żeglarze, a niektórzy z nich z pewnością wiedzieli, co dzieje się za potężnymi murami Bebbanburga. Miałem zamiar zmniejszyć ryzyko rozpoznania mnie, naśladując Grimnira. Przywdziać maskę. Stać się Wulfem Ranulfsonem z Haithabu.

Oddałem synowi wiosło sterowe.

– Płyniemy na zachód?

– Dlaczego pytasz?

– Nie widzimy lądu. W jaki sposób znajdziemy Grimesbi? – zapytał, wzruszając ramionami.

– To łatwe – odparłem.

– W jaki sposób?

– Kiedy zobaczysz dwa albo trzy statki, będziesz wiedział.

Grimesbi leżało nad rzeką Humber, a ta rzeka jest dla tysięcy Duńczyków drogą prowadzącą od środkowej Brytanii. Byłem pewien, że ujrzymy statki, i tak się stało. W ciągu godziny od pytania zadanego przez Uhtreda naliczyliśmy sześć łodzi płynących na zachód i dwie na wschód, ich widok był dla mnie znakiem, że dotarłem do celu, znalazłem się na morskim szlaku prowadzącym z Fryzji i Danelandu do Humber.

– Sześć! – zawołał Finan.

Nie podzielałem jego zaskoczenia. Wszystkie statki płynęły ku Brytanii, były to okręty wojenne i zapewne miały dobre załogi. Ludzie przybywali zza morza, bo rozniosła się plotka, że można zdobyć łupy, a może Kanut sam ją rozpowszechniał.

– Pokój się kończy – stwierdziłem.

– Będą cię jeszcze prosić, żebyś wrócił – odparł Finan.

– Najpierw niech pocałują mnie w moją pogańską dupę.

Finan zaśmiał się, a potem rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Wulf Ranulfson, dlaczego to imię? – zapytał.

– A czemu nie? – Wzruszyłem ramionami. – Musiałem wymyślić jakieś imię, to jest równie dobre, jak inne.

– Kanut Ranulfson? – zasugerował. – I Wulf. Po prostu wydało mi się dziwne, że wybrałeś właśnie to.

– Nie zastanawiałem się nad tym – odrzekłem lekceważąco.

– Myślałeś o nim. I uważasz, że wkrótce ruszy na południe?

– Wkrótce to zrobi – przyznałem ponuro.

– A oni będą mogli pocałować cię w twoją pogańską dupę. Co, jeśli pani Aethelflaed cię wezwie?

Uśmiechnąłem się, ale nic nie odpowiedziałem. Łąd był już widoczny, szara linia na sinym morzu, przejąłem więc wiosło sterowe od Uhtreda. Tak często podróżowałem wzdłuż Humber, a jednak nigdy wcześniej nie zawitałem do Grimesbi. Nadal płynęliśmy pod żaglami, Middelniht wpłynęła do ujścia rzeki od wschodu, minąwszy długą piaszczystą mierzeję nazywaną Kruczym Dziobem. Fale toczyły białe grzywy na łasze, gdzie czerniały nagie kości statków, ale kiedy minęliśmy wierzchołek dziobu, woda się uspokoiła, fale złagodniały, co oznaczało, że wpłynęliśmy do rzeki. W tym miejscu była szeroka, bezmiar szarej wody pod szarym, targanym wiatrem niebem. Grimesbi leżało na południowym brzegu. Spuściliśmy żagiel, a moi ludzie, psiocząc, nakładali wiosła na dulki. Zawsze przy tej okazji psioczą. Jeszcze nie spotkałem załogi, która by nie psioczyła przy zakładaniu wiosła, mimo to ochoczo zabrali się do wiosłowania i Middelniht sunęła między gołymi

wierzbami sterczącymi niczym słupy z błotnistych brzegów, przy których sieci rybackie tworzyły czarną płataninę. Wkrótce ujrzelśmy kotwicowisko w Grimesbi, gdzie stało około dwudziestu małych łodzi rybackich i kilka większych statków. Dwa z nich, podobnie jak Middelniht, były okrętami wojennymi, pozostałe zaś statkami handlowymi – wszystkie stały przycumowane do długiego nadbrzeża wzniesionego z ciemnego drewna.

– Pomost wydaje się zbutwiały – zauważył Finan.

– Pewnie tak jest – odparłem.

Za pomostem rozciągała się niewielka wioska, domy z drewna równie ciemnego, jak to, z którego wybudowano nadbrzeże. Ponad błotnistym brzegiem unosiły się słupy dymu z miejsc, gdzie wędzono ryby lub warzono sól. Dwie większe łodzie stały od siebie w pewnym oddaleniu, a przestrzeń między nimi była wystarczająco duża, aby Middelniht mogła tam wpłynąć i przycumować do pomostu.

– Nigdy nie uda ci się jej tam wprowadzić – stwierdził Finan.

– Nie?

– Chyba że masz zamiar walnąć w któryś z tych statków.

– Łatwizna – odparłem.

Finan uśmiechnął się, a ja kazałem wiosłarzom przyhamować, tak żeby łódź sunęła możliwie najwolniej.

– Stawiam dwa zachodniosaskie szylingi, że ci się to nie uda – powiedział Finan.

– Przyjmuję zakład – zgodziłem się i wyciągnąłem rękę.

Finan przybił moją dłoń, a ja rozkazałem załodze wciągnąć wiosła, żeby Middelniht powoli wpłynęła między statki. Nie widziałem na brzegu nikogo prócz chłopców zajętych odstraszeniem mew od rusztów z suszącymi się rybami, ale wiedziałem, że jesteśmy obserwowani. To zabawne, jak bardzo nam zależało, żeby udowodnić naszą sprawność żeglarską. Ludzie nas oceniali, nawet jeśli ich nie widzieliśmy. Middelniht podpłynęła bliżej, wiosłarze podnieśli więc pióra wiosel, tak że kołysały się na tle szarego nieba, a dziób naszej łodzi zmierzał ku rufie długiego okrętu.

– Zaraz w niego uderzysz – stwierdził radośnie Finan.

Przesunąłem wiosło sterowe i mocno się odepchnąłem, w taki sposób, że przy dobrej ocenie odległości powinniśmy gwałtownie skręcić, wytracić prędkość i wpłynąć w pustą przestrzeń. Gdybym się pomylił, Middelniht zboczyłaby z kursu i oddaliła się od nadbrzeża albo uderzyła z siłą w kadłub statku, zamiast tego wykonała jednak manewr z elegancją, jakiej pozazdrościłby każdy żeglarz. Zbliżyła się jeszcze ledwie zauważalnie do nadbrzeża, kiedy człowiek na przodzie wyskoczył na pomost i złapał rzuconą mu cumę rufową. Drugi wiosłarz poszedł w jego ślady, trzymając cumę dziobową, i burta łodzi tak delikatnie dotknęła jednego z palików, że jej kadłub niemal wcale się nie zakołysał. Odłożyłem wiosło sterowe, z szerokim uśmiechem wyciągnąłem dłoń i powiedziałem:

– Dwa szylingi, ty irlandzki draniu.

– Zwykle szczęście – odburknął, wygrzebując monety z kieszeni.

Wiosłarze się roześmiali.

– Nazywam się Wulf Ranulfson z Haithabu! – powiedziałem im. – Jeśli ktoś nigdy nie był w Haithabu, niech mówi, że zaciągnął się w Londynie. To jest Ranulf Wulfson – dodałem, wskazując na Uhtreda. – Zatrzymaliśmy się tu, żeby zaopatrzyć się w prowiant na drogę do domu.

Dwaj mężczyźni szli ku nadbrzeżu po prowizorycznej kładce leżącej na pokrytym błotem terenie. Wszedłem na pomost i ruszyłem w ich stronę.

– Kolejny deszczowy dzień! – powitał mnie jeden z nich.

– Naprawdę? – zapytałem. Nie padało, choć niebo było ciemne od chmur.

– Będzie padać! – odparł.

– Uważa, że łamanie w kościach pozwala mu przewidzieć pogodę – odezwał się drugi.

– Deszcz, nadchodzą ulewy – powiedział pierwszy. – Jestem Rulf, przewodniczący rady miasta. Jeśli twoja łódź ma tu stać, musisz zapłacić.

– Ile?

– Najchętniej wszystko, co masz, ale możemy się umówić na srebrnego pensa dziennie.

Byli zatem uczciwi. Dałem im dwa srebrne krążki odcięte z naramiennika, które

Rulf włożył do kieszeni.

– Kto jest waszym lordem? – zapytałem.

– Jarl Sigurd.

– Sigurd Thorrson?

– Właśnie on, to uczciwy człowiek.

– Słyszałem o nim – odparłem.

Nie tylko o nim słyszałem, ale zabiłem jego syna w ostatniej wielkiej bitwie między Duńczykami a Sasami. Sigurd nienawidził mnie, był też najbliższym przyjacielem i sojusznikiem Kanuta.

– I pewnie nie słyszałeś o nim złego słowa – odrzekł Rulf, a później zrobił krok, żeby spojrzeć na Middelniht. – A ty jak się nazywasz? – zagadnął.

Liczył moich ludzi, a także przyglądał się mieczom i tarczom złożonym pośrodku łodzi.

– Wulf Ranulfson, wracam z Londynu do Haithabu.

– Nie szukacie kłopotów?

– Zawsze szukamy kłopotów, jednak tym razem zadowolimy się ale i czymś na ząb.

Uśmiechnął się szeroko.

– Znasz zasady, Wulfie Ranulfsonie. Nie wnosicie broni do miasta. – Wskazał głową długi budynek z dachem pokrytym poczerniałą strzechą. – Tam jest karczma. – Przycumowały tu dwa statki z Fryzji. Postarajcie się nie wszczynać bójek.

– Nie przypłynęliśmy tu, żeby wszczynać bójkę.

– W przeciwnym razie jarl Sigurd was odnajdzie, a tego wolelibyście uniknąć.

Karczma była duża, miasteczko niewielkie. Grimesbi nie miało wałów obronnych, stłoczone domy otaczała tylko cuchnąca fosa. To była rybacka osada i domyśliłem się, że większość tutejszych mężczyzn wypłynęła na bogate oceaniczne łowiska. Ich domy tuliły się do siebie, jakby mogły wzajemnie osłonić się przed morskimi sztormami. Największe budynki mieściły składy wypełnione dobrami dla żeglarzy, takimi jak liny konopne, wędzone ryby, solone mięso, sezonowane drewno, wiosła, noże do patroszenia ryb, haki, kołki do dulek, końskie włosie do uszczelniania łodzi, wszystko,

czego mogłaby potrzebować załoga, szukająca schronienia przed pogodą, do naprawy statku i uzupełnienia zapasów. Grimesbi było nie tylko portem rybackim, lecz także miastem podróżników i miejscem schronienia dla statków płynących wzdłuż brzegu, dlatego właśnie tu zawiąłem.

Chciałem zdobyć informacje i miałem nadzieję, że otrzymam je od innych marynarzy, co oznaczało spędzenie długiego dnia w karczmie. Zostawiłem Middelniht pod dowództwem Osfertha, powiedziawszy mu, że może pozwolić załodze zejść na ląd w niewielkich grupach.

– Tylko żadnych bójek! – ostrzegłem ich.

Poszliśmy z Finanem za Rulfem i jego towarzyszem.

Rulf, widząc, że za nimi idziemy, zczekał na nas i życzliwie zapytał:

– Potrzebujecie zapasów?

– Świeżego ale i może trochę chleba.

– W karczmie kupicie jedno i drugie. W razie potrzeby znajdziecie mnie w domu obok kościoła.

– Kościoła? – zdumiałem się.

– Ma krzyż przybity od frontu, nie sposób go przeoczyć.

– Jarl Sigurd pozwala tu na takie bzdury?

– Nie ma nic przeciwko temu. Zawija tu dużo chrześcijańskich statków, a ich załogi chcą się pomodlić. Wydają w mieście sporo pieniędzy, dlaczegóż więc nie okazać im gościnności? Poza tym ksiądz płaci jarlowi za wynajem budynku.

– Czy naucza również ciebie?

– Wie, że przybiłbym go za uszy do jego krzyża, gdyby tylko próbował – odparł ze śmiechem.

Zaczęło padać – zacinający przenikliwy deszcz nadszedł znad morza. Poszliśmy z Finanem wzdłuż fosy do miasta. Grobla przecinała rów i biegła na południe. Na jej odległym końcu dojrzelismy wiszący na palu szkielet.

– Pewnie złodziej – odezwał się Finan.

Rozejrzałem się po omiatanych deszczem moczarach. Postanowiłem zapamiętać to miejsce, bo nigdy nie wiadomo, gdzie człowiekowi przyjdzie walczyć, choć miałem

nadzieję, że tu nigdy nie będę zmuszony się bić. Była to smętna, podmokła miejscowość, ale zapewniała schronienie statkom przed sztormami, które zmieniały morze w sinobiałą kipieli.

Usiedliśmy z Finanem w karczmie, gdzie podawano kwaśne ale i twarde jak kamień chleb, ale zupa rybna okazała się gęsta i świeża. Długa, szeroka sala miała niski strop z belek, a ogrzewało ją znajdujące się pośrodku olbrzymie palenisko, opalane drewnem wyrzuconym na brzeg przez fale. Choć nie minęło jeszcze południe, w pomieszczeniu było tłoczno. Dostrzegłem Duńczyków, Fryzów i Sasów. Mężczyźni śpiewali, a dziwki pracowały: przechadzały się wzdłuż stołów i zabierały klientów na górę, na poddasze nad drzwiami połączone z salą drabiną. Śmiechy wybuchały za każdym razem, kiedy podłoga stryszku się ugiwała, a do naszych kubków z ale sypał się kurz. Przysłuchiwałem się rozmowom, nikt jednak nie wspominał, że przybył z południa wzdłuż wybrzeża Northumbrii. Potrzebowałem człowieka, który przyjechał z Bebbanburga, i byłem gotów czekać do czasu, aż się zjawi.

Traf chciał jednak, że to on znalazł mnie. Około południa jakiś ksiądz – domyśliłem się, że był to ten kapłan, który wynajmował kościółek w centrum miasta – wszedł do karczmy i strząsnął deszcz z płaszcza. Towarzyszyło mu dwóch krzepkich mężczyzn, którzy za nim podążali, gdy chodził od stołu do stołu. Był to starszy człowiek, chudy i siwy, ubrany w czarną sutannę poplamioną czymś, co wyglądało na wymiociny. Miał zmierzwioną brodę i długie brudne włosy, ale chętnie się uśmiechał i miał przenikliwe spojrzenie. Popatrzył w naszą stronę, a kiedy zauważył krzyż na szyi Finana, podążył w stronę naszego stołu ustawionego obok drabiny, z której korzystały dziwki.

– Jestem ojciec Byrnjolf – przedstawił się Finanowi. – A ty jak się nazywasz?

Finan nie podał swojego imienia. Uśmiechnął się tylko i w milczeniu patrzył na księdza.

– Ojciec Byrnjolf – powtórzył pospiesznie ksiądz, jakby nigdy nie pytał Finana o imię. – Niedawno przybyłeś do naszego miasteczka, prawda, synu?

– Jestem tu przejazdem, ojcie, tylko przejazdem.

– Może zatem jest to dobra okazja, żeby dać grosz na służbę Panu w tym

miejscu? – powiedział ksiądz i nadstawił żebraczą miskę.

Jego dwaj groźnie wyglądający towarzysze, ubrani w skórzane kaftany, szerokie pasy i uzbrojeni w długie noże, stali po jego obu stronach. Żaden się nie uśmiechał.

– A jeśli nie zechcę?

– Cóż, niech Bóg mimo wszystko cię błogosławi – odparł ojciec Byrnjolf.

Był Duńczykiem i to mnie zdumiało. Trudno było mi uwierzyć, że Duńczyk może być chrześcijaninem i do tego mnichem. Dostrzegł młot Thora na mojej szyi i cofnął się o krok.

– Nikogo nie chcę obrażać. Ja tylko czynię dzieło Boże – stwierdził skromnie.

– Tak samo jak one – odparłem, patrząc na poddasze, którego podłoga ugięła się i skrzypiała.

Ojciec wybuchnął śmiechem i spojrział na Finana.

– Możesz wspomóc Kościół, synu. Niech Bóg cię błogosławi.

Finan sięgnął do kieszeni po monetę, a ksiądz, widząc to, zrobił znak krzyża. Jasne było, że stara się zaczepiać tylko chrześcijan, a jego towarzysze mieli go chronić przed kłopotami, gdyby jakiś poganin zbyt gwałtownie protestował.

– Ile płacisz jarlowi Sigurdowi za wynajem? – zapytałem z ciekawości. Miałem też nadzieję, że Sigurd zdiera z niego zbójcecką cenę.

– Nie płacę za wynajem. Bogu niech będą dzięki. Robi to lord Aelfric. Ja zbieram datki na ubogich.

– Lord Aelfric? – zapytałem z nadzieją, że mój głos nie zdradza zaskoczenia.

Ksiądz wziął monetę od Finana.

– Aelfric z Bernicji – wyjaśnił. – Jest naszym protektorem, i to hojnym. Właśnie od niego wracam. – Wskazał na plamy na swojej czarnej szacie, jakby miały jakiś związek z tą wizytą.

Aelfric z Bernicji! Kiedyś istniało królestwo Bernicji, którym rządili moi przodkowie, ale ono od dawna już nie istnieje, zostało podbite przez Northumbrię i pozostała po nim tylko potężna forteca Bebbanburg oraz przyległe do niej ziemie. Mój stryj lubił jednak nazywać się Aelfrikiem z Bernicji. Dziwiłem się nawet, że nie obwołał się królem.

– I co, ten Aelfric oblał cię pomyjami kuchennymi? – zagadnąłem.

– Zawsze na morzu mam chorobę morską – odparł z uśmiechem ksiądz. – Dobry Boże, jakże ja nie znoszę statków. One się poruszają, wyobrażacie sobie? W górę i w dół! Aż wasz żołądek nie może dłużej tego znieść i zwracacie rybom dobre jedzenie. Ale lord Aelfric chce widywać mnie trzy razy w roku, muszę więc to znosić. – Włożył monetę do miski. – Niech Bóg cię błogosławi – zwrócił się do Finana.

– Istnieje niezawodne lekarstwo na chorobę morską – powiedział z uśmiechem Finan.

– Dobry Boże, naprawdę? – Ojciec Byrnjolf spojrział poważnie na Irlandczyka. – Zdradź mi je, synu.

– Usiąść pod drzewem.

– Drwiesz sobie ze mnie synu, drwiesz sobie ze mnie – westchnął ksiądz, a potem spojrział na mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy. I trudno się dziwić. Właśnie położyłem na stole złotą monetę.

– Siadaj i napij się z nami ale – zaproponowałem.

Wahał się, czuł się niepewnie w towarzystwie pogan, ale złoto go skusiło.

– Chwalmy Pana – odparł i usiadł na ławce po drugiej stronie stołu.

Spojrzałem na jego towarzyszy. Dwóch olbrzymów o dłoniach ubrudzonych dziegiem, którym pokrywa się sieci rybackie. Jeden wyglądał szczególnie groźnie – miał spłaszczony nos, ogorzałą od wiatru twarz i pięści jak młoty bojowe.

– Nie zamierzam zabić waszego księdza – powiedziałem do nich. – Nie musicie więc tu stać jak dwa woły. Idźcie napić się ale.

Jeden z nich spojrział na Byrnjolfa, który przyzwalajaco kiwnął głową, i mężczyźni się oddalili.

– To dobre dusze – rzekł ojciec Byrnjolf. – A ja wolę, żeby moje ciało pozostało w jednym kawałku.

– Rybacy?

– Rybacy – potwierdził. – Jak uczniowie naszego Pana.

Ciekawe, czy któryś z uczniów ukrzyżowanego też miał złamany nos, blizny na

twarży i posępne spojrzenie. Możliwe. Rybacy to twardzi ludzie. Popatrzyłem na dwóch mężczyzn siadających przy stole, po czym zakręciłem monetą przed księdzem. Złoto migotało, a później zaczęło pobrzękiwać, kiedy pieniądz wytracał prędkość. Moneta przez chwilę dźwięczała, po czym znieruchomiała. Popchnąłem ją lekko w stronę księdza. Finan kazał nam podać trzecie naczynie i nalał piwa z dzbana.

– Słyszałem, że lord Aelfric opłaca ludzi – powiedziałem do ojca Byrnjofa.

Duchowny wpatrywał się w pieniądz.

– Co słyszałeś?

– Że Bebbanburg to forteca, której nie da się zdobyć, ale Aelfric nie ma własnych okrętów.

– Ma dwa – odparł ostrożnie Byrnjolf.

– Do patrolowania nadbrzeża?

– Do odstraszenia piratów. To prawda, czasem wynajmuje okręty. Dwa nie zawsze wystarczają.

– Zawsze myślałem – rzekłem, podnosząc monetę i ponownie wprawiając ją w wirowanie – że moglibyśmy udać się do Bebbanburga. Czy lord jest przyjaźnie nastawiony do pogan?

– Owszem, jest przyjazny. – Przerwał na chwilę i się poprawił. – Może nie przyjazny, ale jest uczciwym człowiekiem. Dobrze traktuje ludzi.

– Opowiedz mi o nim – powiedziałem.

Ogień odbijał się w monecie, sprawiając, że złoto migotało i błyszczało.

– Jest niezdrów – powiedział ojciec Byrnjolf. – Ale jego syn to sprawny mężczyzna.

– A jak on się nazywa? – spytałem. Oczywiście znałem odpowiedź, Aelfric był moim stryjem. Człowiekiem, który odebrał mi Bebbanburg, a jego syn nosił imię Uhtred.

– Ma na imię Uhtred i ma syna o tym samym imieniu, świetny młodzieniec! Ma tylko dziesięć lat, ale jest ponad wiek odważny i silny, to dobry chłopak!

– I też ma na imię Uhtred?

– To stare rodowe imię.

– Ma tylko jednego syna?

– Miał trzech, ale dwaj młodszy zmarli. – Ojciec Byrnjolf zrobił znak krzyża. – Najstarszy ma się dobrze, Bogu niech będą dzięki.

Łajdak – pomyślałem o Aelfricu. Dał swojemu synowi na imię Uhtred, a on z kolei tak samo nazwał swojego pierworodnego, bo panowie Bebbanburga noszą właśnie to imię. Ja jestem Uhtredem i Bebbanburg należy do mnie, lecz Aelfric, nadawszy swemu synowi imię Uhtred, ogłosił całemu światu, że straciłem twierdzę i jego ród będzie w jej posiadaniu po kres czasu.

– Jak zatem mogę tam dopłynąć? Jest tam port?

Zauroczony złotą monetą ojciec Byrnjolf opowiedział mi wiele o tym, co już wiedziałem, ale też podał trochę nowych informacji. Poradził, jak mamy negocjować pozwolenie na wpłynięcie przez wąskie wejście znajdujące się na północ od fortecy i wprowadzenie Middelniht do płytkiego portu strzeżonego przez skałę, na której wzniesiono Bebbanburg. Będziemy mogli zejść na ląd – powiedział ksiądz – ale żeby dostać się do siedziby lorda Aelfrica, trzeba będzie pójść w górę drogą prowadzącą do pierwszej bramy, nazywanej Niską. Powiedział, że brama jest ogromna i wzmocniona kamiennym murem. Po przejściu przez wrota znajdziemy się na placu, gdzie kuźnie sąsiadują ze stajniami, a za nimi biegnie kolejna stroma ścieżka prowadząca do Wysokiej Bramy, która strzeże siedziby Aelfrica, budynków mieszkalnych, zbrojowni i strażnicy.

– Również z kamienia? – zapytałem.

– Lord Aelfric wzniósł tam kamienny mur. Nikt go nie pokona.

– A jego ludzie?

– W twierdzy stacjonuje czterdziestu–pięćdziesięciu zbrojnych. Służą mu oczywiście też inni wojownicy, ale oni uprawiają jego ziemię albo mieszkają we własnych dworach.

To też wiedziałem. Stryj był w stanie zgromadzić potężną drużynę, ale większość wojowników zamieszkiwała odległe farmy. Zgromadzenie setek służących mu zbrojnych zajęłoby mu dzień albo dwa, co oznaczało, że musiałem poradzić sobie z owymi czterdziestoma–pięćdziesięcioma wyszkolonymi wojownikami, których

zadanie polegało na uniemożliwieniu ziszczenia się koszmaru Aelfrica. Ja byłem tym koszmarem.

– Wkrótce więc wyruszacie na północ? – zapytał ojciec Byrnjolf.

Zignorowałem jego pytanie.

– A zatem lord Aelfric potrzebuje okrętów do ochrony swoich statków handlowych?

– Wysyła na południe, do Londynu albo za morze, do Fryzji, wełnę, żyto i skóry, więc tak, potrzebuje straży.

– I dobrze płaci.

– Znany jest ze swej hojności.

– Bardzo nam pomogłeś, ojcze – powiedziałem i pchnąłem monetę po blacie.

– Niech Bóg będzie z tobą, synu – odparł ksiądz, szukając monety, która wpadła między maty z sitowia pokrywające podłogę. – A jak masz na imię? – zapytał, kiedy znalazł pieniądz.

– Wulf Ranulfson.

– Niech Bóg błogosławi twojej podróży na północ, Wulfie Ranulfsonie.

– Może nie popłyniemy na północ – rzekłem, kiedy ksiądz wstał. – Doszły mnie słuchy, że na południu szykują się kłopoty.

– Modlę się, by było inaczej – odparł z wahaniem. – Kłopoty?

– W Londynie mówi się, że lord Aethelred uważa, iż Anglia Wschodnia jest do wzięcia.

– Modlę się, by było inaczej, modlę się, by było inaczej – powiedział ojciec Byrnjolf, robiąc znak krzyża.

– Kłopoty oznaczają zysk – zauważyłem. – Ja więc modlę się o wojnę.

Ksiądz nic nie odpowiedział, tylko czym prędzej się oddalił. Byłem do niego odwrócony plecami.

– Co robi? – zapytałem Finana.

– Rozmawia ze swoimi ludźmi. Patrzą na nas.

Odciąłem kawałek sera.

– Dlaczego Aelfric opłaca księdza w Grimesbi?

– Bo jest dobrym chrześcijaninem? – odparł bez przekonania Finan.

– Aelfric jest zdradzieckim bobkiem ślimaka – powiedziałem.

Finan spojrział na księdza, a później na mnie.

– Twój stryj płaci ojcu Byrnjolfowi.

– A on w zamian informuje go o wszystkim, co dzieje się w Grimesbi. Kto przybywa, kto odpływa.

– I kto wypytuje o Bebbanburg.

– Tak jak ja.

– No właśnie. – Irlandczyk pokiwał głową. – Za dużo zapłaciłeś temu łajdakowi, za bardzo interesowałeś się obwarowaniami. Równie dobrze mogłeś podać mu prawdziwe imię.

Popatrzyłem na niego spode łba, ale Finan miał rację. Za bardzo ciągnąłem ojca Byrnjolfa za język i to musiało wzbudzić jego podejrzliwość.

– Ale jak przekazuje wieści Aelfricowi? – zapytałem.

– Przez rybaków?

– Przy tym wietrze... – powiedziałem, patrząc na okiennicę, która obijała się i stukała o zasuwę – to będą dwa dni żeglugi?

– Trzy, jeśli zejda na brzeg w nocy.

– Ciekawe, czy łajdak powiedział mi prawdę – zastanawiałem się na głos.

– O jego drużynie? – zapytał Finana, rysując palcem w piwie rozlanym na blacie. – To brzmiało całkiem prawdopodobnie. – Uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Pięćdziesięciu ludzi? Jeśli uda nam się dostać do środka, powinniśmy poradzić sobie z tymi łajdakami.

– Jeśli uda nam się dostać do środka – powtórzyłem i odwróciłem się, udając, że patrzę w palenisko, którego płomienie wznosiły się ku deszczowi wpadającemu przez dziurę w dachu. Ojciec Byrnjolf był pochłonięty rozmową z towarzyszami, ale dokładnie w momencie, kiedy na niego spojrzełem, odwrócili się i pospiesznie ruszyli ku wyjściu.

– Jaka dziś będzie woda? – zapytałem Finana, nie spuszczając oka z księdza.

- Wysoka w nocy, o świcie nadejdzie odpływ.
 - Wypływamy więc o świcie – zdecydowałem.
- Middelniht wyruszała na łowy.

Opuściliśmy przystań o świcie, razem z odpływem. Świat był szary jak stalowy miecz. Szare morze, szare niebo, szara mgła, a Middelniht sunęła przez tę szarość niczym zwinna, niebezpieczna bestia. Użyliśmy tylko dwudziestu wiosł, które unosiły się i opadały niemal bezgłośnie, słysząc było jedynie skrzypienie dulek i plusk zanurzanych piór. Kilwater zamierał za nami, czarnosrebrny ślad rozszerzał się i zanikał, podczas gdy łódź prześlizgiwała się między witkami wyznaczającymi kanał.

Pozwoliliśmy odpływowi zabrać nas na morze. Mgła gęstniała, ale odpływ zaniósł nas bezpiecznie i dopiero kiedy dziób zaczął torować sobie drogę przez większe fale, zmieniłem kurs na północny. Wiosłowaliśmy powoli. Słyszałem odległy dźwięk fal rozbijających się o Kruczy Dziób i oddalałem łódź od mierzei, dopóty ląd nie zniknął nam z oczu – do tego czasu mgła stała się jeszcze gęstsza, ale zrobiło się też jaśniej. Deszcz przestał padać. Morze było spokojne, leniwe, z rozdrażnieniem uderzało o kadłub, drobne fale przypominały o złej pogodzie, ale czułem, że wiatr powróci, i kazałem wciągnąć mokry żagiel.

Wiatr rzeczywiście się pojawił, ponownie ze wschodu, żagiel wydał się i Middelniht pognała na północ. Kiedy mgła się podniosła, zobaczyłem stojące przy brzegu łodzie rybackie, ale je zignorowałem i popłynąłem dalej. Bogowie najwidoczniej byli ze mną, bo wiatr skręcił nieco na południe, a słońce wyszło zza poszarpanych chmur. Ptaki morskie krzyczały na nas.

Osiągnęliśmy dobre tempo, tak że późnym popołudniem ujrzeliśmy kredowe klify Flaneburga. To był znany punkt orientacyjny. Jakże często przepływałem obok tego olbrzymiego cypla z klifami podziurawionymi jaskiniami. Widziałem fale rozbijające się o skałę, a kiedy podpłynęliśmy bliżej, usłyszałem huk wody wpadającej do pieczar.

- Flaneburg – powiedziałem synowi. – Zapamiętaj to miejsce!
- Spojrzał na kipiel wody i kamieni.
- Trudno zapomnieć.

– Lepiej stąd odpłynąć. Wokół klifu są silnie prądy, ale dalej od brzegu jest łatwiej. A w razie sztormu z północy nie szukaj schronienia po jego południowej stronie.

– Dlaczego?

– Płycizny – wyjaśniłem, wskazując na ciemne szczątki statków pod zmarszczoną powierzchnią wody. – Flaneburg zabiera łodzie i ludzi. Strzeż się tego.

Prąd pływowy zmienił kierunek i przestał nam sprzyjać. Potężne fale miały Middelniht, rozkazałem więc opuścić żagiel i chwycić za wiosła. Morze próbowało znieść okręt na południe, podczas gdy ja zamierzałem ukryć się po północnej stronie Flaneburga, gdzie woda była głębsza, a statki płynące z południa nie mogły nas zobaczyć. Skierowałem łódź w stronę klifów. Głuptaki kołowały nad naszym masztem, a maskonury przelatywały tuż nad wzburzonym morzem. Fale roztrzaskiwały się o skały, tworząc kipiela w występach skalnych, po czym wycofywały się ku białym odmętom. W górze, gdzie wiatr kładł trawę porastającą klif, dostrzegłem dwóch obserwujących nas mężczyzn. Chcieli się przekonać, czy mamy zamiar przycumować, ale nigdy wcześniej nie rzucałem kotwicy w malutkiej zatoczce po północnej stronie Flaneburga i nie chciałem robić tego teraz.

Odwróciliśmy okręt dziobem pod prąd i utrzymywaliśmy kurs z pomocą wiosła. Kiedy dopłynęliśmy do celu w pobliżu olbrzymiej kredowej głowy, ujrzeliśmy pięć statków rybackich. Dwa z nich znajdowały się na wschód od klifów, trzy zaś na północ od skał, ale wszystkie uciekły na nasz widok. Byliśmy wilkiem, a owce znały swoje miejsce, mieliśmy więc kryjówkę wyłącznie dla siebie. Wiatr opadł, ale morze pozostało wzburzone. Prąd stał się tak silny, że moi ludzie musieli mocno wiosłować, żeby utrzymać Middelniht w miejscu. Cień rzucany przez klif sprawił, że siwe morze wydawało się niemal czarne, ale tę czerń przełamywały białe grzywy fal. Niebo znów stało się szare, a jednocześnie rozświetlone.

– Może nie nadpłyną dzisiejszej nocy – powiedział Finan, który podszedł do mnie.

– Nie wybiorą drogi lądowej, a przecież będą się spieszyć.

– Dlaczego mieliby nie wybrać drogi lądowej? – zapytał mój syn.

– Nie zadawaj głupich pytań – odparłem gniewnie.

Finan spojrział na mnie.

– To są Duńcy – powiedział dobitnie Uhtred. – Czy nie wspomniałeś, że ksiądz był Duńczykiem. – Nie czekał na odpowiedź. – Rybacy mogli być wyznającymi chrześcijaństwo Sasami – ciągnął. – Jarl Sigurd toleruje jednak ich religię. Mogli więc bez problemów przejechać Northumbrię.

– Chłopak ma rację – zauważył Finan.

– Myli się – obstawałem przy swoim. – Podróż konno zajęłaby im zbyt wiele czasu.

Miałem taką nadzieję. Wiedziałem, że ojciec Byrnjolf wolałby odbyć podróż do Bebbanburga konno, ale konieczność szybkiego przekazania wiadomości powinna przewyciężyć chorobę morską. Zgadywałem, że rybacy będą trzymali się blisko lądu, żeby w razie spotkania dzikich Duńczyków mogli uciec do portu lub przybić do plaży. Podróżowanie niewielkim statkiem w pobliżu brzegu jest bezpieczniejsze niż przemierzanie konno północnych traktów.

Spojrziałem na zachód. Między chmurami ukazały się pierwsze gwiazdy. Zrobiło się już niemal ciemno, ale wschodził księżyc.

– Dowiedzieli się, że opuściliśmy Grimesbi – rzucił mój syn.– I z pewnością obawiali się, że się na nich zaczailiśmy.

– Dlaczegoż mieliby się tego obawiać? – zdziwiłem się.

– Bo wypytywałeś o Bebbanburg – odparł oschle Finan.

– Policzyli nas przecież. Trzydziestu sześciu mężczyzn. Jak trzydziestu sześciu mężczyzn może zagrozić Bebbanburgowi?

– Uznają, że w żaden sposób. Możliwe, że nawet uwierzyli w twoją bajeczkę. A może ojciec Byrnjolf wcale nie zamierza jechać z ostrzeżeniem? – zastanawiał się Finan.

Noc już zapadła. Morze połyskiwało od księżycowej poświaty, ziemia jednak była ciemna. Gdzieś daleko na północy migotało ognisko, ale reszta lądu była pogrążona w mroku, nawet kredowe klify były czarne. Czarny ocean pokrywały srebrne, szare i białe smugi. Przesunęliśmy Middelniht o kilka długości, żeby odsunąć ją od pogrążonych w nocy klifów. Żaden statek na morzu nie mógł dojrzeć jej na tle lądu.

Wilk się przyczaił.

A potem, dość nagle, pojawiła się ofiara.

Nadpływała z południa. Niewielka łódź z kwadratowym żaglem, i to właśnie ten ciemny żagiel najpierw zauważyłem. Znajdowała się niecałą milę od wschodniego czubka Flaneburga. Odruchowo odepchnąłem wiosło sterowe, a Finan wydał rozkaz wioślarzom i Middelniht wypłynęła ze swej zacienionej kryjówki.

– Cała naprzód! – rzuciłem do Finana.

– Ze wszystkich naszych sił – odpowiedział.

Fala rozbiła się o dziób i zalała pokład. Załoga rytmicznie poruszała wiosłami, pióra uderzały o wodę, okręt nabierał prędkości.

– Szybciej! – krzyknął Finan i zaczął stopą wybijać rytm.

– Skąd wiesz, że to oni? – zapytał Uhtred.

– Nie wiem.

Dostrzegli nas. Może zdradziła nas biała piana wokół dziobu albo chlupotanie ciężkich wiosel, w każdym razie zobaczyłem, że niewielka łódź próbuje zawrócić, a jeden z żeglarzy szamocze się z liną, aby napiąć maszt. Po chwili musieli zdać sobie sprawę, że nie mają szansy nam uciec, i ruszyli w naszą stronę. Ich żagiel łopotał przez chwilę, a później znów się wydał i łódź zwróciła się dziobem w naszą stronę.

– Oczywiście ma zamiar w ostatniej chwili skrócić i roztrzaskać jedną z naszych burt – wyjaśniłem Uhtredowi. – Ten człowiek nie jest głupi.

– Którą burtę?

– Gdybym tylko to wiedział... – odparłem, a resztę pozostawiłem niedopowiedzianą.

Zbliżającą się łodzią nie kierował jeden człowiek. Było ich więcej. Dwóch? Może trzech? To był kuter rybacki, o szerokim kadłubie, stabilny i powolny, ale wystarczająco ciężki, żeby połamać nam wiosła.

– Płynie w tę stronę – powiedziałem, wskazując na południe. Uhtred spojrzał na mnie, jego twarz wydawała się blada w świetle księżyca. – Spójrz tylko, sternik stoi za wiosłem sterowym. Nie ma miejsca, żeby przyciągnąć wiosło, a więc odpycha je od siebie.

– Wiosłować, łajdaki! – krzyknął Finan.

Sto kroków, pięćdziesiąt, kuter trzymał kurs, płynęliśmy dziób w dziób, teraz mogłem się przekonać, że na pokładzie było trzech mężczyzn. Statek coraz bardziej się do nas zbliżał, aż w końcu jego kadłub zniknął pod naszym dziobem – wtedy mocno pociągnąłem wiosło sterowe w swoją stronę i zobaczyłem, że ich łódź skręca w tym samym momencie, ale ponieważ przewidziałem ten manewr, nasz dziób ozdobiony głową smoka staranował niski kadłub kutra. Poczułem, że Middelniht zadrgała, usłyszałem krzyk i dźwięk łamanego drewna, zobaczyłem znikający maszt i żagiel, a potem nasze wiosła ponownie zanurzyły się w wodzie, coś uderzyło w dolną część naszego kadłuba i woda pokryła się kawałkami potrzaskanego drewna.

– Przestać wiosłować! – krzyknąłem.

Ciągnęliśmy za sobą tonącą łódź, choć większość zniszczonego, obciążonego kamiennym balastem kadłuba poszła już na morskie dno, gdzie czaiły się potwory. Żagiel zniknął, pozostało tylko połamane drewno, pusty wiklinowy kosz na ryby oraz człowiek rozpaczliwie trzepoczący się w wodzie i za wszelką cenę próbujący dotrzeć do burty Middelniht.

– To jeden z towarzyszy ojca Byrnjofla – powiedział Finan.

– Rozpoznałeś go?

– Po złamanym nosie.

Mężczyźnie udało się uchwycić wiosła i zbliżyć się do naszej burty. Finan pochylił się, żeby podnieść topór. Spojrzał na mnie, kiwnąłem głową. W opadającym żeleźcu topora odbiło się światło księżyca. Rozległ się dźwięk rozłupywanej czaszki, prysnęła krew czarna jak ziemia i ciało uniosły fale.

– Wciągnąć żagiel – wydałem rozkaz.

Kiedy umocowano wiosła i postawiono żagiel, ponownie skierowałem okręt na północ.

Middelniht pokonała naszych wrogów w środku nocy, teraz zmierzaliśmy do Bebbanburga. Koszmar Aelfrica się ziścił.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W nocy pogoda się uspokoiła, co nie było po mojej myśli.

Nie chciałem też pamiętać twarzy rybaka o złamanym nosie i bliznach na ogorzałej od słońca twarzy, jego pełnego desperacji, błagającego, bezradnego spojrzenia. Tego, jak go zabiliśmy, ciemnej krwi, która rozprysła się w czarną noc i zniknęła w wodnym wirze pod kadłubem Middelniht. Postąpiliśmy okrutnie.

Hild, którą kochałem – była ksienią w Wessexie i dobrą chrześcijanką – zawsze z rozrzewnieniem mówiła o pokoju. Nazywała swego boga księciem pokoju i próbowała mnie przekonać, że gdy tylko wyznawcy prawdziwych bogów uznają jej ukrzyżowanego księcia, zapanuje wieczny pokój. „Błogosławieni niech będą ci, którzy wprowadzają pokój” – lubiła do mnie mawiać i cieszyły ją ostatnie lata, kiedy w Brytanii zapanowało niepewne zawieszenie broni. Duńczycy wyprawiali się na nasze ziemie jedynie po bydło, czasem po niewolników, Walijczycy i Szkoci robili to samo, ale do wybuchu wojny nie doszło. Dlatego właśnie mój syn nie stał jeszcze w murze tarcz. Nieustannie ćwiczył, dzień w dzień, ale ćwiczenia to nie to samo co prawdziwa walka, niewiele mają wspólnego z sięgającym trzewi przerażeniem przed spotkaniem z odurzonym trunkiem szaleńcem trzymającym ciężki topór bojowy.

Niektórzy głosili, że ów kilkuletni pokój zapanował z woli chrześcijańskiego boga, a my powinniśmy być zadowoleni, bo nasze dzieci dorastały, nie czując strachu. Mówili, że co posiejemy, to zbierzemy, a także że tylko w czasie pokoju chrześcijańscy księża mogą głosić Duńczykom swoją dobrą nowinę, a kiedy wykonają to zadanie, będziemy żyli w chrześcijańskim świecie miłości i przyjaźni.

Nie był to jednak prawdziwy pokój.

Po części było to wyczerpanie. Walczyliśmy od tak dawna, a ostatnia bitwa – niepohamowany rozlew krwi na zimowych wrzosowiskach Anglii Wschodniej,

podczas której zginęli król Eohric, Aethelwold Samozwaniec i syn Sigurda Thorrsona – była tak okrutną rzezią, że zaspokoila głód kolejnych potyczek. Układ sił niewiele się jednak zmienił. Północ i wschód pozostały pod rządami Duńczyków, a południe i zachód nadal należały do Sasów. Mimo licznych poległych żadna ze stron znacząco nie rozszerzyła swojej władzy. Zmarł też Alfred, który pragnął pokoju, ale widział, że nie sposób go osiągnąć, gdy dwa plemiona walczą o to samo pastwisko. Jego syn Edward był królem w Wessexie i chętnie zostawił Duńczyków w spokoju. Chciał tego samego co ojciec – żeby wszyscy Sasi żyli pod jedną koroną – ale był młody, obawiał się porażki, nie ufał dawnym doradcom ojca, słuchał więc księży, którzy mówili mu, żeby zachował to, co ma, i zostawił Duńczykom ich ziemie. Księża przekonywali, że Duńczycy w końcu przyjmą chrześcijaństwo i że powinniśmy wzajemnie się miłować. Nie wszyscy jednak głosili to samo. Niektórzy, jak opat, którego zabiłem, wzywali Sasów do wojny, twierdząc, że szczątki Świętego Oswalda wieszczą zwycięstwo.

Wojowniczy duchowni mieli rację. Nie, jeśli chodzi o Oswalda, ja przynajmniej w to powątpiewałem, ale z pewnością nie mylili się w sprawie trwałości pokoju, w sytuacji gdy Duńczycy zajmowali ziemie niegdyś należące do Sasów. Co więcej, Duńczycy chcieli zapanować nad wszystkimi terytoriami: nad resztą Mercji i całym Wessexem. Nie miało znaczenia, pod jakim sztandarem walczyli – czy był to młot, czy był to krzyż, oni pozostawali nienasyчени. Na dodatek znów byli silni. Straty wojenne dobrze im zrobiły, stali się niecierpliwi. Tak samo jak Aethelred, lord Mercji. Przez całe życie był niewolnikiem Wessexu, ale teraz miał nową kobietę, starzał się i zapragnął sławy. Chciał, by poeci opiewali jego zwycięstwa, by kronikarze zapisali jego imię w historii, dążył więc do wojny, do konfliktu między chrześcijańską Mercją a chrześcijańską Anglią Wschodnią, który rozleje się na całą Brytanię. Kiedy wybuchnie, znów staną mury tarcz. Bo pokój nie może trwać wiecznie, nie wówczas, gdy dwa plemiona dzielą to samo terytorium. Jedno z nich musi wygrać. I nawet ukrzyżowany bóg nie jest w stanie tego zmienić. Ja jestem wojownikiem, a w świecie wojny wojownik musi być okrutny.

Gdy tonący rybak spojrzał w górę, dostrzegłem w jego oczach błaganie, ale topór i tak spadł, a on odszedł do podwodnego grobowca. Musiało się tak stać, bo zamierzał

donieść na mnie Aelfricowi.

Powiedziałem sobie, że kiedyś okrucieństwo się skończy. Walczyłem o Wessex przez całe życie. Dzięki mnie ukrzyżowany bóg odniósł swoje zwycięstwa, a mimo to odwrócił się i splunął mi w twarz. Powrócę więc do Bebbanburga, a kiedy odzyskam warownię, pozwolę wojnie toczyć się beze mnie. Taki miałem plan. Pojadę do domu i tam zostanę, przekonam też Aethelflaed, żeby do mnie dołączyła – wówczas nawet ukrzyżowany bóg nie wykurzy mnie z Bebbanburga, ponieważ jest to niezdojta twierdza.

Tego ranka opowiedziałem Finanowi, jak mam zamiar ją zdobyć.

– To może się udać – stwierdził ze śmiechem.

– Módl się do swojego boga, żeby zesłał nam odpowiednią pogodę – odparłem.

Brzmiałem ponuro i trudno się temu dziwić. Chciałem brzydkiej, niebezpiecznej dla statków pogody, tymczasem niebo nagle się przejaśniło i zrobiło się cieplej. Wiatr osłabł, zaczął wiać z południa i żagiel czasem łopotał, tracąc całą moc, przez co Middelniht wlokła się leniwie po migoczącym od słońca morzu. Większość załogi spała, a ja wolałem dać odpocząć ludziom, niż kazać im chwycić za wiosła. Gdy odpłynęliśmy od brzegu, znaleźliśmy się sami pod pustym niebem.

Finan spojrział w górę, żeby sprawdzić położenie słońca.

– To nie jest droga do Bebbanburga – zauważył.

– Płyniemy do Fryzji.

– Do Fryzji!

– Nie mogę teraz popłynąć do Bebbanburga – wyjaśniłem. – Nie mogę zostać na northumbryjskim wybrzeżu, bo Aelfric odkryje, że tu jesteśmy. Musimy zatem na kilka dni zniknąć. Ukryjemy się we Fryzji.

Przemierzyliśmy więc morze i dotarliśmy do tej dziwnej krainy pełnej wysp, wody, błotnistych brzegów, trzcin, piasku, unoszącego się na wodzie drewna, kanałów zmieniających swój bieg nocą i ziemi, która jednego dnia pojawia się, a drugiego znika. Schronienie znajdują tu czaple, foki i wyrzutkowie. Dotarcie do Fryzji zajęło nam trzy dni i trzy noce, na trzeci dzień o zmierzchu, kiedy na zachodzie słońce znajdowało się w kotle żarzącego się ognia, wpełzliśmy między wysepki, a człowiek

na dziobie wiosłem sprawdzał głębokość wody.

Kiedyś już tu byłem. To na tej płyciźnie urządziłem zasadzkę na Skirnira i patrzyłem, jak umiera, a w jego dworze na wyspie Zegge odkryłem liche skarby. Nie zniszczyłem tego domostwa i teraz chcieliśmy go odnaleźć, ale wyspa zniknęła zmyta przez nieustające pływy, znaleźliśmy jednak piaszczysty brzeg w kształcie półksiężyca, gdzie udało nam się podstępem zmusić Skirnira do rozdzielenia sił. Wyciągnęliśmy więc Middelniht na plażę i rozbiliśmy obóz na wydmach.

Potrzebowałem dwóch rzeczy: drugiej łodzi i złej pogody. Nie ważyłem się wyruszyć na poszukiwania, bo byliśmy na cudzym terenie, więc gdybym zbyt wcześnie zajął czyjąś łódź, władca tych wód miałby czas mnie odnaleźć i domagać się wyjaśnień, dlaczego kłusuję na jego terytorium. Nazajutrz i tak nas znalazł, przyplłynął w długiej łodzi z czterdziestoma wiosłarzami. Jego statek poruszał się szybko i pewnie przez ledwie widoczne kręte kanały prowadzące do naszej kryjówki. Kiedy dziób zaczął trzeć o dno, sternik rozkazał ludziom cofnąć łódź. Jeden z mężczyzn wyskoczył na brzeg – olbrzym z twarzą płaską jak żeleźce łopaty i brodą sięgającą pasa.

– Kimże jesteście? – ryknął pogodnie.

– Wulf Ranulfson – odrzekłem. Siedziałem na zbiegającym pnium wyrzuconym przez fale i nawet nie pofatygowałem się, żeby wstać.

Przybysz ruszył w moją stronę. Dzień był pogodny, ale on miał na sobie ciepły płaszcz, wysokie buty i kolczy kaptur. Zmierzwił włosy sięgały jego ramion. U pasa nosił długi miecz, a na szyi zaśniedziały srebrny łańcuch, częściowo ukryty pod brodą.

– A kimże jest Wulf Ranulfson? – zapytał.

– Wędrowcem z Haithabu – odparłem spokojnie. – Wracam do domu.

– Dlaczego więc znaleźliście się na jednej z moich wysp?

– Odpoczywamy i zajmujemy się naprawami.

– Odpoczynek i naprawy tu kosztują.

– Nie mam zamiaru płacić – odpowiedziałem łagodnie.

– Jestem Thancward – rzekł chełpliwie, jakby spodziewał się, że słyszałem wcześniej jego imię. – Mam szesnaście załóg i statek dla każdej z nich. Jeśli mówię,

że macie zapłacić, to zapłacicie.

– Jakiej oczekujesz zapłaty?

– Srebra na dwa dodatkowe ogniwa do tego łańcucha.

Wstałem powoli, leniwie. Thancward był roslym mężczyzną, ale ja jestem wyższy i ujrzałem zaskoczenie na jego twarzy.

– Thancward – powiedziałem, jakbym próbował sobie przypomnieć jego imię. – Nigdy nie słyshałem o żadnym Thancwardzie, a jeśli ma szesnaście statków, dlaczego osobiście przypłynął na tę nędzną plażę? Dlaczego nie wysłał swoich ludzi, żeby zajęli się jego sprawami? W jego łodzi jest miejsce na pięćdziesięciu wiosłarzy, ale tylko czterdziestu siedzi u wiosł. Może Thancward gdzieś zgubił swoich ludzi? A może sądził, że jesteśmy kupcami? Może wydawało mu się, że nie będzie potrzebował ludzi, bo jesteśmy słabi?

Nie był głupcem. Był tylko piratem i podejrzewałem, że ma dwie lub trzy łodzie, z których zapewne tylko jedna nadawała się do żeglugi, próbował jednak sprawiać wrażenie władcy tych płycizn, żeby każdy przepływający statek płacił mu myto. Potrzebował jednak do tego ludzi, a gdyby wdał się ze mną w walkę, straciłby ich.

Thancward nagle się uśmiechnął.

– Nie jesteście statkiem handlowym?

– Nie.

– Powinieneś mi powiedzieć. – Starał się, aby jego zaskoczenie brzmiało szczerze. – A zatem witajcie. Potrzebujecie zaopatrzenia?

– A co masz nam do zaoferowania?

– Ale? – zaproponował.

– Potrzebujemy rzepy, kapusty, fasoli – odparłem.

– Poślę po nie – odrzekł.

– Zapłacę – obiecałem.

Obaj byliśmy zadowoleni. On dostał skrawek srebra, a ja miałem spokój.

Pogoda uparcie pozostawała ciepła i spokojna. Po posępnym, zimnym, mokrym lecie przez trzy dni świeciło pałace słońce i wiał łagodny wietrzyk. Trzy dni spędzone na plaży na ćwiczeniu technik walki mieczem i zadręczaniu się oczekiwaniem na

zmianę pogody. Potrzebowałem wiatru z północy i wzburzonego morza. Czekałem na pogodę, która sprawi, że z obwarowań Bebbanburga będzie rozciągał się widok na kipiel i grzywiaste bałwany, a im dłużej słońce świeciło nad przejrzystym morzem, tym bardziej obawiałem się, że ojciec Byrnjolf mógł wysłać kolejne ostrzeżenie do fortecy. Książd niemal na pewno zginął, kiedy Middelniht staranowała łódź rybacką, ale mógł przecież dla pewności wysłać wiadomość także przez statek handlowy płynący starymi szlakami. Było to mało prawdopodobne, ale istniała taka możliwość, i to mnie gryzło.

Jednak czwartego dnia rano na północnym wschodzie niebo powoli zaczęło zasnuwać się ciemnymi chmurami. Nie gromadziły się, tworząc poszarpaną krawędź, lecz kreśliły prostą jak drzewce włóczni linię przecinającą nieboskłon, która rozgraniczała intensywny letni błękit od czarnej jak smoła połaci nieba. Był to omen, ale nie wiedziałem, co oznaczał. Ciemność szerzyła się, jakby utworzony przez bogów mur tarcz przesuwiał się po niebie, a ja uznałem to za zapowiedź, że moi bogowie – północni bogowie – szykują na południu potężny sztorm. Stałem na szczycie wydmy, wiatr był na tyle silny, że zdmuchiwał piach z jej grzbietu, morze zaś pokryło się białymi grzywami, bałwany gniewnie rozbijały się o mielizny, a ja wiedziałem, że nadszedł czas, aby wypłynąć w sztorm.

Czas wracać do domu.

Mieliśmy ostrą broń i solidne tarcze. Miecze, włócznie i topory zostały oszlifowane na osełkach, a tarcze obciążone skórą i okute żelazem. Wiedzieliśmy, że płyniemy na bitwę, najpierw jednak musieliśmy stoczyć walkę z morzem.

Morze jest dziwką. Należy do bogini Ran, która łapie mężczyzn w mocne sieci, a jej dziewięć córek to fale gnające statki w jej sidła. Jest żoną olbrzyma Ägira – leniwego bydlaka, który woli leżeć pijany w siedzibie bogów, podczas gdy jego sukowata żonka i bezwzględne córeczki przyciskają okręty i mężczyzn do swych pozbawionych miłości piersi.

Modliłem się więc do Ran. Trzeba jej schlebić, powiedzieć, że jest urocza, że żadna istota na niebie, ziemi i w podziemiach nie może równać się z nią pod

względem piękności, a Freja, Eostre, Sigyn i inne boginie zazdroszczą jej urody. Jeśli powtarza się jej to w kółko, w końcu sięgnie po swoją srebrną wypolerowaną tarczę, żeby się przejrzeć, i wówczas morze się uspokaja. Opowiadałem więc dziwce o jej urodzie i o tym, jak bogowie drżą z pożądania, kiedy przechodzi obok, o tym, jak przyćmiewa gwiazdy i jest najpiękniejszą z bogiń.

Tego wieczoru Ran była jednak nieprzejednana. Zesłała sztorm z północnego wschodu, który pędził ze skutego lodem wybrzeża i z wściekłością smagał morze. Przez cały dzień płynęliśmy na zachód w silnym, porywistym wietrze i gdyby taki się utrzymał, bylibyśmy przemoczeni, zmarznięci, ale bezpieczni. W nocy jednak wicher się wzmógł, wył i huczał, musieliśmy więc opuścić żagiel i użyć wiosł, by Middelniht stawiała czoło wściekłemu morzu, które roztrzaskiwało bałwany o jej dziób, stojące dęba w ciemności niczym niewidzialne, pokryte białymi grzywami potwory, które dźwigały nasz okręt, aby po chwili rzucić nim w dół, tak że belki trzeszczały, kadłub się uginał, a fale chłostały przemoczonych wiosłarzy. Wygarnialiśmy kipieli z pokładu, żeby uchronić się przed sieciami Ran, podczas gdy szkwał ryczał, a morski odmęt szarpał burty okrętu. Dwóch ludzi pomagało mi przy wiosłach sterowym i czasem miałem wrażenie, że się złamało, że toniemy – wykrzykiwałem wówczas swoją modlitwę do bogini, wiedząc, że wszyscy moi towarzysze też się modlą.

Świt ukazał panujący chaos. W przyćmionym świetle ujrzałem przerażające białe grzywy na szczycie krótkich, stromych fal i ogarnięte furją morze. Pył wodny kąsał nasze twarze, byliśmy obolali i marzyliśmy tylko o odpoczynku, ale musieliśmy toczyć walkę z oceanem. Dwunastu ludzi wiosłowało, trzech zmagало się z wiosłami sterowym, a pozostali za pomocą hełmów i wiader wybierali wodę i wylewali ją za burtę, kiedy okręt się podnosił albo fala nagle wstawała niczym bestia wyłaniająca się z toni. Gdy znajdowaliśmy się na szczycie bałwana, nie widziałem nic prócz kipieli, po chwili zaś dawaliśmy nura w wodną otchłań i przez ułamek sekundy wiatr milkł, podczas gdy kolejna fala zmierzała z rykiem w naszą stronę, grożąc wywróceniem lub roztrzaskaniem okrętu.

Powiedziałem tej dziwce Ran, że jest piękna. Powiedziałem temu morskiemu wieprzowi, że jest marzeniem ludzi i nadzieją bogów. Chyba mnie usłyszała

i spojrzała w srebrną tarczę, bo z wolna, niezauważalnie wściekłość wód złagodniała. Nie znaczy to, że całkowicie ucichła. Morze pozostawało wzburzone i dał szaleńczy wiatr, ale fale stały się niższe, a ludzie mogli przerwać wylewanie wody, choć wioślarze nadal musieli walczyć, by łódź mierzyła się z furją.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Finan. Wydawał się wykończony.

– Gdzieś między morzem a niebem. – Tylko takiej odpowiedzi mogłem mu udzielić.

Miałem kamień słoneczny, czyli kawałek szklistej skały wielkości ludzkiej dłoni. Kamienie tego rodzaju pochodzą z kraju lodu, ten kosztował mnie sporo złota, ale trzymany w wyciągniętej ku niebu ręce, którą poruszałem od jednego do drugiego horyzontu, pozwalał ustalić pozycję słońca, a kiedy wiadomo, gdzie znajduje się słońce za chmurami, bez względu na pogodę można określić stronę, w którą się podąża. Kamień połyskiwał, kiedy wystawiłem go w kierunku ukrytego słońca, jednak tego dnia chmury były zbyt gęste, a deszcz zbyt rzęsy, pozostał więc posępny i niemy. Poczułem jednak, że wiatr zmienia się na wschodni i w okolicach późnego rana podnieśliśmy do połowy wzmocniony linami maszt, który wydał się pod wpływem wichru, i Middelniht pognała do przodu, rozbijając dziobem fale, teraz jednak ich dosiadała, a nie walczyła z nimi. Błogosławiłem Fryzów, którzy wybudowali ten okręt, i zastanawiałem się, ilu ludzi tej nocy spoczęło na dnie morza. Skierowałem dziób łodzi, jak mi się wydawało, na północny zachód. Musiałem płynąć na północ i na zachód, ciągle na północ i na zachód, a nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy ani w którą stronę sterować, kierowałem się tylko podszeptem przeczucia, będącego przyjacielem żeglarza. Głos wewnętrzny jest także przyjacielem wojownika. Tego dnia moje myśli błędziły niczym łódź gnana przez nawałnicę. Wracałem myślami do dawnych bitew, murów tarcz, strachu i przenikliwego uczucia bliskości wroga. Próbowałem odczytać przyszłość z każdej chmury, z lotu każdego ptaka morskiego, z każdej fali. Myślałem o Bebbanburgu, twierdzy, która przez całe moje życie opierała się Duńczykom, i szaleństwie, jakim był plan zdobycia jej przez grupkę zmęczonych, przemoczonych, wyczerpanych sztormem mężczyzn. Modliłem się do Norn, owych trzech bogiń, które u stóp drzewa życia snują nić naszego losu, aby dały mi znak, zapowiedź zwycięstwa.

Płynęliśmy, a ja nadal nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Tyle tylko, że znużona załoga mogła się przespać, kiedy sterowałem, a kiedy dłużej nie byłem w stanie utrzymać się na nogach, zastąpił mnie Finan, ja zaś zasnąłem kamiennym snem. Obudziłem się w nocy, morze nadal było wzburzone i huczał wiatr. Z trudem przedarłem się na przód okrętu między śpiącymi i na wprost obudzonymi ludźmi, żeby stanąć za smoczym łbem i spojrzeć w ciemności. Bardziej słuchałem, niż wypatrywałem, starałem się usłyszeć bałwany roztrzaskujące się o ląd, ale zdołałem rozpoznać tylko ryk wody i wiatru. Moje ubranie było przemoczone, wiał lodowaty wicher, a ja poczułem się stary.

O świcie wietrzyko nadal dęło, choć już nie z taką siłą jak wcześniej, odwróciłem więc Middelniht na zachód, jakbym zamierzał uciec przed brzaskiem. Okazało się, że Norny nas kochają, bo natrafiliśmy na ląd, choć nie miałem pojęcia, czy jest to Szkocja czy Northumbria. Byłem pewny, że nie trafiliśmy do Anglii Wschodniej, bo zobaczyłem wysokie skaliste klify, o które biły bałwany, tworząc gęstą mgiełkę. Zwróciliśmy się na północ, Middelniht walczyła z falami, podczas gdy my wypatrywaliśmy miejsca pozwalającego schronić się przed atakiem morza. Kiedy opłynęliśmy niewielki cypel, zobaczyłem osłoniętą zatoczkę, gdzie woda była zaledwie niespokojna, a nie wzburzona. Otaczała ją rozległa piaszczysta plaża. Uznałem, że bogowie mnie miłują, bo dojrzałem tam też statek, którego szukałem.

To była łódź handlowa, o połowę krótsza od Middelniht. Została wyrzucona na ten brzeg przez sztorm, ale uderzenie o ląd nie spowodowało szkód. Stała pochylona na plaży, a trzech mężczyzn kopało w piasku rów, żeby ponownie ją zwodować. Załoga opróżniła już statek, bo widziałem wyładowany towar złożony za linią przypływu, w którego pobliżu paliło się ognisko z wyrzuconego na brzeg drewna, gdzie załoga zapewne ogrzewała się i osuszała. Mężczyźni zauważyli nas, kiedy Middelniht podpłynęła bliżej, i uciekli w głąb lądu, za wydmy, które górowały nad plażą.

– Takiej łodzi właśnie było nam trzeba – powiedziałem do Finana.

– Tak, nada się – przyznał mi rację. – A te nieboraki zrobiły już połowę roboty za nas.

Nieboraki wprawdzie rozpoczęły prace, ale i tak większość dnia zajęło nam

zepchnięcie łodzi na wodę. Dwudziestu mężczyzn wyszło na brzeg, a i tak skończyło się na wyjmowaniu balastu, składaniu masztu i podkładaniu wiosł pod kadłub, żeby wyzwolić ją z zasysających objęć piasku. Uderzenie o brzeg spowodowało pęknięcie kilku desek, lecz uszczelniliśmy szpary glonami. Wiedziałem, że będzie przeciekać jak sito, nie zamierzaliśmy jednak korzystać z niej zbyt długo. Tylko tyle, żeby zmylić Aelfrica.

Załoga łodzi odważyła się wrócić na plażę, kiedy jeszcze kopaliśmy rów, żeby wsunąć wiosła pod kadłub. Byli to dwaj mężczyźni i chłopczyk – Fryzowie.

– Kim jesteście? – zapytał nerwowo jeden z mężczyzn.

Był to wielki chłop, szeroki w ramionach, o ogorzałej twarzy rybaka. Trzymał w opuszczonej dłoni topór, jakby chciał pokazać, że nie ma zamiaru mnie skrzywdzić.

– Nikim ci znanym – odparłem. – A ty?

– Blekulf – mruknął, po czym skinął w stronę łodzi. – Sam ją budowałem.

– Ty ją zbudowałeś, a ja jej potrzebuję – odrzekłem obcesowo.

Podszedł do miejsca, w którym złożyli towar. Dostrzegłem cztery skrzynie, w których znajdowały się szklane wyroby opakowane w słomę, dwie skrzynki miedzianych świeców, niewielka szkatuła z cennym bursztynem i cztery ciężkie, wyprofilowane i ukończone kamienne żarna.

– Możesz to wszystko zachować – powiedziałem.

– Na jak długo? – zapytał cierpko Blekulf. – Co mi po towarze bez łodzi. – Patrzył w głąb łądu, choć nic tam nie było prócz chmur wiszących nisko nad ponurym krajobrazem. – Te dranie oskubią mnie do naga.

– Jakie dranie? – Czekałem na wyjaśnienie.

– Szkoci. Dzikusy.

A więc byliśmy w Szkocji.

– Znajdujemy się na północ czy na południe od Foirthe? – spytałem.

– Na południe. Chyba. Próbowaliśmy wpłynąć do rzeki, kiedy nadszedł sztorm.

– Wieźliście ten ładunek do Szkocji?

– Nie, do Londynu. Wszystkich nas było osiem.

– Osiem osób? – zapytałem zdziwiony tak liczną załogą.

– Nie, osiem łodzi. O ile wiem, tylko jedna się uratowała.

– Dobrze się sprawiliście – pochwaliłem go.

Przeżył tylko dzięki dobrej znajomości rzemiosła żeglarskiego. Wystarczająco wcześnie zorientował się, że nagle zrywający się sztorm będzie wyjątkowo gwałtowny, spuścił więc żagiel z rei, rozdarł w taki sposób, aby można go było umocować wokół masztu, i wykorzystując ćwieki z ładunku, przybił jego połączenie do burt, dzięki czemu powstał prowizoryczny pokład. W ten sposób łódka nie została zalana przez fale, równocześnie jednak załoga nie mogła wiosłować. Tym sposobem statek został zniesiony na to wybrzeże.

– Rano pojawił się tu jeden dzikus – odezwał się Blekulf.

– Tylko jeden?

– Był uzbrojony we włócznię, popatrzył na nas i odszedł.

– Więc zapewne wróci z kompanami – powiedziałem, a potem spojrzałem na chłopca, który mógł mieć osiem, może dziewięć lat. – To twój syn?

– Jedynek – odparł kupiec.

Wezwałem Finana.

– Zabierz chłopca na pokład Middelniht – poleciłem mu i spojrzałem na Fryza. – Twój syn jest moim zakładnikiem, ty też popłyniesz ze mną. Jeśli będziesz robić, co ci powiem, oddam ci łódź z ładunkiem.

– A co mam zrobić? – zapytał nieufnie.

– Na początek zabezpiecz łódź na noc – odpowiedziałem.

– Panie! – wezwał mnie Finan, a ja obejrzałem się i zobaczyłem, że wskazuje na północ.

Na wydmie ukazało się kilkunastu mężczyzn dosiadających niewielkich koników. Mieliśmy nad nimi przewagę liczebną, a oni byli tego świadomi, dlatego trzymali się z daleka, kiedy my mężczyliśmy się przy wodowaniu łodzi Blekulfa, która – jak nam powiedział – nazywała się Reinbôge, czyli Tęcza. Nazwa wydała mi się dziwna.

– Kiedy ją budowałem, cały czas padało – wyjaśnił mi Fryz. – A w dzień wodowania pojawiła się podwójna tęcza. – Wzruszył ramionami. – Moja żona wymyśliła tę nazwę.

W końcu udało nam się unieść Reinbôge i ruszyć ją z miejsca. W czasie pchania łodzi przez plażę zaintonowaliśmy pieśń do Ran przeglądającej się w lustrze. Finan wszedł na pokład Middelniht i linę umocowaną na rufie okrętu przywiązał do dziobu Reinbôge, po czym zaholował ją na spokojniejsze wody. Musieliśmy ponownie załadować balast i towary do brzuszyska łodzi. Postawiliśmy maszt i umocowaliśmy napiętymi splecionymi rzemieniami. Jeźdźcy przez cały czas nas obserwowali, ale nie próbowali atakować. Myśleli pewnie, że wyrzucona na brzeg łódź będzie łatwym łupem, ale przybycie Middelniht pokrzyżowało im plany, o zmierzchu zawrócili więc i odjechali.

Oddałem Finanowi dowodzenie nad okrętem, sam zaś poprowadziłem Reinbôge. To była dobra łódź, mocna i dobrze utrzymana, choć z powodu pękniętych desek musieliśmy nieustannie wybierać z niej wodę. Bez trudu jednak płynęła po niespokojnym morzu. W nocy szkwał osłabł. Wicher nadal zaciekle dął, ale fale opuściła furia. Morze pokrywały grzywacze, które rozpływały się w ciemności, gdy oddalaliśmy się od brzegu. Wiatr dął całą noc, czasem porywiście, ale nigdy nie osiągał siły sztormu, więc tego pochmurnego wieczoru postawiliśmy porwane żagle Reinbôge i wyprzedziliśmy Middelniht.

Płynęliśmy na południe.

Nazajutrz, przy wzburzonym morzu i zasnutym chmurami niebie, dotarliśmy do Bebbanburga.

Tu dawno temu wszystko się zaczęło.

Byłem dzieckiem, kiedy ujrzałem te trzy łodzie.

Zapamiętałem, że wypłynęły z morskiej mgły, i może tak było, ale pamięć lubi płatać figle – pozostał mi także obraz jasnego dnia i bezchmurnego nieba, więc może nie było mgły, a tylko wydawało mi się, że w jednej chwili morze było puste, a w następnej pojawiły się na nim trzy statki płynące z południa.

Piękne okręty wydawały się unosić nad oceanem, a kiedy ich wiosła zanurzały się w fale, sunęły po wodzie. Złoczone węże i smoki wieńczyły ich dumnie zadarte dzioby i rufy. Tego odległego letniego dnia zdawało mi się, że statki tańczą na morzu

napędzane wznoszącymi się i opadającymi srebrnymi rzędami uskrzydionych wiosł. To były Duńskie okręty, pierwsze z tysięcy, które nadpłynęły, żeby pustoszyć Brytanię.

– Wypierdki czarta – burczał ojciec.

– I niech czart ich pochłonie – wtórował mój stryj Aelfric.

Od tamtej pory minęły lata. Teraz płynąłem, by ponownie się z nim spotkać.

A co zobaczył Aelfric tego rana, gdy sztorm nadal jeszcze dudnił, a wiatr chłostał wały skradzionej mi twierdzy? Najpierw ukazała mu się niewielka handlowa łódź z trudem płynąca na południe. Miała postawiony żagiel. Ale płótno, podarte w strzępy, zwisało z rei. Dostrzegł też dwóch mężczyzn wiosłujących z mozołem, zmuszonych co chwila przystawać, żeby wybrać wodę.

Przypuszczam, że zmagającą się z morzem Reinbôge dostrzegli raczej strażnicy Aelfrica, nie stryj. Płynęliśmy pod prąd, mając do dyspozycji tylko porwany maszt i parę wiosł. Ludzie z Bebbanburga zapewne pomyśleli sobie, że to wysłużona, zniszczona łódź o kadłubie głęboko zanurzonym w wodzie, cudem tylko utrzymująca się na powierzchni. My zaś staraliśmy się wyglądać tak, jakbyśmy chcieli okrążyć płyciznę Lindisfareny, żeby dotrzeć do bezpiecznego schronienia w płytkiej przystani z drugiej strony twierdzy. Strażnicy byli świadkami niepowodzenia naszych prób i obserwowali, jak wiatr znosi nas na południe, wzdłuż wybrzeża i wysokich wałów, a potem przez zdradziecką cieśninę między brzegiem a rozbrzmiewającymi ptasimi wrzaskami wyspami Farne. Do czasu, aż ukryliśmy się za południowym półwyspem, brnęliśmy łodzią ku brzegowi, gdzie morze tryskało pianą tworzącą zasłonę. Wszyscy obserwujący nas z Bebbanburga musieli uznać, że Reinbôge została uszkodzona w okolicach Bedehal.

To widzieli. Pokazaliśmy im dwóch mężczyzn zmagających się z długimi wiosłami i trzeciego sterującego łodzią, ale nie mogli wiedzieć o siedmiu wojownikach ukrytych w zamkniętej ładowni. Dostrzegli łup, a nie zagrożenie, dodatkowo rozproszył ich widok podążającej za statkiem handlowym Middelniht, którą uznali za znacznie bardziej niebezpieczną, ponieważ była okrętem wojennym. Ona też zmagiała się z prądem. Część załogi wybierała wodę, inni wiosłowali

i strażnicy na obwarowaniach mogli zauważyć, że wiosłuje tylko dziesięciu żeglarzy, choć tylu wystarczyło, żeby bezpiecznie okrążyć Lindisfarenę i przepłynąć przez wzburzone wody do płytkiego wejścia portowego za twierdzą. Tak więc po jakiejś godzinie od zniknięcia Reinbôge Middelniht wśliznęła się do przystani Aelfrica.

A zatem ludzie stryja zobaczyli dwa statki. Dwie łodzie, które przetrwały sztorm. Dwa statki szukające spokojnej przystani. To właśnie ujrzeli ludzie Aelfrica, a ja chciałem, żeby ich oczom ukazał się właśnie taki obraz.

Nadal byłem na pokładzie Reinbôge, Finan natomiast dowodził Middelniht. Wiedział, że po wpłynięciu do przystani zostanie przepytany, ale wcześniej przygotował właściwe odpowiedzi. Miał oznajmić, że są duńskimi żeglarzami podróżującymi z Anglii Wschodniej i są gotowi zapłacić lordowi Aelfricowi za przywilej zatrzymania się w jego porcie na czas konieczny do naprawienia zniszczeń spowodowanych przez nawałnicę. Ta historia powinna wystarczyć. Aelfric nie miał podstaw, aby podać ją w wątpliwość, można było jednak przypuszczać, że zażąda wysokiej opłaty, a Finan miał przygotowane na ten cel złote monety. Nie sądziłem, aby Aelfric chciał czegoś więcej prócz pieniędzy. Żył między Duńczykami i choć byli jego wrogami, nic by nie zyskał wzbudzając ich gniew. Spodziewaliśmy się, że weźmie pieniądze i będzie siedział cicho, wystarczyło, żeby Finan opowiedział swoją historyjkę, zapłacił i czekał. Zaplanowaliśmy, że rzuci kotwicę możliwie najbliżej wejścia do twierdzy, a jego ludzie będą trwonili czas na pozornym nieróbstwie. Nikt nie założył kolczugi, nie przypasał miecza, ale jedno i drugie mieli pod ręką.

A zatem Finan czekał.

Ja natomiast pozwoliłem prądowi znieść Reinbôge na plażę rozciągającą się na południe od Bedehal i również czekałem.

Teraz wszystko zależało od stryja, a on zrobił dokładnie to, czego chciałem. Wysłał do Middelniht swojego namiestnika, który wziął zapłatę i powiedział Finanowi, że może zostać w przystani trzy dni. Nalegał, aby nie więcej niż czterech ludzi schodziło jednocześnie na ląd, nikt też nie mógł być uzbrojony. Finan zgodził się na wszystkie warunki. Podczas gdy namiestnik układał się z dowódcą Middelniht, Aelfric wysłał ludzi na południe, żeby znaleźli wrak Reinbôge. Rozbite statki są cenną

zdobyczą, można z nich pozyskać drewno, ładunek, olinowanie i płótno żaglowe. Chociaż zamieszkujący okolicę wieśniacy również chętnie skorzystaliby z takiej gratki, doskonale wiedzieli, że lepiej nie zadzierać z panem pobliskiej fortecy, który rościł sobie prawo do odzysku.

Czekałem więc obok stojącej na płyciźnie Reinbôge, dotykałem zawieszzonego na szyi kościanego młota Thora i prosiłem boga, żeby nam się udało.

Pośród wydm wznoszących się na północ od plaży, gdzie łódź została wyrzucona na brzeg, zaczęli pojawiać się ludzie. Nad morzem znajdowała się wioska o podniszczonych domach, zamieszкана w większości przez rybaków, których niewielkie kutry chroniły się przed sztormami w zagłębieniu skalnym biegnącym na południe od Bedehal. Kilkoro wieśniaków obserwowało, bez wątpienia ze zdumieniem, jak odwiązujemy rzemienną linę biegnącą od szczytu masztu do rufy Reinbôge. Mogli dostrzec tylko trzech z nas. Patrzyli, jak obniżamy maszt i pozwalamy mu opaść z nadal przymocowanym poszarpanym żaglem. Woda była niska, ale nadchodził przyplływ i Reinbôge pod wpływem uderzeń fal chwiejnie sunęła w stronę plaży.

Biedny Blekulf zamartwiał się o swoją łódź, bał się, że każdy wstrząs spowoduje nowe pęknięcie lub poszerzy istniejące.

– Kupię ci nową – obiecałem.

– Sam ją zbudowałem – odparł ponuro, sugerując, że żadna inna nie dorówna tej, która wyszła spod jego ręki.

– A więc módl się, aby ta miała porządną konstrukcję – odparłem, a potem kazałem Osferthowi ukrytemu w ładowni Reinbôge przejąć dowodzenie. – Wiesz, co masz robić?

– Tak, panie.

– Zostaniesz z Osferthem – zwróciłem się do Blekulfa, a później rozkazałem Rollowi, bezwzględnemu Duńczykowi, wziąć broń i iść za mną.

Zeskoczyliśmy ze stewy łodzi i poszliśmy w górę plaży ku wydmom. Trzymałem Oddech Węza. Wiedziałem, że wkrótce nadejdą ludzie z fortecy, a wtedy będzie trzeba użyć miecza. Wieśniacy musieli zauważyć, że wynosimy broń na plażę, ale nie

ruszyli ani w naszą stronę, ani w stronę jeźdźców szybko nadjeżdżających z północy.

Spojrzałem przez chłostaną wiatrem trawę porastającą wydmnę i ujrzałem siedmiu mężczyzn na koniach. Dostrzegli osiadłą na mieliźnie łódź z bezużytecznie trzepoczącymi, porwanymi przez wiatr żaglami. W tej samej chwili ruszyliśmy na północ, skradając się pod wydmną. Nikt nie mógł nas dojrzeć. Dobiegliśmy do miejsca, w którym jeźdźcy pokonywali piaszczysty wał. Tą samą ścieżką mieli wracać do twierdzy, tam na nich czekaliśmy z obnażonymi mieczami. Podeszedłem do krawędzi wydmy i spojrzałem w dół.

Jeźdźcy dotarli do Reinbôge, zatrzymali wierzchowce tuż przed linią wściekłych bałwanów, które mijały pochyloną łódź i zalewały plażę. Widziałem, że wołają Blekulfa, który był jedynym pozostającym na widoku członkiem załogi. Oczywiście mógł ich ostrzec, ale jego syn i kompan znajdowali się na pokładzie, więc ze strachu o życie chłopca nas nie zdradził. Powiedział im, że jego statek został uszkodzony przez sztorm, nic więcej. Pięciu mężczyzn podjechało do łodzi. Żaden nie wyciągnął miecza. Dwaj konni czekali na plaży. I wtedy Osferth zaatakował.

Nagle ukazało się siedmiu moich ludzi – wyskoczyli zza dziobu Reinbôge z mieczami, toporami i włóczniami. Pięciu jeźdźców w okamgnieniu zostało wysadzonych z siodeł brutalnymi uderzeniami toporów w szyję. Osferth rzucił włócznię w stronę najbliższego wojownika. Mężczyzna zawrócił, unikając ciosu, i galopem opuścił miejsce niespodziewanej rzezi, w wyniku której wzburzone morze zabarwiło się krwią. Jego towarzysz spał wierzchowca ostrogami i ruszył w jego ślady.

– Dwaj – powiedziałem do Rolla. – Nadjeżdżają.

Zaczailiśmy się po obu stronach ścieżki. Słyszałem zbliżający się odgłos podków. W rękę trzymałem Oddech Węża, a w sercu chowałem wściekłość. Patrzyłem na Bebbanburg z pokładu Reinbôge i widziałem moje dziedzictwo, moją fortecę, mój dom, miejsce, o którym marzyłem od dnia, kiedy je opuściłem. Dom, który mi odebrano. Teraz zamierzałem go odzyskać i zabić człowieka, który go sobie przywłaszczył.

Tak zaczęła się moja zemsta. Kiedy pojawił się pierwszy jeździec, skoczyłem

w jego stronę, wymachując mieczem. Jego koń cofnął się i skręcił w bok, tak że miecz chybił, ale wierzchowiec upadł, wyrzucając kopytami grudy piasku. Drugi koń wpadł na niego i też się wywrócił, a Rollo wyszczerzył zęby w uśmiechu, przykładając głownię miecza do piersi strażnika. Wierzchowce, błyskając białkami oczu, z wysiłkiem stanęły, a ja chwyciłem jednego z nich za uzdę, a stopę postawiłem na klatce piersiowej drugiego leżącego mężczyzny i przystawiłem mu Oddech Węża do gardła.

– Głupcze, nie wiesz, kim jestem? – zapytał.

– Wiem, kim jesteś – odparłem.

Rollo chwycił drugiego konia za uzdę i zabił jego właściciela krótkim, silnym pchnięciem, pod wpływem którego na piasek trysnęła krew. Obejrzałem się na Reinbôge i zobaczyłem, że Osferth pochwycił pozostałe wierzchowce, a jego ludzie zaciągnęli ciała na płyciznę i rozbierali je z kolczug, płaszczy i hełmów.

Pochyliłem się, odpiąłem miecz mojego jeńca, rzuciłem go Rollowi i kazałem mężczyźnie wstać.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– Cenwalh – wymamrotał.

– Głośniej!

– Cenwalh – powtórzył.

Deszcz zaczął mocniej padać. Był to niezyczliwy rzęsisty deszcz idący znad niespokojnego morza. Nagle się roześmiałem. To było czyste szaleństwo. Grupka przemoczonych desperatów przeciwko najpotężniejszej warowni w Brytanii? Dźgnąłem Cenwalha Oddechem Węża, zmuszając go do zrobienia kroku w tył.

– Ilu ludzi jest w Bebbanburgu? – zapytałem.

– Wystarczająco dużo, żeby dziesięć razy was zabić.

– Aż tylu? Czyli ilu?

Nie chciał odpowiedzieć, a później uznał, że uda mu się mnie oszukać.

– Trzydziestu ośmiu – odezwał się w końcu.

Poruszałem nadgarstkiem tak, żeby czubek Oddechu Węża przeciął mu skórę na szyi. Pojawiła się kropla krwi i ściekła pod kolczugę.

- A teraz spróbuj powiedzieć prawdę.
- Przyłożył dłoń do krwawiącego miejsca.
- Pięćdziesięciu ośmiu – rzekł ponuro.
- Łącznie z tobą i tamtymi?
- Łącznie z nami.

Uznałem, że tym razem mówi prawdę. Mój ojciec miał drużynę liczącą pięćdziesięciu–sześćdziesięciu ludzi, a Aelfric zapewne nie chciał przekraczać tej liczby, bo każdego członka straży przybocznej trzeba uzbroić, dać mu kolczugę, wykarmić i opłacić. W razie prawdziwego niebezpieczeństwa stryj mógł wezwać mężczyzn z ziem podległych Bebbanburgowi, lecz zebranie większych sił wymagało czasu. Musieliśmy więc poradzić sobie z dwukrotnie liczniejszym przeciwnikiem, jednak właśnie tego się spodziewałem.

Dołączyli do nas Osferth i jego ludzie. Przyprawdzili pięć zdobycznych koni, przywieźli też szaty, kolczugi, hełmy i broń zabitych.

– Zwróciliście uwagę, kto jechał na którym wierzchowcu? – zapytałem.

– Oczywiście, panie – odparł Osferth, obracając się, żeby popatrzeć na towarzyszy i konie. – Brązowy płaszcz na moręgowatym ogierze, niebieski na karym wałachu, skórzany kaftan na... – Zawahał się.

– Na srokatej klaczy – odezwał się mój syn. – Czarny płaszcz na mniejszym karym ogierze, a...

– Przebierajcie się – przerwałem mu i spojrzałem na Cenwalha. – A ty się rozbieraj.

– Mam się rozebrać? – Gapił się na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Zdejmuj ubranie – powiedziałem. – Albo rozbierzemy twoje zwłoki. Wybieraj.

Twierdzą opuściło siedmiu jeźdźców, strażnicy musieli więc zobaczyć siedmiu powracających wojowników. Oni doskonale znali tych ludzi, codziennie widywali też ich konie. Tym razem musieli więc także zobaczyć dokładnie to, czego się spodziewali. Gdyby należąca do Cenwalha brązowa peleryna w białe pasy opadała na zad niewłaściwego wierzchowca, strażnicy spostrzegliby się, że coś jest nie tak, jeśli jednak zobaczą ten płaszcz na jeźdźcu dosiadającym wysokiego gniadego ogiera

Cenwalha, uznają, że życie toczy się zwykłym torem.

Przebraliśmy się. Cenwalh w samej wełnianej koszuli, która zwisała mu za tyłek, trząsał się na zimnym wietrze. Wpatrywał się we mnie, kiedy zakładałem bladoniebieską pelerynę na kolczugę. Zobaczył, że wkładam kościany młot Thora pod kołnierz kolczy. Słyszał, jak Osferth zwraca się do mnie „panie”, i powoli zaczął zdawać sobie sprawę, kim jestem.

– Jesteś... – zaczął i przerwał. – Jesteś... – powtórzył.

– Jestem Uhtred Uhtredson – warknąłem. – Prawowity władca Bebbanburga. Chcesz złożyć mi przysięgę wierności?

Zawiesiłem sobie na piersi ciężki krzyż nieboszczyka. Jego hełm na mnie nie pasował, był za mały, włożyłem więc własny, ale peleryna miała kaptur, który naciągnąłem na srebrnego wilka. Przypiąłem też swój pas i zawiesiłem na nim miecz. Ukryłem je pod peleryną, bo chciałem, żeby Oddech Węża mi towarzyszył.

– Jesteś Uhtred Zdradziecki – powiedział bezbarwnym głosem Cenwalh.

– Tak mnie nazywa?

– Tak i gorzej.

Wziąłem od Rolla miecz Cenwalha i wyciągnąłem go z pochwy. Miał dobrą głownię, był dobrze utrzymany i ostry.

– Mój stryj żyje? – zapytałem Cenwalha.

– Żyje.

– Lordzie – poprawił Cenwalh Osferth. – Zwracaj się do niego „lordzie”.

– Aelfric musi być stary – powiedziałem. – Słyszałem też, że jest chory.

– Żyje – powtórzył Cenwalh, który uparcie odmawiał nazywania mnie lordem.

– A jego dolegliwości?

– To dolegliwości starego człowieka – odparł lekceważąco Cenwalh.

– A jego synowie?

– Dowodzi lord Uhtred. – Miał na myśli mojego kuzyna, Uhtreda, syna Aelfrica i ojca kolejnego Uhtreda.

– Opowiedz mi o synu Aelfrica – zażądałem.

– Jest podobny do ciebie – powiedział to tak, jakby było to jakieś nieszczęście.

– Jakie mieliście zadanie? – zapytałem.

– Zadanie?

– Wysłał was siedmiu. Po co?

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc pytania. Po chwili wzdrygnął się, jakbym przystawił mu ostrze miecza do twarzy. Spojrzał w stronę Reinbôge, o którą nadal rozbijały się spienione fale, podczas gdy przyływ znosił ją na plażę.

– Chcieliśmy obejrzeć łódź – powiedział ponuro.

– A spotkaliście nas. Ale co byście zrobili, gdyby nas tu nie było? – zapytałem.

– Uratowalibyśmy ją – odparł, nie odrywając wzroku od wyrzuconej na brzeg łodzi.

– I opróżnili ładownie. Kto by to zrobił? Ty?

– Wielu ludzi ze wsi – odrzekł.

A więc Cenwalh miał się upewnić, że przyływ wyrzucił Reinbôge na brzeg, a następnie zmusić wieśniaków do opróżnienia jej ładowni. Miał dopilnować, żeby praca została właściwie wykonana, by nie skradziono niczego wartościowego, a to znaczyło, że w twierdzy wcale nie oczekiwano powrotu siedmiu ludzi. Myślałem przez chwilę.

– A gdyby w łodzi nie było nic prócz balastu? – zapytałem.

Odpowiedział mi wzruszeniem ramion.

– To zależy, czy warto byłoby ją zachować. Wydaje się porządnie zbudowana.

– Wtedy byś ją zabezpieczył i zostawił na plaży do czasu uspokojenia się pogody.

Przytaknął.

– A gdyby lord Aelfric nie zechciał jej zatrzymać?

– Rozebralibyśmy ją na drewno albo sprzedali.

– A teraz opowiedz mi o twierdzy – zażądałem.

Nie powiedział mi nic, czego bym nie wiedział. Do Niskiej Bramy prowadziła droga, która wiała się przez wąski półwysep i pięła stromo ku drewnianemu łukowi. Za bramą rozpościerał się rozległy dziedziniec, który zajmowały stajnie i kuźnia.

Dziedziniec zewnętrzny otoczony był wysoką palisadą, ale wewnętrzna część twierdzy, zajmująca skalisty wyniosły szczyt, otoczona była jeszcze wyższymi obwarowaniami, a wstępu do niej broniła Wysoka Brama. Na szczycie tej skały znajdował się wielki dwór Aelfrica i mniejsze domostwa służące za kwatery dla jego straży przybocznej i członków rodziny. Kluczem do Bebbanburga była nie Niska Brama, mimo całej swej potęgi, lecz Wysoka Brama.

– Wysoka Brama pozostaje otwarta? – zapytałem.

– Jest zamknięta – odpowiedział zdecydowanym tonem Cenwalh. – Zawsze trzyma się ją zamkniętą. A on ciebie oczekuje.

Spojrzałem na niego.

– Oczekuje mnie?

– Lord Aelfric wie, że twój syn został mnichem, wie, że zostałeś wyrzutkiem. Sądzi, że przybędziesz na północ. Uważa cię za wariata. Mówi, że nie masz dokąd pójść, więc przybędziesz tu.

I ma rację – pomyślałem. Podmuch wiatru przyniósł ciężkie krople deszczu. Fale kotłowały się wokół Reinbôge.

– Nic nie wie – odparłem gniewnie. – I się nie dowie, dopóki nie zatopię miecza w jego gardle.

– On cię zabije – zadrwił Cenwalh.

Wtedy Rollo go zabił. Na mój znak. Duńczyk stał za dygocącym Cenwalhem, który dopóty nic nie wiedział o swojej śmierci, dopóki go nie zaskoczyła. Dostał cios mieczem w kark – mocny, śmiertelny, litościwy cios. Upadł na piach.

– Na koń – rzuciłem krótki rozkaz.

Siedmiu z nas dosiadło wierzchowców, trzech szło, jakby byli jeńcami.

I tak wróciłem do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

To będzie koniec zabijania.

Tak myślałem, jadąc do Bebbanburga, swojego domu. To będzie koniec zabijania. Wyrznię sobie drogę do twierdzy, a potem zamknę bramy i pozwolę światu pogrążyć się w chaosie, ale ja będę miał spokój za jej drewnianymi potężnymi obwałowaniami. Niech chrześcijanie, poganie, Sasi i Duńczycy walczą do chwili, aż wszyscy zostaną wycięci w pień – ja w Bebbanburgu będę żył niczym król i przekonam Aethelflaed, by została moją królową. Kupcy podróżujący po drogach biegnących wzdłuż wybrzeża będą płacili myto, tak samo jak przepływające statki, monety będą układały się w stosy, a my będziemy prowadzić spokojne życie.

Prędzej piekło zamarznie.

Ojciec Pyrlig często tak mawiał. Brakowało mi Pyrliga. Należał do dobrych chrześcijan, mimo że był Walijszykiem, a po śmierci Alfreda wrócił do Walii, gdzie – o ile było mi wiadomo – nadal żyje. Kiedyś był wojownikiem i pomyślałem sobie, że spodobałaby mu się ta zuchwała akcja. Dziewięciu ludzi przeciwko Bebbanburgowi. Nie liczyłem Blekulfa, właściciela Reinbôge, chociaż nam towarzyszył. Zaproponowałem mu, żeby został w pobliżu ukochanej łodzi, o którą wciąż się zamartwiał, ale obawiał się wieśniaków, a także bał o los syna, podążał więc za naszymi końmi.

Miałem ze sobą dziewięciu ludzi. Jednym z nich był mój syn. Poza tym Osferth, wierny Osferth, który zostałby królem, gdyby jego matka poślubiła jego ojca. Zawsze wydawało mi się, że Osferth mnie potępia, tak jak Alfred, jego ojciec, on jednak pozostał mi lojalny, podczas gdy tak wielu tchórzliwie mnie opuściło. Był z nami też inny Sas – Swithun. Pochodził z zachodu, imię dostał po jednym z najpopularniejszych świętych wśród Sasów, choć można było powiedzieć o nim

wszystko poza tym, że jest święty. Był to wysoki, wesoły, porywczy młodzieniec. Miał burzę jasnych włosów, niewinne niebieskie oczy, szeroki uśmiech i zwinne palce złodzieja. Przeprowadzili go do mnie wieśniacy żądający sprawiedliwości, którzy mieli dość jego występków. Chcieli, żebym go napiętnował, może uciął mu rękę. On jednak rzucił mi wyzwanie, a ja z rozbawieniem dałem mu miecz. Bez trudu go pokonałem, bo nie ćwiczył się w fechtunku, ale był silny i niemal równie szybki, jak Finan. Darowałem mu więc jego winy, pod warunkiem że złoży mi przysięgę wierności i zostanie moim człowiekiem. Lubiłem go.

Rollo był Duńczykiem. Wysoki, żyłasty, pokryty bliznami. W przeszłości służył innemu panu, którego imienia nigdy nie chciał zdradzić. Uciekł ze służby, łamiąc przysięgę, bo jego pan przyrzekł, że go zabije.

– Co zrobiłeś? – zapytałem, kiedy błagał mnie o przyjęcie na służbę.

– Jego żona – odparł.

– Niezbyt mądrze – powiedziałem.

– Ale przyjemnie.

Podczas bitwy był szybki jak łasica, zły i bezwzględny. Był człowiekiem, który widział straszne rzeczy i do nich przywykł. Czczył dawnych bogów, ale wziął sobie za żonę pulchną, małą chrześcijankę, która została z Sigunn w Londynie. Obawiała się go większość moich ludzi, ale jednocześnie go podziwiała, a najbardziej Eldgrim – młody Duńczyk, którego nagiego i pijanego znalazłem na jednej z uliczek Londynu. Został obrabowany i pobity. Miał okrągłą twarz o niewinnym wyrazie i gęste brązowe loki. Kobiety za nim przepadały, ale on nie rozstawał się z trzecim Duńczykiem, który też był z nami tego dnia. Kettil – podobnie jak Eldgrim – miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat i był szczupły, jak struna harfy. Wyglądał na delikatnego, ale to było mylne wrażenie, bo w bitwie okazywał się szybki i mocno trzymał tarczę. Kilku głupców spośród moich ludzi naśmiewało się z Kettila i Eldgrima z powodu ich przyjaźni, która daleko wykraczała poza zwykłą sympatię, ja jednak położyłem leszczynowe witki na dziedzińcu dworu w Fagranfordzie i zachęcałem, żeby stanęli z którymś z nich do walki na miecze. Witki pozostały nietknięte, a żarty ustały.

Z Bedehal do Bebbanburga przybyło też dwóch Fryzów. Folcbald był powolny jak

wół, ale uparty jak muł. Jeśli Folcbalda ustawi się za tarczą, nic go nie ruszy. Niezwykle silny, niezbyt lotny, lecz lojalny i w murze tarcz wart dwóch ludzi. Wibrund, jego kuzyn, łatwo się nudził, był pobudliwy, kłótniwy, ale użyteczny w czasie bitwy i niezmordowany przy wiosłach.

A więc nasza dziewiątka i Blekulf zmierzaliśmy do Bebbanburga. Szliśmy drogą biegnącą z leżącego na północy Bedehal. Po naszej prawej stronie znajdowały się wydmy, a po lewej rozmokłe pola na ciemnych wzgórzach. Deszcz padał coraz mocniej, choć wiatr ustał. Osferth spiął konia i podjechał do mnie. Miał na sobie ciężki czarny płaszcz z kapturem zakrywającym mu twarz, mimo to dostrzegłem cierpki uśmiech, który mi posłał.

– Obiecywałeś ciekawe życie – powiedział.

– Naprawdę?

– Lata temu, kiedy uratowałeś mnie od klasztoru – przypomniał mi. Jego ojciec chciał, aby jako bękart został mnichem, ale Osferth wybrał drogę wojownika.

– Mógłbyś skończyć nauki – odparłem. – Jestem pewien, że zrobiliby z ciebie jednego ze swoich czarowników.

– Oni nie są czarownikami – odrzekł cierpliwie.

Szeroko się uśmiechnąłem, zawsze lubiłem się z nim drażnić.

– Byłbyś dobrym księdzem – powiedziałem, tym razem poważnie. – Teraz pewnie już biskupem.

Pokręcił głową.

– Nie? To może chociaż opatem?

Skrzywił się.

– Opatem jakiegoś klasztoru na odludziu, który stara się uprawiać pszenicę na moczarach i intonuje modlitwy.

– Bez dwóch zdań zostałbyś biskupem – rzuciłem ze złością. – Twój ojciec był królem.

W odpowiedzi z jeszcze większym przekonaniem pokręcił głową.

– Jestem owocem grzechu ojca. Wolałby odsunąć mnie jak najdalej od siebie, ukryć wśród mokradeł, gdzie nikomu bym nie przypominał o popełnionym przez

niego grzechu. – Przeklął się. – Jestem dzieckiem grzechu, panie, a to oznacza potępienie.

– Słyszałem szaleńców mówiących rozsądniej od ciebie. Jak możesz czcić boga, który skazuje cię na potępienie za grzech ojca?

– Nie możemy wybierać bogów – odparł łagodnie. – Jest tylko jeden Bóg.

– Co za bzdura! Jak jeden bóg może zająć się całym światem? Jeden bóg na każdą siewkę, zimorodka, wydrę, strzyżyka, lisa, czajkę, jelenia, konia, górę, zagajnik, okonia, jaskółkę, łasicę, wierzbę i wróbla? Jeden bóg na każdy strumień, rzekę, zwierzę i człowieka?

To samo powiedziałem kiedyś ojcu Beocce. Biedak już nie żyje, ale tak samo jak Pyrlig był porządnym księdzem. Odpowiedział mi wtedy w podnieceniu:

– Nic nie rozumiesz! Nic nie rozumiesz. Bóg ma całą armię aniołów, którzy zajmują się światem. Wokół nas są serafini, cherubini, anielskie zastępy i dominia. – Machnął chromą ręką. – Otaczają nas niewidzialni aniołowie, Uhtredzie! Skrzydlaci słudzy Boży nas strzegą. Wiedzą nawet o najmniejszym wróblu, który wypadł z gniazda!

– I cóż robią dla tego wróbla poza gniazdem? – zapytałem, ale Beocca nie potrafił mi na to odpowiedzieć.

Miałem nadzieję, że niskie ciemne chmury i ulewny deszcz ukryją Bebbanburg przed oczami aniołów. Stryj i kuzyn byli chrześcijanami, więc aniołowie mogli ich chronić, o ile takie magiczne skrzydlate stworzenia rzeczywiście istnieją. Możliwe. Wierzę w istnienie chrześcijańskiego boga, ale nie w to, że jest jedynym bóstwem. Jest zawistną, posępną, samotną istotą, która nienawidzi innych bogów i przeciwko nim spiskuje. Kiedy czasem o nim myślę, staje mi przed oczami Alfred, tyle że on miał w sobie jakąś przyzwoitość i dobroć. Ale nieustannie pracował, myślał albo się czymś zamartwiał. Bóg chrześcijan też nigdy nie odpoczywa ani nie przestaje planować. Moi bogowie lubią poleniuchować w sali biesiadnej, zabrać boginie do łóżnicy, bywają pijani, rozpustni i szczęśliwi. Tymczasem chrześcijański bóg przejmuje świat w czasie, gdy oni uczują i cudzołożą.

Mewa przeleciała nad ścieżką, próbowałem więc odczytać, czy jej lot wróży nam

dobrze czy źle. Osferth zwykle zaprzecza możliwości czytania w przyszłości, wówczas jednak pogrążony był w ponurych myślach. Wierzył, że jako bękarta nie obejmuje go zbawienie oferowane przez jego odrażającego boga i że klątwa ta będzie trwała dziesięć pokoleń. Wierzył w to, bo tak mówi święta księga chrześcijan.

– Myślisz o śmierci – stwierdziłem oskarżycielsko.

– Codziennie – odparł. – Ale dziś więcej niż zwykle.

– Masz przeczucie?

– Obawy, panie. Jedynie obawy.

– Obawy?

Roześmiał się ponuro.

– Spójrz tylko na nas! Dziewięciu mężczyzn!

– Są jeszcze ludzie Finana – przypomniałem mu.

– Jeśli dobije do brzegu – odrzekł pesymistycznie.

– Dobije.

– Może to tylko pogoda – odparł. – Trudno być wesołym.

Ale ta pogoda nam sprzyjała. Strażnicy warowni się znudzili. Wartę sprawuje się dzień w dzień, niewiele się dzieje, w kółko to samo, pod wpływem takiej rutyny ludziom tępieją zmysły. Jeszcze gorzej jest nocą albo w paskudną pogodę. Deszcz dawał w kość strażnikom, a przemoczony, zmarznięty wartownik źle pełni służbę.

Droga biegła nieznacznie w górę. Po mojej lewej stronie na niewielkim pastwisku wznosiły się stogi siana. Z zadowoleniem dostrzegłem, że każdy stał na grubej warstwie liści paproci. Mój ojciec zwykle wściekał się na ceorłów, którzy nie kładli paproci pod siano. „Chcecie mieć szczury, wy pustogłowi głupcy?! – wrzeszczał. – Chcecie, żeby siano wam zgniło?! Chcecie mieć kiszonkę zamiast siana? Czy wy na niczym się nie znacie, patałachy?!” W rzeczywistości sam niezbyt znał się na uprawie ziemi, ale wiedział, że warstwa z liści paproci powstrzymuje wilgoć i odstrasza szczury, lubił więc popisywać się tą szczyptą wiedzy. Uśmiechnąłem się, kiedy o tym pomyślałem. Może kiedy znów zostanę panem Bebbanburga, będę mógł pozwolić sobie na to, żeby złościć się o stogi siana. Mały czarno-biały pies zaczął szczekać przy chałupie, a potem pobiegł za końmi, które – najwidoczniej przyzwyczajone do niego –

zupełnie nie zwróciły na to uwagi. Jakiś mężczyzna wystawił głowę przez drzwi chaty i krzyknął, żeby uciszyć psa, a widząc nas, skłonił się. Droga znów zaczęła się wznosić, zaledwie o kilka stóp, kiedy jednak dotarliśmy na szczyt pagórka, nagle ukazał nam się Bebbanburg.

Ida, mój przodek, przyплыł tu z Fryzji. Legenda rodzinna głosi, że przywiódł trzy łodzie z wygłodniałymi wojownikami, a kiedy przybił do dzikiego wybrzeża, miejscowi ukryli się w otoczonej częstokołem twierdzy wznoszącej się na skale, która oddzielała zatokę od morza. Właśnie ta skała stała się Bebbanburgiem. Ida, nazywany Niosącym Ogień, spalił ich drewniane obwarowania i wszystkich wyrzwał. Usypał z ich głów stos mający stanowić ostrzeżenie dla tych, którzy ośmielą się zaatakować skrwawioną skałę. Zajął warownię, utrzymał ją w posiadaniu, opanował także ziemie leżące w odległości dnia szybkiej jazdy od nowych wysokich wałów obronnych, a jego królestwo zwano Bernicją. Wnuk Idy, król Aethelfrith, nękał całą północną Brytanię i zmusił rdzenną ludność do wycofania się na dzikie wzgórza. Pojął za żonę Bebbę, od której imienia forteca wzięła swoją nazwę.

Teraz warownia należała do mnie. Nie byliśmy już królestwem, bo Bernicja – podobnie jak inne państewka – została wchłonięta przez Northumbrię, ale my nadal dzierżyliśmy twierdzę Bebbby. A raczej Aelfric miał ją w posiadaniu. Tego chłodnego, szarego, mokrego ranka jechałem ją odzyskać.

Wynurzała się, a może tylko mi się to zdawało, bo obraz warowni nosiłem w sercu od dnia, kiedy ją opuściłem. Skała, na której wznosi się Bebbanburg, biegnie niczym grań na północ i na południe, więc od południowej strony nie wydaje się rozległa. Znajdowaliśmy się w pobliżu zewnętrznych wałów wzmocnionych olbrzymimi pniami dębowymi, z tej strony jednak warownia była najbardziej narażona na atak, ponieważ nachylenie skały pozwalało się do niej zbliżyć, dlatego dolne partie wałów zostały obłożone kamieniami. To było coś nowego w porównaniu z czasami mojego ojca. Niska Brama tworzyła łuk zwieńczony platformą obronną, był to najdoskonalszy fragment systemu obronnego Bebbanburga, ponieważ można było zbliżyć się do niej jedynie wąską ścieżką, która biegła wzdłuż piaszczystego wzniesienia. Początkowo była dość szeroka, ale później, w miarę zbliżania się do potężnych wrót, nadal obwieszonych ludzkimi czaszkami, stawała się coraz węższa. Nie wiem, czy były to te

same głowy, które Ida Niosący Ogień obgotował z ciała w kotle z wrzącą wodą, z pewnością jednak były stare i szczyrzyły pożółkłe zębiska w stronę potencjalnych napastników. Choć Niska Brama była najsłabszą częścią Bebbanburga, i tak budziła grozę. Wystarczyło utrzymać tę bramę, żeby twierdza była bezpieczna, o ile wróg nie zaatakował z morza i nie rozpoczął oblężenia wyższych murów. Taki plan wymagałby jednak niezwyklej śmiałości, bo skała była stroma, a obwarowania wysokie, obrońcy zaś mogli zrzucić na napastników grad włóczni, kamieni i strzał.

Nawet gdyby wrogowi udało się zdobyć Niską Bramę, obrońcy nadal mieli szansę utrzymać twierdzę, gdyż obwieszane czaszkami wrota prowadziły tylko na dolny dziedziniec. Zza murów dostrzegłem dachy budynków. Na dolnym dziedzińcu stały magazyny, stajnie i kuźnia. Znad niej unosił się słup ciemnego dymu kierowany przez nawałnicę w głąb lądu. Dalej skała ponownie się wznosiła, a na jej szczycie widniał mur wewnętrzny, wyższy od zewnętrznego, wzmocniony ogromnymi głazami i przebity kolejną potężną bramą. Za Wysoką Bramą znajdowało się serce twierdzy, ponad dachem wielkiego dworu unosił się dym i moja rodowa chorągiew. Wilk na sztandarze łopotał ponuro na mokrym wietrze. Ten widok mnie rozzłościł. To była moja chorągiew, moje godło, a wywiesił ją mój wróg. Ale to ja byłem wilkiem i właśnie wróciłem do matecznika.

– Zgarbcie się! – rozkazałem swoim ludziom.

Musieliśmy wyglądać na zmęczonych i znużonych, przygarbiliśmy się więc w siodłach, pozwalając powolnym koniom samodzielnie podążać ścieżką, którą znały lepiej od nas. Ja też ją znałem. Spędziłem tu dziesięć pierwszych lat mojego życia i doskonale rozpoznawałem tę dróżkę, skałę, plażę, port i wioskę. Warownia wznosiła się nad nami. Na lewo od twierdzy rozpościerał się płytki niczym jezioro port. Łączył się z wpadającym do niego od północy kanałem – statki, które wpłynęły do przystani, musiały uważać, żeby nie osiąść na mieliźnie. Widziałem Middelniht. W pobliżu naszego okrętu stało na kotwicy kilka mniejszych – kutrów rybackich – oraz dwa statki równie duże, jak Middelniht, albo nawet od niej większe, wyglądało jednak na to, że na żadnym z pokładów nie było załogi. Od teraz Finan mógł nas obserwować.

Za portem, na zboczach wzgórz, leżała osada rybaków i rolników. Była tam

karczma, kuźnia i kamienista plaża, na której ogniska paliły się pod rusztami z suszącymi się rybami. Kiedy byłem dzieckiem, do moich zadań należało odganianie mew od stojaków, teraz też widziałem dzieci przeganiające ptaki. Uśmiechnąłem się, bo rozpoznałem swój dom, ale po chwili, gdy zbliżyliśmy się do bramy, mój uśmiech zgasł. Ścieżka rozchodziła się, jedna jej odnoga biegła na zachód, okrążając znajdujący się poniżej port, i docierała do wioski, a druga wspinała się ku Niskiej Bramie.

Brama stała otworem. Nikt niczego się nie spodziewał. Za dnia wrota zapewne zawsze pozostawały otwarte, tak jak bramy miasta. Straż miała mnóstwo czasu, żeby dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo i zamknąć potężne wierzeje, tego deszczowego ranka wartownicy zobaczyli jednak tylko to, czego się spodziewali, żaden więc nie ruszył się z platformy.

Finan i jego trzech towarzysze zeskoczyli z pokładu Middelniht i ruszyli w bród w stronę brzegu. Wydało mi się, że nie byli uzbrojeni, ale to nie miało znaczenia, bo mieliśmy własną broń i tę, którą udało nam się zdobyć. Uznałem, że strażnicy powiedzieli Finanowi, ilu ludzi może jednocześnie zejść na ląd. Warunkiem uzyskania na to zgody było również pozostawienie oręża na pokładzie. Wolałbym, żeby było ich więcej niż czterech, bo razem było nas trzynastu – moja grupa liczyła dziewięciu mężczyzn, łącznie z Blekulfem – a ta liczba przynosi pecha. Wszyscy wiedzą, i nawet chrześcijanie to przyznają, że trzynastka jest złym omenem. Oni twierdzą, że jest ona nieszczęśliwa dlatego, iż Judasz był trzynastym uczestnikiem ostatniej wieczerzy. W rzeczywistości jednak wiąże się to z tym, że Loki, złośliwi i przebiegły zabójca, jest trzynastym bogiem w Asgardzie.

– Folcbaldzie! – zawołałem.

– Panie?

– Kiedy dotrzemy do bramy, zostaniesz z Blekulfem pod łukiem.

– Mam zostać... – upewnił się z niedowierzaniem. Liczył na to, że weźmie udział w walce, a ja kazałem mu trzymać się z tyłu. – Chcesz, żebym...

– Chcę, żebyś został z Blekulfem! – przerwałem mu. – Czekał z nim pod bramą, aż powiem ci, żebyś do nas dołączył.

– Tak, panie – odparł.

Teraz było nas dwunastu.

Finan nie zwracał na mnie uwagi. Znajdował się jakieś pięćdziesiąt kroków ode mnie, kierował się powoli w stronę twierdzy. Znaleźliśmy się bliżej Dolnej Bramy, nasze konie brnęły pod górę przez płytkie błoto, kiedy nagle wyrosła przed nami olbrzymia, obwieszona czaszkami budowla. Spuściłem głowę i pozwoliłem ogierowi iść stępą. Ktoś zawołał coś ze szczytu budynku bramnego, ale wiatr i deszcz porwały słowa. Brzmiało to jak powitanie, więc odpowiedziałem tylko znużonym ruchem dłoni. Zjechaliśmy z piaszczystego traktu i kopyta zastukały po ścieżce wykutej w skale. Odgłos podków głośno rozbrzmiewał niczym rytm zagrzewający do bitwy. Koń jednak szedł stępą, a ja przygarbiłem się w siodle i pochyliłem głowę. I wtedy nagle zrobiło się jeszcze ciemniej, deszcz przestał bić o kaptur mojego płaszcza, a kiedy spojrzałem w górę, okazało się, że przejeżdżamy przez bramę.

Byłem w domu.

Pod ciężkim płaszczem ukrywałem miecz Cenwalha i teraz go upuściłem, żeby Finan miał broń. Moi ludzie zrobili to samo, oręż z głośnym brzękiem upadł na kamienną drogę. Mój koń spłoszył się z powodu hałasu, ale zdołałem go powściągnąć i pochyliłem głowę, by uniknąć uderzenia głową w drewnianą belkę wewnątrz budynku bramnego.

Niska Brama była otwarta i miało to sens, bo za dnia nieustannie ktoś przez nią wchodził i wychodził. Tuż za bramą leżała sterta koszy oraz wełnianych worków pozostawionych dla wieśniaków, którzy zaopatrywali warownię w ryby lub chleb. Te wrota o zmierzchu zamykano, były też dzień i noc strzeżone, ale Wysoka Brama – zgodnie ze słowami Cenwalha – powinna być stale zawarta. I to też było sensowne. Wróg mógł zająć Niską Bramę z dziedzińcem, ale dopóki nie sforsował Wysokiej Bramy i mocarnych, wzmocnionych kamieniem obwałowań, dopóty ani na krok nie zbliżył się do zajęcia Bebbanburga.

Tymczasem kiedy znalazłem się na dolnym dziedzińcu, zobaczyłem, że Wysoka Brama stoi otworem.

Przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Spodziewałem się zaciętej,

gwałtownej walki, a tu droga do serca warowni stała przede mną otworem. Strażnicy zajmowali platformę na budynku bramnym, ale samych wrót nikt nie pilnował. Wydawało mi się, że śnię. Wjechałem spokojnie do Bebbanburga, nikt nie stanął mi na drodze, a na dodatek ci głupcy pozostawili wieże rozwarte na oścież! Przytrzymałem konia, żeby poczekać na Finana.

– Sprowadź resztę załogi na brzeg – powiedziałem do niego.

Po prawej stronie grupa mężczyzn ćwiczyła manewry z tarczami. Ósemką młodych wojowników dowodził przysadzisty brodacz, który wrzeszczał, żeby tworzyli bardziej zwarty mur. Byli to zapewne chłopcy z pobliskich gospodarstw werbowani w razie ataku na ziemie Bebbanburga. Używali starych mieczy i wysłużonych tarcz. Dowodzący nimi mężczyzna rzucił na nas okiem, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Przede mną, w odległości zaledwie jakichś stu kroków, stała otwarta na oścież Wysoka Brama, po mojej lewej stronie znajdowała się kuźnia, z której unosił się ciemny dym. Dwóch strażników uzbrojonych we włócznie opierało się o ścianę w pobliżu wejścia do kuźni. Jakiś mężczyzna zawołał z wieży bramnej: „Cenwalh!”. Nie zwróciłem na niego uwagi, a on powtórzył: „Cenwalh!”. W odpowiedzi uniosłem dłoń i to najwyraźniej go zadowoliło, bo zamilkł. Nadchodził czas, żeby rozpocząć bitwę. Moi ludzie tylko czekali na sygnał, przez chwilę czułem jednak, jakby niedowierzenie mnie obezwładniło. Byłem w domu! Byłem w Bebbanburgu. Wtedy mój syn popędził konia i stanął u mego boku.

– Ojciec? – odezwał się zmartwiony.

Nadszedł czas, żeby dać upust wściekłości. Dotknąłem piętą boku mojego wierzchowca, który natychmiast skręcił w lewo, podążając znaną mu ścieżką do stajni, które stały obok kuźni. Skróciłem cugle, kierując go w stronę Wysokiej Bramy.

I wtedy dojrzały mnie psy.

Dwa olbrzymie kudłate wilczarze śpiące pod prowizoryczną wiatą, gdzie składowano siano. Jeden z nich nas ujrzał, zerwał się i w susach, machając ogonem, pobiegł w naszą stronę. Nagle zatrzymał się nieufnie i wyszczerzył zęby. Warknął i szczeknął. Drugi brytan też się zerwał. Teraz oba ujadały, pędząc w moją stronę, a mój koń gwałtownie uskoczył w bok.

Przysadzisty mężczyzna szkolący wojowników natychmiast wiedział, co należy zrobić. Zrozumiał, że coś nie gra, i podjął właściwą decyzję. Wrzasnął do straży na Wysokiej Bramie:

– Zamknijcie wrota! Zamknijcie wrota!

Pognałem konia w stronę bramy, ale psy stanęły mi na drodze. Może należały do Cenwalha, bo jako jedyne w całej warowni nabrały podejrzeń. Wiedziały, że nie jestem Cenwalhem. Jeden z nich skoczył, jakby chciał zagryźć mojego wierzchowca, wyciągnąłem więc Oddech Węża, podczas gdy ogier oganiał się od brytana zębami.

– Do bramy! – krzyknąłem do moich ludzi.

– Zamknijcie wrota! – wrzeszczał brodacz.

Zabrzmiał róg. Pognałem konia i minąłem psy, ale było już za późno. Wrota zamknięto i usłyszałem szcęk opadającej belki. Kląłem bezsilnie. Na murach nad Wysoką Bramą pojawili się ludzie, było ich zbyt dużo. Znajdowali się jakieś dwadzieścia stóp nade mną, a obleganie tak olbrzymiej drewnianej bramy miało się z celem. Moją jedyną szansą było zdobycie fortecy z zaskoczenia, ale psy pokrzyżowały mi plany.

Brodacz biegł w moją stronę. W tej chwili rozsądnie było się wycofać, uznać, że przegrałem, i póki mieliśmy jeszcze czas, uciec przez otwartą Niską Bramę i dotrzeć do Middelniht. Nie miałem jednak zamiaru tak łatwo się poddawać. Moi ludzie zatrzymali się pośrodku dziedzińca, nie wiedząc, co robić, tymczasem brodacz wrzeszczał do mnie, żądając wyjaśnień, kim jestem, psy ujadły, a mój podenerwowany wierzchowiec rzucał się na boki. Z wewnętrznego dziedzińca dobiegło do mnie szczekanie innych psów.

– Zajmijcie wrota! – zawołałem do Osfertha, wskazując na Niską Bramę.

Skoro nie mogłem zdobyć górnej części fortecy, chciałem przynajmniej utrzymać jej dolną część. Zacinał deszcz, gnany przez wiatr od morza. Stojący przy kuźni strażnicy unieśli włócznie, ale żaden nie ruszył w moją stronę, Finan natomiast szedł w ich kierunku na czele dwóch ludzi.

Brodaty chwycił mojego konia za uzdę, nie widziałem więc, co robi Finan.

– Kim jesteś? – zapytał. Psy się uspokoiły, pewnie dlatego, że go znały. – Kim

jesteś? – powtórzył. Jego ośmiu młodocianych podkomendnych patrzyło na nas z szeroko rozwartymi oczami, zapomniawszy o tarczach i mieczach. – Kim jesteś?! – wrzasnął trzeci raz. – Chryste, nie! – krzyknął.

Patrzył w stronę kuźni. Spojrzałem też w tamtym kierunku i zobaczyłem, że Finan rozpoczął rzeź. Obaj strażnicy leżeli na ziemi, ale Finan i jego towarzysze zniknęli. Wtedy wyciągnąłem stopy ze strzemion i zsunąłem się z siodła.

Wszystko robiłem źle. Byłem zdezorientowany. Nie da się tego uniknąć w bitwie, ale brak zdecydowania jest niewybaczalny, a ja się wahałem przy każdej decyzji, co więcej, wszystkie te, które podejmowałem, okazywały się błędne. Powinienem był się szybko wycofać, ale ja nie chciałem opuszczać Bebbanburga, pozwoliłem więc Finanowi zabić strażników. Wysłałem Osfertha, żeby zajął Niską Bramę, a to znaczyło, że moi ludzie znaleźli się w budynku bramnym i obok niego, a także w kuźni. Na brzegu zapewne czekała załoga Middelniht, podczas gdy ja zostałem odcięty na dziedzińcu, sam na sam z wymachującym mieczem brodaczem. I znów popełniłem błąd. Zamiast zawołać Finana i starać się zebrać wszystkich swoich ludzi, odparowałem cios Oddechem Węża i zadałem przeciwnikowi dwa mocne uderzenia, cofnąłem się o dwa kroki, żeby mógł zaatakować, a kiedy złapał haczyk i ruszył do przodu, pchnąłem go mieczem w brzuch. Poczułem, że ostrze przecina kolczugę, przebija skórę i zagłębia się w miękkim ciele. Mężczyzna zadrżał, kiedy przekręciłem Oddech Węża, a następnie opadł na kolana. Upadł twarzą ku ziemi, kiedy wyciągnąłem sztych z jego bebechów. Dwaj chłopcy ruszyli w moją stronę, ale odwróciłem się do nich z mieczem w dłoni, czerwonym od krwi.

– Życie wam niemile? – warknąłem.

Odsunąłem kaptur ze swojego zwieńczonego figurką wilka hełmu i zamknąłem osłony policzkowe. Oni byli dzieciakami, a ja wojownikiem.

I głupcem, bo wszystko zrobiłem źle. A później wrota Wysokiej Bramy się rozwarły.

Na dziedzińcu wybiegli ludzie. W kolczugach, z mieczami, włóczniami i tarczami. Przy dwudziestu straciłem rachubę, a ich nadal przybywało.

– Panie! – zawołał z Niskiej Bramy Osferth. Zdobył ją i zobaczyłem swojego syna

na szczycie platformy. – Panie! – krzyknął ponownie.

Chciał, żebym się wycofał i do niego dołączył, ale ja spojrzałem na kuźnię, obok której na deszczu leżało dwóch martwych strażników. Nie dostrzegłem Finana.

Potem usłyszałem dźwięk włóczni i mieczy uderzających o tarcze i zobaczyłem ludzi stryja tworzących mur przed Wysoką Bramą. Co najmniej czterdziestu, rytmicznie uderzali klingami w tarcze z wierzbowego drewna. Byli pewni siebie, dowodził nimi wysoki mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w kolczugę, ale bez hełmu. Nie miał też tarczy, tylko miecz. Mur tarcz przecinał drogę biegnącą między skałami i szeroką na dwunastu ludzi. Teraz zjawili się moi wojownicy, przeszli przez Niską Bramę i też utworzyli mur tarcz. Wiedziałem jednak, że przegrałem. Mogłem zaatakować, mogliśmy nawet przedrzeć się na wzgórze przez szereg obrońców – choć musielibyśmy wyrąbać i przebić się przez każdy jego cal – ale na wznoszącej się ponad nami Wysokiej Bramie stacjonowali wojownicy gotowi obsypać nas gradem włóczni i kamieni. A nawet gdyby udało mi się wdrzeć pod bramę, wrota były zamknięte. Przegrałem.

Wysoki mężczyzna stojący przed nieprzyjaciółmi pstryknął palcami, na ten znak służący podał mu hełm i płaszcz. Dowódca przywdział jedno i drugie, wziął miecz i powoli ruszył w moją stronę. Jego ludzie stali z tyłu. Dwa psy winne wszystkich moich kłopotów podbiegły do niego, a on znów pstryknął palcami. Na ten znak wilczarze się położyły. Zatrzymał się jakieś dwadzieścia kroków ode mnie, nisko trzymając miecz. Była to kosztowna broń, miała ciężką od złota rękojeść, a jej głownia połyskiwała takim samym wijącym się deseniem, jaki lśnił na przejrzystej jak woda stalowej klindze Oddechu Węża. Mężczyzna spojrzał na nasze konie.

– Gdzie jest Cenwalh? – zapytał. – Pewnie nie żyje – dodał, kiedy nic nie odpowiedziałem. Przytaknąłem. – Ojciec mówił, że się zjawisz – powiedział, wzruszając ramionami.

To był Uhtred, mój kuzyn, syn Aelfrica. Był kilka lat młodszy ode mnie, ale równie dobrze mogłem patrzeć na własne odbicie. Nie odziedziczył ciemnych włosów ojca i jego drobnej budowy ciała, lecz był krzepki, jasnowłosy i arogancki. Miał krótko przystrzyżoną jasną brodę i intensywnie niebieskie oczy. Jego hełm, tak samo

jak mój, wieńczył żelazny wilk, ale osłony policzkowe były inkrustowane złotem. Zarzucony na ramiona czarny płaszcz obszyty został wilczym futrem.

– Cenwalh był dobrym człowiekiem – powiedział. – Zabiłeś go? – Nic nie odpowiedziałem. – Zapomniałeś języka w gębie, Uhtredzie? – warknął.

– Po co tracić słowa na kozi wypierdek? – zapytałem.

– Ojciec zawsze powtarzał, że pies wraca do swoich wymiocin, stąd wiedział, że się tu zjawisz. Może powinienem cię przywitać? Zrobię to! Witaj, Uhtredzie! – Skłonił się kpiąco. – Mamy ale, mamy mięso i chleb, pożywisz się z nami w górnym dworze?

– Dlaczego nie mielibyśmy tu stoczyć pojedynku? – zaproponowałem. – Tylko ty i ja?

– Bo mam przewagę liczebną – odparł spokojnie. – I gdybyśmy mieli walczyć, wolałbym was wszystkich wyciąć w pień, a nie tylko nakarmić moje psy twoimi flakami.

– Więc walcz – rzuciłem zaczepnie. Odwróciłem się i wskazałem na swoich ludzi tworzących mur tarcz przy Niskiej Bramie. – Odciepli wam wyjście. Nie wyjdziecie stąd, dopóki nas nie pokonacie.

– A jak uda wam się utrzymać bramę, kiedy za plecami będziecie mieli setkę wojowników? – zapytał syn Aelfrica. – Jutro rano, Uhtredzie, droga na grobli będzie odcięta. Może masz wystarczająco duże zapasy żywności. Tu nie ma studni, ale może przywiozłeś wodę albo ale?

– Więc walcz ze mną teraz – odparłem. – Okaż odrobinę odwagi.

– Po co rozpoczynać bitwę, skoro już jesteś pokonany? – zapytał, a potem podniósł głos, żeby moi ludzie go usłyszeli. – Daruję wam życie! Możecie opuścić warownię! Możecie wrócić do swojej łodzi i odpłynąć! Nie zrobimy nic, żeby was powstrzymać! Chcemy tylko, żeby Uhtred tu został! – Uśmiechnął się. – Widzisz jak bardzo nam zależy na twoim towarzystwie? Jesteśmy przecież rodziną, musisz dać się odpowiednio ugościć. Przyjechałeś z synem?

Zawahałem się nie dlatego, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale dlatego, że zapytał tylko o jednego syna. A zatem wiedział, co się stało, wiedział, że wyrzekłem

się pierwородnego.

– Oczywiście, że tak – powiedział syn Aelfrica i znów podniósł głos. – Uhtred zostanie tu razem ze swoim szczeniakiem! Reszta może odjechać! Jeśli jednak postanowicie zostać, już nigdy nie opuścicie tej warowni!

Próbował zwrócić moich ludzi przeciwko mnie, wątpiłem jednak, żeby mu się to udało. Przysięgli mi lojalność i nawet gdyby chcieli skorzystać z jego propozycji, nie złamałoby tak łatwo danego słowa. Gdybym poległ, niektórzy by się poddali, ale dopóki żyłem, nikt nie chciał okazać nielojalności wobec towarzyszy. Syn Aelfrica doskonale o tym wiedział, chciał jednak zasiać niepewność w sercach moich wojowników. Wiedzieli, że zostałem pokonany, ale przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji czekali na mój ruch.

Kuzyn spojrzał na mnie.

– Rzuć miecz – rozkazał.

– Prędeż wepchnę ci go we flaki – odparłem.

To był bezcelowy opór. On wygrał, a ja zostałem pokonany. Nadal mieliśmy jednak szansę dotrzeć do Middelniht i opuścić port, nie chciałem jednak wycofać się z ludźmi bez Finana i jego towarzyszy. Gdzie oni się podziewali? Nie mógłbym go opuścić, nigdy. Byliśmy sobie bliżsi niż bracia. Tymczasem ich trójka zniknęła w kuźni, zacząłem się więc obawiać, że zostali pokonani i leżą martwi na ziemi albo co gorsza, dostali się do niewoli.

– Przekonasz się, że nasi ludzie są śmiertelnościami wojownikami. Ćwiczymy się tak samo jak wy i tak jak wy mamy praktykę. Dlatego udało nam się utrzymać Bebbanburg: nawet Duńczycy nie mają ochoty poczuć naszych mieczy. Jeśli więc rozpoczniesz bitwę, będę żałował ludzi, których stracę, ale obiecuję ci, że zapłacisz za ich śmierć. Będziesz długo umierał i odejdiesz bez miecza, Uhtredzie. Umrzesz powoli i w męczarniach, ale najpierw tak samo potraktuję twojego syna. Będziesz patrzył na jego zgon. Będziesz słuchał, jak wzywa zmarłą matkę. Będziesz słyszał jego błagania o litość, ale nie będzie dla niego litości. Czy tego chcesz? – Przerwał, czekając na odpowiedź, ja jednak milczałem. – Rzuć miecz – odezwał się znowu – a obiecuję wam obu szybką i bezbolesną śmierć.

Nadal się wahałem, nie potrafiłem podjąć decyzji. Oczywiście wiedziałem, co zrobić, wiedziałem też, że powinienem poprowadzić swoich ludzi do Middelniht, ale dopóty nie mogłem wydać tego rozkazu, dopóki Finan się nie odnajdzie. Chciałem spojrzeć w kierunku kuźni, ale obawiałem się, że w ten sposób zwrócę uwagę kuzyna na budynek, wpatrywałem się więc w niego, podczas gdy w mojej głowie trwała gonitwa myśli. Próbując znaleźć inne wyjście z tej patowej sytuacji, nagle poczułem, że on też się denerwuje. Nie było to widoczne na pierwszy rzut oka. Wyglądał imponująco w czarnym płaszczu, hełmie zwieńczonym figurką wilka i ozdobionym chrześcijańskimi krzyżami oraz z mieczem równie ogromnym, jak Oddech Węża, pod jego pewnością siebie krył się jednak strach. Był spięty.

– Gdzie jest twój ojciec? – spytałem. – Chciałbym, żeby zobaczył twoją śmierć.

– To on będzie oglądał twoją śmierć – odrzekł kuzyn Uhtred.

Czyżby się obruszył? Jego niepokój ledwo się wyczuwało, ale byłem go pewien.

– Będziemy walczyć – powiedziałem stanowczo.

– Niech tak będzie – zgodził się ze spokojem. To nie strach przed walką go niepokoił. A może źle go oceniłem? Może nie było w nim niepokoju. Kuzyn odwrócił się do swoich ludzi. – Weźcie Uhtreda żywcem! Resztę wytnijcie w pień, ale Uhtreda i jego syna weźcie żywcem!

Oddalił się, nawet nie spojrzawszy w moją stronę.

Ja tymczasem zawróciłem do Niskiej Bramy, gdzie czekali na mnie moi ludzie z ustawionymi w mur tarczami i przygotowaną bronią.

– Osfercie!

– Panie?

– Gdzie jest Finan?

– Poszedł do kuźni, panie.

– Tyle sam wiem!

Miałem nadzieję, że Irlandczyk wyszedł z kuźni, a ja tego nie zauważyłem, ale Osferth zapewnił mnie, że nie opuścił budynku. A zatem trzech moich wojowników pozostało w ciemnościach. Obawiałem się, że zginęli. Podejrzewałem, że wewnątrz znajdowali się inni strażnicy, którzy ich pokonali. Jeśli tak było, dlaczego nie pokazali

się w drzwiach budynku? Chciałem wysłać ludzi, żeby dowiedzieli się, co spotkało Finana, to jednak osłabiłoby już i tak wąły mur.

Wojownicy kuzyna zaczęli uderzać mieczami w tarcze. Wybijali rytm uderzeniami stali w drewno, zbliżając się w naszą stronę.

– Za chwilę zrobimy kiel dzika – powiedziałem do moich ludzi. – A potem złamiemy ich szereg.

To była nasza jedyna nadzieja. Szyk ten pozwalał niewielkiemu oddziałowi przeprowadzić szarżę niczym odyniec. Musieliśmy szybko zaatakować z nadzieją, że uda nam się przebić przez mur tarcz, złamać go i rozpocząć rzeź. To była nasza szansa, ale obawiałem się, że kiel dzika się załamie.

– Uhtredzie! – zawołałem.

– Ojczy?

– Powinieneś wziąć konia i uciekać. Jedź na południe. Nie zatrzymuj się, dopóki nie dotrzesz do przyjaciół. Zachowaj przy życiu nasz ród i pewnego dnia wróc tu, żeby odebrać warownię.

– Jeśli tu zginę – dodał mój syn – będę dzierżył tę warownię aż do dnia sądu ostatecznego.

Takiej odpowiedzi – czy czegoś w tym rodzaju – się spodziewałem, nie zamierzałem więc się z nim spierać. Nawet gdyby ruszył na południe, wątpiłem, by udało mu się dotrzeć do bezpiecznego miejsca. Stryj wysłałby za nim pościg, a ziemię między Bebbanburgiem a opanowaną przez Sasów Brytanią zamieszkiwali wyłącznie wrogowie. Mimo to dałem mu wybór. Może mój najstarszy syn – ten, który się wyświęcił – ożeni się i będzie miał dzieci, a jeden z jego synów usłyszy o tej bitwie i będzie chciał mnie pomścić.

Parki drwiły ze mnie. Rzuciłem wyzwanie i przegrałem. Zostałem złapany w zasadzkę, ludzie mojego kuzyna dotarli do krańca kamiennej ścieżki i ustawili się w szereg. Ich mur tarcz był szerszy od mojego. Mogli otoczyć nasze flanki i wybić nas toporami, włóczniami i mieczami.

– Cofnijcie się – powiedziałem swoim ludziom.

Nadal planowałem uformowanie kła dzika, na razie jednak chciałem, żeby kuzyn

myślał, iż zamierzamy ustawić mur tarcz w łuku Niskiej Bramy. Widząc to, powinien zrezygnować z pomysłu oflankowania nas. Miałem nadzieję, że stanie się ostrożniejszy. Wówczas mógłbym poprowadzić szarżę z nadzieją na złamanie jego szyków. Osferth stał obok, a mój syn z tyłu. Znaleźliśmy się pod bramą, wtedy posłałem Rolla, Kettila i Eldgrima na platformę, żeby zrzucali głazy na zbliżających się wrogów. Osferth powiedział mi, że znajdują się tam stosy kamieni przygotowanych do obrony, mogłem więc liczyć na to, że uda nam się przeżyć tę bitwę. Wątpiłem, byśmy zdołali zdobyć Wysoką Bramę, ale teraz samo przeżycie i dotarcie do Middelniht byłoby wystarczającym zwycięstwem.

Kuzyn wziął swoją tarczę. Była to okrągła, okuta żelazem tarcza z wierzbowego drewna z dużym umbem z brązu. Jej brzegi zostały pomalowane na czerwono, a na krwistym tle widniała czarno-szara głowa wilka. Przeciwnicy ścieśnili szeregi, brzegi ich tarcz zaszyły na siebie. Znad morza znów zacinął rzęsisty deszcz, krople wody kapały z hełmów, tarcz i ostrzy włóczy. Było zimno, mokro i szaro.

– Tarcze! – zawołałem i krótki pierwszy szereg, składający się zaledwie z sześciu mężczyzn otoczonych dębowymi ścianami tunelu bramnego, zetknął brzegi swoich tarcz.

Niech podejda – pomyślałem. – Niech zginą na naszych umbach. Żeby wykorzystać kiel dzika, musiałem opuścić schronienie, które dawała nam brama. Nadal byłem niezdecydowany, ale wróg się zatrzymał. To było normalne. Ludzie musieli przygotować się do walki. Mój kuzyn przemówił do nich, ale nie byłem w stanie rozpoznać słów. Usłyszałem wiwaty, później znów ruszyli. Nadeszli szybciej, niż się spodziewałem. Myślałem, że będą dłużej się szykować, obrzucać nas obelgami, ale oni byli dobrze wyszkoleni i pewni siebie. Posuwali się powoli, przemyślnie, w zwartym szyku. Nadchodzili jak wojownicy idący na bitwę, którą spodziewają się wygrać. Pośrodku szeregu, obok mojego kuzyna, szedł czarnobrody olbrzym z toporem na długim stylisku. To on miał mnie zaatakować. Zamierzał toporem roztrzaskać moją tarczę, odsłaniając mnie na pchnięcie kuzyna. Uniosłem Oddech Węża, potem przypomniałem sobie, że mój kościany młot Thora nadal pozostawał ukryty pod kolczugą. To był zły omen, a wojownik nie powinien iść w bój, gdy ciąży na nim zły omen. Chciałem zerwać srebrny krzyż z szyi, ale w lewej ręce trzymałem

tarczę, a w prawej Oddech Węża.

Zły omen podpowiadał mi, że tam zginę. Ścisnąłem mocniej dłoń na mieczu, bo on był moją przepustką do Walhalli. Będę walczyć – myślałem – i przegram, ale walkirie przeniosą mnie do lepszego świata, który znajduje się poza tym. A czy istnieje lepsze miejsce, na śmierć niż Bebbanburg?

I wtedy znów zabrzmiał róg.

To był głośny jęk, w niczym nieprzypominający zagrzewającego do walki, śmiałego dźwięku pierwszego sygnału alarmowego, który zagrał z Bramy Wysokiej. Ten brzmiał, jakby na rogu grał rozentuzjasmowany dzieciak i jego wrzaskliwy ton skłonił mojego kuzyna do spojrzenia na kuźnię. Ja też skierowałem tam wzrok. W drzwiach stał Finan. Ponownie zadał w róg, po czym zniesmaczony dźwiękiem, jaki z niego wydał, rzucił instrument na ziemię.

Nie był sam.

Kilka kroków przed nim stała kobieta. Wydawała się młoda i była ubrana w białą suknię ze złotym paskiem. Jej włosy były koloru jasnego złota, tak jasne, że niemal białe. Nie miała na sobie ani płaszcza, ani peleryny, deszcz więc sprawił, że materiał lepił się do jej szczupłego ciała. Stała w bezruchu, ale nawet z odległości dostrzegłem grymas cierpienia na jej twarzy.

Mój kuzyn patrzył w jej stronę, po chwili zatrzymał się, bo Finan uniósł miecz. Irlandczyk nie groził kobiecie, tylko stał, uśmiechając się szeroko i trzymając miecz z długą obnażoną głownią. Kuzyn spojrzał na mnie, na jego twarzy malowała się niepewność, potem znów odwrócił się w stronę kuźni, dokładnie w tym samym momencie pojawili się dwaj towarzysze Finana, każdy prowadził jeńca.

Jednym z nich był mój stryj Aelfric, drugi był jeszcze chłopcem.

– Chcesz, żeby zginęli? – zawołał do mojego kuzyna Finan. – Chcesz, żebym wypruł im flaki? – Podrzucił miecz wysoko w powietrze, tak że się obrócił, spadając. To było aroganckie zachowanie. Wszyscy obecni na dziedzińcu patrzyli, jak zręcznie chwytają broń za rękojeść. – Chcesz, żebym ich flakami nakarmił psy? Tego chcesz? Służę ci, na żywot Chrystusa, służę ci! To będzie dla mnie czysta przyjemność. Twoje psy wydają się głodne.

Odwrócił się i złapał chłopczyka. Zobaczyłem, że kuzyn daje znak swoim ludziom, każe im się zatrzymać. Teraz zrozumiałem, czemu wydawał się nerwowy – wiedział, że w kuźni przebywa jego jedyny syn.

Finan wziął chłopca na zakładnika. Trzymając go za ramię, zaprowadził do mnie. Ulfar, jeden z moich Duńczyków, podążył za nim, prowadząc stryja, a kobieta – najwidoczniej matka chłopca – z własnej woli ruszyła w ich ślady. Nikt jej nie trzymał, ale zapewne nie chciała zostawić syna.

Finan nadal uśmiechał się od ucha do ucha, kiedy do mnie dotarł.

– Ten zaszczany szczeniak twierdzi, że nazywa się Uhtred. Uwierzyłybyś, że dzisiaj są jego urodziny? Skończył jedenaście lat i dziadek kupił mu konia, wspaniałe zwierzę! Właśnie go podkuwali. Popsułem im rozkoszną rodzinną wycieczkę.

Ulga spłynęła po mnie jak woda wpływająca do suchego koryta rzecznego. Jeszcze przed chwilą znajdowałem się w potrzasku i byłem skazany na porażkę, a teraz syn kuzyna był moim jeńcem. A także jego żona – jak się domyślałem – i jego ojciec. Uśmiechnąłem się do odzianego w czarny płaszcz wroga.

– Czas, żebyś to ty rzucił miecz – powiedziałem.

– Ojcie! – Chłopiec szarpał się, starając wyrwać Finanowi i pobiec do ojca, ale uderzyłem go, zadałem dotkliwy cios ciężkim okutym żelazem brzegiem tarczy, który wywołał krzyk bólu chłopca i protest jego matki.

– Stój spokojnie, mały bękarcie – rozkazałem.

– Nigdzie się nie wybiera – odezwał się Irlandczyk, trzymając dziecko za ramię.

Spojrzałem na kobietę.

– A ty jak się nazywasz? – spytałem.

Przybrała hardą pozę, wyprostowała się i spojrzała mi w oczy.

– Ingulfrid – odparła lodowato.

Ciekawe – pomyślałem. Wiedziałem, że mój kuzyn wziął sobie Dunkę za żonę, ale nikt mi nie powiedział, jaka jest piękna.

– To twój syn? – zapytałem.

– Tak.

– Jedynak?

Przez chwilę się wahała, po czym przytaknęła stanowczo. Słyszałem, że urodziła trzech chłopców, ale tylko jeden przeżył.

– Uhtredzie! – zawołał mój kuzyn.

– Ojczy? – odpowiedział chłopiec. Na jego prawym policzku, gdzie moja tarcza przecięła skórę, pojawiła się plama krwi.

– Nie ty, chłopcze. Mówię do niego. – Kuzyn wskazał mieczem na mnie.

Opuściłem tarczę i podszedłem do krewnego.

– A więc – powiedziałem – wygląda na to, że obaj znaleźliśmy się w równie trudnym położeniu. Będziemy walczyć? Tylko ty i ja? Będziemy losować brzoźowe witki?

– Bij się z nim! – krzyknął stryj.

– Puść moją żonę i syna – zażądał kuzyn. – A będziesz mógł odejść w spokoju.

Udałem, że rozważam jego propozycję, po czym pokręciłem głową.

– To będzie więcej kosztowało. Ojca nie chcesz odzyskać?

– Jego oczywiście też.

– Dajesz mi jedno, czyli możliwość odejścia, w zamian za trzy osoby. To nie ma sensu, kuzynie.

– Czego więc chcesz?

– Bebbanburga – odrzekłem. – Ponieważ należy do mnie.

– Warownia nie należy do ciebie – odparł opryskliwie stryj.

Odwróciłem się, żeby na niego spojrzeć. Postarzał się, był sędziwy i przygarbiony, a jego ogorzałą twarz pokrywały głębokie bruzdy. Zachował jednak inteligentne spojrzenie. Jego ciemne włosy zrobiły się białe i opadały na chude ramiona. Miał na sobie bogato wyszywaną szatę oraz ciężki, podbity futrem płaszcz. Kiedy mój ojciec odjechał na wojnę tylko po to, aby zginąć pod Eoferwikiem, Aelfric przysiągł na grzebień Świętego Kutberta, że odda mi twierdzę, kiedy osiągnę dojrzałość, zamiast jednak dochować obietnicy, próbował mnie zabić. Chciał kupić mnie od Ragnara, człowieka, u którego się wychowałem, a później zapłacił, żebym został sprzedany w niewolę. Nienawidziłem go bardziej niż jakąkolwiek inną istotę na ziemi. Zaręczył się nawet z moją ukochaną Giselą, chociaż wziąłem ją na długo przed tym, zanim

dotarła do jego łoża. To było moje małe zwycięstwo, ale to teraz było większe. Został moim jeńcem, choć nic w jego zachowaniu nie wskazywało, aby się za takiego uważał. Patrzył na mnie z pogardą.

– Bebbanburg nie należy do ciebie – powiedział.

– Jest mój na mocy prawa dziedziczenia – odparłem.

– Dziedziczenia! – Splunął. – Bebbanburg należy do tego, kto jest wystarczająco silny, aby go utrzymać, a nie do głupca, który wymachuje czynami na pergaminie. Twój ojciec tego właśnie by chciał! Często mówił mi, że jesteś nieodpowiedzialnym półgłówkiem. Zamierzał oddać twierdzę twojemu starszemu bratu, a nie tobie! Teraz jest moja, a pewnego dnia znajdzie się w rękach mojego syna.

Miałem ochotę zabić tego łżącego drania, ale był stary i słaby. Stary, słaby i jadowity niczym żmija.

– Lady Ingulfrid jest przemoczona i zmarznięta – odezwałem się do Osfertha. – Podaj jej płaszcz mojego stryja.

Jeśli Ingulfrid była wdzięczna za mój gest, nie okazała tego. Dość chętnie przyjęła płaszcz i owinęła szyję ciężkim, futrzanym kołnierzem. Drżała, ale patrzyła na mnie z odrazą. Odwróciła się do mojego kuzyna, a swojego męża.

– Może powinieneś wykupić swoją rodzinę, ceną będzie złoto – zaproponowałem.

– Oni nie są niewolnikami, żeby ich sprzedawać i kupować – odwarknęła.

Spojrzałem na niego, udając, że nagle przyszedł mi do głowy pomysł.

– Dobra myśl! Niewolnicy! Finanie!

– Tak, panie?

– Ile można obecnie dostać za dobrego saskiego chłopca we Frankonii?

– Wystarczająco dużo, żeby kupić frankijski płaszcz kolczy, panie.

– Aż tyle?

Finan udał, że szacuje wartość chłopca.

– Chłopak dobrze wygląda. Ma trochę ciała na kościach. Niejeden dobrze zapłaci za pulchny saski zadek, panie.

– A za kobietę?

Irlandczyk obejrzał ją od stóp do głów, po czym pokręcił głową.

– Wygląda dość dobrze, ale jest już wysłużona. Zostało jej może jeszcze kilka lat. Można będzie dostać za nią na konia jucznego. Więcej, jeśli umie gotować.

– Umiesz gotować? – zapytałem Ingulfrid, ale nie doczekałem się żadnej odpowiedzi poza nienawistnym spojrzeniem. Ponownie zwróciłem się do kuzyna. – Koń juczny i płaszcz kolczy – powiedziałem, udając, że się namyślam. – Chcę więcej niż to. Znacznie więcej – stwierdziłem, kręcąc głową.

– Możesz odejść w spokoju, a dodatkowo wypłacę ci złoto.

– Ile złota?

Spojrzał na ojca. Jasne było, że Aelfric oddał mu dowodzenie warownią, zachował jednak kontrolę nad kwestiami finansowymi.

– Tyle, ile się zmieści w jego hełmie – odparł ponuro stryj.

– Napełnię twój hełm złotymi monetami – zaproponował mi kuzyn.

– To będzie okup za twoją żonę – odparłem. – A ile dasz za dziedzica?

– Tyle samo – odrzekł gorzko.

– To o wiele za mało – zaprotestowałem. – Ale wymienię wszystkich troje za Bebbanburg.

– Nie! – krzyknął stryj. – Nie!

Zignorowałem go.

– Oddaj mi, co moje – powiedziałem do kuzyna. – A ja oddam, co twoje.

– Możesz zrobić sobie innych synów – prychnął Aelfric. – Bebbanburg nie należy do ciebie, żebyś mógł go oddawać. Jest mój!

– Rzeczywiście należy do niego? – spytałem kuzyna.

– Oczywiście, że tak – odparł z uporem.

– A ty jesteś jego następcą?

– Zgadza się.

Zrobiłem krok w stronę jeńców i chwyciłem stryja za jego wychudzony kark. Potrząsnąłem nim tak, jak terier potrząsa szczurem, a potem obróciłem do siebie, żeby móc uśmiechnąć mu się w twarz.

– Wiedziałaś, że tu wrócę – powiedziałem.

– Miałem taką nadzieję – odparł.

– Bebbanburg należy do mnie i dobrze o tym wiesz.

– Bebbanburg należy do tego, kto zdoła go utrzymać – odparł wyzywająco. – A tobie się to nie udało.

– Miałem dziesięć lat, kiedy mi go ukradłeś – zaprotestowałem. – Byłem nawet młodszy od niego! – Wskazałem na wnuka Aelfrica.

– Twój ojciec nie utrzymał twierdzy – odrzekł stryj. – Jak głupiec pojechał na pewną śmierć, a ty jesteś taki sam jak on. Jesteś głupcem. Jesteś porywczy, nieudolny i nieodpowiedzialny. Załóżmy, na chwilę, że odzyskasz Bebbanburg. Jak długo uda ci się go utrzymać? Ty, któremu nigdy nie udało się utrzymać żadnej własności? Zawsze traciłeś ziemię, które miałeś, a majątek, który zdobyłeś, wyrzuciłeś w błoto! – Spojrzał na swojego syna. – Ty utrzymasz Bebbanburg – rozkazał. – Bez względu na cenę!

– Ceną jest życie twojego syna – powiedziałem kuzynowi.

– Nie! – krzyknęła Ingulfrid.

– Nie zapłacimy ceny, której żądasz – oświadczył stryj. Spojrzał na mnie ciemnymi oczami. – Zabij więc chłopaka. – Zamilkł. – Podałeś swoją cenę, a ja jej nie zapłacę! – warknął po chwili. – Więc zabij go!

– Ojczy... – odezwał się z niepokojem mój kuzyn.

Aelfric zwrócił się w stronę syna z szybkością węża. Nadal trzymałem go mocno za kark, chociaż nie starał się uciec.

– Możesz sobie spłodzić nowych synów! – Wypalił w kierunku mojego kuzyna. – Synów łatwo się robi! Czyż twoje dziwki nie mają wystarczająco dużo szczeniaków? Wioska jest pełna twoich bękartów, więc ożeń się z inną dziewczką i daj jej synów, ale nie oddawaj warowni! Bebbanburg jest wart więcej niż twój syn! Nigdy nie zdobędziesz kolejnego Bebbanburga, a zawsze możesz spłodzić nowych synów!

Spojrzałem na kuzyna.

– Oddaj mi Bebbanburg, a ja oddam ci syna – powiedziałem.

– Odrzuciłem już tę cenę! – warknął stryj.

Więc go zabiłem.

Tego się nie spodziewałem. Nikt się tego nie spodziewał. Trzymałem starca za kark,

więc musiałem tylko podnieść Oddech Węża i przebić nim jego gardło. Zrobiłem to szybko, znacznie szybciej, niż na to zasługiwał. Miecz napotkał opór jego wychudzonego gardła, starzec skręcał się jak węgorz, ale mocniej pchnąłem ostrze, tak że przeszło przez mięśnie, ścięgna, tchawicę i naczynia krwionośne. Aelfric wydał westchnienie, dziwny, niemal kobiecy okrzyk, a później był już w stanie tylko charcząć i chrypieć, podczas gdy jego krew lała się na ziemię. Upadł przede mną na kolana. Oparłem but na jego plecach i przycisnąłem, tak żeby leżał płasko. Przez kilka sekund szarpał się, walcząc o oddech i wykonując takie gesty rękoma, jakby chciał objąć ziemię, na której stała warownia. Później wstrząsnął nim ostatni spazm, po którym znieruchomiał. Poczulem nieokreślony zawód. Przez lata marzyłem o zabiciu tego człowieka. W snach planowałem jego śmierć, wymyślałem coraz to boleśniejsze sposoby wysłania go na tamten świat, tymczasem litościwie szybko poderżnąłem mu gardło. Wszystkie marzenia na nic! Szturchnąłem nogą martwego człowieka i spojrzałem na jego syna.

– Teraz to ty podejmujesz decyzje – powiedziałem.

Zapadło milczenie. Padał deszcz i wiał wiatr, a ludzie mojego kuzyna wpatrywali się w ciało. Wiedziałem, że ich świat nagle się zmienił. Wszyscy przez całe życie znajdowali się pod dowództwem Aelfrica, którego nagle zabrakło. Jego śmierć była dla nich szokiem.

– A zatem? – odezwałem się do kuzyna. – Kupisz życie swojego syna?

Patrzył na mnie w milczeniu.

– Odpowiadaj, ty szcurzy pomiole. Oddasz Bebbanburg za syna?

– Zapłacę ci za Bebbanburg – odpowiedział niepewnie. Spojrzał na ciało ojca. Domyśliłem się, że miał z nim niełatwą relację, tak samo jak ja ze swoim, ale mimo wszystko był przerażony. Ponownie spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Był stary! Musiałeś zabić starca?

– Był złodziejem – odparłem. – Całe życie marzyłem o tym, żeby go zgładzić.

– Był stary! – powtórzył.

– Miał szczęście – warknąłem. – Miał szczęście, że umarł tak szybko. Marzyłem, żeby zmarł powolną śmiercią. Ale bez względu na to, czy zginął szybko czy wolno,

oddałem go Kąsającemu w Mroku*, a jeśli nie zwrócisz mi Bebbanburga, pošlę tam również ciebie i twojego syna.

– Dam ci złoto – obiecał. – Dużo złota.

– Znasz moją cenę – odrzekłem.

Wskazałem zakrwawioną głoŹnią Oddechu Węza na jego syna. Z czubka sztychu kapala czerwona od krwi deszczówka. Kiedy zbliżyłem miecz do chłopca, Ingulfrid krzyknęła.

Ja już byłem niezdecydowany i niepewny. Teraz przyszła pora na mojego kuzyna. Czy Bebbanburg rzeczywiście był wart życia syna? Ingulfrid go błagała. Objęła chłopca, po twarzy płynęły jej łzy. Kuzyn skrzywił się, kiedy wykrzykiwała swe prośby. Chwilę później ku mojemu zdumieniu odwrócił się i rozkazał swoim ludziom wrócić do Wysokiej Bramy.

– Dam ci trochę czasu do namysłu – oświadczył. – Wiedz jednak, że nie oddam warowni. Pod koniec dnia możesz zostać z martwym chłopcem albo majątkiem. Musisz zdecydować przed zmrokiem – powiedziawszy to, odszedł.

– Panie! – zawołała do męża Ingulfrid.

Odwrócił się, ale zamiast do niej, zwrócił się do mnie:

– Uwolnisz moją żonę?

– Nie jest jeńcem, w każdej chwili może odejść, ale zatrzymam chłopca – odparłem.

Ingulfrid nie puszczała ramion syna.

– Zostanę ze swoim dzieckiem – oświadczyła zaciekle.

– Pójdiesz ze mną, kobieto – rozkazał kuzyn.

– Ty tu nie dowodzisz – powiedziałem. – Niech twoja żona robi, jak zechce.

Spojrzał na mnie, jakby pomyślał, że do reszty straciłem rozum.

– Niech robi, jak zechce? – Nie wypowiedział tych słów, raczej wymamrotał je w zdumieniu, potem pokręcił głową z niedowierzaniem i ponownie się odwrócił. Zabrał swoich ludzi, zostawiając dolny dziedziniec pod naszą kontrolą.

Finan odebrał matce chłopca i oddał go Osferthowi.

– Nie pozwól uciec szczeniakowi – przykazał, po czym podszedł do mnie

i popatrzył na mojego kuzyna prowadzącego ludzi do Wysokiej Bramy. Począł, aż zniknęli za obwarowaniami, a wrota się za nimi zatrzasnęły. – Jest gotów dać dużo złota za chłopca – powiedział ciszej Irlandczyk.

– Złoto jest dobre – odparłem celowo niedbałym tonem. Słyszałem dźwięk belki bramnej opadającej na wsporniki.

– A martwy chłopak na nic się nam nie przyda – stwierdził głośnie Finan.

– Wiem.

– Ale i tak zamierzasz go zabić – odparł przyjaciel. Nadal mówił na tyle cicho, żebym tylko ja go słyszał.

– Może nie?

– Nie jesteś dzieciobójcą.

– Może najwyższy czas to zmienić.

– Nie zabijesz go, więc weź złoto. – Zamilkł na chwilę, czekając, aż coś powiem, ale ja się nie odezwałem. – Trzeba opłacić ludzi – dodał.

To była prawda. Byłem ich hłafordem, rozdawcą złota, tymczasem w ciągu ostatnich tygodni jedyne, co zrobiłem, to poprowadziłem ich ku klęsce. Finan zasugerował, że niektórzy moi wojownicy mogą mnie opuścić. Choć złożyli przysięgę, prawda jest taka, że uświęcamy ślubowanie wierności wzniosłą przysięgą dlatego, iż jest tak często łamane. Jeśli któryś wojownik uzna, że może znaleźć bogactwa i zaszczyty u boku innego pana, opuści mnie, a ja już miałem niewielu ludzi.

– Ufasz mi? – Uśmiechnąłem się do Finana.

– Wiesz, że tak.

– Powiedz więc ludziom, że zapewnię im bogate łupy. Powiedz im, że dzięki mnie ich imiona zostaną zapisane w kronikach. Powiedz im, że będą wysławiani. Powiedz im, że zdobędą sławę.

– Jak zamierzasz to zrobić? – Przyjaciel posłał mi krzywy uśmiech.

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Ale tak będzie. – Podeszedłem do Ingulfrid wpatrującej się w syna. – I co? – zagadnąłem. – Mąż zapłaci za ciebie okup?

Nie odpowiedziała, zapewne ją też dręczyło to pytanie. Mój kuzyn traktował żonę z obojętną pogardą, mogłem więc przypuszczać, że jest niemal bez wartości jako

zakładniczka. Chłopiec jednak był wart fortunę.

Przeczcucie podpowiadało mi, żeby zrezygnować z tej fortuny, przynajmniej chwilowo. Spojrzałem na niego. Był hardy, bliski łez, ale dzielny. Ponownie rozważyłem wybór, jaki mi dano. Wziąć złoto czy zaufać przeczcuciu? Nie miałem pojęcia, co przyniesie przyszłość, ale intuicja podpowiadała mi, żeby dokonać mniej pociągającego wyboru. Bogowie mi to podszeptowali. Co jeszcze podpowiadał mi głos wewnętrzny?

– Finanie. – Odwróciłem się gwałtownie w stronę wiaty, gdzie wcześniej spały psy. – Zbierz całe to siano i rozłóż je wokół palisady. I bramy.

– Masz zamiar spalić warownię?

– Siano zawilgotniało – odparłem. – Ułóż jednak odpowiednio grubą warstwę, część musiała pozostać sucha. Brama, kuźnia i stajnie spłoną. Spal to wszystko.

Kuzyn nie utrzyma Bebbanburga, bo bez warowni zostanie z niczym. Będzie Sasem zagubionym na terytorium opanowanym przez Duńczyków. Będzie musiał wyruszyć na wyprawę łupieżczą albo złożyć hołd Edwardowi z Wessexu. W Bebbanburgu był natomiast władcą wszystkich ziem, do których mógł dotrzeć w ciągu dnia jazdy. Był też bogaty. To wszystko było warte życia dwóch jego synów, a jak powiedział Aelfric, zawsze mógł spłodzić kolejnych. Kuzyn utrzyma wprawdzie twierdzę, ale ja wcześniej spalę, co tylko się da.

Wyprowadziliśmy konie ze stajni i puściliśmy wolno za bramą, po czym podpaliliśmy zabudowania na dziedzińcu. Kuzyn nie próbował nas powstrzymać, tylko obserwował moich ludzi z wysokich wewnętrznych obwarowań. Kiedy dym wymieszał się z deszczem, wróciliśmy na Middelniht. Dotarliśmy w bród do łodzi – zabrawszy ze sobą Ingulfrid i jej syna – i weszliśmy na pokład. Rozkazałem spalić długie okręty kuzyna, aby nie mógł nas ścigać. Drewno jednak nasiąkło od deszczu, więc Finan wziął trzech ludzi, którzy przecięli liny trzymające maszty, a następnie wyrąbali olbrzymie otwory w kadłubach. Oba statki osiadały na mulistym dnie portu, kiedy rozkazałem załodze chwycić za wiosła Middelniht. Nadal padało, ale płomienie palących się zabudowań były jasne i wysokie, a słupy dymu wznosiły się ku czarnym chmurom.

Wiatr osłabł, morze jednak pozostało wzburzone i białe grzywy rozbijały się o płyciznę u wejścia do portu. Podczas gdy my kierowaliśmy się w tę białą kipieli, gdzie fale biły w wyniosły dziób Middelniht, mój kuzyn i jego ludzie obserwowali, jak wypływamy na pełne morze. Oddaliliśmy się od brzegu, pośród wściekłych bałwanów minęliśmy wyspy i tam postawiliśmy żagiel, po czym ruszyliśmy na południe.

I tak opuściliśmy Bebbanburg.

* Kąsający w Mroku (Nidhogg) – w mitologii skandynawskiej wąż-smok podgryzający korzenie Yggdrasillu, drzewa życia, i wysysający krew ze zwłok.

CZEŚĆ TRZECIA
POGŁOSKI O WOJNIE

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ruszyłem na południe, żeby kuzyn uznał, że wróciłem do południowej Brytanii, jednak gdy tylko słupy dymu unoszące się nad Bebbanburgiem zmieniły się w szarą smugę na tle ciemnych chmur, zawróciłem na wschód.

Nie wiedziałem, dokąd się udać.

Na północy leżała Szkocja zamieszкана przez dzikusów czekających tylko na okazję, żeby sprawić Sasom krwawą łaźnię. Dalej osady Norwegów zaludnione posępnyimi ludźmi ubranymi w cuchnące focze skóry, uparcie trwającymi na skalistych wyspach i podobnie jak Szkoci gotowymi raczej zabić, niż zgotować nam ciepłe powitanie. Na południu rozciągały się ziemie Sasów, ale chrześcijanie zadbali o to, żeby nie chciano mnie przyjąć ani w Wessexie, ani w Mercji. Nie widziałem też swojej przyszłości w Anglii Wschodniej, zawróciłem więc ponownie ku odludnym wyspom fryzyjskim.

Nie wiedziałem, dokąd indziej mógłbym się udać.

Kusiło mnie, żeby przyjąć złoto oferowane przez kuzyna. Złoto zawsze się przyda. Można za nie kupić ludzi, statki, konie i broń, przecucie jednak podpowiadało mi, żeby zatrzymać chłopca. Wezwałem go, gdy płynęliśmy na południe, gnani przez rzeński, stały i pewny północny wiatr.

– Jak masz na imię? – zapytałem go.

Spojrzał na mnie zdziwiony, a później obejrzał się na matkę, która obserwowała nas z niepokojem.

– Mam na imię Uhtred – odparł.

– Nie. Twoje imię brzmi Osbert – rzekłem.

– Na imię mi Uhtred – upierał się mężnie.

Mocno uderzyłem go otwartą dłonią. Ręka zaboląła mnie od ciosu, a chłopcu

musiało zadzwonić w uszach, bo zatoczył się i wypadłby za burtę, gdyby Finan go nie złapał. Ingulfrid głośno zaprotestowała, ale nie zwracałem na nią uwagi.

– Twoje imię to Osbert – powtórzyłem. Tym razem chłopak się nie odezwał, tylko patrzył na mnie ze łzami i z uporem w oczach. – Jak masz na imię? – zapytałem, on wpatrywał się we mnie i ujrzałem wyzwanie w jego upartej twarzy, więc ponownie uniosłem dłoń.

– Osbert – wymamrotał.

– Nie dosłyszałem!

– Osbert – powtórzył głośniej.

– Słyszeliście?! – zwołałem do załogi. – Ten chłopak ma na imię Osbert!

Jego matka spojrzała na mnie, otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale się nie odezwała.

– Ja mam na imię Uhtred – powiedziałem chłopcu. – Mój syn też ma na imię Uhtred, co oznacza, że na tym statku jest zbyt wielu Uhtredów, więc od teraz masz na imię Osbert. A teraz wracaj do matki.

Finan przykucnął obok mnie przy wiośle sterowym w typowy dla siebie sposób. Fale nadal były spore, wiatr mocny, ale nie było grzywiastych bałwanów, a wiało spokojniej niż uprzednio. Przestało padać i między chmurami pojawiły się nawet przejaśnienia, przez które prześwitywały promienie słoneczne, tworząc na morzu roziskrzane plamy. Finan spojrzał na wodę.

– Mogliśmy teraz liczyć złote monety, panie – odezwał się. – A zamiast tego mamy kobietę i dziecko.

– Już prawie nie jest dzieckiem – powiedziałem. – To niemal mężczyzna.

– Tak czy siak, jest wart złota.

– Uważasz, że powinienem przyjąć okup za niego?

– Ty mi to powiedz, panie.

Zastanawiałem się nad tym. Wewnętrzny głos podpowiedział mi, żeby zabrać chłopca. Nadal jednak nie byłem pewny, z jakiego powodu to zrobiłem.

– Jest dziedzicem Bebbanburga, to znaczy, że jest cenny – odparłem.

– To prawda.

– Nie tylko dla ojca, lecz także dla wrogów jego ojca.

– Czyli?

– Na przykład Duńczyków – powiedziałem ogólnikowo, bo nadal nie byłem pewny, dlaczego zatrzymałem chłopca.

– Czy to nie dziwne? – ciągnął Finan. – Żona i dzieci Kanuta Ranulfsona są gdzieś jeńcami, a my teraz mamy tych dwoje. Wygląda na to, że nastał sezon na porywanie żon i dzieci. – W jego głosie brzmiało rozbawienie.

Zastanawiałem się, kto uwięził rodzinę Kanuta. Mówiłem sobie, że to nie moja sprawa, bo zostałem wygnany z saskiej Brytanii, ale to pytanie mnie dręczyło. Nasuwała się oczywista odpowiedź, że zrobili to Sasi, aby uciszyć Kanuta, kiedy zaatakują duńskich panów północnej Mercji albo osłabione królestwo Anglii Wschodniej. Jednakże Aethelflaed nic na ten temat nie słyszała. Miała szpiegów na dworach zarówno męża, jak i brata, więc z pewnością doszłyby do niej słuchy, gdyby Aethelred lub Edward porwali żonę Kanuta. Tymczasem ci szpiegowie o niczym takim jej nie donieśli. Nie wierzyłem też, aby Edward z Wessexu wysłał ludzi, żeby wzięli do niewoli rodzinę Kanuta. Za bardzo obawiał się zamieszek wśród Duńczyków, był też pod zbyt silnym wpływem bojaźliwych księży. Aethelred? Możliwe, że jego nowa kobieta i jej wojowniczy brat podjęli takie ryzyko, jednak wówczas Aethelflaed z pewnością by o tym wiedziała. A zatem kto ich porwał?

Finan nadal na mnie patrzył, czekając na odpowiedź. Zamiast tego zadałem mu pytanie:

– Kto jest naszym największym wrogiem?

– Twój kuzyn.

– Jeśli więc przyjmę to złoto – tłumaczyłem w równym stopniu sobie i przyjacielowi – on wyśle ludzi, żeby nas wykończyli. Będzie chciał odzyskać skarb. Pozostanie jednak ostrożny, dopóki przetrzymujemy jego żonę i syna.

– To prawda – przyznał Irlandczyk.

– A cena nie spadnie tylko dlatego, że poczekamy na zapłatę – ciągnąłem. – Kuzyn zapłaci za miesiąc albo za rok.

– Chyba że weźmie sobie nową żonę – zauważył sceptycznie Finan. – Bo za tą nie

będzie chciał dużo zapłacić. – Wskazał głową na Ingulfrid, kulącą się tuż przed platformą sterowniczą. Nadal miała na sobie płaszcz Aelfrica i opiekuńczo obejmowała syna.

– Nie przepada za nią – stwierdziłem z rozbawieniem.

– Może inna kobieta grzeje jego łożę – zastanawiał się Finan. – A ona jest tylko jego żoną.

– Tylko? – zapytałem.

– Nie ożenił się z nią z miłości – odparł Irlandczyk. – A nawet jeśli, uczucie dawno przeminęło. Zapewne poślubił ją dla ziemi lub ze względu na sojusz z jej ojcem.

Kobieta była Dunką. To mnie zainteresowało. Bebbanburg był niewielkim obszarem saskim w duńskim królestwie i Duńczykom wcale się to nie podobało. Duńska żona wskazywałaby jednak, że kuzyn zawarł z nimi sojusz.

– Pani! – zawołałem. Spojrzała na mnie, ale się nie odezwała. – Podejź tu – rozkazałem. – I przyprowadź Osberta.

Obruszyła się z powodu mojego tonu albo nazwania jej syna Osbertem i przez moment myślałem, że mnie nie posłucha. Po chwili jednak wstała i przysła z chłopcem na rufę. Zatoczyła się, kiedy statkiem wstrząsnęła fala, podałem jej więc rękę, której się uchwyciła. Po chwili spojrzała na mnie z odrazą, jakby dotknęła jakiejś oślizgłej obrzydliwości. Puściła mnie i chwyciła się tylnicy.

– Kto jest twoim ojcem? – zapytałem.

Wahała się, wążąc zagrożenie związane z tym pytaniem, a nie znalazłszy żadnego, odpowiedziała, wzruszając ramionami:

– Hoskuld Leifson.

Nigdy o nim nie słyszałem.

– Komu służy?

– Sigtryggowi.

– Słodki Jezu! – zwołał Finan. – Sigtryggowi z Dyflinu?

– Temu samemu – odparła z goryczą.

Sigtrygg był Norwegiem, wojownikiem. Wykroił sobie królestwo w Irlandii, które

jednak nigdy nie było miejscem łatwym dla obcych, i niedawno słyszałem, że ów samozwańczy władca Irlandii został znów wykopany do Brytanii.

– Pochodzisz więc od Norwegów? – zapytałem.

– Jestem Dunką.

– Gdzie zatem jest teraz Sigtrygg?

– Kiedy ostatnio o nim słyszałam, był w Kumbrii.

– To prawda – potwierdził Osferth. Podszedł do nas z Ingulfrid, co mnie zdziwiło. Zazwyczaj najbardziej cenił własne towarzystwo i na statku rzadko dołączał do mnie przy sterze.

– Co twój ojciec robi dla Sigtrygga? – zapytałem.

– Dowodzi strażą.

– Powiedz mi więc, dlaczego Aelfric ożenił swojego syna z córką Duńczyka, który służy Sigtryggowi – dociekałem.

– A dlaczego nie? – odcięła się z goryczą w głosie.

– Czy chodziło o to, żeby miał zapewnione schronienie w Irlandii na wypadek utraty Bebbanburga? – zasugerowałem.

– Nigdy nie straci Bebbanburga – odparła. – Tej twierdzy nie da się zająć.

– Mnie prawie się to udało.

– Prawie nie wystarczy, czyż nie?

– Nie – przyznałem. – Nie wystarczy. Dlaczego więc się z tobą ożenił, pani?

– A jak myślisz? – rzuciła mi w twarz.

Bo Bebbanburg rządzi małym obszarem otoczonym ze wszystkich stron przez wrogów, a to małżeństwo oznaczało sojusz z człowiekiem również nastawionym wrogo do Duńczyków. Sigtrygg miał ambicje, chciał być królem, więc kiedy został pozbawiony władzy w Irlandii, zamierzał wywalczyć ją sobie w Brytanii. Nie był wystarczająco silny, żeby zaatakować Wessex, Walia okazałaby się równie kłopotliwa jak Irlandia, a Szkocja jeszcze gorsza, spoglądał więc w stronę Northumbrii. To oznaczało, że jego wrogami byli Kanut Ranulfson i Sigurd Thorrson. Czy więc to Sigtrygg porwał żonę Kanuta? Całkiem możliwe, ale w takim razie musiał być bardzo pewien możliwości odparcia ataku Kanuta, skoro odważył się to zrobić. Przez jakiś

czas mógł cieszyć się względnym bezpieczeństwem w Kumbrii. Była to dzika, górzysta i deszczowa kraina pełna jezior i Kanut najwidoczniej nie miał nic przeciwko temu, aby Sigtrygg rządził na tych jałowych nieużytkach. A Sigtrygg? Bez wątpienia pożaądał ziem należących do Kanuta, ale nie był głupi i nie zamierzał doprowadzić do wybuchu wojny, którą musiałby przegrać.

Oparłem się na wiosła sterowym. Middelniht płynęła szybko i trzon wiosła drżał mi w dłoniach, co zawsze oznaczało, że łódź jest szczęśliwa. Chmury stawały się coraz bardziej wzdęte i poszarpane, w miarę jak przeredzały się na południu, i Middelniht nagle znalazła się w plamie słońca. Uśmiechnąłem się. Niewiele rzeczy wprawiało mnie w tak dobry nastrój jak porządna łódź płynąca przy odpowiednim wietrze.

– Co tak cuchnie? – spytała z oburzeniem Ingulfrid.

– Pewnie Finan – odparłem.

– To lord Uhtred – powiedział Irlandczyk w tym samym momencie.

– To żagiel – wyjaśnił Osferth. – Płótno smaruje się olejem z dorsza i baranim łojem.

Spojrzała z obrzydzeniem.

– Olejem z dorsza i baranim łojem?

– To cuchnie – przyznałem.

– I przyciąga muchy – dodał Finan.

– Po co więc to robicie?

– Bo dzięki temu żagiel lepiej łapie wiatr – objaśniłem. Ingulfrid się skrzywiła. – Nie jesteś przywykła do podróżowania statkami, pani?

– Nie. I chyba wcale mi się to nie podoba.

– Jaki jest tego powód?

Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, a potem odparła ze zmarszczonymi brwiami:

– A jak myślisz? Jestem jedyną kobietą na pokładzie.

Już miałem ją zapewnić, że nic jej nie grozi, kiedy dotarło do mnie, co chce mi powiedzieć. Mężczyźni radzili sobie z tym bez problemu, po prostu sikali za burtę.

Musieli tylko uważać, żeby nie robić tego pod wiatr, ale Ingulfrid nie mogła zrobić tego tak samo.

– Eldgrim! – zawołałem. – Postaw wiadro pod platformę sterową i zawieś zasłonę. Trochę tam ciasno, ale będzie mogła się schronić.

– Ja to zrobię – zaoferował się pospiesznie Osferth.

Odesłał Eldgrima i sam zajął się dwoma płaszczami, które zawisły niczym zasłona nad zatechłym ciemnym miejscem pod naszymi stopami. Finan spojrzął na mnie, odwrócił głowę w stronę Osfertha i szeroko się uśmiechnął. Udawałem, że tego nie widzę.

– Pani – odezwał się uroczystym tonem Osferth – stanę na straży, byś miała pewność, że nikt nie będzie ci przeszkadzał.

– Dziękuję – odrzekła, a Osferth się skłonił.

Finan krztusił się ze śmiechu.

Osbert chciał zejść z matką pod pokład.

– Zostań tutaj, chłopcze – powiedziałem. – Nauczę cię sterować statkiem.

Ingulfrid zniknęła nam z pola widzenia. Middelniht niemal unosiła się nad wodą, ciesząc się dobrym wiatrem i sprzyjającym oceanem. Dałem chłopcu wiosło i pokazałem, jak przewidywać ruchy łodzi, pozwoliłem mu poczuć opór morza na długim drążku wiosła.

– Nie trzymaj zbyt sztywno kursu – poradziłem mu. – To spowalnia łódź. Traktuj ją jak dobrego konia. Bądź łagodny, a ona sama będzie wiedziała, co robić.

– Po co go tego uczysz, skoro zamierzasz go zabić? – zapytała Ingulfrid, gdy wyszła na pokład. Patrzyłem, jak wchodzi na platformę sterową. Wiatr rozwiewał jej luźne pasma włosów, które opadały jej na twarz. – A zatem? – zapytała ostro. – Po co go uczysz? – Gniew przydawał jej obliczu stanowczego, ostrego piękna.

– Bo to jest umiejętność, którą powinien posiadać każdy mężczyzna.

– Dożyje więc wieku męskiego? – zapytała butnie.

– Nie zabijam dzieci, pani – odparłem łagodnie. – Ale nie chciałem, żeby twój mąż o tym wiedział.

– Co więc z nim zrobisz?

– Nie skrzywdzi go, pani – wtrącił się Osferth.

– Co więc z nim zrobi? – nalegała.

– Sprzedam go – odrzekłem.

– Jako niewolnika?

– Przypuszczam, że twój mąż zapłaci za niego więcej niż jakikolwiek handlarz niewolników. A może wrogowie twojego męża za niego zapłacą?

– Jest ich mnóstwo – odrzekła. – Ale ty jesteś głównym.

– I najmniej niebezpiecznym – powiedziałem z rozbawieniem. Wskazałem na załogę. – To są wszyscy moi ludzie.

– A mimo to zaatakowałaś Bebbanburg – odparła, a ja nie byłem w stanie wywnioskować z jej głosu, czy uważa mnie za zupełnego głupca, czy też usłyszałem w jej tonie niechętnie uznanie dla tego, co ośmieliłem się zrobić.

– I niemal udało mi się go zdobyć – stwierdziłem z rozrzewnieniem. – Choć muszę przyznać, że pewnie byłbym teraz martwy, gdybyś nie poszła z synem oglądać, jak podkuwa się jego nowego konia. – Skłoniłem się jej. – Zawdzięczam ci życie, pani. Dziękuję.

– Zawdzięczasz je mojemu synowi – odrzekła z lekką goryczą w głosie. – Ja jestem nic niewarta, ale Uhtred?

– Chciałaś powiedzieć „Osbert” – poprawiłem ją.

– Chciałam powiedzieć „Uhtred” – odparła hardo. – To on jest dziedzicem Bebbanburga.

– Nie, dopóki żyje mój syn.

– Ale twój syn najpierw musi zająć twierdzę – odcięła się. – A to mu się nie uda. Więc dziedzicem jest mój Uhtred.

– Słyszałaś mojego stryja – rzuciłem szorstko. – Twój mąż może spłodzić nowego dziedzica.

– O, może – powiedziała z wściekłością. – Płodzi bękarty jak pies szczenięta. Woli płodzić te szczeniaki, ale jest dumny z Uhtreda.

Zaskoczyła mnie nagła wściekłość w głosie Ingulfrid, podobnie jak jej wyznania dotyczące męża. Patrzyła na mnie wyzywająco, a ja pomyślałem, że ma piękną twarz

o mocnych kościach i żuchwie, ale jej rysy łagodziły zmysłowe wargi i jasnoniebieskie oczy, które były usiane srebrnymi plamkami niczym powierzchnia morza. Osferth najwidoczniej myślał o tym samym, bo od kiedy do nas dołączył, prawie nie odrywał od niej oczu.

– A zatem twój mąż jest głupcem – stwierdziłem.

– Głupcem – powtórzył Osferth.

– Podobają mu się grube, czarniawe kobiety – odparła.

Jej syn słuchał rozmowy i ze smutkiem zmarszczył brwi, słysząc gorzkie słowa matki. Uśmiechnąłem się do chłopca.

– Grube, ciemne, jasne czy szczupłe – powiedziałem do niego. – Wszystkie są kobietami i wszystkie trzeba miłować.

– Miłować? – powtórzył.

– Pięć rzeczy uszczęśliwia mężczyznę: dobra łódź, dobry miecz, dobry pies, dobry koń i kobieta.

– A nie dobra kobieta? – zapytał z rozbawieniem Finan.

– One wszystkie są dobre – odparłem. – Chyba że nie są, ale nawet wtedy są lepsze niż dobre.

– Dobry Boże – westchnął zbolalym głosem Osferth.

– Bogu niech będą dzięki – odezwał się Finan.

– A zatem twój mąż będzie chciał odzyskać syna? – zapytałem, odwracając się do Ingulfrid.

– Oczywiście, że tak.

– Wyruszy za nami w pogoń?

– Zapłaci komuś, żeby was znalazł.

– Bo jest tchórzem i nie zjawi się osobiście?

– Bo zgodnie z prawem ustanowionym przez lorda Aelfrica panu Bebbanburga nie wolno opuścić warowni, jeśli nie przebywa w niej jego syn. Jeden z nich zawsze musi być w jej murach.

– Ponieważ łatwo zabić jednego z nich poza warownią, ale jest to niemal niemożliwe, gdy jest w środku? – zapytałem.

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Więc jeśli nie zmienił prawa ustanowionego przez ojca, wyśle ludzi, żeby cię zabili.

– Wielu już próbowało, pani – odparłem łagodnie.

– On ma złoto – powiedziała. – Może sobie pozwolić, żeby wysłać za wami wielu ludzi.

– Będzie musiał – rzekł oschle Finan.

Nazajutrz obozowaliśmy na wyspach. Morze było spokojne, słońce świeciło, a wiatr był tak łagodny, że musieliśmy wiosłować. Płynęliśmy bardzo ostrożnie, na dziobie stali ludzie mierzący głębokość wody wiosłem.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Ingulfrid.

– To Wyspy Fryzyjskie – odrzekłem.

– Myślisz, że uda wam się tu ukryć?

Pokręciłem głową.

– Nigdzie nie można się ukryć, pani. Twój mąż będzie wiedział, jaki mam wybór, i domyśli się, że musiałem się tu udać.

– Do Dunholmu – powiedziała.

Spojrzałem na nią gwałtownie.

– Do Dunholmu?

– Wie, że Ragnar jest twoim przyjacielem.

Nie odpowiedziałem. Ragnar był dla mnie więcej niż przyjacielem, był jak brat. Jego ojciec wychował mnie i gdyby los zrządził inaczej, zostałbym z Ragnarem i walczył u jego boku aż po kres czasu. Ale Norny zdecydowały inaczej i Ragnar został jako lord na północy, natomiast ja wyruszyłem na południe, żeby dołączyć do Sasów. Chorował, a zeszłej zimy dotarły do mnie wieści o jego śmierci. Nie zaskoczyły mnie, choć zasmuciły. Ostatnimi laty utył, miał krótki oddech, stał się też leniwy i niezdarny, ale zmarł z mieczem w dłoniach, który włożyła mu do rąk jego żona Brida. Pójdzie więc do Walhalli, gdzie przez wieczność, a przynajmniej do czasu, kiedy pochłonie nas chaos ostatniej bitwy, będzie dawnym Ragnarem – silnym, pełnym życia, skłonny do śmiechu, hojnym i mężnym.

– Lord Aelfric wiedział, że jesteś wyrzutkiem – ciągnęła Ingulfrid. – A także to, iż nie masz wystarczająco dużo ludzi, żeby zaatakować Bebbanburg, pomyślał więc, że udałeś się do Dunholmu.

– Dunholm bez Ragnara? – zapytałem, kręcąc głową. – Nikt tam na mnie nie czeka.

– A kobieta Ragnara i jego synowie? – zasugerowała.

Uśmiechnąłem się.

– Brida mnie nienawidzi.

– Boisz się jej?

Roześmiałem się, słysząc te słowa, choć w istocie obawiałem się Bridy. Była kiedyś moją kochanką, a teraz jest moim wrogiem. Jej żal do mnie był jak świąd, który nigdy nie mija. Drapała swędzące miejsce, aż zmieniło się we wrzód, a ona dalej grzebała w tej jątrzącej się ranie, aż pociekła z niej krew i ropa. Znienawidziła mnie, bo nie walczyłem po stronie Duńczyków z Sasami, i nie miało znaczenia to, że sama wywodziła się z Sasów. Bridą targają namiętności.

– Lord Aelfric miał nadzieję, że udasz się do Dunholmu, zanim zjawisz się w Bebbanburgu – powiedziała Ingulfrid.

– Miał nadzieję?

Zawahała się, jakby się wystraszyła, że wyjawi za dużo, a potem wzruszyła ramionami i wyjaśniła:

– Zawarł układ z Bridą.

Dlaczego mnie to nie zaskoczyło? Przecież wrogowie twoich wrogów są twoimi przyjaciółmi, a przynajmniej sojusznikami.

– Liczył na to, że ona mnie zabije?

– Obiecała, że cię otruje – wyjaśniała Ingulfrid. – A on miał opłacić twoją śmierć złotem.

To też nie powinno mnie dziwić. Brida nigdy mi nie wybaczyła. Do śmierci będzie pielęgnowała nienawiść, a gdyby mogła, najchętniej poprzez czary przedłużyłaby jej trwanie na czas po swojej śmierci.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytałem. – Powinnaś raczej zachęcać mnie,

żebym udał się do Dunholmu.

– Bo jeśli pojedziesz do Dunholmu, Brida zatrzyma mojego syna i zażąda za niego więcej złota niż ty. Jest zawzięta.

– I okrutna – dodałem.

A potem zapomniałem o Bridzie, bo człowiek na dziobie ostrzegał przed płycizną. Ostrożnie płynęliśmy kanałem wijącym się w stronę pustego piaszczystego brzegu, o wydmach porośniętych trawą. Kanał skręcił na zachód, później na północ i na wschód, a Middelniht cztery razy otarła się o dno, zanim dotarła do odcinka głębszej wody, który ciągnął się wzdłuż wschodniego brzegu wyspy.

– To miejsce się nada – powiedziałem do Finana, po czym kilkakrotnie poruszyliśmy wiosłami, żeby dziób łodzi znalazł się na plaży. – Tu będzie przez jakiś czas nasz dom – poinformowałem załogę.

To było moje nowe królestwo, moje włości, mój obmywany przez morze, owiewany wiatrem skrawek piaszczystego brzegu na granicy z Fryzją. I to tylko dopóty, dopóki ktoś silniejszy nie postanowi mnie stąd przegonić. A to wcześniej czy później było nieuniknione, jeśli nie uda mi się zwerbować więcej ludzi, chwilowo musiałem jednak czymś zająć załogę, wysłałem więc syna i kilkunastu wojowników w Middelniht, żeby poszukali na pobliskich plażach wyrzuconego przez morze drewna, abyśmy mogli wybudować z niego szałasy. Trochę drewna morze wyrzuciło też na nasz brzeg. Obserwowałem Osfertha, który zajął się wznoszeniem schronienia dla Ingulfrid. Mój syn przyniósł więcej chrustu, wystarczająco dużo, żeby rozpalić ognisko i wybudować szałasy. Tę noc spędziliśmy na śpiewach wokół wysokiego ognia, z którego iskry sypały się ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Chcesz, żeby wszyscy w okolicy wiedzieli, że tu jesteśmy? – zapytał Finan.

– I tak już wiedzą – odparłem.

W ciągu dnia minęło nas kilka łodzi i wieści o naszej obecności zapewne rozniosły się po wyspach oraz wzdłuż bagnistych wybrzeży stałego lądu. Spodziewałem się, że zjawi się Thancward, człowiek, z którym mieliśmy do czynienia poprzednim razem, wątpiłem jednak, aby chciał się wdać w potyczkę. Uznałem, że przez kilka dni powinniśmy cieszyć się spokojem.

Widziałem, że Finan martwi się o mnie. Niewiele odzywałem się tego wieczoru ani nie przyłączyłem do śpiewów. Irlandczyk nie spuszczał mnie z oczu. Podejrzewałem, że domyśla się, co jest przyczyną mojej troski. Nie chodziło o kuzyna ani wojowników, których mógł za mną wysłać. Martwiło mnie coś znacznie większego i poważniejszego – brak pomysłu na wyjście z tej sytuacji. Nie miałem pojęcia, co robić, a przecież musiałem podjąć jakąś decyzję. Dowodziłem drużyną, miałem łódź, byliśmy uzbrojeni, nie mogliśmy więc po prostu gnić na plaży. Nie wiedziałem jednak, dokąd poprowadzić swoich ludzi. Czułem się zagubiony.

– Wystawisz strażę? – zapytał późną nocą Finan.

– Sam stanę na warcie – odrzekłem. – Dopilnuj, żeby ludzie wiedzieli, że lady Ingulfrid nie jest tu dla ich uciechy.

– Już to wiedzą. Poza tym Kaznodzieja zabije każdego, kto waży się na nią spojrzeć.

Zaśmiałem się. Kaznodzieja to było przezwisko Osfertha.

– Wydaje się nią zafascynowany – powiedziałem lekko.

– Biedak się zakochał – odparł Finan.

– Najwyższa była już pora – odrzekłem i lekko klepnąłem Finana w ramię. – Śpij przyjacielu, śpij dobrze.

Szedłem plażą w ciemność. Po tej stronie wyspy fale tylko lekko chlupotały, chociaż od zachodu dochodziły do mnie odgłosy bałwanów. Ognisko powoli przygasało, aż w końcu zmieniło się w jaśniejące węgielki, a ja nadal spacerowałem wzdłuż brzegu. Z powodu odpływu Middelniht stała się czarnym cieniem przechylonym na piasku.

Jestem hłafordem, lordem. Do obowiązków lorda należy zapewnienie bytu swoim ludziom. Jest rozdawcą złota, bransolet i srebra. Musi wykarmić swoich ludzi, zapewnić im schronienie i bogactwa, w zamian służą mu i czynią z niego wielkiego pana, którego imię wymawiane jest z szacunkiem. Moi ludzie mieli natomiast bezdomnego lorda, władcę piachu i popiołów, właściciela jednej łodzi. A na dodatek ich przywódca nie miał pojęcia, co robić.

Sasi nienawidzili mnie, bo zabiłem opata. Duńczycy nigdy mi nie ufali, poza tym

zabiłem syna Sigurda Thorrsona, a Sigurd, który był przyjacielem Kanuta Ranulfsona, zaprzysiągł pomścić tę śmierć. Ragnar, który powitałby mnie jak brata i oddał połowę swoich bogactw, nie żył. Aethelflaed mnie kochała, ale miłowała też swoją wiarę i nie miała wystarczająco dużo władzy, żeby obronić mnie przed Mercjanami, którzy popierali niechętnego jej męża. Chronił ją Edward z Wessexu, i on zapewne by mnie przyjął, choć musiałbym zapłacić główszczyznę za śmierć klechy i płaszczyć się przed jego księżmi. Nie dałby mi ziemi. Udzieliliby mi schronienia i wziął na służbę jako wojownika, ale nie byłbym już lordem.

Poza tym starzałem się. Wiedziałem to, czułem w kościach. Byłem w wieku, w którym mężczyźni dowodzą armią. Stoją w tylnym szeregu muru tarcz i pozwalają młodszym walczyć z przodu. Miałem siwe włosy i brodę przyprószoną siwizną. A więc byłem stary, znienawidzony, przegrany i zostałem wyrzutkiem, a jednak bywało gorzej. Stryj pewnego razu sprzedał mnie w niewolę, i to był naprawdę zły czas, poza tym, że wtedy poznałem Finana. Razem udało nam się przeżyć. Irlandczyk doświadczył przyjemności zabicia łajdaka, który nas napiętnował, tak samo jak ja doświadczyłem przyjemności zabicia łajdaka, który mnie zdradził. Chrześcijanie mówią o kole fortuny, wielkim kole, które nieustannie się kręci i czasem wynosi cię do góry ku słońcu, a innym razem wlecze przez gówno i pomyje. Może więc trzeba tu zostać – pomyślałem. W końcu panowanie nad kilkoma fryzyjskimi wysepkami nie jest najgorszą rzeczą, jaka może się przytrafić. Pokonam Thancwarda, wezmę na służbę tych jego ludzi, którzy przeżyją, potem założę niewielkie królestwo składające się z wydm i śmieci wyrzuconych przez morze. Uśmiechnąłem się na tę myśl.

– Osferth mówi, że nie zabijesz mojego syna – usłyszałem jej głos za sobą. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na Ingulfrid. Była cieniem na tle wydmy. Nic nie odpowiedziałem. – Mówi, że jesteś dobrym człowiekiem.

Zaśmiałem się, słysząc te słowa.

– Mało kto uczynił z tak wielu kobiet wdowy i z tak licznych dzieci sieroty jak ja – odparłem. – Czy to jest dobroć?

– Mówi, że jesteś porządnym, honorowym i... – zawahała się – upartym człowiekiem.

– Że upartym, zgoda.

– A teraz jesteś zagubiony – stwierdziła. Mówiła łagodnym tonem, z jej głosu całkowicie zniknęły nieufność i gniew.

– Zagubiony? – zdziwiłem się.

– Nie wiesz, dokąd pójść – uściśliła. – I nie wiesz, co zrobić.

Uśmiechnąłem się, bo miała rację. Obserwowałem, jak ostrożnie idzie plażą.

– Rzeczywiście nie wiem, dokąd pójść – przyznałem.

Podeszła do resztek ogniska, ukucnęła i wyciągnęła ręce w stronę dogasającego żaru.

– To samo czuję od piętnastu lat – powiedziała z goryczą.

– A zatem twój mąż jest głupcem.

Pokręciła głową.

– Ciągłe mi to mówisz – odparła. – Ale w rzeczywistości jest mądry, a ty wyświadczyłeś mu przysługę.

– Bo cię porwałem?

– Bo zabiłeś Aelfrica. – Zapatrzyła się w żar, obserwując pełgające płomienie, które bledły i ponownie się zapalały. – Teraz mój mąż będzie mógł robić, co mu się żywnie podoba.

– Czyli co?

– Czuć się bezpiecznie w Bebbanburgu. Nie zastanawiać się każdego wieczoru przed zaśnięciem, gdzie jesteś. A co robi teraz? Myślę, że chce odzyskać syna. Mimo wszystkich swoich wad zależy mu na Uhtredzie.

A więc to dlatego rozmawiała ze mną bez cienia pogardy czy goryczy. Chodziło jej o syna – pomyślałem. Stałem po drugiej stronie ogniska, szturchając nogą zwęglone konary, żeby wzniecić niewielki płomień.

– Nie będzie bezpieczny w Bebbanburgu – odparłem. – Dopóki żyją Kanut Ranulfson i Sigurd Thorrson. Oni też pożądamy Bebbanburga i pewnego dnia spróbują go zdobyć.

– Księża twierdzą, że Northumbrii pisane jest przyjęcie chrześcijaństwa. Duńczycy więc poniosą klęskę. Taka jest wola chrześcijańskiego Boga.

– Jesteś chrześcijanką? – zapytałem.

– Mówią, że tak – odrzekła. – Ale sama nie wiem. Mąż nalegał, żebym przyjęła chrzest, i ksiądz kazał mi wejść do beczki z wodą, a potem zanurzył w niej moją głowę. Mąż śmiał się, kiedy to robili. Potem kazali mi pocałować ramię Świętego Oswalda. Było wysuszone i pożółkłe.

Święty Oswald. Zapomniałem o poruszeniu, które wzbudził zabity przeze mnie opat. Święty Oswald był niegdyś królem Northumbrii. Żył w Bebbanburgu i panował nad całą północą aż do wojny z Mercją, w której uległ poganom. Ukrzyżowany bóg nie za bardzo mu wtedy pomógł i jego zwłoki zostały poćwiartowane. Ponieważ był jednak świętym i królem, ludzie zebrali jego rozczłonkowane ciało i je zachowali. Wiedziałem, że lord Aelfric otrzymał w darze lewe ramię świętego, a wiele lat wcześniej eskortowałem głowę Oswalda w drodze przez północne góry.

– Księża mówią, że gdy będzie można połączyć członki Oswalda, nad całą ziemią Sasów zapanuje jeden władca – powiedziała Ingulfrid.

– Klechy nieustannie wygadują bzdury.

– A Aethelred z Mercji błagał lorda Aelfrica o to ramię – ciągnęła, nie zważając na moje słowa.

To mnie zainteresowało. Spojrzałem na jej oświetloną płomieniami ogniska twarz.

– I co odpowiedział Aelfric?

– Że wymieni ramię za twoje zwłoki.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Roześmiałem się. Po chwili zamilkłem, żeby zastanowić się nad tym, co usłyszałem. Aethelred chciał zebrać szczątki Oswalda? Do tego dążył? Pragnął zostać królem wszystkich Sasów? Czyżby wierzył w bzdury wygadywane przez klechy, że tego, kto zdobędzie ciało świętego, nikt nie pokona w bitwie? Legenda głosi, że większość szczątków Oswalda przeniesiono do klasztoru w Mercji, gdzie mnisi odmówili ich przyjęcia, gdyż twierdzili, że święty był wrogiem ich królestwa. Jednak tej samej nocy, kiedy jego zwłoki leżały przed bramą klasztoru, ogromna błyskawica rozcięła niebo, oświetliła ciało i ten słup światła przekonał zakonników do przyjęcia

relikwii. Opactwo zostało zajęte przez Duńczyków, którzy przyłączyli te ziemie do Northumbrii. A teraz Aethelred chciał odnaleźć wysuszone ciało świętego? Gdybym ja rządził tą częścią Northumbrii, dawno już wykopałbym jego zwłoki, spalił i rozsypał popiół na wietrze. Aethelred zapewne jednak wierzy, że ciało Oswalda nadal spoczywa w grobie. Żeby jednak mógł zażądać relikwii, musiał rzucić wyzwanie władcom Northumbrii. Czyżby planował wojnę z Kanutem? Najpierw Anglia Wschodnia, a potem Northumbria? To było czyste szaleństwo.

– Myślisz, że Aethelred zamierza najechać Northumbrię? – zapytałem.

Zawsze tego chciał, ale nigdy nie ośmielił się przeciwstawić Alfredowi. Jednak Alfred nie żył od wielu lat, a królem był Edward. Aethelredowi nie podobala się zależność od Alfreda, mogę sobie więc tylko wyobrazić, jak bardzo nie w smak była mu podległość młodszemu Edwardowi. Poza tym Aethelred starzał się – tak samo jak ja – myślał zatem o swojej sławie. Chciał zostać zapamiętany nie jako wasal Wessexu, lecz jako król Mercji, i to władca, który przyłączył Anglię Wschodnią do ziem Mercji. I czemu miałby na tym poprzestać? Mógł przecież podbić również Northumbrię i opanować wszystkie ziemie Sasów na północy. Po włączeniu tanów z Anglii Wschodniej do swoich wojsk stałby się wystarczająco silny, żeby pokonać Kanuta. Gdyby w jego rękach znalazły się szczątki Świętego Oswalda, chrześcijanie z północy nabrałiby przekonania, że ich ukrzyżowany bóg stoi po stronie Aethelreda, i wznęciłoby bunt przeciwko Duńczykom. Aethelred zostałby zapamiętany jako król, dzięki któremu Mercja odzyskała znaczenie, a może nawet jako władca, który zjednoczył wszystkie saskie królestwa. Był gotów podpalić Brytanię, by zapisać swoje nazwisko na kartach kronik.

Na drodze do realizacji tych ambitnych planów stał przede wszystkim Kanut Długi Miecz, człowiek dzierzący Lodową Furie, któremu zaginęła żona i dzieci. Pewnie zostali wzięci jako zakładnicy. Zapytałem Ingulfrid, czy słyszała o ich porwaniu.

– Oczywiście, że tak – odparła. – Cała Brytania o tym wie. – Zamilkła. – Lord Aelfric sądził, że to ty ich porwałeś.

– Ktokolwiek to zrobił, chciał, żeby ludzie łamali sobie nad tym głowę. Mieli moją chorągiew, ale to nie byłem ja.

Wpatrywała się w pełgające płomienie.

– Twój kuzyn Aethelred zyskuje więcej na ich porwaniu – stwierdziła.

Uświadomiłem sobie, że jest mądrą kobietą, mądrą i subtelną. Pomyślałem, że mój kuzyn, pogardzając nią, udowodnił, iż jest głupcem.

– Aethelred tego nie zrobił – odezwałem się. – Nie jest dość odważny. Za bardzo boi się Kanuta. Nie ryzykowałby jego gniewu. Musiałby być znacznie silniejszy.

– Ktoś to jednak zrobił – zauważyła.

Temu komuś musiało zależeć na bezczynności Kanuta. Był to ktoś wystarczająco głupi, żeby narazić się na jego bezwzględną zemstę. A zarazem ktoś wystarczająco sprytny, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. Zrobił to dla Aethelreda, zapewne za hojne wynagrodzenie w złocie lub ziemi. I chciał zrzucić winę na mnie.

I nagle naszła mnie myśl niby suche drewno wrzucone w dogasające ognisko. Była jak płomień, jasna niczym błyskawica oświetlająca rozczłonkowane ciało Oswalda.

– Haesten – powiedziałem.

– Haesten – powtórzyła Ingulfrid, jakby od dawna to wiedziała. Spojrzałem na nią, a ona odwróciła wzrok. – Kto jeszcze? – zapytała.

– Ale Haesten... – zacząłem i zamilkłem.

Tak, Haesten był wystarczająco odważny, żeby narazić się Kanutowi, a także wystarczająco zdradziecki, żeby sprzymierzyć się z Aethelredem, czy jednak zaryzykowałby zemstę Kanuta? Nie był głupcem. Udawało mu się przetrwać kolejne porażki, z których zawsze wychodził obronną ręką. Miał ziemię i ludzi, nie za dużo, ale jednak. Jeśli rzeczywiście porwał żonę Kanuta, zaryzykował wszystko. W szczególności życie. I nie mógł liczyć na lekką śmierć. Kanut już by zadbał o to, żeby zmarł dopiero po wielu dniach tortur.

– Haesten jest przyjacielem wszystkich – powiedziała łagodnie Ingulfrid.

– Moim nie.

– I wrogiem wszystkich – ciągnęła, nie zwróciwszy uwagi na mój komentarz. – Przetrwał dzięki temu, że przysięgał lojalność każdemu, kto jest silniejszy od niego. Trzyma język za zębami, płaszczy się jak pies i merda ogonem, gdy tylko ktoś do niego podejrze. Przysięgł wierność Kanutowi i Aethelredowi, ale znasz to

powiedzenie chrześcijan: „Nikt nie może służyć dwóm panom”.

– Służy Aethelredowi? – zapytałem, marszcząc brwi. – Ależ nie, oni są wrogami. – Pokręciłem głową. – Służy Kanutowi. Wiem to, spotkałem go we dworze Kanuta.

Ingulfrid uśmiechnęła się tajemniczo, zamilkła, a po chwili zapytała:

– Ufasz Haestenowi?

– Oczywiście, że nie.

– Kiedy mój ojciec przybył do Brytanii, służył Haestenowi – powiedziała. – Później porzucił służbę u niego i przeszedł do Sigtrygga. Haesten jest równie warty zaufania, jak wąż. Ojciec mówi, że gdy poda ci rękę, lepiej, żebyś policzył palce.

Nic z tego, co mówiła, nie było dla mnie zaskoczeniem.

– To wszystko prawda – przyznałem. – Ale jest przecież słaby i potrzebuje opieki Kanuta.

– Masz rację, ale przypuśćmy, że wysłał posłańca do Aethelreda. W tajemnicy.

– To by mnie nie zdziwiło.

– W ten sposób Haesten zaproponował służbę Aethelredowi – ciągnęła. – Wysłała do niego wiadomości i wykonuje jego polecenia, nie wzbudzając podejrzeń Kanuta. W zamian Aethelred obiecał, że nie zaatakuje jego ziem.

Przemyślałem to, co mi powiedziała, i kiwnąłem głową.

– Przez osiem lat chciałem napaść na Haestena, ale Aethelred odmawiał mi wsparcia. Haesten zajął Ceaster, a ta potężna rzymska warownia chroniła północne ziemie Mercji przed najazdami irlandzkich Norwegów oraz Kumbrii przed Duńczykami i Norwegami, Aethelred nigdy jednak nie dał mi zgody na atak. Sądziłem, że po prostu nie chciał dać mi szansy zdobycia większej sławy. Przez to moi ludzie musieli stale obserwować Ceaster, bo tylko w ten sposób mogłem zyskać pewność, że Haesten nie będzie sprawiał kłopotów.

Ingulfrid zmarszczyła brwi. Odezwała się, nie odrywając wzroku od słabych płomieni.

– Nie wiem, czy cokolwiek z tego, co powiem, jest prawdą, ale pamiętam, że kiedy usłyszałam o żonie Kanuta, natychmiast pomyślałam o Haestenie. On jest zdradziecki i przebiegły. Mógł przekonać Aethelreda, że jest wobec niego lojalny, ale

zawsze służy silniejszemu panu, nie słabszemu. Będzie uśmiechał się do Aethelreda, a jednocześnie lizał tyłek Kanutowi. Aethelred sądzi, że Kanut nie ośmieli się zaatakować, bo jego żona jest zakładniczką, ale... – Zamilkła i podniosła głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Przypuśćmy, że Kanut i Haesten tylko zaaranżowali to wszystko w taki sposób, żeby oszukać Aethelreda.

Wpatrywałem się w nią, próbując zrozumieć, co chce mi zasugerować. To miało sens. Żona i dzieci Kanuta nigdy nie zostały porwane, to był tylko podstęp, żeby Aethelred poczuł się pewnie. Przypomniałem sobie nasze spotkanie. To też mogło należeć do spisku. Wydawał się wściekły, ale później stał się przyjazny. Był tam też Haesten i cały czas przebiegle się uśmiechał. Dlaczego Kanut nigdy nie pozbył się Haestena? Ceaster był cenną warownią – dawał kontrolę nad większością wymiany handlowej między Brytanią a Irlandią. Leżał na granicy Mercji i Northumbrii, a także terytoriów zajmowanych przez Walijczyków i Sasów, a mimo to Kanut pozwolił Haestenowi zatrzymać twierdzę. Dlaczego? Ponieważ był dla niego użyteczny. Czy więc Ingulfrid miała rację i to Haesten ukrywał żonę i dzieci Kanuta? Gdy tymczasem Aethelredowi powiedział, że ich porwał i trzyma jako zakładników?

– A zatem Kanut oszukuje Aethelreda – powiedziałem powoli.

– A Aethelred czuje się na tyle pewnie, żeby najechać Anglię Wschodnią? – zapytała.

– Pomaszeruje tam, a kiedy jego oddziały opuszczą Mercję, Duńczycy zaatakują jego ziemie.

– Duńczycy napadną na Mercję – zgodziła się ze mną. – Może właśnie się to dzieje. Aethelred myśli, że jest bezpieczny, podczas gdy został wystrychnięty na dudka. Jego wojska wkroczyły do Anglii Wschodniej, a Kanut i Sigurd, korzystając z jego nieobecności, niszczą, palą i rabują jego ziemie, mordują i gwałcą jego poddanych.

Patrzyłem na dogasające ognisko. Nad stałym lądem pojawiło się siwe światło, dotarło nad morza wewnętrzne, sprawiając, że zaczęło upiornie się skrzyć. Świt i pojawienie się światła zbiegło się z oświeceniem mojego umysłu.

– To, co mówisz, nie jest głupie – stwierdziłem ostrożnie.

– Lord Aelfric wszędzie miał szpiegów – odparła. – Choć żadnego nie udało mu się umieścić na twoim dworze. Wszędzie indziej pozyskał jednak donosicieli, którzy przesyłali wiadomości do Bebbanburga. Mężczyźni rozmawiali w górnym dworze, a ja słuchałam. Oni nigdy mnie nie słuchali, ale pozwalali przysłuchiwać się ich rozmowom. Mąż czasem mówił mi to i owo. Jeśli akurat mnie nie bił.

– Bił cię?

Spojrzała na mnie, jakbym był głupcem.

– Jestem jego żoną. Oczywiście, że mnie bije, gdy nie jest ze mnie zadowolony.

– Nigdy nie uderzyłem kobiety.

Uśmiechnęła się.

– Lord Aelfric zawsze mawiał, że jesteś głupcem.

– Może miał rację – odrzekłem. – Ale się mnie bał.

– Panicznie – przyznała. – Przy każdej sposobności przeklinał cię i modlił się o twoją śmierć.

I to Aelfric, nie ja, trafił do Kąsającego w Mroku. Spojrzałem na rozjaśniające się szarawe niebo.

– Ramię Świętego Oswalda. Nadal jest w Bebbanburgu?

– Znajduje się w kaplicy, w srebrnym sarkofagu, ale mój mąż chce podarować je Aethelredowi – powiedziała, skinąwszy głową.

– Żeby dodać mu odwagi.

– Ponieważ Kanut tego zażądał.

– No tak – odparłem ze zrozumieniem.

Kanut podpuszczał Aethelreda do najazdu na Anglię Wschodnią, a on był gotów to zrobić, czując magiczne wsparcie relikwii Świętego Oswalda.

– Bebbanburg jest słaby – powiedziała Ingulfrid. – Nie chodzi o samą warownię. Twierdza jest potężna, a mąż może powołać wystarczająco liczne wojsko, żeby pokonać większość przeciwników, ale nie śmie sprowokować prawdziwie niebezpiecznego wroga. Zapewnia sobie więc bezpieczeństwo, utrzymując poprawne stosunki z sąsiadami.

– Poprawne stosunki z Duńczykami?

– Z Duńczykami – potwierdziła.

– A zatem twój mąż przypomina Haestena. Przetrwał dzięki temu, że płaszczy się i merda ogonem.

Przez chwilę się wahała, po czym powiedziała:

– Tak.

A Bebbanburg nie miał znaczenia dla Duńczyków. Miał znaczenie dla mnie, ich tylko uwierał. Oczywiście chcieli zdobyć tę twierdzę, ale ich ambicje były znacznie większe. Chcieli osiąść żyzne pola, leniwe rzeki oraz gęste lasy Mercji i Wessexu. Chcieli krainy nazywanej Daneland. Chcieli wziąć wszystko, i podczas gdy ja obozowałem na fryzyjskiej plaży, oni zapewne właśnie sięgali po to wszystko.

Pomyślałem o Aethelflaed. Znalazła się w samym środku tego szaleństwa.

Nie wiedziałem, czy to prawda. W tej samej chwili słońce na wschodzie zapłonęło czerwienią. Nie miałem pojęcia o tym, co się dzieje w Brytanii. Wszystko to były jedynie moje domysły. Mogłem zakładać, że nadal panuje długotrwały pokój, a ja tylko wyobrażam sobie chaos, ale przeczucie podpowiadało mi coś innego. A jeśli przeczucie nie jest głosem bogów, to czymże jest?

Dlaczego jednak miałyby mnie to obchodzić? Chrześcijanie mnie odtrącili i spalili moją posiadłość. Wygnali mnie z Mercji i zmusili do ucieczki na te jałowe wydmy. Nic im nie byłem winien. Gdybym miał choć trochę rozumu – pomyślałem – poszedłbym do Kanuta i zaoferował mu swój miecz, a później niósłbym go przez Mercję i Wessex aż na południowe wybrzeże i wycinał w pień tych głupców, którzy napluli mi w twarz. Zmusiłbym biskupów, opatów i mnichów do błagania na klęczkach o litość.

I wtedy pomyślałem o Aethelflaed.

I już wiedziałem, co muszę zrobić.

– A więc co robimy? – zapytał Finan z szerokim uśmiechem nazajutrz rano.

– Musimy zdobyć żywność na trzy–cztery dni żeglugi – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie, zaskoczony zdecydowanym tonem mojego głosu, po czym kiwnął głową.

– Jest tu mnóstwo ryb i fok.

– Uwęźdźcie je – rozkazałem. – A co z ale?

– Starczy na tydzień. Wzięliśmy dwie beczki z Reinbôge.

Biedny Blekulf, zostawiłem go z synem i członkiem załogi w Bebbanburgu. Chciał uratować łódź, chociaż mówiłem mu, żeby ją zostawił.

– Popłyn z nami – zaproponowałem.

– Dokąd?

– Do Fryzji – odpowiedziałem i natychmiast pożałowałem tych słów. Wcale nie byłem pewien, że naszym celem będzie Fryzja, chociaż nie przychodziło mi na myśl żadne inne miejsce, w którym moglibyśmy się schronić. – Wcześniej czy później dopłyniemy do Fryzji – dodałem, próbując naprawić głupstwo, które palnąłem. – Bardziej prawdopodobne, że najpierw udam się do Anglii Wschodniej, ale zawsze możesz się tam przesiąść na statek do domu.

– Uratuję Reinbôge – powtórzył z uporem. – Wcale nie stoi aż tak daleko od morza.

Został więc, ale ja wątpiłem w to, że udało mu się zepchnąć łódź na wodę i uniknąć spotkania z ludźmi mojego kuzyna. Podejrzewałem, że wyjawiał im, dokąd się udaliśmy.

Moglibyśmy wypłynąć na morze jeszcze tego dnia albo nazajutrz, gdyby udało nam się zrobić wystarczająco duże zapasy żywności, ale potrzebowaliśmy dodatkowych dwóch–trzech dni, żeby naprawić szkody wyrządzone przez sztorm. Broń i kolczugi zawilgotniały i należało wyszorować je piaskiem, żeby zetrzeć wszystkie plamki rdzy, powiedziałem więc Finanowi, że zostaniemy na tym brzegu trzy noce.

– A potem dokąd popłyniemy? – zapytał.

– Na wojnę – odparłem uroczyście. – Damy bardom powód, by nas opiewali. Wypełnimy ich usta śpiewem! Jedziemy na wojnę, przyjacielu. – Klepnąłem Irlandczyka po plecach. – Teraz jednak zamierzam się przespać. Dopilnuj, żeby ludzie mieli zajęcie.

Przyszli bohaterowie musieli najpierw wziąć się do roboty: nałowić fok i ryb,

zebrać drewno, żeby można było uwędzić pokrajane w paski mięso. Do wędzenia najlepiej nadaje się świeże drewno, ale takiego nie mieliśmy, ułożyliśmy więc stos z suchych gałęzi wyrzuconych przez morze i wodorostów, a potem rozpaliliśmy ognisko, z którego unosił się ku niebu dym.

Trzeba było też zadbać o Middelniht. Nie miałem zbyt wiele materiałów, żeby przeprowadzić remont, ale niedużo potrzebowała, więc sprawdziliśmy całe olinowanie, zaszyliśmy rozdarcia żagli i podczas odpływu oczyściliśmy kadłub. W czasie odpływu wziąłem też dziesięciu ludzi i pozaznaczaliśmy mielizny palikami wierzbowymi. To była ciężka praca. Musieliśmy wykopać dziury w piasku, które natychmiast wypełniały się wodą i piachem. Kopaliśmy i ryliśmy w dnie gołymi rękami oraz połamanymi deskami, a następnie wbijaliśmy kije najgłębiej, jak się dało, po czym wypełnialiśmy doły kamieniami, żeby pale trzymały się prosto. Na wydmach i wysepkach nie znaleźliśmy kamieni, wykorzystaliśmy więc te z balastu Middelniht – użyliśmy ich tak dużo, że musieliśmy zastąpić je piaskiem. Łódź miała przez to trochę mniejsze zanurzenie, ale uznałem, że jest bezpieczna. Zabrało nam to dwa dni, ale po zakończonej pracy pale wierzbowe wystawały ponad wodę nawet w czasie przypływu, choć sporo wyrwał i unióś prąd. Pozostałe jednak wskazywały drogę do naszego schronienia pośród zdradliwych mielizn. Ścieżkę przygotowaną dla wroga.

I wróg przybył. Nie był to Thancward. Choć on wiedział, że wróciliśmy, bo kilkakrotnie widziałem jego łódź. Najwidoczniej jednak nie chciał kłopotów i udawał, że nas nie widzi. Ostatniego dnia, pięknego letniego poranka pojawił się statek. Nadpłynął, kiedy zamierzaliśmy opuścić wyspę. Spaliliśmy szałas, ułożyliśmy w stosy suszone mięso na pokładzie Middelniht i właśnie podnosiliśmy kamienną kotwicę i mocowaliśmy wiosła w dulkach, kiedy zjawił się okręt.

Płynął z zachodu. Obserwowaliśmy, jak się zbliża, i dostrzegliśmy wyniosłą, pomalowaną jaskrawą farbą głowę smoka na jego dziobie. Wiatr wiał z zachodu, płynął więc pod żaglami, a kiedy się zbliżył, zobaczyłem sylwetkę orła wyhaftowaną na grubym płótnie. To był dumny, piękny okręt, na którego pokładzie tłoczyli się wojownicy w hełmach odbijających promienie zachodzącego słońca.

Nie wiedziałem wówczas, do kogo należy ani kto jest jego kapitanem.

Przypuszczałem, że jakiś Duńczyk. Może chciał zdobyć nagrodę obiecaną przez mojego kuzyna. A może był po prostu przepływającym drapieżcą, który dostrzegł łatwy łup. Kimkolwiek był, zauważył, że Middelniht jest mniejszym okrętem, że próbujemy opuścić wyspę, i zobaczył, że podążamy kanałem prowadzącym ku lądowi, który oznakowałem palikami osadzonymi między głazami.

I mnie usidlił. Nadpłynął szybko, pędzony przez wiatr dmący we wzmocniony linami żagiel niosący orła. Wystarczyło, żeby wpłynął do kanału i uderzył kadłubem w naszą burtę, łamiąc nam wiosła, albo zderzył się z nami i wpuścił wojowników do brzucha Middelniht, by przejęli kontrolę nad naszym okrętem. I to by się im udało, bo ich statek był dwukrotnie większy i miał dwa razy liczniejszą załogę.

Obserwowałem, jak płynie w naszą stronę, podczas gdy my wiosłowaliśmy – to był wspaniały widok. Pomalowana złotem smocza głowa, orzeł wyhaftowany na żaglu szkarłatną nicią i chorągiew na maszcie głównym połyskująca w słońcu błękitem i złotem. O dziób okrętu rozbijały się fale, tworząc białe grzywy. Wojownicy na pokładzie mieli na sobie pancerze, byli uzbrojeni, w dłoniach trzymali tarcze i miecze. Okręt przybywał na bój. Kiedy wpłynął w oznaczony przeze mnie kanał, oczywiste stało się, że nie ma dla nas ucieczki. Usłyszałem ryk ludzi szykujących się, żeby sprawić nam krwawą łaźnię.

I wtedy okręt uderzył o dno.

Pale zaprowadziły go prosto na mieliznę, po to właśnie tak starannie je wbijałem.

Okręt zbliżył się do nas, uderzył o dno, jego maszt pękł i się złamał, żagiel opadł na burty, następnie spadła ciężka reja i przewrócił się nadwerężony maszt. Siła uderzenia ciężkiego kadłuba o dno rzuciła załogę do przodu. Dumny okręt krążący w poszukiwaniu ofiar zmienił się we wrak, jego dziób ugrzązł w piasku, a wojownicy z trudem trzymali się na nogach.

Obróciłem wiosło sterowe Middelniht, żeby wyprowadzić ją z zaznaczonego kanału, i popłynąłem na południe, okrążając mieliznę, na której rozbił się dumny okręt. Wiosłowaliśmy bez pośpiechu, na złość wrogom, którym popsuliśmy szyki, mijając ich tuż poza zasięgiem włóczni.

Pomachałem im w pozdrowieniu dłonią.

A później wypłynęliśmy na morze.

Ingulfrid i jej syn trzymali się blisko mnie, Finan stał obok, mój syn i załoga siedzieli u wiosł. Słońce świeciło, woda pluskała, pióra wiosł zanurzały się w morzu – wypłynęliśmy.

Wypłynęliśmy tworzyć historię.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Koło fortuny się kręciło. Nie byłem tego świadom, ponieważ zazwyczaj nie odczuwamy jego ruchu, ale tego słonecznego letniego dnia kręciło się szybko, podczas gdy my opuszczaliśmy wybrzeże Fryzji.

Wraciałem do Brytanii. Do miejsca, gdzie chrześcijanie mnie nienawidzili, a Duńczycy mi nie ufali. Wraciałem, bo przeczucie podpowiadało mi, że długotrwały pokój się skończył. Wierzę, że przeczucie jest głosem bogów, ale nie byłem pewien, czy bogowie mówią prawdę. Bogowie również kłamią, oszukują i płątają nam figle. Obawiałem się, że wrócimy do Brytanii tylko po to, by przekonać się, że nadal panuje pokój i nic się nie zmieniło. Byłem więc ostrożny.

Gdybym miał pewność, że „wiadomości” od bogów są prawdziwe, popłynąłbym na północ. Myślałem nawet, żeby tak zrobić. Planowałem, że opłynę północy brzeg ziem Szkotów, a później zawrócę na południe między dzikimi wyspami ku północnym wybrzeżom Walii i na wschód do miejsca, gdzie rzeki Dee i Maerse wpadają do morza. Od ujścia rzeki Dee do Ceasteru nie jest daleko. Choć podejrzewałem, że Haesten ukrywa rodzinę Kanuta, nie miałem na to dowodu. Poza tym jakie miałem szanse ze swoją niewielką załogą w starciu z wojskami Haestena za potężnymi rzymskimi murami?

Zachowałem więc ostrożność. Popłynąłem na zachód do miejsca, w którym – jak miałem nadzieję – będziemy bezpieczni i uda mi się zasięgnąć języka. Musieliśmy chwycić za wiosła, bo wiatr był nam przeciwny i cały dzień posuwaliśmy się powoli, wykorzystując tylko dwudziestu wiosłarzy jednocześnie, żeby ludzie mogli odpocząć. Ja też miałem swoją zmianę.

Noc była pogodna, byliśmy sami pod niezliczonymi gwiazdami. Mleko bogów tworzyło smugi w tle gwiazd, łuk światła odbijał się od fal. Świat powstał z ognia,

a kiedy został ukończony, bogowie zebrali pozostałe iskry i żar, aby cisnąć je w niebo. Wielki, jasny łuk Drogi Mlecznej zawsze wprawiał mnie w zachwyt.

– Jeśli masz rację... – odezwał się Finan, który podszedł do mnie i przerwał moje rozmyślenia przy wiosle sterowym – może już być po wszystkim.

– Chodzi ci o wojnę?

– Jeśli masz rację.

– Jeśli mam rację – odparłem – jeszcze się nie zaczęła.

Finan parsknął, słysząc te słowa.

– Kanut posieka Aethelreda na kawałki. Nie będzie potrzebował nawet dnia, żeby wypatroszyć tego tchórzliwego łajdaka.

– Myślę, że Kanut będzie czekał, a może nawet wcale nie zaatakuje. Pozwoli mu wplątać się w utarczki w Anglii Wschodniej, zbutwieć w bagnach i dopiero wtedy ruszy na południe, do Mercji. Przed atakiem poczeka też do żniw.

– Po tak deszczowym lecie zbiory będą marne – odparł ponuro Finan.

– Mimo wszystko nie pogardzi niczym, co da się zrabować, a jeśli się nie mylimy co do Haestena, Aethelred sądzi, że jest bezpieczny. Myśli, że może wybrać się na wyprawę do Anglii Wschodniej, nie narażając się na napaść Kanuta, który pozwoli mu nabrać przekonania, że nic mu nie grozi.

– Kiedy więc Kanut najedzie Mercję? – zapytał Finan.

– Jeszcze trochę. W czasie żniw. Za tydzień? Może dwa?

– Gdy Aethelred będzie zajęty w Anglii Wschodniej.

– Wtedy Kanut zajmie południową Mercję, a potem zwróci się przeciwko Aethelredowi i będzie wypatrywał Edwarda.

– Czy Edward wyruszy z odsieczą?

– Będzie musiał – odpowiedziałem z pewnością w głosie, która, miałem nadzieję, odpowiadała rzeczywistości. – Edward nie może dopuścić do tego, by Duńczycy zajęli całą Mercję, chociaż te bezmózgie klechy mogą mu doradzić, żeby został w swoich burdach i pozwolił Kanutowi po sobie przyjść.

– A zatem Kanut zajmie Mercję, potem Anglię Wschodnią, a na koniec ruszy na Wessex – podsumował Finan.

– To właśnie zamierza. Przynajmniej ja bym tak zrobił na jego miejscu.

– A co my zrobimy?

– Wyciągniemy tych drani z gówna, w które wpadli, oczywiście.

– W trzydziestu sześciu?

– Moglibyśmy to zrobić sami we dwóch – odparłem pogardliwie.

Roześmiał się, słysząc te słowa. Wiatr się wzmógł i pochylił łódź. Skręcał na północ, co dawało nadzieję, że wkrótce będzie można postawić żagiel i odłożyć wiosła.

– A Święty Oswald? – zapytał Finan.

– Co z nim?

– Czy Aethelred zamierza zebrać w jednym miejscu szczątki tego nieszczęśnika?

Tego nie byłem pewien. Aethelred był wystarczająco przesądny, żeby wierzyć w chrześcijańskie zapewnienia, że zwłoki świętego mają magiczną moc, jednak aby zdobyć relikwie, musiałby ruszyć na opanowaną przez Duńczyków Northumbrię. O ile wiedziałem, chciał zacząć wojnę z Duńczykami zamieszkującymi Anglię Wschodnią. A może jednak sądził, że Kanut nie odważy się na atak, gdy jego żonę przetrzymywano jako zakładniczkę? Jeżeli tak było, mógł zaryzykować wyprawę do Northumbrii.

– Niedługo się tego dowiemy – powiedziałem.

Oddałem Finanowi wiosło sterowe i ostrożnie ruszyłem między śpiącymi członkami załogi, mijając dwudziestu ludzi, powoli wiosłujących w rozświetlonych gwiazdami ciemnościach. Poszedłem na dziób, oparłem dłoń o łeb smoka i zapatrzyłem się w noc.

Lubię stać na dziobie statku, a tej nocy morze było usiane odbijającymi się w wodzie gwiazdami, tworzącymi migoczącą drogę na powierzchni ciemnej otchłani. Dokąd prowadził ten szlak? Patrzyłem na pomarszczone, połyskujące morze, słuchając chlupotu wody uderzającej o kadłub Middelniht, łódź tymczasem unosiła się i opadała na niewielkich falach. Wiatr na tyle zmienił kierunek, żeby popchnąć nas na południe, ale ja nadal nie miałem jasności, dokąd zmierzamy, więc nie kazałem Finanowi zmieniać kursu. Pozwoliłem łodzi podążać po iskrzącej się drodze,

biegnącej przez oświetlone gwiazdami morze.

– A co będzie ze mną?

To był głos Ingulfrid. Nie słyszałem jej kroków, kiedy szła przez pokład, ale kiedy się odwróciłem, zobaczyłem jej bladą twarz osłoniętą kapturem płaszcz Aelfrica.

– Co będzie z tobą? – powtórzyłem. – Wrócisz do domu z synem, kiedy twój mąż zapłaci okup.

– A co będzie ze mną w domu?

Miałem ochotę odpowiedzieć, że nie obchodzi mnie, co będzie się z nią działo w Bebbanburgu, po chwili zrozumiałem jednak powód tego pytania i przyczynę, która sprawiała, że zadała je tak gorzkim tonem.

– Nic – odparłem, wiedząc, że kłamię.

– Mój mąż mnie pobije – powiedziała. – I zapewne zrobi coś jeszcze gorszego.

– Gorszego?

– Jestem kobietą pohańbioną.

– Nie jesteś.

– Myślisz, że on w to uwierzy?

Przez chwilę się nie odzywałem, a później pokręciłem głową.

– Nie uwierzy – odrzekłem.

– Więc mnie pobije, a później prawdopodobnie zamorduje.

– Tak myślisz?

– Jest dumnym człowiekiem.

– I głupcem – dodałem.

– Głupcy też zabijają – zauważyła.

Zamierzałem odpowiedzieć, że powinna pomyśleć o wszystkich konsekwencjach, zanim się uparła, że będzie towarzyszyć synowi, ale ona zaczęła płakać, więc milczałem. Bezgłośnie. Szlochała cicho. Po chwili Osferth wstał z ławki wioślarzy, podszedł i objął ją ramieniem. A ona odwróciła się do niego, oparła głowę na jego piersi i płakała.

– Ona ma męża – powiedziałem do Osfertha.

– A ja jestem grzesznikiem – odparł. – Wyklętym przez Boga od urodzenia. Bóg nie może mnie bardziej pokarać, bo grzech mojego ojca już sprawił, że jestem potępiony.

Spojrzał na mnie wyzywająco, a kiedy nic nie powiedziałem, ostrożnie poprowadził Ingulfrid na rufę. Odprowadziłem ich wzrokiem.

Ależ my jesteśmy głupcami.

Dwa dni później zbliżyliśmy się do lądu spowitego srebrną mgiełką. Musieliśmy chwycić za wiosła. Do pewnego czasu podążałem za niewyraźną linią brzegową po mojej prawej stronie. Woda była tu płytka, wiatr ustał, tylko tysiące ptaków morskich umykało przed nami, marszcząc powierzchnię gładkiego morza uderzeniami skrzydeł.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Osferth.

– Nie wiem – odparłem.

Finan stał na dziobie. Miał najlepszy wzrok ze wszystkich znanych mi ludzi, obserwował więc płaską, monotonną linię brzegu, próbując dostrzec jakiegokolwiek oznaki życia. Niczego jednak nie zauważył. Wypatrywał też mielizn, na których moglibyśmy się rozbić. Niósł nas przypyływ i wiosła niewiele były w stanie zdziałać prócz utrzymania stałego kursu.

Irlandczyk krzyknął, że zauważył znaki – pale wierzbowe, a chwilę później dostrzegł chałupy między wydmami i skierował łódź ku brzegowi. Popłynąłem kanałem wyznaczonym palikami, który zaprowadził nas do piaszczystego niskiego cypla, gdzie znajdował się niewielki port z kilkoma zakotwiczonymi kutrami. Wyczułem zapach ogniska i wędzonych ryb. Skierowałem Middelniht na piaszczystą łachę, wiedząc, że przypyływ sprowadzi ją znów na głęboką wodę. W ten sposób wróciliśmy do Brytanii.

Przysposobiłem się na wojnę – założyłem kolczugę, płaszcz, hełm, a u boku miałem Oddech Węża, choć trudno mi było sobie wyobrazić, że spotkam wroga na tym nagim, okrytym mgłą pustkowiu. Mimo to postanowiłem się ukazać w pełnym blasku wojennej sławy, pozostawiłem Finanowi dowodzenie Middelniht i z kilkoma ludźmi wyszedłem na brzeg. Kimkolwiek byli mieszkańcy tego sioła na odludnym

wybrzeżu, zauważyli nas i zapewne uciekli, żeby się ukryć. Wiedziałem jednak, że będą nas obserwować przez mgłę, i nie chciałem ich przerazić, wyprowadzając zbyt wielu wojowników na brzeg. Chaty wybudowano z drewna wyrzuconego przez morze i pokryto strzechą z trzciny. Jeden z domów był większy od pozostałych, a do jego konstrukcji wykorzystano wręgi z wraków. Kiedy zająłem do środka przez niskie drzwi, zobaczyłem ogień palący się na centralnym palenisku, dwa legowiska, trochę glinianych naczyń i duży żelazny kocioł. W takim miejscu – pomyślałem – te rzeczy świadczą o bogactwie. Ukryty w cieniu pies zawarczał na mnie, a ja na niego huknąłem. Wewnątrz nikogo nie było.

Poszliśmy kawałek w głąb lądu. Jakiś czas temu wzniesiono tam wał ziemny, który z obu stron niął we mgle. Z biegiem lat czas wygładził glinę, a ja zastanawiałem się, kto i po co wznosił te obwarowania. Nie widziałem żadnego powodu, żeby szczególnie chronić to miejsce, chyba że wieśniacy obawiali się żab z posępnych mokradeł ciągnących się ku północy w rozświetloną mgłę. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem tylko trzęsawiska, trzciny, mokradła i trawę.

– Raj na ziemi – odezwał się Osferth z właściwym dla siebie poczuciem humoru.

Przecucie mówiło mi, że znaleźliśmy się w owej dziwnej zatoce, która we wschodniej części Brytanii wdziera się w ląd i rozdziela Anglię Wschodnią od Northumbrii – nazywa się Gewaesc. To duża, płytką, zdradziecka zatoka, otoczona tylko nizinami, do której mimo wszystko zawija dużo statków. Jest bramą do Brytanii – podobnie jak Humber – i skusiła wiele duńskich łodzi do ruszenia w górę czterech rzek wpadających w jej płytkie wody. Jeśli miałem rację, przybiliśmy do północnego wybrzeża Gewaesc, a zatem byliśmy w Northumbrii. Na mojej ziemi. Duńskiej ziemi. Ziemi wroga.

Zatrzymaliśmy się kilka kroków przed wałem ziemnym. Droga biegła na północ, ale była to zaledwie ścieżka wydeptana wśród trzciny. Nie wykonywaliśmy żadnych wrogich gestów, więc w końcu ktoś powinien się pokazać. I tak też się stało. Na trakcie pojawiło się dwóch mężczyzn o nagich torsach okrytych foczymi skórąmi i ostrożnie zaczęło się do nas zbliżać. Obaj byli brodaci i mieli ciemne, przetłuszczone, zmierzwione włosy. Mogli być w każdym wieku, od dwudziestu do

pięćdziesięciu lat, a ich twarze i ciała były tak brudne, że wydawało się, iż wpełzli z jakiejś podziemnej kryjówki. Rozpostarłem ręce, żeby pokazać im, że nie jestem uzbrojony.

– Gdzie jesteście? – zapytałem, gdy znaleźli się w zasięgu głosu.

– W Botulfstanie – odpowiedział jeden z mężczyzn.

To znaczyło, że znaleźliśmy się w Kamieniu Botulfa, choć nie dostrzeżliśmy tu nikogo imieniem Botulf ani jego skały. Zapytałem, kim jest ów Botulf, a oni dali do zrozumienia, że ich lordem, ale mieli tak dziwny akcent, że z trudem ich zrozumiałem.

– Botulf dzierżawi te ziemie? – zapytałem tym razem po duńsku.

– Botulf był wielkim świętym – wyjaśnił mi Osferth. – Patronem podróżnych.

– Dlaczego podróżnych?

– Chyba dlatego, że sam dużo podróżował.

– To mnie nie dziwi – odparłem. – Biedak pewnie chciał wyrwać się z tej zabitej deskami wiochy. – Spojrzałem znów na mężczyzn. – Macie jakiegoś pana? Gdzie mieszka?

Jeden z nich wskazał na północ, poszliśmy więc drogą w tym kierunku. Wzdłuż bagnistych odcinków poukładane zostały bale, ale drewno dawno już zbutwiało i kruszyło się pod naszymi stopami. Mgła nie ustępowała. Słońce wyglądało jak żarząca się plama światła, która wprawdzie wznosiła się po niebie, ale nie mogła się przebić przez mgłę. Mieliśmy wrażenie, że droga nigdy się nie skończy – nie licząc nas, ptaków zamieszkujących mokradła, trzcin i długich mulistych sadzawek, była zupełnie pusta. Zacząłem myśleć, że to pustkowie nie ma końca, kiedy wreszcie zobaczyłem prymitywne ogrodzenie z kolczastych krzewów i niewielką łąkę, na której między ostami pasło się pięć przemoczonych, brudnych owiec. Za pastwiskiem stały zabudowania. Początkowo dostrzegłem tylko ciemne kształty we mgle, a po chwili dwór, stodołę i palisadę. Zaczął ujadać pies i jakiś człowiek otworzył bramę. Był nie pierwszej młodości, miał na sobie porwaną kolczugę, a w ręku trzymał włócznię z grotem pokrytym rdzą.

– Czy to jest Botulfstan? – zapytałem go po duńsku.

– Botulf zmarł dawno temu – odparł w tym samym języku.

– A zatem kto tu mieszka?

– Ja – odrzekł uczynnie.

– Gormie! – doszedł do nas zza palisady kobiecy głos. – Wpuść ich do środka!

– I ona – dodał ponuro Gorm. – Ona też tu mieszka. – Odsunął się na bok.

Dwór został wzniesiony z belek, poczerniałych od wilgoci i starości. Strzechę z sitowia porastała gruba warstwa mchu. Wyleniały pies uwiązany przy drzwiach szarpał się, naciągając spleciony rzemień, ale położył się, kiedy kobieta na niego huknęła. Była to starsza niewiasta o siwych włosach, ubrana w długi brązowy płaszcz, spięty pod szyją ciężką srebrną broszą w kształcie młota. A więc nie była chrześcijanką.

– Męża nie ma – powitała nas szorstko. Mówiła po duńsku, tymczasem wieśniacy byli Sasami.

– Jak się nazywa twój mąż? – zapytałem.

– A ty jak się zwiesz? – odpowiedziała pytaniem.

– Wulf Ranulfson – przedstawiłem się, używając imienia, które przybrałem w Grimesbi. – Z Haithabu.

– Zagnało cię daleko od domu.

– Wygląda na to, że twojego męża też.

– To Hoskuld Irenson – powiedziała tonem sugerującym, że powinienem o nim już słyszeć.

– Komu służy? – zapytałem.

Zawahała się, jakby nie miała ochoty odpowiedzieć, ale po chwili ustąpiła.

– Sigurdowi Thorrsonowi.

Sigurd Thorrson był przyjacielem i sojusznikiem Kanuta Ranulfsona, drugim co do ważności panem Northumbrii i człowiekiem, który szczerze mnie nienawidził, bo zabiłem jego syna. Co prawda, zginął w bitwie i z mieczem w dłoniach, jednak Sigurd będzie mnie nienawidził do czasu, aż przyjdzie po niego śmierć.

– Słyszałem o Sigurdzie Thorrsonie – odparłem.

– Któż go nie zna?

– Mam nadzieję wstąpić do niego na służbę.

– Jakim cudem tu dotarliście? – zapytała oburzona, jakby nikt wcześniej nie odkrył jej dworu próchniejącego wśród mokradeł.

– Przepłynęliśmy morze, pani – wyjaśniłem.

– Nie to morze, co trzeba – odrzekła z lekkim rozbawieniem. – Macie daleko do Sigurda.

– A ty, pani, jak się zwiesz? – zapytałem uprzejmie.

– Frieda.

– Jeśli masz ale, chętnie za nie zapłacimy.

– Nie weźmiecie siłą?

– Zapłacimy, a kiedy będziemy pili, wyjaśnisz nam, dlaczego przebyliśmy nie to morze, co trzeba.

Zapłaciliśmy skrawkiem srebra za ale smakujące pomyjami, a Frieda wyjaśniła nam, że jej mąż został wezwany przez Sigurda pod broń – zabrał ze sobą sześciu ludzi zdolnych do walki i pojechał z nimi na zachód.

– Jarl Sigurd polecił im wziąć łódź, ale my nie mamy łodzi.

– Wziąć dokąd?

– Na zachodnie morze – odpowiedziała. – To, które oddziela nasze ziemie od Irlandii. – Zabrzmiała niepewnie, jakby Irlandia była dla niej niczym więcej niż nazwą. – My jednak nie mamy łodzi, więc mąż pojechał konno.

– Jarl Sigurd powołuje swoich ludzi pod broń?

– Tak – potwierdziła. – Podobnie jak jarl Kanut. Modłę się o to, by wszyscy szczęśliwie wrócili do domu.

Z zachodniego morza? To mnie zastanowiło. Musieli zbierać flotę w jedynym miejscu na zachodnim wybrzeżu, gdzie mogą stacjonować liczne jednostki – w pobliżu warowni Haestena w Ceasterze. Wybrzeże na południe od Ceasteru należało do Walijczyków, a te dzikusy nie udzieliłyby schronienia Duńczykom. Tereny leżące na północ od warowni są równie niedostępne i niecywilizowane jak Walia, Duńczycy musieli więc zgromadzić się w Ceasterze. A dokąd wypłyną? Do Wessexu? Frieda tego nie wiedziała.

– Będzie wojna – oświadczyła. – Już jest wojna.

– Już?

Wskazała na północ.

– Słyszałam, że Sasi są w Lindcolne!

– Sasi? – Udałem zdumienie.

– Te wieści nadeszły wczoraj. Setki Sasów!

– A gdzie jest Lindcolne? – zapytałem.

– Tam. – Ponownie wskazała na północ.

Słyszałem o Lindcolne, ale nigdy tam nie byłem. Niegdyś było to ważne miasto, wzniesione jeszcze przez Rzymian, a Sasi je rozbudowali, kiedy zajęli tamtejsze ziemie po wycofaniu się Rzymian. Plotka jednak głosiła, że Duńczycy, którzy obecnie zajmują fort na wyżynach w pobliżu Lindcolne, spalili miasto.

– Jak daleko leży Lindcolne? – zapytałem Friedę.

Nie wiedziała.

– Mąż pokonuje drogę tam i z powrotem w dwa dni – stwierdziła. – Nie jest bardzo odległe.

– Co tam robią Sasi? – zapytałem.

– Brukają ziemie swoimi plugastwami – odparła. – Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że nie zjawią się tutaj.

Lindcolne leży na północy, wewnątrz Northumbrii. Jeśli Frieda miała rację i wojska saskie ośmieliły się najechać ziemie Sigurda Thorrsona, Sasi musieli być pewni, że nie narażają się na odwet, a to wskazywało, że przetrzymywali w niewoli żonę i dzieci Kanuta Długiego Miecza.

– Masz konie, pani?

– Jesteś głodny? – zakpiła.

– Chciałbym pożyczyć wierzchowce, pani, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tych Sasach.

Twardo się targowała o dwie nędzne szkapy ze swojej stajni. Były to stare klacze, żadna nie wydawała się w dobrej kondycji, bądź co bądź były to jednak konie, a my ich potrzebowaliśmy. Powiedziałem Osferthowi, żeby towarzyszył mi do Lindcolne, a pozostałych ludzi odesłałem na Middelniht.

– Przekażcie Finanowi, że wrócimy za trzy dni – poleciłem im z nadzieją, że się nie mylę.

Osferth niechętnie opuszczał Middelniht i Ingulfrid.

– Nic jej nie będzie – burknąłem.

– Tak, panie – odparł z rezerwą. Osiodłał mniejszą klacz. – Wiem, panie – dodał.

Wziąłem ze sobą Osfertha, bo go potrzebowałem. O Sasach w Lindcolne wiedziałem tylko tyle, że są wojownikami Aethelreda, co oznaczało, że zapewne zaprzysięgli mi śmierć, tymczasem Osferth, mimo że bękart, był synem Alfreda i jako królewskiego syna ludzie traktowali go z szacunkiem i poważaniem. Cieszył się wrodzonym autorytetem, a jego chrześcijaństwo nie budziło żadnych wątpliwości, ja zaś potrzebowałem wsparcia, którego mógł mi udzielić.

Obaj dosiedliśmy koni. Rzemienie strzemion były za krótkie, a popręgi zbyt długie i zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle uda nam się dotrzeć do Lindcolne. Klacze dość chętnie ruszyły stępa na północ, ale stało się dla nas oczywiste, że nie wykrzeszemy z nich ani trochę więcej energii.

– Będziemy mieli kłopoty, jeśli spotkamy Duńczyków – zauważył Osferth.

– Prędzej umrą ze śmiechu, gdy zobaczą te konie.

Osferth skrzywił się, słysząc te słowa. Mgła powoli się przerzedzała, ukazując rozległy pusty krajobraz pokryty bagnami i trzcinami. To było posępne, pozbawione drzew miejsce. Te mokradła zamieszkiwali jacyś ludzie, ponieważ z daleka widzieliśmy ich chałupy i mijaliśmy pułapki na węgorki, nie spotkaliśmy jednak żywej duszy. Z każdą milą Osferth zdawał się coraz bardziej ponury.

– Co zrobisz z chłopcem? – zapytał po pewnym czasie.

– Odsprzedam go jego ojcu, oczywiście, chyba że ktoś zapłaci za niego więcej.

– A wtedy jego matka odejdzie z nim.

– Tak? Ty lepiej ode mnie wiesz, co robi.

Zapatrzył się na mokradła.

– Ona umrze – powiedział.

– Tak mówi.

– Wierzysz jej? – rzucił wyzywająco.

Przytaknąłem.

– Między nimi nie ma czułości. Wszyscy będą uważali, że została zgwałcona, a mąż nie uwierzy jej zaprzeczeniom, więc pewnie ją zabije.

– A zatem nie może do niego wrócić! – krzyknął Osferth.

– Decyzja będzie należała do niej.

Przez chwilę jechaliśmy w ciszy.

– Lady Ingulfrid przez piętnaście lat nie miała prawa opuszczać Bebbanburga – odezwał się. – Równie dobrze mogła być więźniem.

– To dlatego poszła z nami? Żeby zażyć świeżego powietrza?

– Matka chce być przy dziecku – odparł.

– Albo z dała od męża – rzekłem ostro.

– Jeśli zatrzymamy chłopca... – zaczął, po czym zamilkł.

– Potrzebny jest mi tylko po to, żeby ojciec za niego zapłacił. Powinienem był sprzedać go, kiedy byliśmy w Bebbanburgu, ale nie miałem pewności, czy dotrzemy do portu, jeśli nie weźmiemy go jako zakładnika. Teraz jest już dla mnie tylko kłopotem.

– To dobry chłopiec – stanął w jego obronie Osferth.

– Dopóki ten dobry chłopiec żyje, dopóty będzie uważał, że ma prawo do Bebbanburga. Powinienem poderżnąć mu jego parszywe gardło.

– Nie!

– Nie zabijam dzieci, ale za kilka lat? Za kilka lat będę musiał go zabić.

– Kupię go od ciebie – wypalił Osferth.

– Ty? Skąd weźmiesz złoto?

– Kupię go od ciebie! – powtórzy z uporem. – Daj mi tylko czas.

Westchnąłem.

– Odsprzedamy chłopaka ojcu, a jego matkę przekonamy, żeby została z nami. Tego chcesz, prawda? – Przytaknął, ale nic nie powiedział. – Zakochałeś się – zauważyłem. Moja uwaga wprowadziła go w zakłopotanie, mimo to ciągnąłem: – Miłość wszystko zmienia. Mężczyzna jest gotów z miłości przebić się przez ogień ragnaröku

i dokonać szalonych czynów dla kobiety, którą kocha.

– Wiem – odparł.

– Doprawdy? Nigdy jeszcze nie doświadczyłeś tego szaleństwa.

– Obserwowałem ciebie. Robisz to dla Wessexu i dla Mercji, robisz to dla mojej siostry.

– Która ma męża – odparłem szorstko.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami – powiedział sentencjonalnie i zrobił znak krzyża. – Bóg nam wybaczy.

Zamilkliśmy. Droga prowadziła na nieznaczną wyżynę, gdzie wreszcie pojawiły się drzewa – olchy i wierzby, wszystkie pochylone na zachód przez zimny, wiejący od morza wiatr. Wyżynę pokrywały dobre tereny pod wypas, płaskie, ale pocięte żywopłotami i rowami. Na łąkach pasły się krowy i owce. Dostrzegliśmy wsie i wspaniałe dwory. Było już popołudnie, więc wstąpiliśmy do jednego z dworów, żeby poprosić o ale, chleb i ser. Służący był Duńczykiem i powiedział nam, że jego pan wyjechał dołączyć do Sigurda Thorrsona.

– Kiedy to było? – zapytałem.

– Sześć dni temu, panie.

A zatem Kanut i Sigurd jeszcze nie rozpoczęli najazdu albo ich flota właśnie płynęła na wojnę.

– Słyszałem, że Sasi zajęli Lindcolne – powiedziałem.

– Nie Lindcolne, panie, tylko Bearddan Igge.

– Wyspę Bearda? – powtórzyłem. – Gdzie to jest?

– Niedaleko Lindcolne, panie. Kawalek na wschód.

– Ilu ich jest?

Wzruszył ramionami.

– Dwustu? Trzystu?

Dokładnie nie wiedział, ale jego odpowiedź potwierdziła moje przypuszczenia, że Aethelred nie poprowadził wszystkich swoich wojsk do Northumbrii, a jedynie silną drużynę.

– Zamierzają stamtąd zaatakować Lindcolne? – zapytałem.

Wybuchnął śmiechem, słysząc te słowa.

– Nie odważą się. Prędzej zginą.

– Więc czemu zajęli wyspę?

– Bo są głupcami, panie?

– Co jest w Bearddan Igge? – zadałem kolejne pytanie.

– Nic, panie – odrzekł służący.

Zobaczyłem, że Osferth otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

– W Bearddan Igge jest klasztor – wyjaśnił Osferth, kiedy odjechaliśmy. – A raczej był, zanim poganie go spalili.

– Dobrze wiedzieć, że zrobili coś pożytecznego – odrzekłem, a on odplacił mi spojrzeniem spode łba.

– To tam został pochowany Święty Oswald – powiedział Osferth.

Popatrzyłem na niego.

– Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?

– Zapomniałem nazwy. Przypomniałem sobie, dopiero kiedy wspomniał o niej ten człowiek. Bearddan Igge to dziwna nazwa, ale święte miejsce.

– I pełne ludzi Aethelreda – dodałem. – Przekopujących ziemię w poszukiwaniu szczątków świętego.

Słońce na zachodzie było już nisko, kiedy zbliżyliśmy się do Bearddan Igge. Teren tu nadal były równiny i pokryty mokradłami. Przebywaliśmy w bród leniwe strumienie i przekraczaliśmy kanały odprowadzające wodę i przecinające niby strzała podmokłe pastwiska. Dotarliśmy do większej drogi, która również biegła prosto jak strzała. Minęliśmy przewrócony rzymski kamień milowy. Był do połowy zarośnięty trawą, ale nadal widniał na nim wyryty napis „Lindum VIII”, co oznaczało – jak się domyśliłem – że od miasta Lindcolne dzieliło nas jeszcze osiem mil.

– Czy Rzymianie liczyli odległość w milach? – zapytałem Osfertha.

– Tak, panie.

Chwilę później dostrzegli nas ludzie Aethelreda. Stacjonowali na zachód od nas, słońce znajdowało się teraz nisko nad horyzontem, żarząc się na niebie, więc zauważyli nas znacznie wcześniej niż my ich. Było ich ośmiu, dosiadali rosłych

ogierów i byli uzbrojeni w miecze oraz włócznie. Kiedy galopem przemierzali mokradło, spod kopyt ich wierzchowców leciały grudy wilgotnej ziemi. Zatrzymaliśmy nasze chabety i czekaliśmy.

Jeźdźcy nas otoczyli. Ich konie waliły kopytami o ziemię, podczas gdy wojownicy lustrowali nas wzrokiem. Zauważyłem, że ich dowódca spojrział na młot Thora na mojej szyi, a następnie przeniósł wzrok na krzyż Osfertha.

– Nazywacie te człapakki końmi? – parsknął. – I kim, na Boga, jesteście? – dodał, gdy żaden z nas mu nie odpowiedział.

– To jest księżobójca – powiedział jeden z jego ludzi. Jako jedyny miał tarczę z wymalowanym herbem Aethelreda: stojącym dęba białym koniem. – Rozpoznaję go – ciągnął mężczyzna.

Dowódca spojrział mi w oczy. Dostrzegłem zdumienie na jego twarzy.

– Jesteś Uhtred?

– To jest lord Uhtred – odparł z przyganą Osferth.

– Pojedziecie z nami – rzucił krótko mężczyzna i zawrócił konia.

Kiwnąłem głową do Osfertha, żeby mu dać znać, że ich posłuchamy.

– Powinniśmy odebrać im miecze – powiedział jeden z wojowników.

– Tylko spróbujcie – zaproponowałem uprzejmie.

Nie zdecydowali się na to, ale poprowadzili nas przez zalane wodą pastwiska i rowy, aż dotarliśmy do błotnistej drogi biegnącej na północ i wschód. Z daleka dostrzegłem liczne konie.

– Ilu was jest? – zapytałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi. – Pod czyimi służycie rozkazami?

– Osoby, która zdecyduje o życiu lub śmierci księżobójcy – odparł mężczyzna, który najwidoczniej dowodził oddziałem.

Okazało się jednak, że wciąż wznosimy się na kole fortuny, bo osobą, która miała podjąć tę decyzję, okazał się Merewalh. Kiedy mnie rozpoznał, dostrzegłem wyraz ulgi na jego twarzy. Znałem go od wielu lat. Był człowiekiem Aethelreda, ale porządnym. Oblegaliśmy razem pod Ceasterem, a on zawsze zasięgał mojej rady i dopóki Aethelred mu na to pozwalał, dopóty ze mną współpracował. Nigdy nie był

blisko z Aethelredem. Merewalh należał do ludzi, których wybiera się do trudnych zadań, na przykład wysłał się na granicę sasko-duńską, podczas gdy reszta grzała się w łasce Aethelreda. Tym razem przypadło mu dowództwo nad trzystoma wojownikami rzuconymi w głąb Northumbrii.

– Szukamy Świętego Oswalda – wyjaśnił.

– Raczej tego, co z niego zostało – zauważyłem.

– Podobno został tu pochowany. – Wskazał na pole, gdzie jego ludzie kopali, przez co duże obszary łąki były usiane otwartymi grobami, hałdami ziemi i rzędami kości. Kilka spróchniałych palów wskazywało, że w tym miejscu stał kiedyś klasztor.

– Duńczycy spalili opactwo wiele lat temu – dodał.

– Zapewne też wykopali szczątki Świętego Oswalda, starli jego kości na pył i rozsypali na wietrze.

Merewalh był moim przyjacielem, ale na tym ponurym polu, nazywanym Bearddan Igge, spotkałem też wrogów. Byli to trzej mnisi pod wodzą Ceolberhta, którego rozpoznałem po bezzębnych ustach. Mój widok znów skłonił go do gardłowania. Zasługiwałem na śmierć. Byłem poganinem, który zabił świętobliwego opata Wihtręda. Zostałem przeklęty przez boga i ludzi. Sasi otoczyli go, żeby posłuchać nienawistnego jadu, którym pluł.

– Rozkazuję ci, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, skazać tego człowieka na śmierć – zwrócił się do Merewalha Ceolberht, wskazując na mnie.

Ale ci ludzie, mimo że byli chrześcijanami, również się niepokoiли. Zostali wysłani na tę idiotyczną misję głęboko na terytorium wroga i wiedzieli, że zostaną dostrzeżeni przez Duńczyków patrolujących okolice warowni w Lindcolne. Im dłużej przebywali w Bearddan Igge, tym bardziej stawali się niespokojni, spodziewając się w każdej chwili ataku ze strony liczniejszego i silniejszego nieprzyjaciela. Chcieli znów połączyć się z wojskami Aethelreda, ale mnisi upierali się, że można i trzeba znaleźć szczątki Świętego Oswalda. Byłem wyrzutkiem skazanym na śmierć, ci ludzie wiedzieli jednak, że jestem też wodzem, który wygrał z Duńczykami wiele bitew z rzędu, a w tym momencie obawiali się ich bardziej niż gniewu swego ukrzyżowanego boga. Ceolberht ujadął, ale nikt się nie ruszył, żeby mnie zabić.

– Skończyłeś? – zapytałem klechę, kiedy przerwał, żeby złapać oddech.

– Zostałeś uznany za... – zaczął od początku.

– Ile zębów ci zostało? – przerwałem mu. Nic nie odpowiedział, tylko gapił się na mnie. – Zamknij się więc – rozkazałem. – Jeśli nie chcesz stracić tych kilku spróchniałych pieńków, które jeszcze masz w ustach. – Odwróciłem się do Merewalha. – Duńczycy pozwolili wam tu kopać?

Kiwnął głową.

– Wiedzą, że tu jesteśmy.

– Od jak dawna?

– Od trzech dni. Duńczycy przysłali ludzi z Lindcolne, żeby nas obserwowali, ale nam nie przeszkodzili.

– Nie przeszkodzili wam – powiedziałem – bo chcą, żebyście tu zostali.

Dowódca zmarszczył brwi.

– Dlaczego mieliby tego chcieć?

Zacząłem mówić głośniej. Większość ludzi Merewalha skupiła się wokół nas i chciałem, żeby usłyszeli to, co powiem.

– Duńczycy chcą, żebyście tu zostali, bo na rękę im, żeby Aethelred ugrzązł w Anglii Wschodniej, kiedy oni zaatakują Mercję.

– Mylisz się! – wrzasnął triumfalnie ojciec Ceolberht.

– Doprawdy? – zapytałem łagodnie.

– Bóg wydał nam Duńczyków! – zawołał klecha.

– Nie zaatakują Mercji, bo wzięliśmy syna Kanuta jako zakładnika – wyjaśnił mi pewność mnicha Merewalh.

– Doprawdy? – powtórzyłem.

– To znaczy, nie ja go wzięłem.

– A kto?

Ceolberht nie chciał mnie w nic wtajemniczać, ale Merewalh mi ufał. Poza tym jego ludzie już wiedzieli to, co miał mi zdradzić.

– Lord Aethelred zawarł zawieszenie broni z Haestenem – wyjaśnił.

– Oczywiście, pamiętam Haestena – powiedziałem. Spotkaliśmy się z Merewalhem pod warownią Haestena i tam zaprzyjaźniliśmy.

– Haesten został chrześcijaninem – stwierdził ojciec Ceolberht.

– A w zamian chce tylko, żebyśmy zostawili go w spokoju w Ceasterze, więc lord Aethelred obiecał mu zostawić warownię, jeśli się nawróci i odda nam przysługę.

– Bóg tak zechciał! – zapiał klecha.

– A ta przysługa polegała na porwaniu żony i dzieci Kanuta? – zapytałem.

– Tak – odparł z dumą Merewalh. – A więc widzisz, Kanut nie ma pola manewru. Myśli, że lord Aethelred więzi jego rodzinę.

– Wszchemogący Bóg dał nam władzę nad naszymi wrogami! – wykrzykiwał Ceolberht. – Znajdujemy się pod Jego opieką. Chwalmy Pana!

– Jesteście głupcami! – powiedziałem. – Wszyscy! Byłem u Kanuta tuż po porwaniu jego żony i jak myślicie, kogo tam ujrzałem? Haestena! A co miał na szyi? To! – Podniosłem swój kościany młot Thora. – Z Haestena jest taki sam chrześcijanin jak ze mnie. Poza tym przysiągł wierność Kanutowi Ranulfsonowi, a Kanut rozkazał swoim tanom, poplecznikom i wojownikom, zebrać się przy Ceasterze. Z łodziami!

– On kłamie! – wrzasnął mnich.

– Jeśli cię okłamuję, oddaję ci swoje życie – odpowiedziałem mu, ale wystarczająco głośno, żeby usłyszeli mnie ludzie Merewalha. – Jeśli okaże się, że nie mówię prawdy, zegnę przed tobą kark, a ty będziesz mógł ściąć mi głowę. – Te słowa uciszyły klechę. Tylko gapił się na mnie w milczeniu. Merewalh uwierzył mi, tak samo jak jego ludzie. Szarpnąłem Osfertha za rękaw, żeby stanął obok mnie. – Ten człowiek jest chrześcijaninem. Synem króla Alfreda. Potwierdzi, że mówię prawdę.

– Zgadza się – poparł mnie Osferth.

– Kłamie! – krzyknął Ceolberht, ale stracił swój ostatni argument.

Ludzie uwierzyli mnie, a nie mnichowi. Tym samym ich świat całkowicie się zmienił, już nie był bezpieczny, lecz znalazł się na granicy chaosu.

Wziąłem Merewalha na stronę, w cień pod wierzbami.

– Ostatnim razem Kanut zaatakował południowe wybrzeże Wessexu. Teraz znów zbiera łodzie – powiedziałem.

– Żeby najechać Wessex?

– Nie wiem, ale to nie ma znaczenia.

– Nie?

– Liczy się to, że musimy sprawić, by tańczył, jak mu zagramy. On myśli, że to my będziemy działali pod jego dyktando.

– Aethelred ci nie uwierzy – zauważył nerwowo Merewalh.

Podejrzewałem, że ma rację. Aethelred rozpoczął swoją wojnę i nie miał ochoty przyjąć do wiadomości, że rozpętał ją, bo został oszukany. Będzie upierać się przy swoim, a jego nienawiść do mnie uczyni go jeszcze bardziej nieprzejednanym. Uznałem, że to nie ma znaczenia. Aethelred szybko będzie musiał mi uwierzyć. Należało natomiast wytrącić z równowagi Kanuta.

– Powinieneś odesłać większość swoich ludzi do Aethelreda – powiedziałem.

– Bez szczątków świętego?

Już miałem coś mu odburknąć, ale się powstrzymałem. Aethelred obiecał swoim wojskom pomoc Świętego Oswalda, i choć jego ludzie znaleźli się w złym miejscu, a on sam nie miał ochoty rezygnować z wojny w Anglii Wschodniej, przekonanie jego wojowników, że święty ich wspiera, nie było takim głupim pomysłem.

– Jutro podejmiemy ostatnią próbę znalezienia Oswalda. Potem pošlesz go do Aethelreda.

– Poślę go?

– Moja łódź znajduje się niecały dzień jazdy konnej stąd. Czterdziestu twoich wojowników pojedzie tam z Osferthem. Każą przyjechać tu moim ludziom na swoich wierzchowcach. Jeśli odnajdziesz grób świętego, odeślesz dwustu ludzi z kośćmi do Aethelreda, a reszta pójdzie ze mną.

– Ale... – Zamilkł. Pomyślał, że nie może odkomenderować ludzi ze mną, nie wzbudzając gniewu Aethelreda.

– Jeśli nie zrobisz, jak mówię, Aethelred zginie w ciągu miesiąca, a Mercja zostanie opanowana przez Duńczyków. Jeśli mi zaufasz, uratujesz jego i Mercję.

– Ufam ci – powiedział.

– Więc idź się przespać. Jutro będzie się dużo działo.

Poczekalem aż zapadnie głęboka noc, nastaną najciemniejsze godziny, gdy tylko duchy kręcą się po ziemi, gdy ludzie śpią, a sowy się budzą, gdy lis wyrusza na łowy i wszystko wzdraga się przy najcichszym szeleście. Noc jest królestwem śmierci. Strażnicy Merewalha czuwali, ale oni stali na granicy obozu, a w pobliżu nasiąkłych wodą resztek starego klasztoru nikogo nie było. Dwa ogniska tliły się i przy ich słabym świetle minąłem szkielety, które wyciągnięto z ziemi, a później z szacunkiem ułożono w długi rząd. Ojciec Ceolberht ogłosił, że wszyscy zmarli muszą zostać pochowani po odmówieniu modlitw za ich dusze, ponieważ byli to mnisi z Bearddan Igge, zakonnicy żyjący tu przed przybyciem Duńczyków, którzy palili, grabili i zabijali.

Kości zostały owinięte w nowe całuny z wełnianej tkaniny. Naliczyłem ich dwadzieścia siedem. Na końcu rzędu jeden z całunów leżał na ziemi, a na nim ułożono w stos większą ilość czaszek i kości, były to szczątki, których nie udało się połączyć z żadnym szkieletem. Za stosem stał wózek na dwóch dużych kołach. Był on na tyle duży, aby pomieścić człowieka. Na jego bokach widniały wymalowane krzyże, które widziałem w słabym świetle dogasających ognisk. Na ławie wewnątrz wózka leżał złożony materiał, a kiedy go dotknąłem, poczułem gładką cenną materię, którą nazywa się jedwabiem i sprowadza z jakiegoś odległego kraju na wschodzie. Jedwab oczywiście miał posłużyć za nowy całun dla Świętego Oswalda, jedyny problem polegał na tym, że szczątki Oswalda się nie zachowały.

Nadszedł więc czas na drugie zmartwychwstanie.

Zastanawiałem się, czy ktokolwiek policzył szkielety, a jeśli to zrobił, czy policzy je jeszcze raz przed ponownym złożeniem ich w ziemi. Miałem jednak mało czasu, a wątpiłem, by udało mi się znaleźć szczątki jeszcze jednego zmarłego wystarczająco dyskretnie, żeby nie obudzić ludzi śpiących w odległości zaledwie kilku jardów. Wybrałem więc na chybił trafił jeden szkielet i odwinąłem go z całunu. Dotknąłem kości. Były czyste, co wskazywało, że szkielety zostały umyte przed owinięciem w materię. Kiedy podniosłem jedno wysuszone ramię, kości pozostały ze sobą połączone, z czego wynikało, że mnich zmarł tuż przed splądrowaniem klasztoru.

Ukucnąłem obok szczątków i sięgnąłem do sakwy po srebrny krzyż, który

założyłem, żeby zmylić strażników Niskiej Bramy w Bebbanburgu. To był ciężki krzyż z granatami wprawionymi w ramiona. Miałem zamiar go sprzedać, ale teraz musiał mi posłużyć do innego celu. Pomyślałem, że muszę rozczłonkować szkielet. Użyłem noża, żeby odciąć jedno ramię i czaszkę, a następnie zebrałem kilka części piszczela ze stosu luźnych kości.

Potem już było łatwo. Włożyłem srebrny krzyż do klatki piersiowej, łańcuch owinąłem wokół jednego z żeber, użyłem wełnianego całunu do podniesienia szkieletu i przeniosłem szczątki na zachód, do leniwie płynącego strumienia. Położyłem go w płytkiej wodzie, uwolniłem całun i przeciągnąłem pułapkę na węgorze przez kości. Pozwoliłem, aby powolny prąd je uniósł, wyjąłem możliwie najdokładniej materiał, po czym ułożyłem go nad dogasającym ogniskiem, które zaczęło syczeć i dymić. Nazajutrz w większości się spali i nikt nie rozpozna w nim całunu. Wróciłem do martwych mnichów i poprzesuwałem szkielety tak, żeby ukryć powstałą między nimi lukę, a na koniec dotknąłem młota Thora i pomodliłem się, żeby nikt nie policzył ponownie zakonników.

Później, ponieważ wiedziałem, że od świtu będę miał ręce pełne roboty, poszedłem spać.

O świcie wezwałem do siebie Osfertha i Merewalha, ale przyszło z nimi też kilkudziesięciu innych mężczyzn. Byli to tanowie, ważni ludzie, właściciele ziemscy w Mercji, którzy przysłali swoich wojowników, żeby służyli Aethelredowi. Miny mieli nieco markotne, może z powodu gęstej mgły, która opadła na nizinę, a może dlatego, że ich zaufanie do Aethelreda podważyły wieści o prawdziwym sojuszu Haestena? Zebraliśmy się wokół wozu, gdzie służący przynieśli nam garnki słabego ale i kromki twardego chleba.

Merewalh był mercyjskim dowódcą, ale posłuchał moich rozkazów tak samo jak wiele lat temu pod Ceasterem.

– Ty – wskazałem na Osfertha. – Wrócisz dzisiaj do Middelniht. – Spojrzałem na Merewalha. – A ty dasz mu dobrego konia i czterdziestu ludzi.

– Czterdziestu?

– Załogę łodzi. – Zwróciłem się do Osfertha: – Przyślesz tu Finana i jego ludzi na koniach, które weźmiesz ze sobą. Powiedz im, żeby się pospieszyli i dobrze uzbroili. Potem popłyniesz do Londynu, znajdziesz swojego przyrodniego brata i wszystko mu opowiesz.

Przyrodni brat Osfertha był królem Wessexu, a my potrzebowaliśmy pomocy wojsk zachodniosaskich, jeśli mieliśmy pokonać Kanuta.

– Powiedz mu, że Duńczycy zacierają do Mercji albo Wessexu – ciągnąłem. – Powiedz mu, że są liczni, i niech szuka mnie na zachodzie.

– Na zachodzie – powtórzył Osferth z powagą.

– Nie wiem dokładnie, gdzie do tego dojdzie, ale jeśli Kanut zaatakuje Mercję, król Edward powinien zebrać swoje siły w Gleawecestre. Jeśli Kanut zaatakuje Wessex, dołączę do was, ale sądzę, że uderzy na Mercję. Więc każ bratu jechać do Gleawecestre.

– Dlaczego tam? – odezwał się jeden z tanów. – Nie wiemy przecież, co robi Kanut!

– Wiemy, że zaatakuje – odparłem. – A dopóki Kanut jest wolny, może ruszyć, gdzie tylko zechce, i zniszczyć, co mu się podoba, musimy więc zastawić na niego pułapkę. Zmusimy go, żeby wziął udział w bitwie w wybranym przez nas miejscu, a nie w miejscu, które on wyznaczy.

– Ale...

– Wybrałem zachód – warknąłem. – I zmuszę go do walki w miejscu, które wybrałem.

Nikt się nie odezwał. Zapewne mi nie wierzyli, ale mówiłem prawdę.

– Potrzebuję stu twoich wojowników – powiedziałem Merewalhowi. – Najlepszych, na najlżejszych koniach. Ty możesz ich poprowadzić.

Przytaknął powolnym skinieniem głowy.

– Dokąd?

– Ze mną. Reszta twoich ludzi dołączy do Aethelreda. Powiedz mu, że jest ci bardzo przykro, ale szczątki Świętego Oswalda dawno temu zostały rozsypane na cztery wiatry.

– To mu się nie spodoba – zauważył przysadzisty mężczyzna imieniem Oswin.

– Żadna z tych wiadomości nie przypadnie mu do gustu – odparłem. – Nie będzie chciał uwierzyć w to, co usłyszy. Zostanie w Anglii Wschodniej do czasu, aż przekona się, że był w błędzie, a wtedy będzie zbyt przerażony, żeby wrócić do domu. Musi jednak pojechać do Gleawecestre. – Spojrzałem na Osfertha. – Każ swojemu bratu wysłać mu odpowiednie rozkazy.

– Tak zrobię – odparł.

– Każ też Edwardowi ostrzec Aethelreda, że jeżeli nie wykona jego rozkazów, nie będzie władcą Mercji, więc będzie dla niego lepiej, jeśli szybko ruszy dupsko.

– A jaki będzie twój wkład? – zapytał z oburzeniem Oswin.

– Ja pojedę kopnąć Kanuta w jaja. I kopnę go tak mocno, że będzie musiał zawrócić i się ze mną zmierzyć. A potem zatrzymam go na miejscu do czasu, aż przyjedziecie, a wtedy raz na zawsze się go pozbędę.

– Nie mamy nawet pewności, że Kanut zaatakuje – odezwał się z niepokojem inny tan.

– Obudź się! – ryknąłem na niego, aż wszyscy zebrani wokół wozu się wzdrygnęli. – Wojna się zaczyna! Nie wiemy jeszcze tylko gdzie i jak. Ale Kanut ją rozpęta, a my zakończymy.

Nikt się nie odezwał, bo dokładnie w tym samym momencie rozległ się inny, triumfalny krzyk. Po chwili zobaczyłem mężczyzn biegnących w stronę płytkiej strugi, która wiała się w zachodnim krańcu obozowiska. Niedaleko strumienia dostrzegłem ojca Ceolberhta wymachującego rękami i dwóch klęczących mnichów.

– Chwalmy Pana! – zawołał jeden z nich.

Merewalh i jego ludzie patrzyli w stronę zakonników. Osferth spojrzał na mnie.

– Znaleźliśmy go! – krzyknął Ceolberht. – Znaleźliśmy świętego!

– Chwalmy Pana! – zawołał ponownie mnich.

Poszliśmy w stronę wody.

– Nie mogłeś bardziej się pomylić – przywitał mnie Ceolberht, który sepleniał z powodu braku zębów. – Nasz Bóg przerasta twoje pojmowanie. Wydał nam świętego! Uhtred się mylił, a my mieliśmy rację!

Ludzie zaczęli wyjmować szkielet z wody, oczyszczać kości z wodorostów i wierzbowych wici, które odłamały się z pułapki na ryby. Z szacunkiem zanieśli szczątki na wózek.

– Pomyliłeś się – powiedział do mnie Merewalh.

– Pomyliłem się – przyznałem. – Rzeczywiście.

– Zwycięstwo będzie nasze – stwierdził Ceolberht. – Spójrzcie! Krzyż! – Wyjął srebrny krzyż spomiędzy żeber. – Krzyż pobłogosławiony przez Świętego Oswalda. – Ucałował srebro i posłał mi nienawistne spojrzenie. – Wyśmiewałeś się z nas, ale byłeś w błędzie. Nasz Bóg przerasta twoje pojmowanie. To cud! Cud! Nasz Bóg uchronił świętego, a teraz ześle nam zwycięstwo nad poganami.

– Chwała niech będzie Bogu – odrzekł Merewalh i razem ze swoimi ludźmi cofnął się o krok, kiedy położyli kości umieszczono na wózku.

Pozwoliłem chrześcijanom przez chwilę napawać się ich szczęściem i wzięłem Osfertha na bok.

– Weź Middelniht do Londynu, zawieź tam Ingulfrid i chłopca.

Przytaknął, zaczął coś mówić, ale się rozmyślił.

– Nie wiem jeszcze, co z nim zrobić – ciągnąłem. – Najpierw muszę rozprawić się z Kanutem, ale dobrze go pilnuj. Jest wart dużo złota.

– Kupię go od ciebie – powiedział Osferth.

– Niech zrobi to jego ojciec, a ty uporaj się z matką. Ale obojgu zapewnij bezpieczeństwo!

– Będą bezpieczni – obiecał Osferth. Mnisi zaintonowali pieśń i Osferth skierował na nich poważne spojrzenie. Czasem tak bardzo przypominał swojego ojca, że miałem ochotę powiedzieć do niego „panie”. – Pamiętam... – odezwał się, nie odrywając wzroku od trzech śpiewających zakonników – że kiedyś mi opowiadałeś, jak twój stryj dostał ramię Świętego Oswalda.

– To prawda. Ingulfrid je widziała. Możesz ją zapytać.

– Lewe ramię, mówiłeś?

– Naprawdę?

– Zapamiętuję takie rzeczy – powiedział uroczystym tonem. – Powiedziałaś, że to

było lewe ramię.

– Nie przypominam sobie. Poza tym skąd miałbym wiedzieć, które to było ramię?

– Powiedziałeś, że to było lewe ramię – upierał się. – Musiał ci o tym donieść któryś z twoich szpiegów.

– No dobrze, to było lewe ramię – przyznałem.

– A zatem jesteśmy świadkami prawdziwego cudu – powiedział Osferth, nie odrywając wzroku od ludzi tłoczących się wokół wózka. – Bo te szczątki nie mają prawego ramienia.

– Naprawdę?

– Tak, panie. – Spojrzał na mnie i niespodziewanie się uśmiechnął. – Powiem Finanowi, żeby się pospieszył.

– Powiedz mu, żeby stawił się tu jutro.

– Stawi się, panie, szczęść Boże.

– Mam nadzieję, że poszczęści ci się w drodze do Londynu. Potrzebujemy wojsk twojego brata – odpowiedziałem.

Zawahał się i zapytał:

– A ty co zamierzasz, panie?

– Nikomu tego nie zdradzisz?

– Obiecuję, panie – odparł, a wiedziałem, że jeśli Osferth złoży obietnicę, z pewnością jej dotrzyma.

– Zamierzam zrobić to, o co byłem oskarżany przez wszystkie te tygodnie. Porwać żonę i dzieci Kanuta.

Przytaknął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. A potem zmarszczył brwi i zapytał:

– Zadbasz o bezpieczeństwo mojej siostry?

– O to przede wszystkim – zapewniłem go.

Bo obiecałem to Aethelflaed, a tej przysięgi nigdy jeszcze nie złamałem.

Oznaczało to, że ruszę na zachód. Na spotkanie z Kanutem Długim Mieczem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Opuściliśmy Bearddan Igge w gęstej mgle, dwa dni po cudownym odnalezieniu Świętego Oswalda w pułapce na ryby.

Stu trzydziestu trzech wojowników. Pięćdziesiąt koni jucznych wiozło nasze pancerze i broń. Nieśliśmy dwie chorągwie – głowę wilka Bebbanburga i białego konia Mercji, chociaż przez większość drogi oba sztandary musiały pozostać ukryte. Wzięliśmy ze sobą jednego mnicha, ojca Wissiana. Merewalh nalegał, żeby towarzyszył nam duchowny. Twierdził, że ludzie lepiej walczą, kiedy pasterz prowadzi ich dusze. Odburknąłem, że są wojownikami, a nie owcami, ale jak zawsze greczny Merewalh nalegał, więc niechętnie się zgodziłem. Wissian pochodził z Mercji, był wysokim, młodym mężczyzną o stale niespokojnym spojrzeniu i przedwcześnie posiwiałych rozczochranych włosach.

– Będziemy przejeżdżać przez ziemie Duńczyków – powiedziałem mu. – Nie chcę, żeby wiedzieli, że jesteśmy Sasami, co znaczy, że nie możesz mieć tego na sobie. – Wskazałem na jego sutannę. – Rozbierz się.

– Nie mogę... – zaczął, ale nie zdołał powiedzieć nic więcej.

– Rozbierz się – rozkazałem mu ponownie. – I pożycz od kogoś kolczugę albo skórzany kaftan.

– Ja... – zaczął, ale okazało się, że nadal nie jest w stanie wydusić słowa.

Posłuchał mnie jednak i przebrał się w szare szaty służącego oraz długi czarny płaszcz, który przepasał kawałkiem sznura, tak że nadal wyglądał na mnicha, ale przynajmniej ukrył swój ciężki drewniany krzyż.

Jechaliśmy, żeby ocalić chrześcijaństwo w Brytanii. Czy to była prawda? Tak twierdził ojciec Ceolberht w płomiennym kazaniu, które wygłosił dzień wcześniej, kiedy czekaliśmy na przyjazd Finana. Przemawiał do ludzi Merewalha, dowodząc, że

święta księga chrześcijan przepowiedziała, iż król Północy zaatakuje króla Południa i właśnie to proroctwo się spełnia – co miało znaczyć, że to jest święta wojna. Może. Tyle że Kanut nie był królem, chociaż rzeczywiście przybył z Północy. Często zastanawiałem się, czy gdyby Duńczycy odnieśli zwycięstwo i mieszkałbym w kraju o nazwie Daneland, bylibyśmy chrześcijanami. Chciałbym wierzyć, że nie, ale prawda jest taka, że chrześcijaństwo zaczęło już zakazać także Duńczyków. W tej długiej wojnie nie chodziło o religię. Alfred był o tym przekonany, księża ogłosili świętą wojnę, ludzie umierali pod chorągwiami z krzyżem, wierząc, że kiedy wszyscy staniemy się chrześcijanami, Sasi i Duńczycy będą żyli w wiecznym pokoju, ale zwyczajnie się mylili. Duńczycy z Anglii Wschodniej byli chrześcijanami, ale to nie powstrzymało Sasów przed najechaniem ich terytoriów. Prosta prawda była taka, że Duńczycy i Sasi chcieli tej samej ziemi. Mnisi głosili, że lew będzie leżał obok jagnięcia, ale ja nigdy się tego nie doczekałem. Nie, że bym wiedział, co to jest lew. Raz zapytałem Mehrasę, ciemnoskórą żonę Kutberta, czy kiedykolwiek widziała lwa, i ona potwierdziła. Kiedy była dzieckiem, przyszły z pustyni i zabiły krowę w jej wsi. Powiedziała, że są to zwierzęta większe od konia, mają sześć łap, rozdwojony ogon, trzy rogi z ciekłego żelaza i zęby jak saksy. Eohric, który był królem Anglii, zanim go zabiliśmy, miał lwa na swojej chorągwi, ale to zwierzę miało tylko cztery łapy i jeden róg. Wątpię jednak, aby Eohric kiedykolwiek widział lwa, podejrzewam więc, że Mehrasie można bardziej ufać.

Tak czy owak, byliśmy w drodze i jeśli nie jechaliśmy ocalić chrześcijaństwa, to z pewnością jechaliśmy ocalić Sasów.

Pierwszy odcinek naszej podróży był chyba najniebezpieczniejszy, chociaż wtedy taki nam się nie wydawał. Musieliśmy przekroczyć rzekę w Lindcolne i – żeby zaoszczędzić czas, bo spowijała nas mgła – zdecydowałem, że przejedziemy przez most. Wiedzieliśmy, że jest tam most, ponieważ wystraszony pasterz krów w Bearddan Igge, jękając się, przyznał, że go widział. Ukląkł zdjęty przerażeniem na widok mojej kolczugi oraz hełmu, płaszcza obszytego futrem i srebrnych ostróg u moich butów.

– Widziałeś ten most? – zapytałem.

– Raz, panie.

– Jest blisko warowni?

– Nie, panie, daleko. Warownia jest na wzgórzu – dodał po chwili namysłu, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Most jest strzeżony?

– Strzeżony? – Wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

– Czy kiedy przechodzisz przez most, zatrzymują cię ludzie z bronią? – zapytałem cierpliwie.

– O nie, panie. Nigdy nie przeprowadzaj krów mostem, bo duchy wodne będą zazdrosne i krowy dostaną puchliny – odpowiedział pewnie.

– A więc są tam brody.

Pokręcił głową, chociaż wątpię, aby znał odpowiedź. Ten człowiek mieszkał niedaleko od Lindcolne, a mimo to – o ile zdołałem się zorientować – był tam tylko raz. Jeśli duński garnizon w Lindcolne ma choć odrobinę oleju w głowie, z pewnością pilnuje także mostu. Uznałem jednak, że mamy przewagę liczebną, a do czasu kiedy wsparcie nadjedzie ze wzgórza, dawno już znikniemy we mgle.

Dość łatwo znaleźliśmy Lindcolne, bo Rzymianie wybudowali drogę, a na tej drodze ustawili znaki wskazujące w milach odległość, która dzieliła podróżnych od miasta. Mgła jednak była tak gęsta, że nie dostrzegłem samej warowni wznoszącej się na szczycie wzgórza, i zdałem sobie sprawę, że dotarliśmy do celu, dopiero gdy przejechałem pod zniszczoną niestrzeżoną bramą. Wrota dawno zniknęły, podobnie jak mury.

Jechałem przez miejsce zamieszkane przez duchy.

My, Sasi, zawsze niechętnie zamieszkiwaliśmy rzymskie budynki, o ile nie pokryliśmy ich wcześniej strzechą i trzcina. Mieszkańcy Londynu musieli zająć stare miasto, kiedy Duńczycy najechali te ziemie, bo tylko tę część chroniły mury, ale nadal wolą swoje drewniane, pokryte strzechą domy w nowej, zachodniej części miasta. Mieszkałem z Giselą w Londynie w dużym rzymskim domu nad rzeką i nigdy nie widziałem ducha, ale zauważyłem, że przychodzący do mnie chrześcijanie robią znak krzyża i z niepokojem spoglądają w ciemne kąty. Teraz jechaliśmy opustoszałą ulicą,

przy której stały zrujnowane budynki. Ich dachy się zapadły, kolumny połamały, a ściany były popękane i porośnięte grubą warstwą mchu. Rzymianie budowali wspaniałe domy, ale zamieszkujący miasto Sasi woleli swoje chałupy z gliny i plecionki. Tu i ówdzie stare budowle były zamieszkałe, ale tylko dlatego, że ludzie budowali chaty wewnątrz starych kamiennych budynków.

Most też był kamienny. Miał zniszczone barierki, wielką dziurę w środkowym prześle, ale nikt go nie strzegł, przejechaliśmy więc na drugą stronę rzeki i znaleźliśmy się na rozległym, spowitym mgłą terenie.

Żaden z nas nie znał tej krainy ani nie wiedział, w którą stronę powinniśmy ruszyć, więc po prostu podążaliśmy rzymską drogą do czasu, aż doprowadziła nas do traktu biegnącego z północy na południe.

- Jedziemy dalej na zachód – powiedziałem do Finana.
- Po prostu na zachód?
- Aż dotrzemy do miejsca, które znamy.
- Albo na koniec świata – odparł radośnie Irlandczyk.

Mgła się podnosiła, a teren powoli wznosił, aż dotarliśmy do pofałdowanej wyżyny, gdzie zamożne gospodarstwa i obszerne dwory kryły się między roślami drzewami, i choć byłem pewny, że ich mieszkańcy nas obserwują, nikt się nie pojawił, żeby zapytać, co sprowadza nas w te strony. Mieliśmy broń, więc lepiej było zostawić nas w spokoju. Przodem wysłałem zwiadowców, jak zawsze robię na wrogiej ziemi, bo ta kraina z pewnością nie była nam przyjazna. Znajdowaliśmy się na ziemiach albo Kanuta, albo Sigurda, a wszystkie dwory, które mijaliśmy, należały do Duńczyków. Zwiadowcy jechali po obu stronach drogi, wykorzystując jako schronienie lasy i żywopłoty. Wypatrywali wszelkich znaków wroga, ale nikogo nie spotkaliśmy. Na drugi dzień dostrzegliśmy pięciu jeźdźców zmierzających w naszą stronę z północy, pojechali jednak w innym kierunku, kiedy zorientowali się, że mamy przewagę.

Tymczasem znaleźliśmy się między wyższymi wzgórzami. Wioski stały się mniejsze i bardziej rozproszone, a dwory uboższe. Wysłałem Duńczyków ze swoich szeregów, żeby kupili od wieśniaków żywność, ale oni byli przerażeni i oszczędzali zapasy, bo przed nami zjawily się u nich inne uzbrojone oddziały. Udałem się do

jednego z dworów, gdzie powitał nas starzec.

– Jestem Orlyg Orlygson – powiedział dumnie.

– Wulf Ranulfson – przedstawiłem się.

– Nigdy o tobie nie słyszałem, ale jesteś mile widziany – odparł. Utykał na lewą nogę z powodu starej rany. – A dokąd to Wulf Ranulfson zmierza?

– Dołączyć do jarla Kanuta.

– Spóźniłeś się. Wojownicy mieli się stawić w czasie nowiu. Księżyc już zaczął rosnać.

– Znajdę go.

– Też bym chciał pojechać. – Orlyg klepnął się w niesprawną nogę. – Ale jaki może być pożytek ze starca? – Spojrzał na moich towarzyszy. – Jest was tylko siedmiu?

Wskazałem od niechcienia na północ.

– Prowadzę trzy drużyny.

– Trzy! Nie jestem w stanie nakarmić tylu ludzi. Ale każę służącemu coś dla was znaleźć. Wejź do środka, zapraszam.

Chciał pogadać. Jak my wszyscy z radością witał podróżnych, jeśli przywozili wieści. Usiadłem więc w jego dworze, głaskałem jego psy i opowiadałem wymyślone historie z Fryzji. Powiedziałem, że zbiory były bardzo marne.

– Tutaj też – oznajmił posepnie Orlyg.

– Ale mam również pomyślne wieści. Słyszałem, że Uhtred Uhtredson zaatakował Bebbanburg i poniósł klęskę.

– Nie tylko poniósł klęskę, ale tam zginął! – zawołał. Patrzyłem na niego w milczeniu, a on się uśmiechnął na widok zdumienia malującego się na mojej twarzy. – Nie słyszałeś o tym?

– Uhtred Uhtredson został zabity? – Nie mogłem ukryć zaskoczenia. – Słyszałem, że nie udało mu się zdobyć warowni, ale myślałem, że przeżył.

– O nie – odparł z pewnością w głosie Orlyg. – Zginął. Człowiek, który mi o tym opowiedział, był świadkiem bitwy. – Przyłożył palec do zmierzwionej brody, żeby dotknąć młota Thora zawieszzonego na szyi. – Lord Aelfric go powalił. A może jego

syn. Ten człowiek nie był pewny.

– Słyszałem, że Aelfric zginął – powiedziałem.

– A zatem to syn musiał zadać cios – stwierdził Orlyg. – Ale to prawda. Uhtred nie żyje.

– To ułatwi życie jarlowi Kanutowi – zauważyłem.

– Oni wszyscy bali się Uhtreda. I nie ma się czemu dziwić. To był wojownik! – Przez moment patrzył na mnie tęsknym spojrzeniem. – Raz go spotkałem.

– Naprawdę?

– To było ogromne chłopisko, wysokie. Używał żelaznej tarczy.

– Słyszałem o tym – odparłem. W życiu nie miałem żelaznej tarczy.

– Budził strach, to prawda. Ale jaki był z niego wojownik.

– Teraz jest w zaświatach.

– Ktoś powinien pojechać do lorda Aelfrica i kupić od niego ciało tej bestii – stwierdził Orlyg.

– Po co?

– Żeby zrobić puchar z jego czaszki, oczywiście. To byłby doskonały prezent dla jarla Kanuta.

– Jarl będzie miał wystarczająco dużo pucharów, kiedy pobije Aethelreda i Edwarda – odrzekłem.

– Tak będzie! – zawołał z entuzjazmem starzec. Uśmiechnął się. – Na święta, przyjacielu, będziemy wszyscy pili z czaszki Edwarda, jedli w dworze Edwarda i zażywali przyjemności z żoną Edwarda.

– Słyszałem, że Uhtred porwał żonę jarla Kanuta.

– To tylko plotki, przyjacielu, tylko plotki. Nie możesz wierzyć we wszystko, co usłyszysz. Nauczyłem się tego wiele lat temu. Przyjeżdżali tu różni z wieściami, świętowaliśmy je, a później okazywało się, że wcale nie są prawdziwe. – Zakaszłał.

– Może więc Uhtred żyje – zasugerowałem żartobliwie.

– O nie! To akurat jest pewne, przyjacielu. Został powalony w walce, ale że nadal żył, przywiązali go do słupa i spuścili na niego psy. Rozszarpały go na kawałki! – Pokręcił głową. – Cieszę się, że zginął, ale wojownik nie powinien umierać w taki

sposób.

Obserwowałem służących, którzy znosili ale, chleb i wędzone mięso do sadu, gdzie czekali moi ludzie.

– Żeby dotrzeć do jarla, mamy jechać dalej na zachód? – zapytałem.

– Przejdźcie przez wzgórza i podążajcie drogą – odparł. – Nie znajdziecie jarla w żadnym z jego dworów, zdążył już wypłynąć na południe.

– Do Wessexu?

– Dokądkolwiek zechciał! – odrzekł Orlyg. – Jeśli jednak pojedziecie drogą na zachód, traficie do Cesterfeldy i tam możecie zasięgnąć języka. – Zmarszczył brwi. – Myślę, że powinniście udać się stąd do Buchestanes, tam jarl ma dwór, wspaniałą siedzibę. To jedno z jego ulubionych domostw. Tam ludzie powiedzą ci, gdzie go znaleźć.

– Buchestanes – powtórzyłem, jakbym nigdy wcześniej nie słyszał tej nazwy, ale to wzbudziło moje zainteresowanie. Kanut mówił, że jego żona i dzieci zostały porwane w drodze do tego miasta. Może Orlyg wymienił je przez przypadek, ale los nie lubi przypadków. Poczulem, że włosy zjeżyły mi się na karku.

– To dobre miasto – powiedział Orlyg. – Są tam gorące źródła. Dwa lata temu udałem się tam, żeby zażyć kąpieli. Uśmierzyły ból.

Zapłaciłem mu złotem za gościnność. Powiedział, że jego syn wyruszył z dwudziestoma trzema mężczyznami na wezwanie Kanuta, wyraziłem więc nadzieję, że zwycięscy szczęśliwie wrócą do domu, i go opuściłem.

– Nie żyję – powiedziałem Finanowi.

– Naprawdę? – zdziwił się.

Opowiedziałem mu historyjkę Orlyga, a on się uśmieł. Tę noc spędziliśmy w Cesterfeldzie – wiosce, o której nigdy wcześniej nie słyszałem i której pewnie więcej nie zobaczę, choć było to całkiem przyjemne miejsce. Wokół osiedla rozpościerały się dobre ziemie uprawne, otoczone wspaniałymi rzymskimi budynkami, oczywiście od lat niszczącymi. Wspaniała budowla z kolumnami, która zapewne była świątynią rzymskich bogów, teraz służyła jako obora. Niedaleko leżał przewrócony posąg mężczyzny o orlim nosie, ubranego w udrapowaną materię

i z wieńcami z liści na krótko ostrzyżonych włosach. Rzeźba najwidoczniej służyła jako osełka, gdyż miała głębokie wyłobienia pozostawione przez ostrza.

– Szkoda, że to nie marmur – powiedział Finan, kopiąc figurę.

– Gdyby była z marmuru, nie leżałaby tutaj – zauważyłem.

Czasem jakiś rolnik znajduje marmurową rzymską rzeźbę i wówczas jest to niezwykle cenna zdobycz. Wkłada marmur do pieca, żeby uzyskać z niej wapno, ale kamienny posąg jest nic niewart. Spojrzałem na orli nos rzeźby.

– Czy to jest ich bóg? – zapytałem Finana.

– Rzymianie byli chrześcijanami – odpowiedział zamiast niego mój syn.

– Niektórzy byli – przyznał Finan. – Ale wydaje mi się, że pozostali czcili orły.

– Orły!

– Tak mi się wydaje. – Spojrzałem na szczyt obory zręcznie ozdobiony rzeźbami ukazującymi półnagie dziewczęta uciekające przed mężczyzną z kozimi nogami.

– Może czcili kozy?

– Albo cyci – odezwał się mój syn, gapiąc się na smukłe dziewczęta.

– Taka religia by mi odpowiadała – stwierdziłem.

Dołączył do nas Merewalh i też zaczął gapić się na szczyt. Płaskorzeźba była odległa, ale słońce wznosiło się nisko nad horyzontem, cienie były więc długie i ostre.

– Kiedy odzyskamy te ziemie, wszystko to zburzymy – powiedział.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Księżom się to nie spodoba. – Wskazał na długonogie dziewczęta. – Każą to zburzyć. To pogańska budowla, prawda?

– Wydaje mi się, że chciałbym być Rzymianinem – wyznałem, patrząc w górę.

Roześmiali się, ale mnie ogarnęła melancholia. Rzymskie ruiny zawsze wyzwały we mnie smutek, bo były dowodem na to, że nieuchronnie osuwamy się w mrok. Kiedyś światło padało na te marmurowe wspaniałości, a my teraz brniemy przez błoto. *Wyrđ bið ful ãræd.*

Kupiliśmy masło, placki owsiane, ser i fasolę. Spędziliśmy noc w pustej oborze, pod szczytem z nagimi dziewczętami, a nazajutrz rano ponownie ruszyliśmy na zachód. Zerwał się silny wiatr, znów zaczęło padać, a od wczesnego przedpołudnia

jechaliśmy w ulewie. Teren się wznosił, więc droga, którą podążaliśmy, zmieniała się w potok. Na północy błyskało, grzmoty przetaczały się przez niebo i kiedy zwróciłem twarz w stronę wiatru i deszczu, wiedziałem, że tam jest Thor. Pomodliłem się do niego. Powiedziałem mu, że złożyłem mu w ofierze najlepsze zwierzęta, pozostałem mu wierny i powinien mi pomóc. Wiedziałem jednak, że Kanut prosi go o to samo, podobnie jak jego sojusznik Sigurd Thorrson. Obawiałem się, że bogowie będą sprzyjać Duńczykom, bo więcej z nich oddaje im cześć.

Deszcz lał coraz mocniej, wicher wył, niektóre konie płoszyły się z powodu gniewnych uderzeń młota Thora, schroniliśmy się więc w dębowym lesie za połamanymi przez wiatr gałęziami. Było to kiepskie schronienie, mokliśmy od kapiącego pomiędzy liśćmi deszczu. Podczas gdy ludzie odprowadzali swoje wierzchowce, Finan i ja przykucnęliśmy przy ciernistym krzewie rosnącym na zachodnim brzegu lasu.

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiego lata – powiedział.
- Prawie jak zima.
- Boże dopomóż – skwitował posępnie i się przeżegnał. – Więc co robimy?
- Jedziemy do Buchestan.
- Żeby zobaczyć się z wiedźmą?

Pokręciłem głową i zaraz tego pożałowałem, jako że woda deszczowa ściekła mi za kołnierz kaftana.

– Raczej żeby zobaczyć się z jej wnuczką – odparłem z uśmiechem. – Kanut twierdzi, że wiedźma nadal żyje, ale musiałaby być teraz starsza niż czas.

Wiedźma miała na imię Aelfadell i mówiono, że ma większą moc niż jakakolwiek inna *aglaecwif* w Brytanii. Byłem u niej, wypilem napar, który mi podała, śniłem sny i poznałem przyszłość. „Siedmiu królów zginie – powiedziała – siedmiu królów w jednej wielkiej bitwie”.

– Żeby zobaczyć się z jej wnuczką? – zapytał Finan. – Czy to ta, która jest głucha i niema?

– Jest też najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem – dodałem rozmarzony.

Finan się uśmiechnął.

– Skoro nie po to, żeby się z nią spotkać, po co w ogóle tam jedziemy?

– Bo będziemy mijać to miejsce, jadąc do Ceasteru.

– Tylko dlatego?

Pokręciłem głową.

– Kanut powiedział, że jego żona i dzieci zostali porwani w drodze do Buchestanes. A stary wczoraj mówił, że Kanut ma tam wspaniały dwór.

– No i co z tego?

– To, że dziesięć lat temu nie miał tam posiadłości. Dom jest nowy.

– Z tego, co pamiętam, Buchestanes nie jest otoczone murami – zauważył Finan.

Wiedziałem, co chce mi powiedzieć. Zasugerowałem, że nowy dwór jest ważny dla Kanuta, a Finan stwierdził, że nie jest strzeżony, a zatem nie tak ważny, jak myślę.

– Obwarowań nie było dziesięć lat temu. Mógł je do tego czasu wznieść – odparłem.

– Myślisz, że tam ukrywa żonę?

– Nie wiem. Może.

Zmarszczył brwi i wzdrygnął się, kiedy wiatr chlusnął nam deszczem w twarz.

– Może?

– Wiemy, że Kanut pojechał do Ceasteru – odrzekłem. – Najpewniej z żoną, ale ona nie wsiadłaby na statek. Dzieci są za małe, żeby jechać na wojnę, więc albo nadal są w Ceasterze, albo Kanut wysłał ich gdzieś dalej od granicy z Mercją.

– Czyli mogą być dosłownie wszędzie.

– Szukam po omacku – przyznałem.

– Ale tobie zawsze dopisuje szczęście.

– Czasem mi się poszczęści – potwierdziłem i pomyślałem o kole fortuny. Thor był na niebie, a wiatr wiał mi w twarz. To były złe omeny. – Czasem – powtórzyłem.

Czekaliśmy, aż deszcz zelżeje, a potem znów wyruszyliśmy w drogę.

Szukać po omacku.

Nazajutrz dotarliśmy do Buchestanes. Nie śmiałem wejść do miasta, gdyż

obawiałem się, że zostanę rozpoznany, posłałem więc Rolla, Eldgrima, Kettila i trzech Duńczyków do doliny, gdzie miasteczko przycupnęło między wzgórzami. Dostrzegłem z oddali, że Kanut otoczył miejscowość palisadą, obwarowania nie były jednak zbyt imponujące, miały zaledwie wysokość człowieka i bardziej nadawały się jako odgrodenie dla krów niż do powstrzymania napastników.

Nadal padało. Chmury wisiały nisko, ziemia nasiąkała wodą, deszcz lał uporczywie, tylko wiatr zelżał. Poprowadziłem jeźdźców do lasu w pobliżu grotty, gdzie wiedźma snuła przepowiednie, a później zabrałem swojego syna, Finana i Merewalha na wielką wapienną grań obmywaną przez wodę. Skałę przecinała szczelina gęsto zarośnięta przez paprocie i mech. Prowadziła do jaskini. Zawahałem się przed wejściem do środka, przypomniawszy sobie strach, którego kiedyś doświadczyłem.

Jaskinie są bramą do świata zmarłych, mrocznymi miejscami, w których czai się Kąsający w Mroku i panuje Hel – posępna bogini. Krainami zmarłych, gdzie nawet bogowie zstępują z niepokojem, gdzie zawodzi cisza, gdzie wszystkie wspomnienia życia żałośnie odbijają się echem, a Norny snują nić naszego losu i stroją sobie z nas żarty. To jest kraina zmarłych.

Za ciemnym, niskim i wąskim wejściem panował mrok, ale dźwięk moich butów nagle zaczął odbijać się głośnym echem, wiedziałem więc, że wszedłem do większej sali. Woda kapiała. Zatrzymałem się. Finan na mnie wpadł. Słyszałem oddech swojego syna. Powoli, stopniowo moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i dzięki odrobinie szarego światła wpadającego przez szczelinę ujrzałem płaski kamień, przy którym wiedźma odprawiała swoje czary.

– Jest tu kto?! – zawołałem, ale odpowiedziało mi tylko echo.

– Co tu się działo? – zapytał mnie trwożliwym tonem syn.

– W tym miejscu wiedźma Aelfadell przepowiadała przyszłość – odparłem. – I może nadal to robi.

– Byłeś tu już wcześniej? – dopytywał Merewalh.

– Tylko raz – rzuciłem, siląc się na lekceważący ton.

Coś poruszyło się w głębi jaskini, usłyszeliśmy jakieś skrobanie. Chrześcijan

dotknęli swoich krzyży, tak jak ja dotknąłem swojego młota Thora.

– Jest tam kto?! – zawołałem ponownie, ale znów nikt nie odpowiedział.

– To tylko szczur – stwierdził Finan.

– I czego dowiedziałaś się o przyszłości, panie? – zapytał Merewalh.

Zawahałem się.

– To były jakieś bzdury – odrzekłem szorstko. Powiedziała, że zginie siedmiu królów i kobieta, którą kocham. I że syn Alfreda nie będzie rządził, Wessex upadnie, Sas zabije to, co kocha, Duńczycy wszystko zdobędą, wszystko się zmieni i wszystko pozostanie takie samo. – To były jakieś bzdury – powtórzyłem, i skłamałem, mówiąc te słowa, chociaż o tym nie wiedziałem. Wiem to teraz, bo wszystko, co powiedziała, się ziściło, poza jednym. Może jednak to wciąż należy do przyszłości.

Syn Alfreda zasiadł na tronie, więc na czym miał polegać problem? Po czasie zrozumiałem, co miała na myśli, ale wówczas, stojąc wśród śliskiego łajna nietoperzy i słuchając płynącej pod ziemią wody, nie rozumiałem znaczenia jej słów. Myślałem natomiast o Erce.

Erce była wnuczką *aglaecwif*. Nie znałem jej prawdziwego imienia, wiedziałem tylko, że nazywano ją Erce – tak jak boginię – i podczas transu zobaczyłem postać, którą uznałem za bóstwo. Naga, piękna, jasna jak kość słoniowa, gibka jak wierzbowa gałązka, ciemnowłosa dziewczyna, która z uśmiechem dosiadła mnie i dotykała mojej twarzy jasnymi dłońmi, kiedy ja palcami pieściłem jej małe piersi. Rzeczywiście ją widziałem czy tylko mi się śniła? Mówiono, że istnieje, że jest głucha i niema, ale po tej nocy zacząłem powątpiewać w te opowieści. Może istniała jakaś wnuczka, która nigdy nie słyszała ani nie potrafiła mówić, ale z pewnością nie była to ta przepiękna kobieta, którą zapamiętałem z tej zatęchłej jaskini. Była boginią, przybyła do naszego śródziemia, aby dotknąć naszych dusz swoimi czarami. Czy miałem nadzieję znów ją ujrzeć? Czy tylko chciałem przypomnieć sobie tę dziwną noc?

Uhtred, mój syn, podszedł do jasnego płaskiego kamienia i przesunął dłonią po przypominającej stół powierzchni.

– Chciałbym posłuchać przepowiedni – powiedział smętnie.

– W Wessexie jest wiedźma – odezwał się Finan. – Ludzie powiadają, że mówi

prawdę.

– Ta kobieta w Ceodre? – zapytałem.

– Właśnie ta.

– Ale ona jest poganką – odparł z przyganą mój syn.

– Nie bądź głupcem – warknąłem. – Myślisz, że bogowie przemawiają tylko do chrześcijan?

– Ale wiedźma... – zaczął.

– Niektórzy lepiej niż inni wiedzą, co czynią bogowie. Aelfadell należała do tych osób. Tutaj z nimi rozmawiała, oni ją wykorzystywali. I tak, była poganką, ale to nie znaczy, że nie potrafiła widzieć dalej niż każdy z nas.

– A zatem cóż takiego ujrzała? – zapytał Uhtred. – Co ci powiedziała na temat twojej przyszłości?

– Że spłodziłem durnego szczeniaka, który będzie zadawał głupie pytania.

– A zatem naprawdę widziała przyszłość – stwierdził i się roześmiał, Finan i Merewalh też wybuchli śmiechem.

– Powiedziała, że dojdzie do wielkiej bitwy, w której polegnie siedmiu królów – powiedziałem ponurym tonem. – Jak już mówiłem, to były bzdury.

– W Brytanii nie ma siedmiu królów – zauważył mój syn.

– Ależ tak – zaproponował Merewalh. – Szkoci mają co najmniej trzech, a Bóg jeden wie, ilu obwołało się władcami Walii. Poza tym są jeszcze królowie Irlandii.

– Bitwa, w której wszyscy oni wezmą udział – powiedział pogodnie Finan. – Nie możemy tego przegapić.

Rollo z towarzyszami wrócili z miasteczka późnym popołudniem i przynieśli chleb i soczewicę. Deszcz zelżał, znaleźli nas więc w lesie, gdzie rozpaliliśmy ognisko, przy którym staraliśmy się wysuszyć odzież.

– Tej kobiety tam nie ma – oświadczył Rollo, mając na myśli żonę Kanuta.

– A zatem kto jest we dworze?

– Trzydziestu–czterdziestu mężczyzn, w większości za starych, żeby wyruszyć na wojnę, i służący Kanuta – odparł lekceważąco. – Powiedziałem mu to, co kazałeś.

– Uwierzył ci?

– Był pod wrażeniem!

Wiedziałem, że mieszkańcy Buchestanes zareagują zaciekawieniem, a nawet podejrzliwością, jeśli nie wjedziemy do miasta, kazałem więc powiedzieć Rollovi, że złożyłem przysięgę, iż nie wjadę za mury miasta, dopóki nie zdobędę saskiego grodu.

– Oświadczyłem mu, że jesteś Wulfem Ranulfsonem z Haithabu – ciągnął Rollo. – Powiedział, że Kanut powita nas z radością.

– Ale gdzie on jest?

– Powiedział, żebyśmy pojechali do Ceasteru, a potem dalej na południe, jeśli tam nie będzie statków.

– Dalej na południe?

– Tak, tylko tyle powiedział.

A to mogło oznaczać zarówno Mercję, jak i Wessex, jednak przecucie, ów głos bogów, podpowiadało mi, że to będzie Mercja. Kanut i Sigurd dziesięć lat wcześniej zaatakowali Mercję i nic nie osiągnęli. Przybili do brzegów Uisc i pomaszerowali dwie mile do Exanceasteru, gdzie zatrzymały ich obwarowania burhu, a w Wessexie jest mnóstwo takich warownych grodów i miast otoczonych murami, które wzniósł Albert, żeby ludzie mieli się gdzie skryć, gdy Duńczycy bezsilnie włóczyli się po kraju. Mercja też ma burhy, ale znacznie mniej liczne, a wojska mercyjskie, które powinny być przygotowane do zaatakowania Duńczyków oblegających gród, znajdowały się w odległej Anglii Wschodniej.

– Zrobimy więc, jak radzi – powiedziałem. – Pojedziemy do Ceasteru.

– Dlaczego nie ruszymy od razu na południe? – zapytał Merewalh.

Wiedziałem, co ma na myśli. Idąc na południe, dotarlibyśmy do Mercji znacznie szybciej, niż podróżując przez zachodnie wybrzeże Brytanii. Ceaster natomiast znajduje się na samej granicy Mercji, w regionie opanowanym już przez Duńczyków. Merewalh chciał szybko wrócić do ojczyzny, żeby dowiedzieć się, co się tam dzieje i może połączyć swoje siły z wojskami Aethelreda. Martwiło go również to, że Aethelred będzie miał mu za złe, iż mi towarzyszył.

– Nic nie zyskasz, idąc teraz na południe – wyjaśniłem.

– Zaoszczędzimy czas.

– Nie chcę oszczędzać czasu. Chcę zyskać na czasie. Potrzebuję czasu, żeby Edward z Wessexu i Aethelred połączyli z nami siły.

– Zawróćmy więc do Anglii Wschodniej – zaproponował bez większego przekonania Merewalh.

– Kanut chce, żeby Aethelred został w Anglii Wschodniej, dlaczego mielibyśmy robić to, czego on chce? Chciałby, żeby Aethelred przyszedł do niego, i będzie czekał na jego nadejście na wzgórzu albo za rzeką. Aethelred będzie więc musiał wejść na wzgórze albo pokonać głęboką wodę i pod koniec dnia zginie, a Kanut będzie obgotowywał jego czaszkę, żeby zrobić z niej puchar. Czy tego chcesz?

– Panie! – zaprotestował Merewalh.

– Musimy zmusić Kanuta do tego, żeby robił to, czego my chcemy. Dlatego pojedziemy do Ceasteru.

Pojechaliśmy więc do Ceasteru. Wsie były dziwnie puste. Na polach widzieliśmy żniwiarzy i stada krów na pastwiskach, pasterzy owiec i drwali, ale wszyscy wojownicy zniknęli. Nikt nie polował z sokołami, nie ćwiczył ustawiania się w mur tarcz ani nie ujeżdżał koni, bo wszyscy wojownicy pojechali na południe, pozostawiając swoje dwory pod opieką starców i kalek. Powinniśmy zostać setki razy zatrzymani podczas podróży, ale drogi przemierzały niezliczone oddziały i ludzie uznali, że jesteśmy kolejnym, który chce skorzystać z hojności jarla Kanuta.

Podążaliśmy rzymskim traktem biegnącym wokół wzgórz. Pola po obu stronach zostały zdeptane przez końskie kopyta. Wszystkie ślady prowadziły na zachód. Kamienie odliczały drogę do Deva, bo tak Rzymianie nazywali Ceaster. Znałem to miejsce, podobnie jak Finan i Merewalh. Większość naszych ludzi udała się na południe, żeby objeżdżając lasy i pola na południowym brzegu rzeki Dee, przypatrzeć się Duńczykom pilnującym obwarowań grodu. Mury obronne i rzeka chroniły miasto, więc gdybyśmy chcieli zaatakować je od południa, musielibyśmy przejść przez rzymski most biegnący do południowej bramy, my jednak nadchodziliśmy ze wschodu, a droga prowadziła nas na północ od rzeki. Jechaliśmy przez wrzosowiska, na których tu i ówdzie stały drzewa pochylone od zachodniego wiatru. Czuję zapach morza. Przestało padać, a po niebie gnały kłębiaste chmury, rzucające rozległe

przelotne cienie na rozciągającą się przed nami nizinę. Zakola rzeki lśniły na tle tego krajobrazu, który poniżej wrzosowisk zmieniał się w moczary, gdzie biegła droga, dalej zaś widoczna była już tylko zamglona połyskliwa linia na horyzoncie – morze.

Ruszyłem przodem z Finanem, Merewalhem i synem. Skręciliśmy w lewo, żeby dojechać do kępy drzew na niewielkim pagórku, z którego roztaczał się widok na Ceaster. Słupy dymu unosiły się ponad strzechami domów stojących wewnątrz murów. Kilka dachów pokrywały dachówki, niektóre budynki wyrastały poza inne zabudowania, a kamienie wysokich murów obronnych przybierały w plamach słońca barwę bladego złota. Obwarowania miejskie były imponujące. Poprzedzała je fosa zasilana wodą z rzeki, a za nią wznosił się ziemny wał zwieńczony kamiennym murem. W niektórych miejscach kamienie powypadały, ale miejsca te uzupełniono drewnianą palisadą. Mur został wzmocniony kamiennymi wieżami, a nad czterema bramami wybudowano wieże z drewna. Z każdej strony pośrodku muru znajdowała się brama, ale wystarczająco długo przyglądaliśmy się miastu, żeby zorientować się, że dwie z nich nigdy nie były używane. Korzystano z północnej i południowej, ale żaden z nas nie zauważył, aby ludzie lub konie przechodzili przez wrota wschodnie lub zachodnie, podejrzewałem więc, że zostały zablokowane. Tuż za murami znajdowała się kamienna arena, gdzie Rzymianie wystawiali walki i dokonywali publicznych egzekucji, teraz jednak pod kruszejącymi łukami pasły się krowy. W dole rzeki, za mostem, stały cztery statki, ale zanim Kanut opuścił miasto, musiało być ich trzysta–czterysta. Łodzie napędzane wiosłami popłynęły zakolami rzeki, minęły stada dzikich ptaków morskich w ujściu Dee na pełne morze, a później dokąd ruszyły?

– To się nazywa burh – odezwał się z podziwem w głosie Finan. – Diabelnie trudny do zajęcia.

– Aethelred powinien zająć go dziesięć lat temu – odpowiedziałem.

– Aethelred nie złapałby nawet pchły gryzącej go w kutasa – rzucił pogardliwie Irlandczyk.

Merewalh odchrząknął w łagodnym proteście przeciwko obrażaniu jego seniora.

Nad południową bramą powiewała chorągiew. Byliśmy zbyt daleko, żeby zobaczyć, co zostało na niej wyhaftowane albo wymalowane. Mimo to wiedziałem,

jaki widnieje na niej znak. Musiało to być godło Kanuta – topór i złamany krzyż. Flaga umieszczona była na południu, od strony, z której garnizon miasta mógł spodziewać się ataku Sasów.

– Ilu ludzi widzisz? – zapytałem Finana, wiedząc, że ma lepszy wzrok ode mnie.

– Niezbyt wielu – odparł.

– Kanut powiedział mi, że garnizon składa się ze stu–stu pięćdziesięciu ludzi. – Przypomniałem sobie naszą rozmowę w Tameworthig. – Oczywiście mógł kłamać.

– Tylu zbrojnych zazwyczaj by wystarczyło – potwierdził Irlandczyk.

Stu–stu pięćdziesięciu ludzi nie dałoby rady powstrzymać szturm z dwóch lub więcej stron miasta, ale byłoby ich na tyle dużo, żeby odeprzeć atak z długiego mostu prowadzącego do południowej bramy. W okresie zagrożenia wojennego miasto obsadzano liczniejszą załogą. Król Alfred, zawsze tak precyzyjny w swoich wyliczeniach, wymagał, żeby na każdy pał burhu przypadało czterech ludzi. Pał miał długość mniej więcej sześciu kroków, próbowałem więc określić długość obwarowań Ceasteru i doszedłem do wniosku, że potrzebowaliby tysiąca wojowników, żeby odeprzeć zdecydowany atak. Jak bardzo prawdopodobne było jednak takie oblężenie? Aethelred był bierny, a teraz na dodatek znajdował się daleko, Kanut gdzieś miał spustoszenie, co więcej – potrzebował ludzi do walk, które chciał stoczyć. Podejrzywałem, że Ceaster jest bardzo słabo broniony.

– Po prostu wjedziemy do środka – powiedziałem.

– Tak? – zdziwił się Merewalh.

– Nie spodziewają się ataku – wyjaśniłem. – Poza tym wątpię, żeby było tam aż stu pięćdziesięciu wojowników. Góra osiemdziesięciu.

Osiemdziesięciu ludzi dałoby radę nas powstrzymać, gdybyśmy próbowali oblegać mury, choć bez drabin trudno wyobrazić sobie taki atak. Ale czy jakkolwiek zareagowaliby, gdybyśmy spokojnie przyjechali z drogi? Gdybyśmy wyglądali jak wszystkie inne oddziały przybywające na wezwanie Kanuta?

– Dlaczego właśnie osiemdziesięciu? – zapytał mój syn.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Po prostu rzuciłem pierwszą lepszą liczbę. Równie dobrze może być tam pięciuset ludzi.

– A my ot tak wjedziemy do środka? – upewnił się Finan.

– Masz lepszy plan?

Irlandczyk pokręcił głową, uśmiechając się.

– Tak samo jak w Bebbanburgu – odpowiedział. – Po prostu wjedziemy do środka.

– I módl się o lepsze zakończenie.

I tak zrobiliśmy.

Po prostu wjechaliśmy do środka.

Drogę prowadzącą do północnej bramy warowni wyłożono kiedyś szerokimi płytami, z których większość była już połamana lub leżała krzywo. Po obu stronach traktu rosła gęsta trawa, nawożona przez setki koni przejeżdżających tędy przed nami. Droga biegła między zamożnymi gospodarstwami, w których niewolnicy sierpami ścinali wysokie żyto i położony przez deszcze jęczmień. Domy wybudowane były z kamienia, chociaż łątano je za pomocą plecionki i gliny, a dachówkę często zastępowano strzechą. Te wiejskie zabudowania, podobnie jak miasto, były dziełem Rzymian.

– Chciałbym pojechać do Rzymu – powiedziałem.

– Król Alfred tam był – zauważył Merewalh.

– Dwukrotnie, opowiadał mi – odparłem. – Widział tylko ruiny. Mocarne ruiny.

– Mówią, że to miasto jest wybudowane ze złota – rzekł tęsknie Merewalh.

– Miasto ze złota leżące nad rzeką ze srebra. Kiedy pokonamy Kanuta, pojedziemy tam i wszystko to wykopujemy.

Jechaliśmy powoli, jak zmęczeni ludzie na znużonych wierzchowcach. Nie mieliśmy na sobie kolczug ani nie trzymaliśmy tarcz. Konie juczne niosące topory o długich trzonkach i ciężkie tarcze szły z tyłu kolumny, Duńczyków natomiast ustawiłem na jej czele.

– Trzymaj swoją saską gębę na kłódkę, kiedy przejedziemy przez bramę – powiedziałem do Merewalha.

– Srebrna rzeka? – zapytał. – Naprawdę?

– Pewnie w rzeczywistości przypomina nasze rzeki – opowiedziałem. – Jest pełna szczyń, gówna i mułu.

Żebrak o twarzy w połowie strawionej wrzodami kuczał w fosie. Kiedy go mijaliśmy, jęknął cicho i wyciągnął dłoń z wykrzywionymi palcami. Wissian, nasz chrześcijański ksiądz, zrobił znak krzyża, żeby odegnać złe duchy, które mogły znaleźć schronienie w nędzarzu. Warknąłem więc do niego:

– Głupcze, Duńczycy zauważą, że się żegnasz. Powstrzymaj się do czasu, aż znikniemy im z oczu.

Mój syn upuścił obok żebraka kawałek chleba, a ten na czworakach rzucił się na jedzenie.

Minęliśmy szerokie zakole rzeki znajdujące się na wschód od warowni, po czym droga skręciła na południe, a następnie prosto jak rzut włócznią skierowała się ku miastu. Na zakręcie stała rzymska świątynia, kamienna wiata, gdzie kiedyś musiała znajdować się rzeźba. Budynek obecnie zamieszkiwał jednonogi starzec zajmujący się wyplataniem koszyków z wierzbowych witek.

– Jarl Kanut już wyjechał? – zapytałem.

– Wyjechał, wyjechał – odparł. – Pół świata wyjechało.

– Czyli kto?

– Nikt ważny, nikt, kto potrafi wiosłować, jeździć konno, latać czy pełzać – zaskrzeczał. – Pół świata wyjechało i pół świata wyjeżdża. Tylko elf został.

– Elf?

– Elf jest tutaj – powiedział ze śmiertelną powagą. – Ale wszyscy inni wyjechali.

Pomyślałem, że jest szalony, ale jego stare dłonie zręcznie splatały wierzbowe witki. Odłożył ukończony koszyk na stos i wziął kolejną wiązkę gałązek.

– Wszyscy inni wyjechali – powtórzył. – Tylko elf został.

Spiąłem konia. Po obu stronach drogi stały wbite pale, na których na konopnych sznurach wisały szkielety. To było, rzecz jasna, ostrzeżenie. Ostrzeżenie, że złodziei czeka śmierć. Większość osób zadowoliliby się wywieszeniem dwóch czaszek, ale Haesten zawsze szedł o krok dalej. Widok kości przypominał mi Świętego Oswalda, po chwili o nim jednak zapomniałem, bo droga teraz prowadziła prosto do północnej

bramy Ceasteru, chociaż wrota były zamknięte na cztery spusty.

– To się nazywa powitanie – powiedział Finan.

– A sam co byś zrobił, gdybyś zobaczył zbliżających się jeźdźców?

– Myślałem, że dranie zostawią otwartą bramę i ułatwią nam zadanie – odparł Irlandczyk.

Brama była potężna. Dwie kamienne wieże stały po jej bokach, chociaż jedna częściowo zawaliła się do fosy, przez którą przerzucono most z belek. Uszkodzona wieża została odbudowana za pomocą drewna. Na szczycie łuku bramnego znajdowała się platforma osłonięta przez drewnianą barierę i solidnie wyglądający dach. Jeden z mężczyzn stojących w cieniu daszku złożył dłonie w trąbkę.

– Kto idzie?! – zawołał.

Udałem, że nie słyszę. Podeszliśmy bliżej.

– Kto idzie?! – powtórzył.

– Rollo z Haithabu – odkrzyknął Rollo. Ja specjalnie stanąłem za swoimi towarzyszami i pochyliłem głowę, bo nie mogłem wykluczyć, że ktoś z Tameworthig mnie rozpozna.

– Spóźniliście się – odkrzyknął strażnik. Rollo nie odpowiedział. – Przyjechaliście, żeby dołączyć do jarla Kanuta? – zapytał.

– Z Haithabu! – odkrzyknął Rollo.

– Nie możecie tu wejść – powiedział mężczyzna. Byliśmy teraz bardzo blisko i nie musiał już krzyczeć.

– To co mamy zrobić? – zapytał Rollo. – Zostać tu i zdechnąć z głodu? Potrzebujemy jedzenia!

Nasze konie zatrzymały się tuż przed mostem, który był równie szeroki jak droga i długi na jakieś dziesięć kroków.

– Objedźcie mury – rozkazał mężczyzna. – Skierujcie się do południowej bramy. Tam przejedźcie przez most. Będziecie mogli kupić żywność we wsi.

– Gdzie jest jarl Kanut? – zapytał Rollo.

– Musicie pojechać na południe. Ale najpierw przekroczcie rzekę. Leiknir powie wam, co robić.

– Kto to jest Leiknir?

– Dowodzi tu.

– Ale dlaczego nie możemy wjechać do środka? – nalegał Rollo.

– Bo tak powiedziałem. Bo nikogo nie wpuszczamy do warowni. Taki jest rozkaz jarla.

Rollo się zawahał. Nie wiedział, co robić, i rzucił mi spojrzenie, jakby szukał wskazówki. W tym momencie jednak mój syn spiął konia, minął mnie i wjechał na most.

– Czy Brunna nadal tu jest? – zapytał po duńsku.

– Brunna? – Mężczyzna się zdziwił, bo tak nazywała się żona Haestena, choć wątpiłem, żeby Uhtred o tym wiedział.

– Brunna – powtórzył mój syn, jakby wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. – Musisz znać Brunnę Cizie! Małą, słodką kurewkę ze sterczącymi cyckami i dupcią jak marzenie. – Zaciśniętą w pięść dłonią zrobił gest w górę i w dół.

Mężczyzna się roześmiał.

– Tej Brunny nie znam.

– Powinieneś się z nią zaznajomić – odparł entuzjastycznie Uhtred. – Ale dopiero, kiedy z nią skończę.

– Poślę ją za rzekę – odrzekł z rozbawieniem strażnik.

– Hola! – zawołał mój syn, nie z podniecenia, lecz dlatego, że jego koń się spłoszył.

Wyglądało to na wypadek, ale zauważyłem, że wbił mu ostrogę w bok i wierzchowiec zareagował w ten sposób, chcąc uciec od bólu, dzięki temu jeździec znalazł się pod platformą, tak że znajdujący się na niej czterej mężczyźni nie mogli go zobaczyć. Następnie, ku mojemu rozbawieniu, Uhtred stanął na siodle. Zrobił to zgrabnie, ale było to niebezpieczne, bo wierzchowiec nie należał do niego – pożyczył go od ludzi Merewalha i nie wiedział, jak zareaguje na jego dziwaczne zachowanie. Wstrzymałem oddech, ale koń tylko potrząsnął głową i stał spokojnie, pozwalając mojemu synowi złapać się obiema dłońmi za górną część bramy. Chłopak podciągnął się, siadł okrakiem na wrotach i zeskoczył na drugą stronę. Zrobił to niemal

w mgnieniu oka.

– Co... – strażnik wychylił się, żeby zobaczyć, co się stało.

– Wyślesz na drugi brzeg rzeki wszystkie kurwy z miasta? – zapytałem, aby odwrócić jego uwagę.

Uhtred zniknął. Był w mieście. Czekałem na okrzyk, szczęk mieczy, zamiast tego usłyszałem skrzypienie belki podnoszonej ze wsporników, łoskot jej opuszczania i po chwili jedno z wrót się otworzyło. Zaskrzypiały ciężkie żelazne zawiasy.

– Hej! – zawołał człowiek zza bramy.

– Idę! – odkrzyknąłem. – Idę!

Spiąłem swojego konia, prowadząc wierzchowca Uhtreda przed sobą. Zaplanowaliśmy, co zrobimy, kiedy dostaniemy się do miasta, ale okazało się, że plan trzeba zmienić. Rzymianie budowali miasta według określonego wzoru, zawsze wyposażali je w cztery bramy z czterech stron murów i dwie ulice łączące przeciwległe bramy w taki sposób, że krzyżowały się w centrum. Początkowo chciałem jak najszybciej dotrzeć do centrum, tam utworzyć mur tarcz i czekać, aż wojownicy wyjdą na spotkanie śmierci. Zamierzałem też wysłać dwudziestu ludzi do południowej bramy, żeby mieć pewność, że pozostanie zamknięta. Teraz jednak zacząłem podejrzewać, że większość oddziałów skupiła się przy bramie południowej, a zatem to tam musieliśmy utworzyć mur tarcz.

– Merewalhu!

– Panie?

– Dwudziestu ludzi niech pilnuje tej bramy. Zamknijcie ją, zabarykadujcie i utrzymajcie. Finan! Południowa brama!

Mój syn biegł obok swojego konia, sięgnął lęku i wskoczył na siodło. Wyciągnął swój miecz.

A ja dobyłem swego.

Kopyta naszych wierzchowców głośno biły o wybrukowaną ulicę. Psy szczekały, a kobiety krzyczały.

Bo Sasi weszli do Ceasteru.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miałem przed sobą ulicę. Długą, prostą ulicę, za mną jeźdźcy wlewali się przez bramy. Zaczęli krzyczeć, pędząc przez miasto.

Ceaster nagle wydał mi się ogromny. Przypominam sobie myśl, że wszystko to jest czystym wariactwem, że potrzebowalibyśmy po trzykroć więcej ludzi, żeby zająć to miejsce, teraz jednak nie było już odwrotu.

– Jesteś głupcem! – krzyknąłem do syna, który odwrócił się w siodle i szeroko uśmiechnął. – Dobra robota! – dodałem.

Po obu stronach długiej ulicy stały kamienne budynki. Kaczki uciekały przed wojownikami na koniach, a jeden ptak został rozgnieciony pod ciężkimi kopytami wierzchowca. Usłyszeliśmy tylko skrzek i zobaczyliśmy unoszące się białe pióra. Pogoniłem swojego ogiera piętami, gdy ujrzałem dwóch uzbrojonych mężczyzn jadących z naprzeciwka. Zdumieni zatrzymali się, jeden z nich miał na tyle przytomności, żeby umknąć w cień, drugi został powalony przez Rolla, który zadał mu jedno mocne cięcie mieczem. Białe kamienie najbliższego domu nagle obryzgała krew. Pióra i posoka. Jakaś kobieta krzyknęła. Ponad stu moich ludzi gnało ulicą. Kiedyś była ona wybrukowana, ale teraz kamienne płyty zniknęły i końskie kopyta uderzały o miękką ziemię, po chwili znów jednak rozległ się odgłos podków na kamieniu. Spodziewałem się, że zobaczę południową bramę na odległym krańcu ulicy, ale olbrzymia, podparta kolumnami budowla zasłoniła mi widok. Kiedy podjechałem bliżej, za kolumnami zobaczyłem czterech uciekających włóczyków. Jeden z nich obejrzał się w naszą stronę. Eldgrim i Kettil, którzy jechali strzemię w strzemię, skłonili swoje wierzchowce do wejścia na dwa schodki prowadzące do arkady otaczającej ogromny budynek. Skręciłem w lewo, usłyszałem jęk jednego z powalonych mężczyzn, następnie skierowałem konia na prawo i ujrzałem grupę

wojowników – może kilkunastu – stojących w drzwiach do budowli z kolumnami.

– Rollo! Weź dwunastu ludzi. Zatrzymaj tych drani!

Ponownie skręciłem w prawo, a później znów w lewo. Przejechaliśmy przez rozległy plac i pogalopowaliśmy inną długą ulicą, biegnącą prosto do południowej bramy. Ujrzelśmy pięciu uciekających mężczyzn. Nie mieli dość rozumu, żeby schronić się w którejś z bocznych uliczek. Popędziłem za jednym z nich, zobaczyłem jego przerażoną twarz, kiedy w panice się odwrócił, i zadałem cios Oddechem Węża w jego kark. Znów pogoniłem konia i zobaczyłem mojego syna powalającego kolejnego mężczyznę. Na skraju ulicy stały trzy krowy. Doiła je kobieta o czerwonej twarzy. Popatrzyła na nas z oburzeniem, ale nie przerwała pracy, gdy ją mijaliśmy. Dostrzegłem włócznie i ostrza mieczy na murach ponad południową bramą oraz powiewającą chorągiew Kanuta z toporem i złamanym krzyżem. Łuk bramy z obu stron otaczały kamienne wieże, ale górna część obwarowań była drewniana. Na platformie znajdowało się co najmniej dwudziestu mężczyzn, a dołączali do nich kolejni. Nie mogłem dostrzec, w jaki sposób tam docierają, domyśliłem się więc, że prowadzą tam schody w jednej z wież. Wrota bramne były zamknięte i zaryglowane. Zbliżając się galopem do bramy, zobaczyłem lecącą strzałę, która spadła na wyłożoną płytami ulicę.

– Cenwalhu! – krzyknąłem do jednego z młodych Sasów. – Pilnuj koni!

Zeskoczyłem z siodła. Z platformy obrońcy cisnęli kamień, który spadając na ulicę, roztrzaskał płytę. W wieży po mojej prawej stronie zobaczyłem drzwi, w których się ukryłem, gdy drugi głaz minął mnie o włos. Koń zakwiczał, gdy trafiła go strzała. Kręte kamienne schody prowadziły w mrok, ale po kilku stopniach się urwały, bo wewnątrz budowli w dużej części się zawaliło. Kamieniarkę zastąpiono ciężkimi dębowymi belkami, a schody mocną drewnianą drabiną. Wszedłem po kilku starych rzymskich stopniach, wyjrzałem na górę, ale musiałem natychmiast się cofnąć przed ciężkim głazem. Kamień uderzył w najniższy szczebel drabiny, odbił się, nie złamawszy go, i potoczył się w moją stronę. Za nim pojawiła się strzała, wprowadzie przeznaczona do polowania, ale nie miałem kolczugi, więc bez trudu przeszłyby moją pierś.

– Finanie! – wrzasnąłem, kiedy dotarłem do drzwi wieży. – Potrzebujemy tarcz!

– Już nadchodzą! – odkrzyknął Irlandczyk.

Poprowadził wojowników, którzy pozostawiwszy swoje wierzchowce, pieszo ruszyli za nim w uliczkę, bo z wysokich obwarowań sypał się na nas coraz gęstszy grad strzał. Nie mieliśmy tarcz, bo nie chciałem wzbudzić podejrzliwości strażników przy bramie północnej, co oznaczało, że najlepsze osłony przed strzałami nadal znajdowały się na grzbietach koni jucznych.

– Gdzie są juki?! – zawołałem.

– Nadchodzą! – odkrzyknął Finan.

Przez krótką chwilę się wahałem, po czym ruszyłem biegiem z wieży, robiąc uniki to w prawo, to w lewo, kiedy pokonywałem otwartą przestrzeń. Od czasu bitwy pod Ethandun lekko utykałem i nie biegałem już jak młodzieniaszek. Strzała spadła na powierzchnię ulicy po mojej prawej stronie, skręciłem w prawo i kolejny pocisk przeleciał koło mojego lewego ramienia. W końcu dobiegłem do uliczki i byłem bezpieczny.

– Tam są dwaj cholerni łucznicy – poinformował mnie Finan.

– Gdzie są te tarcze?

– Mówiłem ci już, że nadchodzą. Einar dostał w nogę.

Einar był Duńczykiem, porządnym człowiekiem. Siedział w uliczce ze strzałą sterczącą z uda. Wyciągnął nóż i obciął pierzysko.

– Zaczekaj na ojca Wissiana – powiedziałem do niego. – Merewalh mówił, że klecha zna się na leczeniu.

– A co on może zrobić, czego ja nie potrafię? – zapytał Einar. Zacisnął zęby i wbił nóż w nogę.

– Jezu – mruknął Finan.

Wyjrzałem z uliczki i natychmiast się schowałem, bo nadleciała strzała. Gdybym miał kolczugę i tarczę, byłbym dość bezpieczny, ale nawet myśliwska strzała może zabić nieosłoniętego człowieka.

– Potrzebuję drewna opałowego – powiedziałem do Finana. – Dużo drewna. I podpałki.

Wypatrywałem Merewalha, który w końcu nadszedł, prowadząc konie juczne. Ulice miasta tworzyły sieć, a on miał na tyle oleju w głowie, żeby nadejść równoległą uliczką, dzięki czemu nie zauważyli go łucznicy na wieży bramnej.

– Zabiliśmy strażników północnej bramy – powiedział Merewalh. Miał na sobie kolczugę i był zdyszany. – Zostawiłem tam dwunastu ludzi, żeby ją utrzymali.

– Potrzebuję jeszcze dwóch drużyn – powiedziałem mu. – Muszą dostać się na mury po obu stronach tej bramy. – Chodziło mi o obwarowania wschodnie i zachodnie. – Każda drużyna ma składać się z dwunastu ludzi. – Przyjął ode mnie rozkazy. – I powiedz im, żeby sprawdzili dwie pozostałe bramy. Myślę, że są zabarykadowane, ale lepiej się upewnić.

Nie miałem pewności, ilu ludzi broniło południowej bramy, ale było ich co najmniej dwudziestu, więc wysyłając wojowników Merewalha na mury, powinienem zdołać usidlić tych obrońców.

– Ostrzeż ich przed łucznikami – przykazałem Merewalhowi, a później odpiąłem miecz, zdjąłem płaszcz i wciągnąłem kolczugę przez głowę. Skórzana podszewka cuchnęła jak pierdnięcie tchórza. Przywdziałem hełm i przypasałem miecz. Moi towarzysze też wyszukiwali swoje pancerze. Finan podał mi moją tarczę. – Zbierz drewno – powiedziałem mu.

– Już je znoszą – odparł cierpliwie.

Ludzie włamali się do domu i rąbali ławy i stoły. W głębi podwórka znajdował się chlewik, ściągaliśmy z niego strzechę i oderwaliśmy belki. Na podwórzu tliło się palenisko – dymiące się drewno obłożone dokoła kamieniami. Obok stał stary kocioł, a na niewielkiej półce przymocowanej do muru ustawionych było kilkanaście glinianych garnków. Sięgnąłem po jeden z nich, wysypałem z niego ziarna fasoli i rozejrzałem się za szufelką. Znalazłem chochlę i użyłem jej do napełnienia naczynia żarem, a następnie włożyłem garnek do kotła.

To wszystko zabrało nam trochę czasu. Nadal nie miałem pojęcia, ilu wrogów znajduje się w mieście, i dzieliłem swoje siły na niewielkie drużyny, co oznaczało, że nieprzyjaciele mogą mieć przewagę liczebną nad każdą z nich. Zajęliśmy warownię przez zaskoczenie, garnizon jednak szybko się pozbiera, a jeśli okaże się, że obrońcy

są silniejsi, rozgniotą nas jak pluskwy. Musieliśmy szybko ich pokonać. Wiedziałem, że obrońcy północnej bramy zginęli, zakładałem też, że Rollo pobił Duńczyków w budynku kolumnowym, ale w częściach miasta, do których nie dotarliśmy, mogło ukrywać się jeszcze trzystu–czterystu wściekłych Norwegów. Strażnicy bramy południowej wyraźnie czuli się pewnie, co mogło oznaczać, że uratują ich posiłki. Obrzucali nas wyzwiskami, zachęcali do wyjścia na główną ulicę i szykowania się na śmierć.

– Ukrywajcie się, jeśli to wolicie! – krzyczał jeden z wojowników. – I tak zginiecie! Witamy w Ceasterze!

Musiałem zdobyć mury. Podejrzewałem, że poza miastem znajdowały się dodatkowe oddziały, byliśmy więc zmuszeni powstrzymać je przed wejściem do środka. Patrzyłem na swoich wojów znoszących naręcza słomy ze strzech i połamane drewno.

– Potrzebuję czterech ludzi – powiedziałem. Więcej niż czterech nie zmieściłoby się w dolnej części wieży. – Sześciu w kolczugach i z tarczami.

Wysłałem tę szóstkę przodem. Pobiegli w stronę wieży, a łucznicy wypuścili strzały, które odbiły się od tarcz, nie robiąc nikomu krzywdy. Gdy tylko łuki wystrzeliły, poprowadziłem czterech wojowników do wieży. Posypały się kamienie. Trzymałem tarczę nad głową, która trzęsła się pod uderzeniami gładów w wierzbowe deski. W prawej ręce niosłem kocioł.

Wpadłem do wieży. Nawet jeśli obrońcy rozważali wysłanie ludzi na dół, żeby nas powstrzymać przed wejściem na stare rzymskie schody, uznali, że bezpieczniejsi są na platformie, i tam zostali. Wiedzieli jednak, że jesteśmy wewnątrz, i ciskali z góry kamienie. Osłoniłem się tarczą, wchodząc na kamienne stopnie. Deski ugiwały się pod ciężarem gładów, ale tarcza zapewniła ochronę, kiedy przykucnąłem u podnóża drabiny, a moi ludzie rzucili mi słomę i drewno. Wolną ręką pospiesznie ułożyłem stos z drewna wokół drabiny, potem wyjąłem gorący garnek z kotła i wysypałem żar na słomę i podpałkę.

– Więcej drewna! – zawołałem. – Więcej drewna!

Ale drewno okazało się niepotrzebne, bo ogień natychmiast się rozpałił, zmuszając

mnie do zejścia o kilka stopni. Podpałka i drewno się zapaliły, a wieża jakby zasysała płomień i dym do góry, sprawiając, że ludzie na platformie zaczęli się krztusić, a grad kamieni ustał. Drabina szybko zajęła się ogniem, który rozprzestrzenił się na dębowe belki osłaniające zewnątrz wieży, a następnie na samą platformę, zmuszając obrońców do zejścia na mury, gdzie mieli czekać na nich ludzie Merewalha. Wybiegłem na zewnątrz, żeby zobaczyć dym unoszący się z zawałonego szczytu wieży i obrońców opuszczających platformę jak szczury tonący statek. Zawahali się, kiedy dotarli do szczytu muru, ale zapewne dostrzegli zbliżających się ludzi Merewalha, bo po prostu zeskoczyli z obwarowań do fosy.

– Uhtredzie! – zawołałem syna i wskazałem na wrota. – Ogień może rozprzestrzenić się na bramę, znajdź więc coś, żeby zablokować wejście, kiedy wrota się spalą. Weź dwunastu ludzi. Macie utrzymać bramę.

– Myślisz, że oni...

– Nie wiem, co oni zrobią – wszedłem mu w słowo. – Nie wiem też, ilu ich jest. Wiem tylko, że masz zatrzymać każdego, kto będzie chciał dostać się do miasta.

– Nie wytrzymamy długo.

– Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy wystarczająco liczni. Ale oni o tym nie wiedzą. – Chorągiew Kanuta zajęła się ogniem i nagle rozbłysła jasnym płomieniem. Jeszcze przez chwilę powiewała na wietrze, a potem w mgnieniu oka zmieniła się w płomień i rozsypała na wietrze. – Merewalhu! – szukałem Mercjanina. – Niech połowa twoich ludzi obsadzi mury. – Chciałem, żeby Duńczycy poza warownią ujrzeni na obwarowaniach włócznie, miecze i topory. – Druga połowa niech oczyści miasto.

Posłałem większość ludzi na mury, a Finanowi i siedmiu innym wojownikom rozkazałem wrócić do centrum, do kolumnowej budowli, gdzie został Rolla. Nadal tam był.

– Tu jest tylko jedno wejście – powiedział. – Wewnątrz jest trochę wojowników. Mają włócznie i tarcze.

– Ilu?

– Naliczyłem ośmiu, ale może być ich więcej. Tam są okna. – Wskazał głową. – Ale wysoko i okratowane.

– Okratowane?

– To są żelazne kraty. A więc można wejść do budynku i go opuścić jedynie przez te drzwi.

Ludzie wewnątrz zamknęli wrota, które były zrobione z ciężkiego drewna wzmocnionego żelaznymi ryglami.

Skinąłem na Folcbalda, który trzymał ciężki topór wojenny.

– Wyważ je – rozkazałem.

Folcbald był Fryzem silnym jak wół. Choć powolny, proste zadania wykonywał bez żadnych oporów. Kiwnął głową, wziął oddech i zamachnął się bronią.

Stalowe ostrze wbiło się głęboko w drewno. Poleciały drzazgi. Folcbald wyrwał topór i ponownie uderzył. Wrota zadrżały pod jego mocarnymi uderzeniami. Fryz wyszarpnął ostrze po raz trzeci, kiedy usłyszałem zgrzyt zasuw na zawiasach.

– Wystarczy – powiedziałem. – Cofnij się.

Siedmiu wojowników, których wziąłem ze sobą, miało na sobie kolczugi i każdy trzymał tarczę, ustawiliśmy się więc w mur między dwoma kolumnami znajdującymi się najbliżej drzwi. Zasuwa ponownie zazgrzytała, później usłyszałem łomot, gdy spadła na podłogę. Przez chwilę nic się nie działo, po czym wrota po mojej prawej stronie bardzo powoli się rozwarły. Zatrzymały się, kiedy szpara osiągnęła szerokość zaledwie dłoni, i wysunęło się z niej ostrze miecza. Miecz upadł na płyty.

– Będziemy walczyć, jeśli tego chcecie! – zawołał z wewnątrz mężczyzna. – Ale wolimy przeżyć!

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

– Leiknir Olafson – odparł mężczyzna.

– Komu służysz?

– Jarłowi Kanutowi. A ty kim jesteś?

– Człowiekiem, który cię zabije, jeśli się nie poddasz. Otwórz wrota.

Zapiąłem osłony policzkowe hełmu i czekałem. Z wnętrza budynku dobiegły do mnie niskie natarczywe głosy, ale kłótnia trwała krótko i drzwi otworzyły się na oścież. W ciemnym korytarzu prowadzącym do tonącego w mroku wnętrza budynku stało kilkunastu mężczyzn. Mieli na sobie kolczugi, hełmy i trzymali tarcze, ale kiedy

tylko wrota się rozwarły, rzucili włócznie i miecze na płyty. Wysoki, siwobrody mężczyzna zrobił krok w naszą stronę.

– Jestem Leiknir – oświadczył.

– Powiedz swoim ludziom, żeby rzucili tarcze – rozkazałem. – Tarcze i hełmy. Ty też.

– Darujesz nam życie?

– Jeszcze nie wiem. Daj mi jeden powód, dla którego miałbym cię oszczędzić.

– Moja żona tu jest – odparł Leiknir. – A także córka i jej małe dzieci. Moja rodzina.

– Twoja żona może znaleźć sobie innego męża.

Leiknir obruszył się, słysząc te słowa.

– Masz rodzinę? – zapytał.

Nie odpowiedziałem mu na to pytanie.

– Może daruję ci życie i tylko sprzedam twoją rodzinę – odrzekłem. – Norwegowie z Irlandii dobrze płacą za niewolników.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Uhtred z Bebbanburga – odwarknąłem, a jego reakcja mnie zaskoczyła. Sprawiała mi też przyjemność, bo na jego twarzy odmalowało się autentyczne przerażenie. Zrobił krok w tył i dotknął młota Thora na szyi.

– Uhtred nie żyje – odparł.

Już drugi raz usłyszałem tę plotkę. Leiknir najwidoczniej w nią uwierzył, bo wlepił we mnie strwożony wzrok.

– Mam ci opowiedzieć, co się wydarzyło? – zapytałem. – Zginąłem, i to bez miecza w dłoniach, zostałem więc wysłany do bogini Hel i usłyszałem pianie jej czarnych kurów! Ogłosiły moje przybycie, Leiknirze, i wyszedł po mnie Kąsający w Mroku. – Zrobiłem krok w jego stronę, a on się cofnął. – Kąsający w Mroku, Leiknirze, pokryty gnijącym mięsem, odchodzącym od jego poźółkłych kości, z ognistymi ślepiami, zębami jak rogi i pazurami jak noże rzeźnickie. Na ziemi leżała kość, udowa kość, którą zmiażdżyłem zębami i rzuciłem potworowi. – Podniosłem Oddech Węża. – Jestem martwy, Leiknirze, i przybyłem, żeby zabrać ze sobą żywych.

A teraz przesun w kierunku drzwi wasze miecze, włócznie, tarcze i hełmy.

– Błagam, oszczędź moją rodzinę – odezwał się mężczyzna.

– Słyszałeś coś o mnie? – zapytałem, wiedząc, co mi odpowie.

– Oczywiście, że tak.

– A słyszałeś, bym zabijał kobiety i dzieci?

Pokręcił głową.

– Nie, panie.

– Więc kopnijcie wasz oręż w moją stronę i uklęknijcie.

Zrobili, co im kazałem, i uklękli wzdłuż ściany korytarza.

– Pilnuj ich – rozkazałem Rollowi i przeszedłem obok klęczących mężczyzn.

– Leiknirze! – zawołałem. – Ty pójdiesz ze mną!

Ściany korytarza wybudowane zostały z surowych drewnianych desek, nie były więc dziełem Rzymian. Rozwarte z obu stron drzwi prowadziły do niewielkich pomieszczeń zasłanych siennikami. W jednym pokoju składowano beczki. Wszystkie pomieszczenia były puste. Na końcu korytarza dostrzegłem większe wrota prowadzące do zachodniej części budynku. Podszedłem do nich i otworłem je pchnięciem. Usłyszałem kobiecy krzyk.

Stałem jak wryty. W pokoju zobaczyłem sześć kobiet. Cztery najwyraźniej były służącymi, bo przerażone klęczały przed dwiema pozostałymi. A te dwie znałem. Jedną była Brunna – żona Haestena. Miała siwe włosy, pulchną okrągłą twarz, a na szyi ciężki krzyż. Kurczowo go ścisnęła, mamrocząc modlitwy. Ochrzczono ją na rozkaz króla Alfreda i zawsze uważałem, że jej nawrócenie było cynicznym zagranem zaaranżowanym przez męża, ale najwyraźniej się myliłem.

– To jest twoja żona? – zapytałem Leiknira, który wszedł za mną do pomieszczenia.

– Tak, panie – potwierdził.

– Ja zabijam kłamców, Leiknirze – ostrzegłem go.

– Ona jest moją żoną – powiedział, ale tak obronnym tonem, jakby kłamstwo musiało zostać podtrzymane, nawet jeśli miało spalić na panewce.

– A to jest twoja córka? – zapytałem, wskazując ruchem głowy młodszą kobietę

siedzącą obok Brunny.

Tym razem Leiknir nic nie odpowiedział. Brunna zaczęła na mnie krzyczeć, żądając, abym ją wypuścił, ale nie zwróciłem na nią uwagi. Sukni młodszej kobiety czepiało się dwoje małych dzieci, bliźniaków. Nie odzywała się, tylko wpatrywała we mnie dużymi ciemnymi oczami, które tak dobrze pamiętałem. Była taka piękna, taka delikatna i przerażona. W milczeniu patrzyła na mnie. Postarzała się, jak my wszyscy, ale inaczej. Miała może piętnaście–szesnaście lat, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, teraz była o dziesięć lat starsza, ale wiek jedynie uszlachetnił jej urodę.

– To twoja córka? – zapytałem ponownie, ostro Leiknira, ale on nic nie odpowiedział.

– Jak się nazywa?

– Frigg – niemal wyszeptał jej imię.

Frigg, żona Odyna, najważniejszego boga Asgardu. Tylko ona miała prawo siadać na wyniosłym tronie męża. Była istotą o nieopisanej urodzie, miała też wielki dar czytania w przyszłości, chociaż nigdy nie ujawniała swojej wiedzy.

Może ta Frigg także знаła przyszłość, ale nigdy by nam jej nie zdradziła, ponieważ dziewczyna, którą znałem jako Erce, wnuczka Aelfadell, była głucha i niema.

Była też – jak przypuszczałem – żoną jarla Kanuta.

A ja ją odnalazłem.

Na straży Ceasteru zostało dwustu Duńczyków, ale wielu z nich było starych lub nie w pełni sprawnych z powodu dawnych ran.

– Dlaczego tak niewielu? – zapytałem Leiknira.

– Nikt się nie spodziewał, że Ceaster zostanie zaatakowany – odparł z goryczą.

Szedłem przez zdobyty gród, odkrywając go i podziwiając. Nawet stare miasto w Londynie, część wznosząca się na wzgórzu, nie mogło się poszczycić tak licznymi rzymskimi budowlami w równie dobrym stanie. Gdyby nie strzechy, mógłbym niemal wyobrazić sobie, że przeniosłem się do czasów, kiedy ludzie potrafili budować takie cuda, a światem rządziło miasto słońca. Zastanawiałem się, jak oni tego dokonali. Myślałem też o tym, jak to możliwe, że tak silny i mądry lud został pokonany.

Towarzyszyli mi Finan oraz mój syn. Merewalh ze swoimi ludźmi zajęli mury, żeby stworzyć wrażenie, że jest nas znacznie więcej niż stu trzydziestu trzech wojowników. Większość pokonanego garnizonu znajdowała się poza murami i zebrała się na rozległej arenie, gdzie Rzymianie zabawiali się śmiercią, ale my zdobyliśmy ich wierzchowce, niemal wszystkie zapasy i wiele kobiet.

– A zatem zostałeś tu, żeby pilnować Frigg? – zapytałem Leiknira.

– Tak.

– Jarl Kanut nie będzie z ciebie zadowolony – odparłem z rozbawieniem. – Gdybym był tobą, Leiknirze, znalazłbym jakieś bardzo odległe miejsce i tam się ukrył. – Nic na to nie odpowiedział. – Haesten popłynął z jarlem Kanutem? – zapytałem.

– Tak.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Znaleźliśmy się w warsztacie garncarskim. W piecu wybudowanym z cienkich rzymskich cegieł nadal buzował ogień. W pracowni stały skorupy ukończonych misek i dzbanów i koło garncarskie, na którym leżała bryłka gliny.

– Nie wiesz? – zapytałem.

– Nie powiedział, panie – odparł pokornie Leiknir.

Szturchnąłem glinę na kole garncarskim. Bryłka zdążyła już stwardnieć.

– Finan!

– Panie?

– Jest tu drewno opałowe do pieca?

– Tak.

– Może porządnie w nim napalimy i włożymy do niego dłonie i stopy Leiknira? Zaczniemy od lewej stopy. – Odwróciłem się do Duńczyka. – Zdejmuj buty. Nie będziesz już ich potrzebował.

– Ja nic nie wiem! – zapewniał gorączkowo mężczyzna.

Finan dorzucił drewna do pieca.

– Zostałeś, żeby pilnować tego, co najcenniejsze dla jarla Kanuta –

powiedziałem. – A on przecież nie zniknął ot tak. Musiał ci powiedzieć, jak się z nim skontaktować. – Patrzyłem w huczący ogień. Nagły podmuch gorącego powietrza zmusił mnie do zrobienia kroku w tył. – Zostaniesz bez stóp i dłoni – stwierdziłem. – Ale pewnie będziesz mógł czołgać się na kolanach i kikutach rąk.

– Popłynęli do Saefern – wyjawiał z desperacją.

A ja mu uwierzyłem. Wyjawiał, co zrobił Kanut, i to się trzymało kupy. Kanut mógł opłynąć flotą Kornwalię, żeby zaatakować południowe wybrzeże Wessexu, ale już wcześniej bezskutecznie tego próbował. Gdyby zamiast tego wykorzystał rzekę Saefern, żeby wpłynąć z wojskami w głąb Mercji, pierwszą większą przeszkodę napotkałby w Gleawecestre. Tam znajdowała się siedziba Aethelreda, było to najważniejsze miasto w Mercji, dobrze broniony burh otoczony rzymskimi murami, ale ilu ludzi mogło tam zostać, żeby bronić obwarowań? Czy Aethelred wysłał wszystkich swoich wojowników na wyprawę do Anglii Wschodniej? Nagle poczułem strach, ponieważ uświadomiłem sobie, że Aethelflaed z pewnością schroniła się w Gleawecestre. Kiedy ludzie usłyszeli, że Duńczycy są na rzece, że tysiące wojowników i koni wylądowało na brzegu Saefern, z pewnością uciekli do najbliższego i najsilniejszego burhu, czyli Gleawecestre, jeśli jednak gród nie był dostatecznie dobrze strzeżony, zmienił się w pułapkę.

– A zatem co byś zrobił, gdybyś musiał wysłać Kanutowi wiadomość? – zapytałem Leiknira, który z obawą patrzył na piec.

– Powiedział, żeby wysłać jeźdźców na południe, panie. Mówił, że go znajdują.

To też pewnie była prawda. Wojska Kanuta rozpięzły się po saskiej Mercji, pałac dwory, kościoły i wsie, a dym unoszący się z pogorzelsk mógł posłużyć jako znak dla każdego posłańca.

– Ilu ludzi ma Kanut?

– Prawie cztery tysiące.

– A ile wypłynęło stąd łodzi?

– Sto sześćdziesiąt osiem, panie.

W tylu łodziach bez trudu zmieściłoby się pięć tysięcy wojowników, ale Kanut musiał przewieźć też konie, służących i bagaże, więc podana liczba zapewne była

dość dokładna. Wojska były liczne, a Kanut postąpił sprytnie. Zwabił Aethelreda do Anglii Wschodniej i zapuścił się głęboko na jego ziemię. Co robił Wessex? Edward z pewnością zbierał wojska, ale pewnie też obsadzał burhy wojownikami, obawiając się, że Duńczycy przekroczą Tamizę i uderzą z południa. Domyślałem się, że Edward skupi się przede wszystkim na obronie Wessexu, dzięki czemu Kanut będzie mógł spokojnie łupić Mercję i pobić Aethelreda, kiedy ten głupiec wreszcie zdecyduje się ruszyć do domu. W ciągu miesiąca cała Mercja znajdzie się pod panowaniem Duńczyków.

Tyle że Frigg znalazła się w moich rękach. Takie było jej prawdziwe imię, ale kto je znał? Sama nie potrafiła tego powiedzieć, a ponieważ była niema i głucha, mogła nawet nie wiedzieć, jak się nazywa. Aelfadell nazywała wnuczkę Erce, ale to imię bogini miało po prostu zrobić wrażenie na łatwowiernych klientach.

– Jarl Kanut pewnie kocha Frigg – zagadnąłem Leiknira.

– Jest jak mężczyzna, który dostał nowy miecz: nie może oderwać od niej oczu.

– Trudno go za to winić, jest rzadkiej urody. Dlaczego więc nie zabrał jej na południe?

– Chciał zapewnić jej bezpieczeństwo.

– I zostawił tu tylko dwustu ludzi?

– Myślał, że tylu starczy – odrzekł Leiknir i na chwilę zamilkł. – Powiedział, że tylko jeden człowiek był wystarczająco sprytny, żeby zaatakować Ceaster, a on nie żyje.

– I oto jestem. Wróciłem z królestwa Hel. – Kopniakiem zatrzasnąłem żelazne drzwiczki pieca. – Możesz zachować stopy i dłonie – powiedziałem.

Zapadał zmierzch. Wyszliśmy z garncarni i poszliśmy w stronę centrum. Zdumiał mnie niewielki budynek ozdobiony krzyżem.

– Żona Haestena – wyjaśnił Leiknir.

– Obchodzi go, że jest chrześcijanką?

– Mówi, że równie dobrze może mieć po swojej stronie także chrześcijańskiego boga.

– To do niego podobne – odparłem. – Tańczyć z dwiema kobietami do dwóch

różnych melodii.

– Wątpię, żeby lubił tańczyć z Brunną – zauważył Leiknir.

Zaśmiałem się. Była jędzą, krępą, złośliwą, baryłkowatą jędzą o podbródku jak dziób statku i języku ostrym jak miecz.

– Nie możesz nas więzić! – wrzasnęła, kiedy wróciliśmy do kolumnowego budynku, ale nawet na nią nie spojrzałem.

Kiedyś była to świątynia, a może nawet pałac rzymskiego namiestnika, ale ktoś – domyśliłem się, że Haesten – podzielił wielką salę na mniejsze komnaty. Drewniane przepierzenia sięgały tylko pół wysokości kamiennych ścian, dzięki czemu w dzień światło wlewało się przez wysokie okna osłonięte żelaznymi kratami. Wieczorem zapalano lampy, a w największej komnacie, w której przebywały kobiety i dzieci, niczym nieosłonięte palenisko sadzą i dymem brudziło wysoki kamienny sufit ozdobiony malowidłem. Podłogę pokrywały obrazy ułożone z tysięcy drobnych płytek, ukazujące dziwne morskie stworzenia ze skręconymi ogonami, na które polowali trzej nadzy mężczyźni uzbrojeni w trójzęby. Dwie nagie kobiety unosiły się w olbrzymich muszlach na spienionych falach i obserwowały polowanie.

Brunna nie przestawała perorować, ale nie zwracałem na nią uwagi. Z końca sali obserwowały mnie z niepokojem cztery służące opiekujące się bliźniakami. Frigg miała na sobie płaszcz z piór i siedziała na drewnianym krześle pośrodku komnaty. Ona również mnie obserwowała, ale nie ze strachem, lecz z dziecięcą ciekawością, wodziła za mną ogromnymi oczami, gdy oglądałem dziwne obrazy na podłodze.

– Musieli mieć olbrzymie przegrzebki w Rzymie – zauważyłem, ale nikt mi nie odpowiedział.

Podszedłem do krzesła Frigg, spojrzałem na nią, a ona spokojnie odpowiedziała mi spojrzeniem. Jej płaszcz był wykonany z tysiąca piór naszytych na lnianą narzutę. Były to pióra sójek i kruków, więc zdawało się, że migoczą czernią i błękitem. Pod tym niezwykłym płaszczem była obwieszona złotem. Na szczupłych nadgarstkach błyszcząły złote bransolety, jej palce lśniły od drogich kamieni oprawionych w złoto, szyję miała obwieszoną złotymi łańcuchami, a włosy – czarne jak kruki Odyna – zaczesane do góry i podtrzymywane przez złotą siatkę.

– Dotknij jej tylko, a nie żyjesz! – syknęła Brunna.

Brunna już wcześniej trafiła do mnie do niewoli, ale Alfred był przekonany, że stała się dobrą chrześcijanką, i nalegał, żebym ją wypuścił. Został nawet ojcem chrzestnym jej dwóch synów, Haestena Młodszeo i Horica. Pamiętam dzień, kiedy została zanurzona w wodzie święconej w Londynie i dostała nowe, chrześcijańskie imię – Aethelbrun. Teraz, choć wciąż używała dawnego imienia, nosiła na piersiach duży srebrny krzyż.

– Mój mąż cię zabije! – wypaliła.

– Twój mąż próbował tego już wielokrotnie – odrzekłem. – A ja nadal żyję.

– Natomiast my moglibyśmy ją zbić – odezwał się Rollo. Wydawał się zmęczony pilnowaniem kobiet, a przynajmniej Brunny.

Żaden mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od Frigg.

Ukucnąłem przed krzesłem żony Kanuta i spojrzałem jej w oczy. Uśmiechnęła się do mnie.

– Pamiętasz mnie? – zapytałem.

– Ona cię nie słyszy – powiedział Leiknir.

– Wiem. Ale czy rozumie?

Wzruszył ramionami.

– Z nią jest jak z psem: czasem wydaje ci się, że wszystko rozumie, a kiedy indziej... – Ponownie wzruszył ramionami.

– A dzieci? – zapytałem, rzucając okiem na bliźniaki, które z drugiego krańca pokoju w ciszy patrzyły na mnie szeroko rozwartymi oczami. Mogły mieć sześć-siedem lat, chłopiec i dziewczynka. Oboje równie ciemnowłosi jak matka.

– Potrafią mówić i słyszą – odparł Leiknir.

– Jak się nazywają?

– Dziewczynka ma na imię Sigril, a chłopiec Kanut Kanutson.

– I dobrze mówią?

– Zwykle buzie im się nie zamykają.

Okazało się, że bliźniaki rzeczywiście potrafią mówić, bo wydarzyło się coś dziwnego, coś, czego początkowo nie zrozumiałem. Do komnaty wszedł Merewalh

z siwowłosym ojcem Wissianem w długim czarnym płaszczu przewiązanym w taki sposób, że wyglądał jak sutanna. Na jego widok drobna twarz chłopca się rozpogodziła.

– Wujek Wihtred! – zawołał Kanut Kanutson. – Wujek Wihtred!

– Wujek Wihtred – wtórowała mu radośnie siostra.

Wissian wyszedł z cienia w światło paleniska.

– Mam na imię Wissian – powiedział i miny dzieciom zrzędy.

Wtedy mnie to nie zastanowiło, bo wpatrywałem się we Frigg, a jej uroda była w stanie pozbawić rozumu każdego mężczyznę. Nadal kucałem przed nią, wziąłem jedną z jej dłoni, która w mojej wydała mi się tak lekka i delikatna jak trzymany w ręku ptak.

– Pamiętasz mnie? – zapytałem ponownie. – Spotkałem cię u Aelfadell.

Uśmiechnęła się. Kiedy przyszliśmy, była wystraszona, teraz jednak zdawała się całkiem zadowolona.

– Pamiętasz Aelfadell? – zapytałem, a ona oczywiście nic mi nie odpowiedziała. Bardzo delikatnie uścisnąłem jej dłoń. – Pójdiesz ze mną – powiedziałem. – Ty i twoje dzieci, ale obiecuję, że nikt was nie skrzywdzi. Nikt.

– Jarl Kanut cię zabije – zaskrzeczała Brunna.

– Jeszcze jedno słowo, a odetnę ci język.

– Jak śmiesz... – zaczęła i krzyknęła, bo wyciągnąłem nóż zza pasa.

Ku mojemu zaskoczeniu Frigg się zaśmiała. Był to bezgłośny śmiech, wydała z siebie tylko zduszony odgłos, ale jej twarz rozjaśniła się nagłym rozbawieniem.

Zwróciłem się do Brunny, która pod wpływem mojego spojrzenia się skuliła.

– Jeździsz konno, kobieto? – zapytałem. W odpowiedzi tylko kiwnęła głową. – A zatem rano wyjedziesz na południe. Pojedziesz do tego nędznego wypierdka glisty, którego nazywasz swoim mężem, i powiesz mu, że Uhtred z Bebbanburga więzi żonę i dzieci jarla Kanuta. Powiesz mu też, że Uhtred z Bebbanburga jest w morderczym nastroju. – Włożyłem nóż do pochwy i zapytałem Rolla: – Jedli coś?

– Nie w czasie, kiedy ich pilnowałem.

– Zadbaj o to, żeby nie byli głodni. I zapewnij im bezpieczeństwo.

- Bezpieczeństwo – odparł ponuro.
- Dotknij jej, a będziesz miał ze mną do czynienia – zagroziłem.
- Będą bezpieczni – obiecał.

Aethelred zaczął swoją wojnę, a Kanutowi udało się go oszukać. Teraz Kanut miał w Mercji wolną rękę i był przekonany, że jego wrogowie stracili głowę. Odwieczne marzenie Duńczyków – podbój saskiej Brytanii – właśnie się urzeczywistniało.

Tyle że ja nadal żyłem.

Tej nocy prawie nie spaliśmy. Mieliśmy pełne ręce roboty.

Finan wybrał najlepsze spośród zdobycznych koni, które chcieliśmy zabrać ze sobą. Mój syn dowodził oddziałem penetrującym miasto w poszukiwaniu ukrytych monet, połowa ludzi Merewalha pilnowała murów, a reszta rozbierała zabudowania na podpałkę i drewno opałowe.

Południowe wrota spaliły się, mój syn zastawił więc bramę ciężkimi wozami. Duńczycy za murami mieli nad nami przewagę liczebną, chociaż o tym nie wiedzieli. Obawiałem się, że w nocy zaatakują, ale nie zdecydowali się na oblężenie. Widziałem ogniska migoczące na terenie starej areny, a jeszcze więcej w pobliżu mostu znajdującego się w niewielkiej odległości na południe od miasta. Wkrótce miało zapłonąć więcej ognisk.

Ludzie Merewalha układali podpałkę i drewno pod każdym odcinkiem palisady. Mieliśmy zamiar podłożyć ogień w każdym miejscu kamiennego muru, który załatano drewnem. Zamierzaliśmy spalić bramy miejskie i pozbawić warownię wszelkich konstrukcji obronnych niewykonanych z kamienia.

Nie byłem w stanie utrzymać Ceasteru. Potrzebowałbym do tego dziesięciokrotnie więcej ludzi, postanowiłem więc je opuścić. Duńczycy zapewne wrócą za rzymskie mury, mogłem jednak przynajmniej uczynić warownię łatwiejszą do zdobycia dla Sasów. Naprawienie zaplanowanych przeze mnie zniszczeń zabrałoby pół roku – sześć miesięcy ścinania drzew, okrywania pni i wkopywania ich w miejsce spalonej palisady. Miałem nadzieję, że Duńczycy nie dostaną sześciu miesięcy spokoju. Kiedy zapadła noc, podłożyliśmy ogień – poczynając od północnej strony warowni. Ogień

kolejno rozświetlał późną letnią noc, iskry padały na strzechy domów wewnątrz miasta i te budynki też stawały w płomieniach. Gdy zapłonęły ostatnie ogniska, a większość grodu ogarnął pożar, siedzieliśmy już na koniach i byliśmy gotowi do drogi. Na niebie ukazała się wówczas ostatnia gwiazda. Nazywa się Earendel, gwiazda poranna. Jaśniała, kiedy ściągnęliśmy wozy i wyjechaliśmy przez południową bramę.

Wzięliśmy ze sobą każdego zdobytego konia, żeby Duńczycy zobaczyli chmurę wysypującą się z płonącego miasta. Uwoziliśmy żony Haestena, Kanuta i oboje jego dzieci pilnowanych przez moich ludzi, a także Duńczyków, którzy mieli ich strzec. Byliśmy w rynsztunku wojennym, mieliśmy na sobie kolczugi, trzymaliśmy tarcze, a w naszych nagich mieczach odbijały się płomienie. Galopowaliśmy drogą, ujrzałem ludzi czekających na moście, ale byli oni zmarznięci, wystraszeni i znacznie ustępowali nam liczebnie. Nawet nie próbowali nas zatrzymać, tylko rzucili się do ucieczki brzegiem rzeki. Kopyta mojego konia nagle zahaczały na drewnianych belkach mostu. Zatrzymaliśmy się na południowym brzegu rzeki Dee.

– Topory! – rzuciłem.

Za rzeką płonęła warownia Ceasteru. Strzechy i drewno trawił ogień, zmieniając je w dym, iskry i żar. Samo miasto – pomyślałem – przeżyje. Osmali się, a wyłożone płytami ulice pokryje popiół, ale to, co wznieśli Rzymianie, będzie trwało jeszcze długo po naszym odejściu.

– My niczego nie budujemy – powiedziałem do syna. – My jedynie niszczymy.

Popatrzył na mnie jak na wariata, ale ja tylko kiwnąłem głową w stronę ludzi z toporami burzącymi most. Chciałem mieć pewność, że Duńczycy z Ceasteru nie będą nas ścigali, a najszybszym sposobem powstrzymania ich było zniszczenie przeprawy na rzece.

– Czas, żebyś się ożenił.

Uhtred spojrział na mnie z zaskoczeniem, po czym szeroko się uśmiechnął.

– Frigg wkrótce będzie wdową.

– Nie potrzebujesz głuchej, niemej wdowy. Ale kogoś ci znajdę.

Ostatnie belki łączące dwa kamienne łuki runęły do rzeki. Świtało i na wschodzie ukazywało się słońce, a szkarłatne i złote promienie przebijały się przez niskie

chmury. Duńczycy za rzeką odprowadzali nas wzrokiem.

Jeńcy jechali z nami, każdy miał pętlę na szyi, teraz jednak rozkazałem uwolnić ich z powrozów.

– Możecie odejść, ale jeśli jeszcze kiedyś was spotkam, wszystkich was zabiję. Weźcie ją ze sobą – wskazałem na Brunnę, która siedziała na krępej klaczy jak worek owsa.

– Panie. – Leiknir podjechał do mnie. – Chciałbym pojechać z tobą.

Spojrzałem na siwego, przygnębionego mężczyznę.

– Przysięgałeś służyć jarlowi Kanutowi – odparłem szorstko.

– Proszę, panie.

Jeden z jeńców, młody wojownik, zbliżył się do Leiknira.

– Panie, mogę wziąć miecz? – zapytał.

– Proszę, panie – powtórzył Leiknir. Wiedział, co się stanie.

– Dwa miecze – odpowiedziałem.

Leiknir zawiódł. Dostał zadanie i się z niego nie wywiązał. Gdyby wrócił do Kanuta, zostałyby za to ukarany i zapewne byłaby to długotrwała, bolesna i zakończona śmiercią kara. Ale ja go nie chciałem. Był nieudacznikiem.

– Jak się nazywasz? – zapytałem młodzieńca.

– Jorund, panie.

– Zrób to szybko, Jorundzie. Cierpienie mnie nie bawi.

Przytaknął i zsiadł z konia. Moi ludzie odprowadzili wierzchowce na bok, tworząc krąg na trawie, kiedy Leiknir zsuwał się z siodła. Już wyglądał na pokonanego.

Wbiliśmy dwa miecze w trawę. Leiknir pozostawił Jorundowi wybór broni, potem wziął swój miecz, ale niewiele zrobił, żeby się obronić. Podniósł ostrze bez żadnego entuzjazmu. Patrzył tylko na Jorunda, a ja dostrzegłem, że ze wszystkich sił zaciska dłoń na orężu, jakby szykował się na śmierć.

– Walcz! – zawołał Jorund.

Jego przeciwnik jednak już pogodził się ze śmiercią. Zadał słabe pchnięcie, które młodszy mężczyzna bez trudu odparował szerokim uderzeniem, pod którego wpływem Leiknir szeroko rozpostarł ramiona, a Jorund wbił głęboko ostrze w jego

odsłonięty brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół, jęcząc, jego dłonie zbieleły, zaciskając się na rękojeści miecza. Jorund wyszarpnął broń, trysnęła gęsta krew. Zadał ponowny cios, tym razem w gardło. Trzymał broń przy szyi Leiknira, gdy mężczyzna upadł na kolana, po czym pchnął ostrze. Przez chwilę wstrząsały nim przedśmiertne drgawki, a potem znieruchomiał. Zauważyłem, że w dłoniach ścisnął miecz.

– Miecze – powiedziałem.

– Potrzebuję jego głowy.

– Więc ją weź.

Potrzebował głowy jako dowodu dla Kanuta, że Leiknir zginął, że stary został ukarany za niedopełnienie powierzonego mu zadania. Gdyby Jorund stawiał się przed Kanutem bez tego dowodu, również naraziłby się na karę. Głowa zmarłego była dla niego poręką, znakiem, że wykonał karę, więc sam może jej uniknąć.

Obok drogi znajdował się kamieniołom. Od lat nieużywany, na co wskazywały porastające jego dno gęste zieleń i samosiejki. Domyśliłem się, że to stąd Rzymianie pozyskiwali wapień do budowy Ceasteru. My zaś wrzuciliśmy bezgłowe ciało Leiknira między głazy. Jorund oddał dwa miecze i owinął zakrwawioną głowę w płaszcz.

– Jeszcze się spotkamy, panie – powiedział.

– Przekaż jarłowi Kanutowi moje pozdrowienia i powiedz mu, że jego żonie i dzieciom nic się nie stanie, jeśli wróci do domu.

– Czy jeśli spełni ten warunek, odzyska rodzinę?

– Będzie musiał ją ode mnie odkupić, powiedz mu to. A teraz jedź.

Duńczycy ruszyli na wschód. Brunna skarżyła się, chciała, żeby towarzyszyły jej dwie służące, ale wszystkie zatrzymałem, żeby zajmowały się Frigg i dziećmi. Żona Kanuta dosiadała siwej klaczy, miała na sobie płaszcz z piór i wyglądała zjawiskowo tego letniego poranka. Obserwowała śmierć Leiknira – lekki uśmiech nie zniknął z jej twarzy, kiedy krztusił się tryskającą krwią, wił w przedśmiertnych drgawkach i wreszcie znieruchomiał.

I tak wyruszyliśmy na południe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Kanut rzeczywiście wróci do domu? – zapytał mój syn, gdy jechaliśmy przez brzozowy las, brzegiem wartkiego potoku.

– Dopiero kiedy skończy w Mercji, a może nawet wówczas nie. Ma nadzieję zdobyć też Wessex.

Uhtred obrócił się w siodle, żeby spojrzeć na Frigg.

– Ale zamierzasz mu ją zwrócić, jeśli to zrobi. Więc może jednak?

– Nie bądź głupcem. Wiemy, że mu na niej zależy, ale nie zrobiłby nawet dziesięciu kroków, żeby uratować jej życie.

Mój syn roześmiał się z niedowierzaniem.

– Ja przeszedłbym dla niej pół świata – wyznał.

– Bo jesteś durniem. A Kanut nim nie jest. Chce Mercji, Anglii Wschodniej i Wessexu. W tych miejscach są tysiące kobiet, niektóre z nich dorównują urodą Frigg.

– Ale...

– Uraziłem jego dumę – przerwałem mu. – Frigg w gruncie rzeczy nie jest zakładniczką, bo Kanut nie oddałby za nią szczerzego bobka. Może ruszy palcem, żeby uratować syna, ale kobietę? Nie z tego powodu będzie mnie ścigał, ale dlatego, że uraziłem jego dumę. Zrobiłem z niego głupca, a tego nie zdzierży. Dlatego się stawi.

– Z czterotysięcznym wojskiem?

– Z czterotysięcznym wojskiem – potwierdziłem bezbarwnym tonem.

– Może cię też zignorować – zauważył Uhtred. – Sam mówiłeś, że Mercja jest cenniejsza.

– Stawi się – powtórzyłem.

– Skąd to wiesz?

– Wiem, ponieważ Kanut jest taki jak ja. Dokładnie taki sam. Jest dumny.

Mój syn jechał przez chwilę w ciszy, a potem spojrzał na mnie karcąco.

– Duma jest grzechem, ojciec – odezwał się obłudnym tonem, naśladując księdza.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Ty pierdoło.

– Tak nam mówią – powiedział, zmieniając ton na poważny.

– Księdza? – zapytałem. – Pamiętasz Offę?

– Psiarczyka?

– Właśnie.

– Lubiłem jego psy – odparł Uhtred.

Offa był księdzem bez święceń, który podróżował po Brytanii ze sforą tresowanych psów, ale ich sztuczki były tylko jego sposobem na to, żeby być przyjmowanym we dworach, a kiedy już do jakiegoś wszedł, potrafił słuchać. Offa zawsze znał wszystkie spiski, wiedział, kto kogo nienawidzi, kto twierdzi, że jest inaczej, i umiał zarobić na tych informacjach. Koniec końców mnie sprzedał, mimo to brakowało mi jego wiedzy.

– Księdza są tacy sami jak Offa. Chcą, żebyśmy stali się ich psami, dobrze wytresowanymi, wdzięcznymi i posłusznymi. A dlaczego? Żeby mogli się wzbogacić. Mówią, że duma jest grzechem. Jesteś mężczyzną! To tak, jakby twierdzili, że oddychanie jest grzechem, a sprawiwszy, że poczujesz się winny z powodu oddychania, udzielali ci rozgrzeszenia za garść srebra. – Uchyliłem głowę przed niską gałęzią. Podążaliśmy leśną drogą, biegnącą na południe wzdłuż wartkiego strumienia. – Księżom nigdy nie przeszkadzała moja duma, kiedy Duńczycy palili ich kościoły – ciągnąłem. – Ale kiedy uznali, że zapanował pokój, że kościoły już nie będą niszczone, zwrócili się przeciwko mnie. Zobaczysz, nie minie tydzień, a będą lizali mi dupę i błagali, żebym przybył im na ratunek.

– A ty przybędziesz – zauważył mój syn.

– Jak głupiec – stwierdziłem posepnie.

Byliśmy na znanym terenie, ponieważ przez lata wysyłailiśmy duże oddziały, żeby

obserwowały Duńczyków w Ceasterze. Cała północna Mercja znajdowała się pod panowaniem Duńczyków, ale tu, w jej zachodniej części, terenom nieustannie zagrażały dzikie plemiona walijskie i trudno było do końca stwierdzić, kto kontrolował te ziemie. Jarl Kanut twierdził, że nad nimi panuje, ale był zbyt rozsądny, żeby zadzierać z Walijszymi, którzy walczyli jak demony i zawsze mogli wycofać się w góry, gdy okazywało się, że wróg ma nad nimi przewagę. Aethelred także zgłaszał pretensję do tych ziem i oferował srebro każdemu Mercjaninowi gotowemu osiedlić się na tym spornym terenie, ale nic nie robił, żeby zapewnić ochronę osadnikom. Nigdy nie wzniósł burhu tak daleko na północy i był niechętny zajęciu Ceasteru, ponieważ zarówno Duńczycy, jak i Walijscy uznaliby to za zagrożenie. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał Aethelred, było sprowokowanie zatargu z dwoma najgroźniejszymi wrogami Mercji, zadowalał się więc tylko obserwowaniem warowni. Teraz prowadził wojnę z Duńczykami i tylko modlił się, żeby Walijscy nie zaangażowali się w konflikt. Oni również rościli sobie prawo do tej ziemi, ale przez lata, kiedy moi ludzie jeździli na przespiegi, nigdy nie zaatakowali. Teraz mogli jednak spróbować swych sił. Tyle że byli chrześcijanami i większość ich księży niechętnie odnosiła się do walki z Sasami, bo oni czcili tego samego ukrzyżowanego boga. Kiedy jednak Duńczycy i Sasi się zabijali, nawet walijscy księża mogli dostrzec szansę splądrowania żyznego pasa ziemi ciągnącego się wzdłuż zachodniej granicy Mercji. Tak mogło być. Ale nie musiało. Wysłałem jednak zwiadowców przodem, na wypadek gdyby zbrojne oddziały Walijszyków zeszły z gór.

Myśleliśmy, że natrafiliśmy na nich, kiedy jeden ze zwiadowców nadjechał z wiadomością, że dostrzegł dym na niebie. Nie spodziewałem się spotkać ich tak daleko na północy. Ludzie Kanuta plądrowali południową Mercję, a nie północną, a gruby słup dymu wskazywał, że płonie dwór. Dym unosił się po naszej lewej stronie, na wschodzie, wystarczająco daleko, żeby go zlekceważyć, chciałem jednak wiedzieć, czy do chaosu, jaki zapanował, włączyli się też Walijscy. Przekroczyliśmy więc strumień i ruszyliśmy przez rzadki dębowy las w stronę smugi dymu.

Okazało się, że płonęła wiejska zagroda. Nie było tam ani dworu, ani palisady, jedynie kilka drewnianych budynków na leśnej polanie. Ktoś w tym miejscu się osiedlił, wybudował dom i stodołę, wyciął drzewa, hodował krowy, uprawiał żyto,

a teraz jego niewielkie gospodarstwo stało w ogniu. Patrzyliśmy na pożar poprzez dęby. Dostrzegłem ośmiu–dziewięciu uzbrojonych mężczyzn, kilku chłopców i dwa ciała. Kilkoro dzieci i kobiet kulilo się pod spojrzeniem strażników.

– To nie są Walijczycy – odezwał się Finan.

– Jesteś w stanie to stwierdzić?

– Są zbyt nieliczni. To Duńczycy.

Mężczyźni uzbrojeni we włócznie i w miecze mieli długie włosy. To niekoniecznie świadczyło o tym, że są Duńczykami, chociaż ci zwykle zapuszczali włosy, Sasi zaś woleli strzyć się krótko, podejrzewałem więc, że Finan może mieć rację.

– Pojedź z dwudziestoma ludźmi na wschodnią stronę, a później im się pokaż.

– Tylko tyle?

– Tak.

Poczekalem, aż ludzie w spalonym gospodarstwie zobaczą Finana. Dwaj chłopcy natychmiast przyprowadzili konie, a jeńcy, kobiety i dzieci zostali zmuszeni do wstania z ziemi. Duńczycy – jeśli to byli Duńczycy – zaczęli zganiać siedem krów i nadal to robili, kiedy wyprowadziłem swoich ludzi z za drzew i powiodłem wzdłuż rzyska. Dziewięciu mężczyzn zauważyło nas i najpierw wpadli w panikę, zorientowawszy się, że zostali usidleni między dwoma oddziałami, ale później, nie widząc zagrożenia – uspokoili się. Nie atakowaliśmy, jechaliśmy powoli, a oni dostrzegli, że większość z nas ma długie włosy. Sięgnęli po broń i utworzyli grupę, ale postanowili nie wdawać się w bitwę. I to był błąd.

Większość swoich ludzi zostawiłem na rzysku – wziąłem ze sobą tylko trzech, z którymi przekroczyłem niewielki strumień i zbliżyłem się do płonących budynków. Dałem znak oddziałowi Finana, żeby do nas dołączył, a później zapatrzyłem się na płonący spichlerz.

– Dobry dzień na podpalenie, co? – zagadnąłem po duńsku.

– Od dawna się na to zanosilo – odparł w tym samym języku jeden z mężczyzn.

– Jak to? – zapytałem, ześlizgując się z siodła, zaskoczony tym, jak bardzo byłem zeszywniały i spocony.

– Tu nie ma dla nich miejsca – powiedział mężczyzna, wskazując na dwa ciała.

Zabici zostali wypatroszeni jak upolowana zwierzyna i leżeli w kałużach krwi, które deszcz powoli rozwadniał.

– Mów do mnie „panie” – powiedziałem łagodnie.

– Tak, panie – odparł mężczyzna. Miał tylko jedno oko, drugi oczodół pokrywały blizny i ropa.

– A wy kim jesteście? – zapytałem.

Rzeczywiście byli Duńczykami, starszymi ludźmi i – zachęceni widokiem młota Thora na mojej szyi – chętnie wyjaśnili, że pochodzą z osady na wschodzie i są niechętni napływowi Sasów na ich ziemię.

– To są Sasi – powiedział mężczyzna, wskazując na kobiety i dzieci przycupnięte nad strumieniem. Wcześniej płakały, ale teraz patrzyły na mnie, trwożliwie milcząc.

– Będą niewolnikami?

– Tak, panie.

– Tam leżą jeszcze dwa trupy – odezwał się Finan. – Stare kobiety.

– Jaki pożytek ze staruch? – zapytał Duńczyk. Jeden z jego towarzyszy powiedział coś, czego nie dosłyszałem, a pozostali zarechotali.

– Jak się nazywasz? – zapytałem jednookiego.

– Geitnir Kolfinnson.

– Służycie jarłowi Kanutowi?

– Tak, panie.

– Właśnie do niego zmierzam – wyjaśniłem, co do pewnego stopnia było prawdą. – Czy to on kazał wam zaatakować tych ludzi?

– Chce wyczyścić nasze ziemie z saskiej hołoty, panie.

Spojrzałem na Geitnira Kolfinnsona. Zobaczyłem siwą brodę, pokrytą brzdami twarz i braki w uzębieniu.

– Młodzi popłynęli z jarłem?

– Tak, panie.

– A ty masz oczyścić teren z saskiej hołoty?

- Tego właśnie życzy sobie jarl – odparł Geitnir.
- Wykonałeś kawał dobrej roboty – pochwaliłem go.
- To była przyjemność, sześć lat czekałem, żeby spalić to gospodarstwo.
- Czemu więc nie zrobiłeś tego wcześniej?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jarl Kanut chciał uśpić czujność Aethelreda z Mercji.

– Nie chciał wywołać wojny?

– Wtedy nie – odrzekł Geitnir. – Ale teraz?

– Teraz możesz traktować saską hołotę tak, jak na to zasługuje.

– Wreszcie, panie.

– Ja jestem saską hołotą. – Zapadła cisza. Wydawało im się, że się przesłyszeli. Mieli przecież przed sobą długowłosego mężczyznę z zawieszka w kształcie młota Thora i z cennymi bransoletami na ramionach, które duńscy wojownicy zakładają, gdy występują w wojennej chwale. Uśmiechnąłem się do nich. – Jestem saską hołotą – powtórzyłem.

– Panie? – wykrztusił zdumiony Geitnir.

Odwróciłem się do chłopców.

– Coście za jedni? – zapytałem. Byli wnukami Geitnira, których zabrał ze sobą, żeby nauczyli się odpowiednio traktować Sasów. – Daruję wam życie – powiedziałem. – Pojedźcie więc teraz do domu i powiecie matce, że przybył Uhtred z Bebbanburga. Powtórzcie moje imię. – Posłusznie zrobili, co im kazałem. – Jadę do Snotengaham, żeby spalić dwór jarla Kanuta. Dokąd jadę?

– Do Snotengaham – wymamrotał jeden z chłopców.

Wątpiłem, aby słyszeli o tym miejscu, i nie miałem zamiaru zahaczać o okolice tego miasta, ale chciałem, żeby plotki się rozniosły i wyprowadziły Kanuta z równowagi.

– Grzeczni chłopcy. A teraz jazda! – powiedziałem.

Wahali się, niepewni, jaki los spotka ich dziadka i jego ludzi.

– No jazda! – krzyknąłem. – Zanim się rozmyślę i was też ukatrupię!

Uciekli, a my zabiliśmy dziewięciu Duńczyków. Zabraliśmy ich wierzchowce, z wyjątkiem koni, na których w panice odjechali chłopcy. Chciałem, żeby wśród Duńczyków zamieszkujących Mercję zaczęły szerzyć się plotki, że Uhtred wrócił i jest w morderczym nastroju. Kanut uważał, że może poczynać sobie, jak chce, z Sasami w Mercji, ale za dzień czy dwa, kiedy dotrze do niego Brunna, a pogłoski staną się głośniejsze, zacznie oglądać się przez ramię. Może nawet wyśle ludzi do Snotengaham, gdzie stoi jeden z jego najwspanialszych dworów.

Pozostawiliśmy saskie kobiety i dzieci samym sobie i pojechaliśmy na południe. Po drodze nie spotkaliśmy już ani duńskich band, ani walijskich wojowników, a dwa dni później znaleźliśmy się w saskiej Mercji. Niebo na wschodzie i południu zasnuwane było dymem, co oznaczało, że jarl Kanut palił, plądrował i zabijał.

A my pojechaliśmy do Gleawecestre.

Był to gród Aethelreda. Jego burh. Znajdował się w zachodniej Mercji nad rzeką Saefern i strzegł ziem Aethelreda przed grabieżczymi wyprawami Walińczyków. W takim celu wzniesiono tę warownię, okazała się jednak wystarczająco duża, aby w razie zagrożenia zapewnić schronienie ludziom zamieszkującym okolicę. Podobnie jak w Ceasterze i wielu innych miejscach w Mercji i Wessexie otaczające ją mury są dziełem Rzymian. A oni potrafili budować.

Miasto znajdowało się na równinie, co nie ułatwia obrony, ale jego warowne mury, tak jak w Ceasterze, otaczała fosa zasilana wodą z rzeki. Tyle że w Gleawecestre fosa była znacznie głębsza i szersza. W rowie usypano wał ziemny, w który wbite zostały zaostrome pale, a ponad nimi wznosi się kamienny rzymski mur, dwukrotnie wyższy od człowieka. Wzmacniało go ponad trzydzieści wież. Aethelred utrzymywał mury w dobrym stanie i płacił kamieniarzom za naprawy, gdy pojawiły się pęknięcia. Gleawecestre było jego stolicą i siedzibą, a zanim wyruszył do Anglii Wschodniej, dokładnie upewnił się, że miasto jest dobrze strzeżone.

Zadanie obrony stolicy należało do fyrdu, pospolitego ruszenia mężczyzn, którzy zwykle uprawiali rolę, kuli żelazo albo cięli drewno. Nie byli wojownikami. Jeśli jednak umieści się ich za otoczonymi fosą mocnymi kamiennymi obwarowaniami,

stają się budzącym grozę przeciwnikiem. Zaniepokoiłem się, kiedy usłyszałem, że Kanut popłynął w górę Saefern, jednak gdy ruszyłem w podróż na południe, uznałem, że Gleawecestre i jego mieszkańcy najpewniej nie mają się czego obawiać. Aethelred zebrał zbyt wiele kosztowności w tym mieście, żeby zlekceważyć jego obronność, a mógł pozostawić w jego murach nawet dwa tysiące zbrojnych. Co prawda, większość z nich pochodziła z fyrdu, dopóki jednak pozostawali za murami, dopóty trudno było ich pokonać.

Kanuta musiało kusić, żeby przeprowadzić szturm na Gleawecestre, lecz Duńczycy nigdy nie przepadali za oblężeniami. Podczas prób zdobycia miasta ludzie giną na murach i toną w fosach, a jarl chciał oszczędzić wojowników na bitwę, która miała się rozegrać po powrocie Aethelreda z Anglii Wschodniej. Dopiero po wygraniu tej bitwy mógł kazać swoim ludziom zaatakować rzymską twierdzę. Pozostawiając ją w spokoju, ryzykował jednak, że oddziały będą robić wypadki z miasta i atakować jego tyły. Ale Kanut znał saski fyrd. Pospolite ruszenie mogło służyć do obrony, ale było słabe w ataku. Podejrzywałem, że odesłał dwustu–trzystu wojowników, żeby obserwowali mury, i zostawił warownię w spokoju. Trzystu starczyłoby aż nadto, ponieważ jeden wyszkolony wojownik jest wart tyle co sześciu czy siedmiu ludzi z fyrdu. Poza tym ze względu na oszczędzanie zapasów wewnątrz murów pozostało niewiele wierzchowców, a zaatakować Kanuta mogli tylko konni. Garnizon Gleawecestre miał nie atakować Duńczyków, tylko bronić urządzonego z przepychem pałacu Aethelreda i jego skarbów. Dałbym głowę, że Kanut najbardziej się obawiał, iż Edward z Wessexu wyruszy na pomoc miastu, byłem jednak pewny, że jego ludzie obserwowali Tamizę i byli przygotowani do zmierzenia się z saskimi wojskami. A to wcale nie musiało szybko się wydarzyć. Zwołanie fyrdu do obrony zachodniosaskich burhów zajmie Edwardowi wiele dni, poza tym musiał jeszcze zebrać wojska i podjąć decyzję, jak zareagować na chaos, który zapanował na północy.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

Jechaliśmy przez pustkowie.

Niegdyś były to bogate tereny o żyznej ziemi, na której wypasały się dorodne owce i rosły sady pełne owoców. Kraina mlekiem i miodem płynąca. Jeszcze

niedawno wznosiły się tu zamożne wsie, piękne dwory i ogromne spichlerze, teraz jednak pozostały tylko dym, popiół i śmierć. Na polach leżały ścierwa krów, ich rozkładające się ciała rozwlekały wilki, zdziczałe psy i kruki. Wcale nie było widać ludzi, z wyjątkiem martwych. Duńczycy, którzy doprowadzili do tego nieszczęścia, odjechali w poszukiwaniu innych miejsc do splądrowania, a ci, którzy przeżyli – o ile komuś się to udało – zbiegli do burhów. Jechaliśmy w ciszy.

Podążaliśmy rzymską drogą biegnącą przez to pustkowienie, a zachowane kamienie milowe odliczały odległość do Gleawecestre. W pobliżu kamienia z wyciętą cyfrą VII dostrzegli nas Duńczycy. Było ich trzydziestu–czterdziestu i musieli uznać, że jesteśmy ich rodakami, bo bez obawy do nas podjechali.

– Jak się zwiesz?! – zawołał jeden z nich, gdy znaleźli się dostatecznie blisko.

– Wasz wróg – odparłem.

Powstrzymali konie. Znaleźli się zbyt blisko, żeby bezpiecznie zawrócić, może również zaskoczyła ich moja odpowiedź. Zostawiłem swoich ludzi i sam do niego podjechałem.

– Jak się zwiesz? – zapytał ponownie wojownik.

Miał na sobie kolczugę, dopasowany hełm okalający szczupłą, ogorzałą twarz i broń ciężką od srebrnych ozdób.

– Mam więcej ludzi od ciebie, więc to ty pierwszy się przedstawisz – powiedziałem.

Przez chwilę zastanawiał się nad moimi słowami. Moi ludzie utworzyli szereg porządnie uzbrojonych jeźdźców w pełnej gotowości bojowej. W końcu wzruszył ramionami i powiedział:

– Nazywam się Torfi Ottarson.

– Służysz Kanutowi?

– A kto mu nie służy?

– Ja.

Spojrzał na młot Thora wiszący na moich piersiach.

– Jak się zwiesz? – zapytał po raz trzeci.

– Nazywam się Uhtred z Bebbanburga – odparłem, a w zamian otrzymałem

spojrzenie, w którym nagle pojawił się strach. – Myślałeś, że nie żyję, Torfi Ottarsonie? To możliwe. Kto rzekł, że umarli nie mogą wrócić na ziemię, by zemścić się na żywych?

Duńczyk dotknął swojego młota Thora, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie nie wydusił z siebie słowa. Jego ludzie wpatrywali się we mnie.

– A zatem powiedz mi, Torfi Ottarsonie: czy ty i twoi ludzie wracacie z Gleawecestre?

– Tam jest znacznie więcej wojsk – odparł hardo.

– Jesteście tutaj, żeby obserwować miasto? – zapytałem.

– Robimy, co nam się powie.

– A zatem powiem ci, co macie robić. Kto dowodzi wojskami w Gleawecestre?

Przez chwilę się wahał, ale uznał, że udzielenie tej informacji im nie zaszkodzi.

– Jarl Bjorgulf.

Nic mi to imię nie mówiło, ale musiał być to zaufany człowiek Kanuta.

– A zatem pojedziesz do jarla Bjorgulfa i powiesz mu, że Uhtred z Bebbanburga zmierza do Gleawecestre i ma dostać pozwolenie na przejazd. Pozwoli mi przejechać.

Torfi uśmiechnął się ponuro.

– Jesteś sławny, panie, ale nawet ty nie zdołasz pobić wojsk zebranych pod Gleawecestre.

– Nie zamierzamy walczyć – odparłem.

– Jarl Bjorgulf może być innego zdania.

– Możliwe, ale powiesz mu coś jeszcze. – Skinąłem uniesioną dłonią i obserwowałem twarz dowódcy, kiedy Finan i troje moich ludzi pokazali mu Frigg i bliźnięta. – Wiesz, kim oni są? – zapytałem Torfiego, który tylko kiwnął głową. – Więc powiedz jarlowi Bjorgulfowi, że jeśli będzie się opierał, najpierw zabiję dziewczynkę, później jej matkę, a na końcu chłopca. – Uśmiechnąłem się. – Jarl Kanut nie będzie z tego zadowolony, prawda? Czy jego żona i dzieci mają zginąć tylko dlatego, że jarl Bjorgulf ma ochotę urządzić sobie bitwę?

Torfi w milczeniu wpatrywał się we Frigg i w bliźnięta. Chyba nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale w końcu zdołał przemówić.

– Powiadomię jarla Bjorgulfa i przywiozę wam odpowiedź – powiedział.

– Nie kłopotz się – odparłem. – Już znam jego odpowiedź. – Powiesz mu, że Uhtred z Bebbanburga jedzie do Gleawecestre i żeby nie próbował nas zatrzymać. Możesz uważać się za szczęściarza, Torfi.

– Za szczęściarza?

– Spotkałeś mnie, a mimo to pozostałeś przy życiu. A teraz jedź.

Wojownicy zawrócili. Ich wierzchowce były znacznie bardziej wypoczęte niż nasze, szybko więc wysforowali się naprzód i zniknęli nam z oczu. Uśmiechnąłem się szeroko do Finana.

– Powinno się udać.

– O ile nie postanowią zgrywać bohaterów i nie spróbują ich odbić.

– Nie zrobią tego – odparłem.

Posadziłem małą Sigril na koniu Rolla, a on ruszył w drogę z obnażonym mieczem, Kanuta Kanutsona wziął Swithun, który też dobył miecza. Frigg jechała między Eldgrimem a Kettilem, wydawała się jednak nieświadoma tego, co się dzieje. Jedyłą jej reakcją był uśmiech. Przed Frigg i jej dziećmi jechało dwóch chorążych, bo po raz pierwszy od opuszczenia Bearddan Igge wywiesiliśmy nasze chorągwie – kroczącego konia Mercji i wilczy łeb Bebbanburga.

A Duńczycy tylko nas obserwowali.

Z daleka ukazało nam się Gleawecestre, zobaczyłem spalone budynki i oczyszczony teren, dzięki czemu obrońcy mogli zawczasu dostrzec nadchodzące wojska nieprzyjaciół. Mury jeżyły się od ostrzy włóczni, w których odbijały się promienie zachodzącego słońca. Po mojej lewej stronie kryli się Duńczycy Bjorgulfa, którzy pilnowali, żeby drużyny zgromadzone w mieście nie próbowały urządzić zbrojnych wypadów. Wrogich wojsk było jakieś cztery tysiące, trudno było policzyć wojowników, bo kiedy się pojawialiśmy, ci się przemieszczali, zawsze utrzymując odpowiedni dystans. Nawet nie obrzucali nas wyzwiskami, jedynie obserwowali. Jakąś milę od północnej bramy miasta ujrzałem galopującego w naszą stronę krępego mężczyznę z siwiejącymi rudymi włosami. Towarzyszyło mu dwóch młodszych wojów – nie mieli tarcz, tylko schowane w pochwach miecze.

- Jarl Bjorgulf, jak się domyślam – pozdrowiłem go.
- Zgadza się.
- Dobrze zobaczyć słońce, prawda? Nie pamiętam tak mokrego lata. Już myślałem, że nigdy nie przestanie padać.
- Gdybyś był rozsądny, oddałbyś mi rodzinę jarla Kanuta.
- Całe pola zbutwiałego żyta od wilgoci. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu zniszczonych plonów.
- Jarl Kanut okaże miłosierdzie – powiedział Bjorgulf.
- Powinieneś martwić się moim miłosierdziem, nie jego.
- Jeśli coś im się stanie... – zaczął.
- Nie bądź głupcem – odparłem szorstko. – Oczywiście, że stanie im się krzywda, jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem.
- Ja... – ponownie chciał coś powiedzieć.
- Jutro rano, Bjorgulfie – ciągnąłem, jakbym nie słyszał, że chce coś powiedzieć – zabierzesz stąd swoje wojska. Pojedziesz na wschód, w góry, i do południa was tu nie będzie.
- My...
- Wszyscy, również konie, pojedziecie w góry. Oddalicie się na tyle, żeby nie było was widać z miasta. Jeśli po południu ujrzę choć jednego Duńczyka w pobliżu Gleawecestre, wypruję córce Kanuta flaki i prześlę je wam w prezencie. – Uśmiechnąłem się do niego. – Miło mi się z tobą gawędziło, Bjorgulfie. Prześlij jarlowi pozdrowienia ode mnie, kiedy będziesz do niego słał wiadomość, i powiedz mu, że wyświadczyłem mu przysługę, o którą prosił.

Bjorgulf zmarszczył brwi.

- Jarl prosił ciebie o przysługę?
- Owszem. Prosił, żebym odkrył, kto go nienawidzi i kto porwał jego rodzinę. Odpowiedź na oba te pytania, Bjorgulfie, brzmi: Uhtred z Bebbanburga. Możesz mu to powiedzieć. A teraz jedź już, cuchniesz jak kozi bobek skąpany w kocich szczynach.

Tym sposobem wjechaliśmy do Gleawecestre, wielka, północna brama została

rozwarta na oścież, barykady wewnątrz miasta usunięte, a mieszkańcy wiwatowali z murów, gdy chorąży z moim sztandarem wjechali pod rzymski łuk. Kopyta naszych wierzchowców uderzały głośno o starożytne kamienie, a na ulicy za bramą czekał na nas Osferth, którego jeszcze nigdy nie widziałem tak szczęśliwego. Obok niego stał biskup Wulfheard, który kazał spalić mój dom, a na ich czele, na wierzchowcu obwieszonym srebrem siedziała moja złota pani – Aethelflaed z Mercji.

– Mówiłem, że cię odnajdę – powiedziałem radośnie.

I tak zrobiłem.

Zawsze, gdy odwiedzałem kuzyna Aethelreda, co czyniłem rzadko i niechętnie, przybywałem do jego dworu poza miastem, który Duńczycy zapewne zmienili w kupę popiołu. Nieczęsto zajeżdżałem do miasta, które robiło nawet większe wrażenie niż Ceaster. Pałac był strzelistą budowlą wzniesioną z cienkiej rzymskiej cegły obłożonej marmurowymi płytami, chociaż niemal wszystkie zostały wykorzystane do produkcji wapna i pozostało po nich tylko kilka zardzewiałych żelaznych wsporników niegdyś przytrzymujących płyty. Ceglane mury były obwieszane skórami, na których ukazano różnych świętych, między innymi Świętego Oswalda ścinanego przez okrutnego dzikusa szczerzącego zakrwawione zęby, podczas gdy Oswald tępo się uśmiechał, jakby z radością czekał na śmierć. Paradoks polegał na tym, że dzikusiem był Mercjanin Penda, a jego ofiarą o tępych wyrazie twarzy Northumbryjczyk, który był wrogiem Mercji, ale wśród chrześcijan nie warto szukać sensu. Oswald jest czczony przez swoich wrogów, a mercyjskie wojska przebyły całą Brytanię, żeby odnaleźć jego szczątki.

Podłogę we dworze pokrywała jedna z tych intrygujących rzymskich posadzek – ukazywała wojowników pozdrawiających wodza stojącego w wozie ciągniętym przez dwa łabędzie i rybę. Może kiedyś życie wyglądało inaczej. Potężne kolumny podtrzymywały sklepiony sufit, na którym nadal widoczne były pozostałości tynku pokryte malowidłami, które ledwie można było dostrzec pomiędzy plamami wilgoci, na końcu sali zaś znajdowało się drewniane podium z ustawionym przez mojego kuzyna tronem przykrytym szkarłatną tkaniną. Drugi, niższy tron przeznaczony był

zapewne dla jego nowej żony, która za wszelką cenę chciała zostać królową. Kopniakiem zrzuciłem to siedzisko z podwyższenia, zasiadłem na szkarłatnym krześle i spojrzałem w dół na włodarzy miasta. Ci ludzie, zarówno duchowni, jak i świeccy, stali na podłodze pokrytej rzymską mozaiką i patrzyli na mnie potulnym wzrokiem.

– Jesteście głupcami – warknąłem. – Liżącymi dupę, zaszczanymi i zasmarkanymi głupcami.

Postanowiłem się zabawić.

W sali znajdowało się około czterdziestu Mercjan. Byli to ealdormani, księża i tanowie, ludzie, którzy mieli strzec Gleawecestre w czasie, kiedy Aethelred poszukiwał sławy w Anglii Wschodniej. Również Aethelflaed była obecna, ale moi wojownicy ją otoczyli, oddzielając od reszty zebranych. Nie była tu jedyną kobietą. Przy jednej z kolumn stała moja córka Stiorra, którą umieściłem na dworze Aethelreda. Pod wpływem widoku jej pociągłej, poważnej, pięknej twarzy nagle przypomniałem sobie jej matkę. Obok niej stała druga dziewczyna, równie wysoka jak Stiorra, tylko jasnowłosa. Wydała mi się znajoma, ale nie mogłem jej umiejscowić w pamięci. Rzuciłem jej długie, intensywne spojrzenie, bardziej z powodu jej niezaprzeczalnej urody, niż aby ożywić wspomnienia, nadal jednak nie byłem w stanie sobie przypomnieć jej imienia, odwróciłem się więc do zgromadzonych w sali.

– Kto z was dowodzi garnizonem miejskim? – zapytałem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W końcu wystąpił biskup Wulfheard, odchrząknął i powiedział:

– Ja.

– Ty?! – zawołałem zdumiony.

– Lord Aethelred mnie powierzył bezpieczeństwo miasta – odparł.

Wlepiłem w niego wzrok. Pozwoliłem, aby cisza się przedłużała.

– Jest tu kościół? – zapytałem w końcu.

– Oczywiście.

– Jutro zatem odprawię mszę – oświadczyłem. – I wygłoszę kazanie. Jak każdy inny potrafię rozdać czerstwy chleb i udzielać rad.

Zapadła cisza, rozległ się tylko dziewczęcy chichot. Aethelflaed gwałtownie się

odwróciła, żeby uciszyć wysoką, jasnowłosą, ładną dziewczynę stojącą koło mojej córki. Teraz ją rozpoznałem, bo zawsze była płochym i niepoważnym dziewczęciem. To była córka Aethelflaed Aelfwynn, o której nadal myślałem jak o dziecku. Ale ona już nie była małą dziewczynką. Mrugnąłem do niej, co tylko ponownie skłoniło ją do śmiechu.

– Dlaczegoż Aethelred miałby oddać dowództwo nad garnizonem biskupowi? – zapytałem, ponownie zwracając się do Wulfhearda. – Czy kiedykolwiek brałeś udział w bitwie? Wiem, że spaliłeś moje stodoły, ale to nie to samo co bitwa, ty cuchnący szcurzy bobku. Bitwa to mur tarcz. To woń oddechu przeciwnika, kiedy próbuje wypruć z ciebie toporem wnętrzości, to krew, gówno, okrzyki bólu i przerażenia. To deptanie po flakach przyjaciół zarżniętych przez wroga. To mężczyźni zaciskający szczęki tak mocno, że łamią zęby. Czy kiedykolwiek brałeś udział w bitwie? – Milczał, patrząc na mnie z niemym oburzeniem. – Odpowiedz na moje pytanie! – krzyknąłem.

– Nie – przyznał.

– A zatem nie nadajesz się na dowódcę garnizonu – powiedziałem.

– Lord Aethelred... – zaczął biskup.

– Szcza w portki w Anglii Wschodniej – przerwałem mu. – Ciekaw jestem, jak uda mu się wrócić do domu. Oddał ci dowództwo tylko dlatego, że jesteś płaszcącym się, schlebiającym mu dupkiem, któremu zaufał, tak samo jak zaufał Haestenowi. To Haesten zapewniał cię, że wziął do niewoli rodzinę Kanuta, prawda? – Kilku mężczyzn niewyraźnie potwierdziło moje słowa. Biskup milczał. – Haesten jest zdradziecką glistą, a ty dałeś się mu oszukać, bo twoi pustogłowi księża przekonali cię, że wasz bóg jest po waszej stronie. Cóż, teraz jest. Przysłał mnie, przywiozłem żonę i dzieci Kanuta. Ale jestem też wściekły. – Zamilkłem, wypowiedziawszy te cztery słowa, zszedłem z podium i ruszyłem w stronę biskupa. – Jestem wściekły – powtórzyłem – bo spaliłeś moje zabudowania. Podburzyłeś motłoch przeciwko mnie. Orzekłeś, że każdy, kto mnie zabije, zyska łaskę bożą. Przypominasz to sobie, ty zjełczały szcurzy bobku? – Wulfheard milczał. – Powiedziałeś, że jestem wstrętny bogu. Pamiętasz? – Wyciągnąłem Oddech Węża z pochwy. Miecz wydał zaskakująco

donośny zgrzytliwy odgłos, kiedy jego długa klinga tarła o wnętrze pochwy, biskup cicho krzyknął z przerażenia i cofnął się o krok w stronę czterech księży, którzy najwidoczniej należeli do jego zwolenników. Ja jednak mu nie groziłem, odwróciłem broń i podałem mu rękę. – Proszę, ty kurduplu, zyskaj bożą łaskę, zabijając pogańskiego potępieńca. – Gapił się na mnie zdumionym wzrokiem. – Zabij mnie, ty bezmózga glisto.

– Ja... – zaczął, a później zaciął się i zrobił kolejny krok w tył.

Ruszyłem za nim. Jeden z księży – młody mężczyzna – chciał mnie zatrzymać.

– Tylko mnie dotknij – ostrzegłem go. – A wypruję ci flaki na podłogę. Jestem księżobójcą, pamiętasz? Jestem bożym wyrzutkiem. Potępieńcem. Człowiekiem, którego nienawidzicie. Zgładziłem opata tak, jak inni zabijają muchę. Mam na imię Uhtred. – Ponownie zwróciłem się do Wulfhearda i podałem mu miecz. – A więc, stetryczały szczurze, masz jaja, żeby mnie zabić? – Pokręcił głową w milczeniu. – Zabiłem opata Wihtreda, a ty mnie za to przekląłeś – przypomniałem mu. – Dlaczego więc mnie nie zabijesz?

Czekałem, patrząc na przerażoną twarz biskupa, i wtedy przypomniałem sobie dziwną reakcję bliźniaków na wejście ojca Wissiana do głównej komnaty w Ceasterze. Zwróciłem się do Aethelflaed.

– Mówiłaś, że biskup Wihtred pochodził z Northumbrii?

– To prawda.

– I nagle pojawił się, żeby głosić kazania o Świętym Oswaldzie? – zapytałem.

– Święty Oswald był Northumbryjczykiem – zauważył biskup, jakby to miało mnie udobruchać.

– Wiem, kim był – odwarknąłem. – A żaden z was nie wpadł na to, że to Kanut przekonał opata Wihtreda, żeby udał się na południe? Kanut rządzi Northumbrią, chciał, by Aethelred ze swoimi wojskami utknął w Anglii Wschodniej, dlatego wysłał go, żeby rozpowszechniał obietnice na temat czyniących cuda relikwii Świętego Oswalda. Wihtred był jego człowiekiem! Dzieci Kanuta nazywały go wujem. – Nie byłem pewien, czy we wszystkim mam rację, ale wydawało mi się to bardzo prawdopodobne. Kanut był przebiegły. – Jesteście głupcami, wszyscy! – Ponownie

podałem Wulfheardowi miecz. – Zabij mnie, ty wypierdku glisty – powiedziałem, ale on tylko pokręcił głową. – W takim razie zapłacisz mi za szkody, które wyrządziłeś w Fagranfordzie. Zapłacisz mi w złocie i srebrze, a ja odbuduję na twój koszt moje dwory, stodoły i obory. Zapłacisz za wszystko, prawda?

Przytaknął. Miał zresztą niewielki wybór.

– To dobrze! – zawołałem radośnie. Schowałem Oddech Węża do pochwy i wszedłem na podium. – Aethelflaed, moja pani – powiedziałem dwornie.

– Uhtredzie, mój panie – odparła równie dwornie.

– Kto powinien przejąć dowodzenie?

Zawahała się, patrząc na Mercjan.

– Merewalh będzie się nadawał – powiedziała.

– A ty? Czemu ty nie przejmiesz dowodzenia? – zapytałem.

– Bo pojedę z tobą – odparła stanowczo.

Mężczyźni w sali poruszyli się, słysząc te słowa, ale żaden nic nie powiedział. Początkowo chciałem się przeciwstawić, uznałem jednak, że nie będę marnował słów.

– Merewalhu, obejmiesz dowodzenie, możesz zatrzymać dziesięciu swoich wojowników, reszta pojedzie ze mną. Poślę po ciebie, gdy będę wiedział, że miasto jest bezpieczne, nie chciałbym bowiem, żeby ominęła cię bitwa. Walka będzie zażarta. Biskupie! Masz ochotę bić się z poganami?

Wulfheard tylko popatrzył na mnie w milczeniu. Zapewne modlił się do ukrzyżowanego, żeby zesłał na mnie grom z jasnego nieba, ale jego bóg go nie posłuchał.

– Pozwól więc, że ci powiem, co się wydarzy – rzekłem, schodząc z podwyższenia. – Jarl Kanut przywiódł do Mercji ponad cztery tysiące wojowników. Niszczy kraj, pali i zabija. Aethelred – celowo nie nazywałem go lordem – musi wrócić, żeby go powstrzymać. A ilu ludzi ma Aethelred?

– Tysiąc pięciuset wojowników – wymamrotał ktoś.

– Jeśli nie wróci, Kanut ruszy za nim do Anglii Wschodniej – ciągnąłem. – Może już udał się w pościg. Ma nadzieję zniszczyć jego armię, zanim Sasi zachodni przybędą na północ. Nasze zadanie polega zatem na odwróceniu uwagi Kanuta od

Aethelreda i zajęciu go do czasu, aż Sasi zachodni zbiorą wojska i ruszą, żeby do niego dołączyć. Ilu ludzi Edward jest w stanie zebrać? – zapytałem Osfertha.

– Od trzech do czterech tysięcy – odparł.

– To dobrze! – Uśmiechnąłem się. – Będziemy mieli przewagę liczebną nad Kanutem, wypatroszymy go, a jego flakami nakarmimy psy.

Ealdorman Deogol, tępak mający ziemie na północ od Gleawecestre, zmarszczył brwi i zapytał:

– Pójdiesz na północ?

– Zgadza się.

– I zabierzesz niemal wszystkich wyszkolonych wojowników – powiedział oskarżycielsko.

– Zgadza się.

– Ale Duńczycy stoją u bram miasta – stwierdził płaczącym tonem.

– Wszedłem do tego miasta i mogę je opuścić.

– A kiedy zobaczą, że wszyscy wojownicy opuścili miasto – ciągnął podniesionym głosem – co ich powstrzyma przed atakiem?

– Och, oni jutro stąd odejdą – odparłem. – Nie powiedziałem wam tego? Odejdą i spalą swoje statki.

– Odejdą? – zapytał z niedowierzaniem Deogol.

– Tak jest – odparłem.

Miałem nadzieję, że się nie mylę.

– Byłeś surowy dla biskupa Wulfhearda – powiedziała do mnie w nocy Aethelflaed. Leżeliśmy w łóżku. Chyba należało do jej męża, ale nie dbałem o to. – Byłeś dla niego bardzo surowy – powtórzyła.

– Niewystarczająco.

– Jest dobrym człowiekiem.

– Jest dupkiem – skwitowałem, a ona westchnęła. – Aelfwynn wyrosła na urodziwą pannę – zauważyłem.

- Ma siano w głowie – powiedziała szorstko jej matka.
- Ale ta główka jest śliczna.
- Ona doskonale o tym wie i zachowuje się głupio, powinnam była urodzić synów.
- Zawsze ją lubiłem.
- Lubisz wszystkie ładne kobiety – odparła z przyganą.
- To prawda, ale tylko ciebie Kocham.
- A co z Sigunn i jeszcze kilkoma innymi?
- Tylko kilkoma?

Uszczypnęła mnie za to pytanie.

- Frigg jest tak piękna, że brakuje słów.

Aethelflaed przez chwilę myślała nad tym, co powiedziałem, po czym niechętnie przytaknęła.

- To prawda. Myślisz, że Kanut po nią przyjedzie?
- Przyjedzie po mnie.
- Jaki ty jesteś skromny.
- Zraniłem jego dumę. Przyjedzie.
- Mężczyźni i ta wasza duma.
- Chciałabyś, żebym był skromny?
- To tak, jakbym miała nadzieję, że księżyc się odwróci. – Pochyliła głowę i pocałowała mnie w policzek. – Osferth się zakochał. To dość wzruszające.
- W Ingulfrid?
- Chciałabym ją poznać.
- Jest mądra – powiedziałem. – Bardzo mądra.
- To tak jak Osferth. On zasługuje na kogoś mądrego.
- Wyślę go ponownie do twojego brata – powiedziałem.

Osferth wrócił na północ po dostarczeniu wiadomości Edwardowi, bo król kazał mu jechać do Gleawecestre z rozkazem, aby Aethelflaed wróciła do Wessexu. Jak można się było spodziewać, ona nie spełniła tego żądania. Osferth przybył do miasta zaledwie kilka godzin przed dopłynięciem Duńczyków do wybrzeży na południe od

warowni. Teraz musiał znów wyruszyć do Wessexu, żeby skłonić Sasów zachodnich do większego pośpiechu.

– Czy twój brat zbiera wojska? – zapytałem.

– Tak mówi Osferth.

– Ale czy poprowadzi je na północ? – zastanawiałem się na głos.

– Musi – odparła posepnie.

– Powiem Osferthowi, żeby kopnął Edwarda w dupę – powiedziałem.

– Osferth tego nie zrobi, ucieszy się, że ma wrócić do Wessexu, dama jego serca została w Wintanceasterze.

– A ja swoją zostawiłem w Gleawecestre.

– Wiedziałaś, że wrócisz. – Przysunęła się i drobną dłonią zaczęła gładzić mnie po piersi.

– Rozwazałem przyłączenie się do Kanuta.

– Nieprawda.

– Chciał, żebym został jego sojusznikiem, tymczasem ja będę musiał go zabić. – Pomyślałem o Lodowym Żądle, słynnych umiejętnościach Kanuta i poczułem gęsią skórkę na plecach.

– Będziesz musiał.

– I to zrobię. – Zastanawiałem się, czy z wiekiem Kanut stał się powolniejszy. Czy ja stałem się powolniejszy.

– Co zrobisz z chłopcem?

– Synem Ingulfrid? Odsprzedam go jego ojcu, kiedy załatwię Kanuta.

– Osferth mówił, że prawie zdobyłeś Bebbanburg.

– „Prawie” to za mało.

– Nie. Chyba nie. Co byś zrobił, gdyby ci się udało? Zostałbyś tam?

– I nigdy już się stamtąd nie ruszył.

– A ja?

– Posłałbym po ciebie.

– Moje miejsce jest tutaj. Jestem teraz Mercjanką.

– Nie będzie Mercji, jeśli nie pokonamy Kanuta.

Przez dłuższą chwilę leżała w milczeniu.

– A jeśli to on wygra? – zapytała.

– Wówczas z Północy przybędzie tysiąc łodzi i do niego dołączy, przybędą ludzie z Fryzji, a każdy Norweg, który pragnie ziemi, chwyci za miecz i przekroczy Tamizę.

– I Wessex przestanie istnieć – powiedziała.

– I nie będzie Wessexu ani Anglii.

Jakże dziwnie brzmiała ta nazwa. To było marzenie jej ojca. Chciał utworzyć kraj o nazwie Anglia. Anglia. Zasnąłem.

CZEŚĆ CZWARTA
LODOWA FURIA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Duńczycy postanowili nie opuszczać Gleawecestre.

Nie była to decyzja Bjorgulfa, przynajmniej tak mi się zdawało. Musiał wysłać posłańca na wschód z prośbą o rozkazy lub radę, bo nazajutrz rano ujrzeliśmy delegację Duńczyków zmierzającą w stronę murów miejskich. Przybywali konno, ich wierzchowce wyszukiwały drogę pomiędzy zniszczonymi domostwami. Delegacja składała się z sześciu mężczyzn, na których czele jechał chorąży z pokrytą listowiem gałązką na znak, że przyjeżdżają, aby prowadzić negocjacje. Wśród wysłanników znalazł się Bjorgulf, który jednak trzymał się na uboczu, pozostawiając prowadzenie rozmów wysokiemu mężczyźnie o krzaczastych brwiach i długiej rudej brodzie splecionej w warkocz, zawiązanej i ozdobionej niewielkimi srebrnymi pierścieniami. Mąż ów miał kolczugę i miecz, ale przyjechał bez tarczy i hełmu. Na jego ramionach połyskiwały bransolety zdobyte w walce, a na szyi miał ciężki złoty łańcuch. Gestem nakazał towarzyszom zatrzymać się około dwudziestu kroków od fosy i sam ruszył naprzód, dojechał do rowu, zatrzymał konia i spojrzał w górę na mury.

– Czy to ty jesteś lord Uhtred? – zapytał.

– Zgadza się.

– Nazywam się Geirmund Eldgrimson – przedstawił się.

– Słyszałem to imię – odparłem, i była to prawda. Należał do dowódców Kanuta, był znany ze swej nieustraszonej i okrucieństwa. Wiedziałem, że ma dobra w północnej Northumbrii, zyskał sławę dzięki walce przeciwko Szkotom, którzy od zawsze najeżdżali południe, żeby rabować, gwałcić i porywać.

– Jarl Kanut przesyła ci pozdrowienia – powiedział Geirmund.

– Przekaż mu również pozdrowienia ode mnie – odrzekłem z grzeczności.

– Słyszał, że nie żyjesz. – Geirmund pogłaskał grzywę swojego konia dłonią

w rękawicy.

– Też o tym słyszałem.

– To była dla niego smutna wiadomość.

– Czyżby? – zdziwiłem się.

Duńczyk wyszczerzył zęby, co chyba miało oznaczać, że się uśmiecha.

– Żałował, że stracił okazję do zabicia cię własną ręką – wyjaśnił łagodnym tonem, nie chcąc doprowadzić do wymiany obelg. Przynajmniej chwilowo.

– A zatem będzie równie zadowolony jak ja z tego, że żyję – odparłem równie uprzejmie.

Geirmund przytaknął.

– Jarl jednak nie widzi konieczności podejmowania z tobą walki i przesyła ci pewną propozycję.

– Której wysłucham z największym zainteresowaniem.

Geirmund przerwał i rozejrzał się dokoła. Badał mury, oglądał fosę i palisadę oraz oceniał liczbę włóczyń jeżdżących się ponad rzymskimi obwarowaniami. Pozwoliłem mu wszystko dokładnie obejrzeć, bo chciałem, aby przekonał się, jak potężne są te mury. Po chwili znów zwrócił wzrok na mnie.

– Oferta jarla Kanuta brzmi następująco: jeżeli zwrócisz mu żonę i dzieci, on wycofa się na swoje ziemie.

– Hojna propozycja – odparłem.

– Jarl Kanut jest wielkodusznym człowiekiem.

– Nie ja tu dowodzę, ale naradzę się z włodarzami miasta i za godzinę przyniosę ci odpowiedź.

– Radzę ci przyjąć tę ofertę, jarl Kanut jest wielkoduszny, ale brakuje mu cierpliwości.

– Potrzebuję godziny – odrzekłem i się oddaliłem.

To było intrygujące. Czy Kanut rzeczywiście złożył taką propozycję? Nawet jeśli nie zamierzał dotrzymać obietnicy? Gdybym oddał mu Frigg i bliźniaki, stracilibyśmy tę niewielką przewagę, którą nad nim mieliśmy, i w rezultacie jego okrucieństwo tylko by się wzmogło. A zatem oferta była fałszywa, tego byłem pewien, czy jednak

w ogóle pochodziła od Kanuta? Moje podejrzenie wzbudziło to, że Kanut i jego główne siły najpewniej znajdowały się na drugim krańcu Mercji i czekały na okazję, żeby rozgromić słabsze wojska Aethelreda powracające z Anglii Wschodniej. A jeśli miałem rację, posłaniec nie był w stanie do niego dotrzeć i wrócić do Gleawecestre w ciągu jednego dnia. Podejrzałem, że ta oferta była wymysłem Geirmunda.

Biskup Wulfheard oczywiście uważał inaczej.

– Jeżeli Kanut wróci na swoje ziemie, odniesiemy zwycięstwo bez rozlewu krwi – stwierdził.

– Zwycięstwo? – zapytałem z powątpiewaniem.

– Poganie opuszczą nasze ziemie! – wyjaśnił mi biskup.

– Ale pozostawią je spustoszone.

– Będą musieli oczywiście zapłacić odszkodowanie – przyznał mi rację.

– Jesteś zasmarkanym głupcem – powiedziałem.

Zebraliśmy się ponownie w wielkiej sali, gdzie przedstawiłem zgromadzeniu tanów i duchownych ofertę Duńczyków. Powiedziałem im też, że to podstęp.

– Kanut znajduje się wiele mil stąd – wyjaśniłem. – Jest gdzieś na granicy z Anglią Wschodnią, więc Geirmund nie zdążyłby wysłać do niego posłańca i otrzymać odpowiedzi. Musiał zatem to wszystko wymyślić. Próbuje nas oszukać, żeby odzyskać rodzinę Kanuta, a nam trzeba zmusić go do opuszczenia Gleawecestre.

– Dlaczego? – zapytał pewien mężczyzna. – Chodzi mi o to, że dopóki są tu, dopóty znamy ich położenie, a miasto jest przecież silnie bronione.

– Ponieważ Kanut zgromadził tu swoją flotę. Jeśli sprawy obrócą się na jego niekorzyść, a mam zamiar sprawić, żeby wpadł w poważne kłopoty, będzie wycofywał się w kierunku swoich łodzi. Nie będzie chciał stracić sześćdziesięciu ośmiu statków. Ale jeżeli spalimy jego flotę, ruszy na północ, a tego właśnie chcemy.

– Dlaczego? – ponownie zapytał mężczyzna. Był to tan Aethelreda, co oznaczało, że nie darzy mnie sympatią.

Wszyscy Sasi w Mercji dzielili się na tych, którzy wspierali Aethelreda, i na tych, którzy stali po stronie jego pozostającej w oddaleniu żony Aethelflaed.

– Ponieważ dokładnie teraz jego siły znajdują się między wojskami Aethelreda

i króla Edwarda – odparłem gniewnie. – Nasze armie nie mogą się więc połączyć, dlatego muszę nakłonić go do zejścia im z drogi.

– Lord Uhtred wie, co robi – połajęła łagodnie mojego oponenta Aethelflaed.

– Powiedziałeś im, że zabijesz dzieci, jeśli stąd nie odjadą – odezwał się jeden z księży Wulfhearda.

– Próżna pogróżka.

– Próżna? – zapytał ze złością biskup.

– Wiem, że cię to zdziwi, ale jestem znany z tego, że nie zabijam kobiet i dzieci. Może to dlatego, że jestem poganinem, a nie chrześcijaninem. – Aethelflaed westchnęła. – Musimy jednak pozbyć się Duńczyków z Gleawecestre – ciągnąłem. – A jeśli nie poświęcimy któregoś z bliźniaków, Geirmund nie odejdzie.

Zrozumieli. Mogli mnie nie lubić, ale moja argumentacja była bezsporna.

– A zatem dziewczynka – oświadczył biskup.

– Dziewczynka? – zapytałem.

– Jest mniej warta. – Nic nie odpowiedziałem. – To jest tylko dziewczynka – próbowałem wytłumaczyć.

– Więc po prostu ją zabijemy? – zapytałem.

– Czy nie to sugerowałeś?

– Zrobisz to? – zapytałem.

Biskup otworzył usta, ale stwierdziwszy, że nie ma nic do powiedzenia, ponownie je zamknął.

– Nie zabijamy małych dzieci – powiedziałem. – Czekamy, aż dorosną, i dopiero wówczas je zabijamy. Jak więc przekonać Geirmunda do odejścia? – Nikt się nie odezwał. – Aethelflaed patrzyła na mnie nieufnie. – No więc? – zapytałem.

– Zapłaćmy Duńczykom za odejście – zasugerował niepewnie ealdorman Deogol. – Nic nie odpowiedziałem, a on rozejrzał się po sali. – Mamy skarb lorda Aethelreda, możemy więc ich przekupić – dodał.

– Zapłać Duńczykom za odejście, a oni nazajutrz wrócą, żeby zażądać nowego okupu – odparłem.

– A zatem co zrobimy? – zapytał płaczliwym tonem Deogol.

– Zabijemy dziewczynkę – odrzekłem. – Biskupie – spojrzałem na Wulfhearda – przydad się na coś. Porozmawiaj z księżmi i dowiedz się, czy jakaś dziewczynka w mieście ostatnio nie zmarła. Musi mieć sześć albo siedem lat. Jeśli taką znajdziesz, każ ją wykopać. Powiedz jej rodzicom, że zostanie świętą, aniołem, albo wymyśl coś, co ich pocieszy. Następnie przynieś ciało na mury, ale nie pozwól, żeby Duńczycy je zobaczyli. Merewalhu?

– Panie?

– Znajdź wieprzka. Przyrowadź go na mury, ale trzymaj poza zasięgiem wzroku Duńczyków. Finanie? Sprowadź na mury Frigg i bliźnięta.

– Wieprzka – rzucił pogardliwie biskup.

Spojrzałem na niego przeciągle i podniosłem dłoń, żeby zatrzymać Merewalha, który właśnie miał opuścić salę.

– Może nie potrzebujemy wieprzka – powiedziałem powoli, jakby z namysłem. – Po co marnować świniaka, skoro mamy pod ręką biskupa?

Wulfheard uciekł.

A Merewalh przyprowadził prosię.

Geirmund czekał pod bramą, ale dołączyło do niego niemal dwudziestu ludzi. Ich konie stały przywiązane do palików w odległości stu kroków od fosy, Duńczycy zaś podeszli znacznie bliżej, wszyscy byli w bardzo radosnych nastrojach. Ich służący donosili im ale, chleb i mięswo, towarzyszyło im też kilku chłopców, zapewne synów wojowników. Dołączyli do Geirmunda, żeby zobaczyć jego konfrontację z Uhtredem z Bebbanburga, którego sława nie obejmowała zabijania kobiet i dzieci. Geirmund żuł udko gęsi, kiedy się pojawiłem, ale na mój widok rzucił je i podszedł do murów.

– Podjąłeś decyzję? – zapytał.

– Zmusiłeś mnie do tego – odparłem.

Uśmiechnął się. Nie należał do ludzi zwykłych się uśmiechać, więc wyglądało to bardziej, jakby szczyrzył zęby, ale przynajmniej próbował.

– Jak ci mówiłem, jarl jest litościwy – powiedział.

– I opuści saską Mercję?

– Przecież to obiecał!

– A zapłaci odszkodowanie za zniszczenia, które wyrządził na ziemiach lorda Aethelreda?

Geirmund zawahał się, po czym odrzekł:

– Z pewnością wypłaci odszkodowanie. Jarl to rozsądny człowiek.

A ty jesteś kłamliwym draniem – pomyślałem.

– Jarl więc zapłaci nam w złocie i wróci do siebie?

– Tego pragnie, ale tylko jeśli oddasz mu jego rodzinę w dobrym zdrowiu.

– Nigdy nie zrobiłem im żadnej krzywdy – zapewniłem go. – Przysięgam na płwocinę Thora. – Splunąłem za mury, żeby pokazać szczerą moją przysięgi.

– Miło mi to słyszeć – odparł Geirmund i też splunął, żeby pokazać, że przyjmuje moje zapewnienie. – Jarl również będzie zadowolony. – Ponownie spróbował się uśmiechnąć, bo Frigg i dzieci właśnie pojawiły się na obwarowaniach. Przeprowadził je Finan i pięciu innych wojowników. Frigg wyglądała na przestraszoną, ale przy tym niewiarygodnie piękną. Miała na sobie lnianą jasnożółtą szatę, którą pożyczyła jej Aethelflaed. Dzieci trzymały się skraju jej sukni. Dowódca Duńczyków skłonił się przed nią.

– Pani – powiedział dwornie, a potem spojrzał na mnie. – Czy nie byłoby lepiej, lordzie Uhtredzie, pozwolić pani i jej dzieciom wyjść z miasta przez bramę?

– Przez bramę? – zapytałem, udając, że nie rozumiem.

– Nie oczekujesz chyba, że przepłyną tę ohydłą fosę?

– Nie – odparłem. – Rzucę wam ich.

– Ty... – zaczął, po czym zamilkł, bo chwyciłem dziewczynkę. Trzymałem Sigril przed sobą, dziecko krzyknęło ze strachu, a jej matka chciała rzucić się w jej stronę, ale została powstrzymana przez Finana. Lewym ramieniem otoczyłem gardło córki Kanuta, przycisnąłem ją do siebie, a prawą wyjąłem nóż zza pasa.

– Rzucę ci ją w kawałkach – zawołałem do Geirmunda i złapałem za długie czarne włosy Sigril. – Trzymaj ją – rozkazałem Osferthowi, obciąłem jej włosy i rzuciłem za mury na wiatr.

Dziewczynka wspaniale krzyczała, gdy przycisnąłem ją do kamieni, skąd nie była

widoczna dla Geirmunda. Zasłoniłem jej usta dłonią i kiwnąłem do człowieka ukrytego za gzymsem, a on zagłębił nóż w szyi wieprzka. Prosię zakwiczało, a po chwili trysnęła krew. Ludzie Kanuta zobaczyli tylko krew i usłyszeli pełne przerażenia kwilenie, następnie ujrzeni Rolla rzucającego topór.

Martwe dziecko było żółtawe, zeszywniałe i cuchnące. Rollo odciął mu nogę i rozniósł się smród jak ze smoczej jamy Kąsającego w Mroku. Rollo pochylił się, umazał nogę we krwi prosiaka i rzucił ją przez mur. Upadła do fosy. Wojownik ponownie się zamachnął toporem, tym razem odciął rękę.

– O Najświętsza Panienko – powiedział cicho Osferth.

Frigg się szamotała, otwierała i zamykała usta w przerażeniu, miała szeroko rozwarte oczy. Jej szaty obryzgała krew, Duńczykom musiało się wydawać, że ogląda śmierć własnej córki zabijanej na jej oczach. W rzeczywistości jednak było to przerażenie wywołane widokiem cięcia na kawałki na wpół rozłożonych zwłok. Jej syn zaczął krzyczeć. Nadal trzymałem dłoń na ustach Sigril i mała suka ugryzła mnie do krwi.

– Następna będzie głowa – krzyknąłem do Geirmunda. – Potem zabijemy chłopca, a na koniec zabawimy się z ich matką.

– Przestańcie! – zawołał Duńczyk.

– Dlaczego? Dobrze się bawię! – Wolną ręką rzuciłem przez mur stopę martwego dziecka. Rollo podniósł topór umazany w krwi wieprzka. – Odrąb jej głowę! – rozkazałem głośno.

– Czego chcesz?! – zawołał Geirmund.

Podniosłem dłoń, żeby zatrzymać Rolla.

– Chcę, żebyś przestał mi opowiadać kłamstwa – odparłem i dałem znać Osferthowi, który ukląkł obok mnie i zasłonił dłonią usta Sigril. Dziewczynka krzyknęła, zanim zdołał położyć rękę na jej buzi. Wydawało się jednak, że Duńczycy nie zwrócili na to uwagi. Widzieli tylko zgrozę Frigg i przerażenie jej syna. Stałem w krwi prosięcia, patrząc na Geirmunda. – Nie przywiozłeś mi obietnicy od Kanuta – powiedziałem. – A on nie przysłał wiadomości! Jest zbyt daleko! – Duńczyk nic nie odpowiedział, ale jego twarz zdradzała, że odgadłem prawdę. – Teraz jednak pošlesz

mu wiadomość! – krzyknąłem, żeby wszyscy jego towarzysze mnie usłyszeli. – Powiedz jarlowi Kanutowi, że jego córka nie żyje, a syn umrze, jeżeli nie opuścicie tego miejsca w ciągu godziny. Odejdziecie! Wszyscy! Natychmiast! Pojedziecie daleko w góry. Opuścicie to miejsce. Jeżeli za godzinę zobaczę choć jednego Duńczyka w okolicy Gleawecestre, nakarmię chłopakiem swoje wilczarze i oddam jego matkę swoim ludziom. – Złapałem Frigg za ramię i pociągnąłem ją w stronę gzymsu, żeby Geirmund mógł zobaczyć jej poplamioną krwią suknię. – Jeśli nie odejdziecie stąd w ciągu godziny – powiedziałem – żona jarla Kanuta zostanie naszą dziwką. Zrozumiałeś? Pojedziecie na wschód, w góry. – Wskazałem mu kierunek. – Ruszaj do jarla Kanuta i powiedz mu, że odzyska żonę i syna całych i zdrowych, jeśli wróci do Northumbrii. Powiedz mu to. A teraz jazda. W przeciwnym razie zobaczycie, jak psy pożerają ciało małego Kanuta Kanutsona!

Uwierzili mi. Odjechali.

Tym sposobem po godzinie, gdy blade, spowite chmurami słońce osiągnęło zenit, zobaczyliśmy Duńczyków opuszczających Gleawecestre. Jechali na wschód, w kierunku wzgórz Coddswold, za jeźdźcami podążały tabuny przemieszczających się pieszo kobiet, dzieci i służących. Nogę martwego dziecka zniosło na brzeg fosy, gdzie dwa kruki szykowały się do uczy.

– Pochowaj je – powiedziałem do księdza. – I przyślij do mnie jego rodziców.

– Do ciebie?

– Chcę im to wynagrodzić w złocie – wyjaśniłem. – No idź już – ponagliłem go i spojrzałem na syna obserwującego wycofywanie się Duńczyków.

– Sztuka wojenna polega na zmuszeniu przeciwnika do postępowania zgodnie z twoją wolą.

– Tak, ojcze – odrzekł posłusznie.

Martwił się gorączkową, bezgłośną rozpaczą Frigg, choć przypuszczałem, że Aethelflaed udało się już biedaczkę uspokoić. Zniszczyłem fryzurę małej Sigril, ale włosy odrosną, dałem też jej plaster miodu na pocieszenie.

Za cenę jednego prosiaka i włosów dziewczynki udało nam się pozbyć Duńczyków z Gleawecestre. Gdy tylko opuścili okolicę, wziąłem setkę ludzi do

przystani, gdzie przycumowali łodzie. Niektóre wyciągnęli na ląd, ale większość została przywiązana do brzegu Saefern. Spaliliśmy wszystkie z wyjątkiem jednej przeznaczonej dla niewielkiej załogi. Kolejno łodzie zajmowały się ogniem, płomienie sięgnęły konopnych lin, a wyniosłe maszty łamały się wśród iskier i dymu. Wszystko to na oczach Duńczyków. Kazałem wprawdzie Geirmundowi wycofać się aż na wyżynę, ale doskonale wiedziałem, że zostawi ludzi, aby nas obserwowali, a oni ujrzeli, jak obracamy ich flotę w popiół, który sprawił, że rzeka stała się sina, gdy woda unosiła go ku morzu. Paliliśmy łódź po łodzi, dzioby w kształcie smoczycich głów buchały ogniem, belki się łamały, a kadłuby syczały, gdy statki pogrążały się w wodzie. Zachowałem jedną łódź i wziąłem na bok Osfertha.

– To jest twój statek.

– Mój? – zdziwił się.

– Weźmiesz dwunastu ludzi i popłyniesz w dół rzeki – powiedziałem. – A później w górę Afen. Weź Raedwulfa. – Był jednym z moich starszych wojowników, powolnym i statecznym, pochodził z Wiltunsciru, znał więc tutejsze rzeki. – Afen poprowadzi cię w głąb Wessexu. Chcę, żebyś szybko to załatwił – ciągnąłem. – Dlatego właśnie ocalałem jedną łódź, podróż wodą jest szybsza niż lądem.

– Chcesz, żebym pojechał do króla Edwarda – domyślił się Osferth.

– Chcę, żebyś założył moje najcięższe buty i z całej siły kopnął go w dupę! Powiedz mu, żeby poprowadził wojska na tereny na północ od Tamizy, ale ma wypatrywać nadejścia Aethelreda ze wschodu. Najlepiej, żeby się spotkali. Później razem ruszą do Tameworthig. Nie potrafię ci powiedzieć, gdzie będziemy ani gdzie będzie Kanut, ale spróbuję zwabić go na północ, na jego ziemię.

– Tameworthig? – zdziwił się Osferth.

– Zacznę od Tameworthig, a później przebiję się na północ i wschód, a on do mnie przyjdzie. Nadejdzie szybko i będzie miał dwadzieścia–trzydzieści razy liczniejszą wojska, będę więc potrzebował Edwarda i Aethelreda.

Osferth zmarszczył brwi.

– Dlaczego więc nie zostaniemy w Gleawecestre, panie? – zapytał.

– Bo wystarczy, że Kanut zostawi tu pięciuset wojowników, żeby nas pilnowali,

i będzie mógł robić, co mu się żywnie podoba, a my będziemy tylko drapać się po tyłkach. Nie pozwolę mu usidlić się w burhu. Musi za mną podążać. Poprowadzę go do tańca, a ty musisz nakłonić Edwarda i Aethelreda, żeby do nas dołączyli.

– Rozumiem, panie – powiedział. – Popatrzył na płonące statki i ogromny słup dymu zaciemniający niebo nad rzeką. Dwa łabędzie przepłynęły, kierując się na południe, co uznałem za dobry omen. – Panie? – odezwał się Osferth.

– Tak?

– A chłopiec? – Osferth wydawał się zakłopotany.

– Syn Kanuta?

– Nie, syn Ingulfrid. Co z nim zrobisz?

– Co zrobię? Mam ochotę poderżnąć mu gardziółko, ale postanowiłem odsprzedać go jego ojcu.

– Obiecuj mi, że nie zrobisz mu krzywdy ani nie sprzedasz w niewolę.

– Obiecać tobie?

Popatrzył na mnie wyzywająco.

– To dla mnie ważne, panie. Czy kiedykolwiek wcześniej prosiłem cię o przysługę?

– Owszem, prosiłeś mnie, żebym wybawił cię od losu mnicha, co zrobiłem.

– W takim razie proszę cię o drugą przysługę. Sprzedaj mi tego chłopca.

Roześmiałem się.

– Nie stać cię.

– Spłacę cię, panie, nawet gdyby miało mi to zająć resztę życia. – Popatrzył na mnie z powagą. – Przysięgam, panie, na krew naszego Zbawiciela.

– Zapłacisz mi w złocie? – zapytałem.

– Nawet gdyby miało to zająć mi całe życie, panie, spłacę cię.

Udałem, że się namyślałem nad jego propozycją, po czym pokręciłem głową.

– Sprzedać mogę go tylko jego ojcu – odparłem. – Ale tobie go podaruję.

– Podarujesz mi go? – zapytał słabym głosem.

– Ty przyprowadzisz wojska Edwarda, a ja podaruję ci chłopca.

– Podarujesz? – upewnił się raz jeszcze.

– Przysięgam na młot Thora, że oddam ci tego chłopca, jeśli przyprowadzisz wojska Edwarda.

– Naprawdę, panie? – Wyglądał na uszczęśliwionego.

– A teraz zbieraj swój kościsty tyłek i jedź – powiedziałem. – Tak, naprawdę. Ale tylko pod warunkiem że sprowadzisz Aethelreda i Edwarda. Albo tylko Edwarda. A jeśli ich nie przyprowadzisz, chłopak i tak będzie twój – dodałem.

– Tak?

– Bo ja będę martwy. A teraz jedź już.

Łodzie płonęły w nocy. Geirmund widział na zachodzie niebo pokryte łuną i wiedział, że wszystko się zmieniło. Jego posłańcy ruszyli na wschód do Kanuta z wiadomością, że jego flota obróciła się w popiół, córka nie żyje, a Uhtred z Bebbanburga robi na zachodzie, co chce. To oznaczało, że zaraz zacznie się taniec śmierci.

Nazajutrz rano, kiedy dym pożogi nadal zaciemniał niebo, wyruszyliśmy na północ.

Dwustu sześćdziesięciu dziewięciu wojowników opuściło Gleawecestre.

I jedna wojowniczką. Aethelflaed uparła się, że będzie nam towarzyszyć, a kiedy ona się uprze, nawet bogowie Asgardu nie są w stanie zmienić jej decyzji. Próbowałem. Równie dobrze mógłbym próbować pierdnięciem zawrócić burzę.

Wzięliśmy ze sobą też Frigg razem z jej synem, wystrzyżoną córką i służącymi. Wzięliśmy też dwudziestu chłopków, którzy mieli doglądać zapasowych koni. Jednym z nich był Aethelstan, najstarszy syn Edwarda, choć nie jego dziedzic. Nalegałem, żeby został w mieście z rzymskimi murami pod opieką Merewalha i biskupa Wulfhearda, ale piętnaście mil od Gleawecestre zobaczyłem go galopującego na siwym koniu przez łąkę podczas ścigania się z innym chłopcem.

– Hej, ty! – wrzasnąłem, a on zawrócił ogiera i skierował go w moją stronę.

– Panie? – zapytał z niewinnym wyrazem twarzy.

– Rozkazałem ci pozostać w Gleawecestre – warknąłem.

– I tak zrobiłem, panie – odparł z szacunkiem. – Zawsze się ciebie słucham.

– Powinienem sprać cię na kwaśne jabłko, ty kłamczuchu.

– Nie powiedziałaś, jak długo mam tam zostać, panie – odrzekł z wyrzutem. – Poczekałem więc kilka minut i pojechałem za wami. Ale byłem posłuszny. Przecież zostałem.

– A co powie twój ojciec, jeśli coś ci się stanie? Odpowiadaj, gałganie!

Udał, że namyśla się nad odpowiedzią, po czym spojrzał na mnie swoim najbardziej niewinnym spojrzeniem.

– Najpewniej podziękuje ci, panie. Bękart to tylko kłopot.

Aethelflaed roześmiała się, ja też musiałem powstrzymać się od śmiechu.

– Jesteś cholernym kłopotem – odparłem. – A teraz zejź mi z oczu, zanim rozwalę ci łeb.

– Tak, panie – powiedział z szerokim uśmiechem. – I dziękuję, panie.

Zawrócił konia i ruszył w stronę swojego towarzysza.

Aethelflaed się uśmiechnęła.

– Ma charakter.

– Ten charakter doprowadzi go do zguby – odparłem. – Ale to zapewne nie ma znaczenia. Wszyscy jesteśmy skazani na zagładę.

– Naprawdę?

– Dwustu sześćdziesięciu dziewięciu wojowników i jedna kobieta, podczas gdy Kanut ma trzy–cztery tysiące ludzi. Jak ci się wydaje?

– Myślę, że nikt nie będzie żył wiecznie.

Z jakiegoś powodu w tej samej chwili pomyślałem o Iseult, królowej cieni urodzonej w ciemnościach i obdarzonej darem jasnowidzenia, jak sama twierdziła. Twierdziła też, że Alfred da mi ogromną władzę, że wrócę do swojego domu na północy, będę miał złotą kobietę i poprowadzę tak liczną i potężną armię, że ziemia będzie pod nią pękać. Dwustu sześćdziesięciu dziewięciu ludzi. Roześmiałem się.

– Śmiejesz się z tego, że zginę? – zapytała Aethelflaed.

– Z tego, że żadne z prorocत्व się nie sprawdziło.

– Jakich proroctw?

– Obiecano mi, że twój ojciec da mi ogromną władzę, że odzyskam Bebbanburg i poprowadzę armię, od której ziemia się zaczerni, a w bitwie zginie siedmiu królów. Wszystko to kłamstwa.

– Mój ojciec dał ci władzę.

– To prawda – przyznałem. – Ale mi ją odebrał. Tylko mi jej użyczył. Byłem psem, a on trzymał mnie na smyczy.

– Odzyskasz Bebbanburg – powiedziała.

– Próbowałem, ale poniosłem porażkę.

– Spróbujesz ponownie – odparła z przekonaniem.

– Jeśli przeżyję.

– Jeśli przeżyjesz – powtórzyła za mną. – A przeżyjesz.

– A siedmiu królów?

– Dowiemy się, kim są, kiedy zginą.

Ludzie, którzy opuścili mnie w Fagranfordzie, teraz wrócili. Od mojego wyjazdu służyli Aethelflaed, teraz jednak do mnie przyszli i ponownie złożyli przysięgę wierności. Byli zakłopotani. Sihtric wymamrotał przeprosiny, które przerwałem.

– Bałeś się? – powiedziałem.

– Bałem?

– Piekła.

– Biskup powiedział, że zostaniemy na wieki potępieni, my i nasze dzieci. A Ealhswith... – Urwał.

Ealhswith była dziwką, i to dobrą. Sihtric się w niej zakochał i wbrew moim radom wziął z nią ślub. Okazało się, że to on miał rację, a ja się myliłem, bo jego małżeństwo było szczęśliwe, żona jednak zmusiła go, żeby został chrześcijaninem, i jak się zdaje, stał się chrześcijaninem, który równie mocno obawia się swojej kobiety jak ogni piekielnych.

– A teraz? – zapytałem.

– Teraz, panie?

– Jesteś pewny, że nie zostaniesz potępiony? Wracasz pod moje dowództwo.

Uśmiechnął się do mnie lekko.

– Teraz to biskup się boi, panie.

– I słusznie. Duńczycy każą mu zjeść własne jaja, a później wywiną mu skórę na drugą stronę, i nie będą się spieszyli.

– Dał nam rozgrzeszenie – powiedział, zacinając się na tym długim słowie. – Zapewnił, że nie zginiemy, jeśli podążymy za tobą, panie.

Roześmiałem się, słysząc to, a potem klepnałem go po plecach.

– Cieszę się, że tu jesteś, Sihtricu. Jesteś mi potrzebny!

„Panie” to było jedyne słowo, które zdołał z siebie wydusić.

Potrzebowałem go. Potrzebowałem każdego wojownika. A najbardziej, żeby Edward z Wessexu się pospieszył. Kanut po zmianie planów, jeśli je zmieni, będzie przemieszczał się z szybkością błyskawicy. Jego konni jak burza przejadą przez Mercję. To miało być bezlitosne polowanie z udziałem tysięcy myśliwych, a ja miałem być zwierzyną.

Najpierw jednak musiałem go ściągnąć w odpowiednie miejsce, jechaliśmy więc na północ, ku duńskim ziemiom. Wiedziałem, że jesteśmy ścigani. Geirmund Eldgrimson wysłał zapewne ludzi, by nas śledzili. Myślałem nawet o tym, żeby zawrócić i stawić im czoło, ale uznałem, że jeśli nasz widok ich przestraszy, po prostu zejdą nam z drogi. Pozwoliłem im więc podążać za nami. Miną dwa–trzy dni, zanim wieści o naszym położeniu dotrą do Kanuta, a nie miałem zamiaru zatrzymywać się w jednym miejscu dłużej niż dzień. Poza tym chciałem, żeby Kanut mnie znalazł. Nie chodziło tylko o to, żeby mnie nie pojmał.

Weszliśmy do części Mercji należącej do Duńczyków i zaczęliśmy palić. Podpalaliśmy dwory, stodoły i chałupy. Puszczaliśmy z dymem każde osiedle zamieszkane przez Duńczyków. Całe niebo zasnuło się dymem. Sygnalizowaliśmy wrogowi swoje położenie, ale podłożywszy ogień, ruszaliśmy czym prędzej w drogę, żeby sprawić wrażenie, że jesteśmy wszędzie. Nikt nie stawiał oporu. Mężczyzn z wiosek powołano do wojsk Kanuta, w kraju zostali więc tylko starcy, młokosy i kobiety. Nie mordowałem, nawet inwentarza. Dawaliśmy ludziom chwilę, żeby

zdążyli opuścić domostwa, a później wykorzystywaliśmy ich paleniska do podłożenia ognia pod strzechy. Mieszkańcy pozostałych osiedli dostrzegali dym i uciekali przed naszym przybyciem. Przeszukiwaliśmy domy, licząc, że znajdziemy ślady pospiesznego wykopywania kryjówek. W ten sposób odkryliśmy dwa schowki – głęboki dół wypełniony ciężkimi srebrnymi misami i dzbanami, które pocięliśmy na kawałki. Pamiętam, że jedna z tych mis była wystarczająco duża, żeby pomieścić świński łeb, i ozdobiona motywem ukazującym bose tańczące dziewczęta. Trzymały girlandy, były gibkie, pełne gracji i uśmiechnięte, jakby tańczyły na leśnej polanie dla czystej radości.

– To musi być rzymskie – powiedziałem do Aethelflaed. – Nikt, kogo znam, nie potrafiłby wykonać czegoś takiego. – Przeczytałem słowa, zacinając się na obcych sylabach: *Moribus et forma conciliandus amor*. – Co to znaczy?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. *Amor* znaczy miłość, chyba. Księża by wiedzieli.

– Na szczęście ich nam nie brakuje – odpowiedziałem. – Kilku nam towarzyszyło, bo większość naszych ludzi była chrześcijanami i chciała, żeby duchowni z nami pojechali.

Aethelflaed przeciągnęła palcem wokół obrzeża miski.

– Jest piękna. Szkoda rozbijać ją na kawałki.

Mimo to pocięliśmy misę toporami. Dzieło antycznego rzemieślnika, elegancki i piękny przedmiot, zmieniliśmy w srebrną rąbankę, bo była znacznie bardziej przydatna niż misa z półnagimi tancerkami. Kawałki srebra można łatwo przewieźć i służą jako moneta. Z misy uzyskaliśmy co najmniej trzysta ułamków, które rozdzieliliśmy, po czym ruszyliśmy w drogę.

Zatrzymaliśmy się na noc w zagajnikach albo opuszczonych dworach, które nad ranem puszczaliśmy z dymem. Nigdy nie brakowało nam jedzenia. Żniwa się zakończyły, mieliśmy więc pod dostatkiem ziarna, warzyw oraz mięsa. Przez cały tydzień włóczyliśmy się po ziemiach Kanuta, zjadaliśmy jego zapasy i paliliśmy jego dwory. Największą przyjemność sprawiło mi zniszczenie jego wielkiej sali biesiadnej w Tameworthig.

Przejechaliśmy przez tereny wiejskie leżące na północ od tego miasta wewnątrz kraju Kanuta, a następnie ruszyliśmy na południe, do miejsca, gdzie spotykają się rzeki, a król Offa wzniósł wspaniały dwór na ufortyfikowanym wzgórzu Tameworthig. Włóczyńcy obsadzili palisadę, ale było ich niewielu i prawdopodobnie wszyscy byli starzy albo niesprawni z powodu odniesionych wcześniej ran, nie próbowali więc stawiać nam oporu. Kiedy nadchodziliśmy z północy, uciekli przez rzymski most na Tame i umknęli na południe.

Przeszukaliśmy wyniosły stary dwór w poszukiwaniu srebra lub czegoś jeszcze cenniejszego, ale nic nie znaleźliśmy. Zastawa była gliniana, rogi na ale pozbawione ozdób, a skarby – jeśli kiedykolwiek były tam przechowywane – zniknęły. Miasto wybudowane na północ od wzgórza, na którym stał wielki dwór, zamieszkiwali Sasi i to oni powiedzieli nam, że dwa dni wcześniej wywieziono stamtąd na wschód cztery wozy kosztowności. Dwór został ogołocony, pozostało tylko poroże i czaszki. Nawet magazyny żywności były niemal puste. Za srebro kupiliśmy od mieszkańców miasta chleb, wędzone mięso i solone ryby. Tę noc spędziliśmy we dworze Kanuta, wystawiłem jednak strażę na mury i jeszcze liczniejsze na rzymski most umożliwiającą podróż na południe.

Rano podpaliliśmy dwór. Czy rzeczywiście należał do króla Offy? Nie wiem. Wiem tylko, że poczerniał ze starości, a Offa zbudował w tym miejscu fort i zapewne wzniósł wewnątrz murów rezydencję. Może dwór został przebudowany po jego śmierci, ktokolwiek jednak go wybudował – ja go spaliłem. Płonął. Zajął się ogniem z dziką gwałtownością, wydawało się, że stare drewno wychodzi naprzeciw losowi. Cofnęliśmy się z podziwem, kiedy belki runęły pośród tryskających iskier, dymu i wybuchających płomieni. Pożar musiał być widoczny z odległości pięćdziesięciu mil. Nigdy jeszcze nie widziałem, by dwór palił się z taką intensywnością i tak szybko. Szczury uciekały, ptaki pod strzechą wpadły w popłoch, a żar zmusił nas do zejścia do miasta, gdzie uwiązaliśmy nasze konie.

Rzuciliśmy Duńczykom wyzwanie i następnego ranka, podczas gdy dwór nadal płonął, a chłodny, wilgotny wiatr unosił dym, rozstawiłem dwustu swoich ludzi na murach od strony rzeki. Część obwarowań spłonęła, a reszta w większości była nadpalona, jednak dla przybyszy nadjeżdżających od strony południowego brzegu

rzeki forteca nadal jawiła się jako niezdojta warownia. Forteca dymiła. Resztę ludzi zabrałem na most i tam czekaliśmy.

– Myślisz, że się pojawi? – zapytał mój syn.

– Myślę, że tak. Dziś albo jutro.

– Będziemy z nim walczyć tutaj?

– A ty co byś zrobił?

Uśmiechnął się szeroko.

– Jesteśmy w stanie obronić most – powiedział niepewnie. – Ale mogą przekroczyć nurt w dole albo w górze rzeki. Woda nie jest głęboka.

– Walczyłbyś więc tu?

– Nie.

– I nie będziemy. Chcę, żeby myśleli, że przystąpimy do bitwy, ale tego nie zrobimy.

– A zatem gdzie? – zapytał.

– Ty mi powiedz.

Namyślał się przez chwilę.

– Nie chcesz wracać na północ – odezwał się w końcu – bo w ten sposób oddalimy się od króla Edwarda.

– Jeśli w ogóle nadejdzie.

– Nie chcesz też iść na południe – ciągnął, nie zwracając uwagi na moje czarnowidztwo. – Gdybyśmy ruszyli na wschód, znaleźlibyśmy się między siłami Kanuta i Edwarda, musimy więc udać się na zachód.

– Widzisz, jakie to łatwe, kiedy się pomyśli.

– Jeśli pójdziemy na południe, zbliżymy się do Walijszyków – powiedział.

– Miejmy więc nadzieję, że te dranie śpią.

Zapatrzył się w zielone wodorosty leniwie płynące w rzece. Zmarszczył brwi.

– Ale dlaczego nie pojedziemy na południe? – zapytał po chwili. – Dlaczego nie spróbujemy połączyć się z wojskami Edwarda?

– O ile nadejdzie – odparłem. – A tego nie wiemy.

– Nie ma dla nas nadziei, jeśli tego nie zrobi – powiedział posępnym tonem. – Załóżmy więc, że się zjawi. Dlaczego nie mielibyśmy się z nim połączyć?

– Sam stwierdziłeś, że nie damy rady.

– A gdybyśmy wyruszyli natychmiast? Pospieszyci się?

Myślałem o tym. Rzeczywiście moglibyśmy pospieszyć na południe, wyjść naprzeciwko wojskom Sasów zachodnich, które – jak miałem nadzieję – nadejdą z północy, ale nie miałem pewności, że Kanut już nie zablokował tej drogi albo że nie zaatakuje nas w czasie marszu, a wtedy musielibyśmy odbyć bitwę w miejscu, które wybrał on, a nie ja. Uznałem więc, że pójdziemy na zachód, żywiąc nadzieję, że Walińczycy się upili i będą spać.

Rzymski most składał się z czterech kamiennych łuków i był w zaskakująco dobrym stanie. Pośrodku w jedną z barier wbudowano szeroką wapienną płytę z wyciętymi słowami: *Pontem perpetui mansurum in saecula*, i znów nie miałem pojęcia, co one znaczą. Domyślałem się jednak, że słowo *perpetui* miało sugerować, iż most przetrwa na wieki. Jeśli tak było w rzeczywistości, słowa miały się z prawdą, ponieważ moi ludzie zniszczyli jeden ze środkowych łuków. Użyliśmy do tego ciężkich toporów i ta praca zabrała nam większą część dnia, ale w końcu stare kamienie znalazły się w rzece, a my przerzuciliśmy przez powstałą dziurę drewniane bale znalezione w mieście. Wybudowaliśmy też z drewna zaporę na północnym krańcu mostu i za nią utworzyliśmy mur tarcz.

I czekaliśmy.

A następnego dnia, kiedy słońce na zachodzie tonęło w czerwieni, nadszedł Kanut.

Najpierw pojawili się zwiadowcy Kanuta na drobnych, lekkich, szybkich koniach. Dojechali do rzeki i tam się zatrzymali, obserwując nas, tylko niewielka grupka ruszyła wzdłuż brzegu Tame, zapewne aby sprawdzić, czy ustawiliśmy także ludzi, żeby uniemożliwić im przejście przez bród w górze rzeki.

Główne siły Kanuta nadszedły godzinę po zwiadowcach i pokryły cały teren za rzeką. Rój jeźdźców w kolczugach i hełmach, na ich okrągłych tarczach widniały kruki, siekiery, topory i jastrzębie. Niemal wszyscy mieli na tylnych łękach siodeł

worki i saki – łupy zdobyte w Mercji. Tam musiały znajdować się najcenniejsze zdobycze: srebro, bursztyn i złoto, pozostałe wiozły konie juczne jadące za olbrzymią armią, która zbliżając się do mostu, rzucała długie cienie.

Zatrzymali się jakieś pięćdziesiąt kroków od mostu, żeby pozwolić Kanutowi wyjechać naprzód. Miał na sobie wypolerowaną, połyskującą srebrem kolczugę. Założył też biały płaszcz i jechał na siwym koniu, towarzyszył mu bliski przyjaciel Sigurd Thorrson i o ile Kanut był ubrany na biało, Sigurd przyodział się w czerń – czarny był jego płaszcz, a hełm ozdobił piórami kruka. Nienawidził mnie, a ja nie obwinałem go o tę nienawiść. Też znienawidziłbym człowieka, który zabił mi syna. Sigurd był mocarnym mężczyzną, muskularnym, górował nad swoim olbrzymim koniem, a Kanut wydawał się przy nim chudy i blady. Z nich dwojga bardziej obawiałem się jednak Kanuta. Był szybkim jak wąż, szcwanym lisem, a jego miecz – Lodowa Furia – słynął z tego, że pił krew.

Przed jarłami podążali chorążowie. Na chorągwi Kanuta widniały topór i złamany krzyż, godłem Sigurda był lecący kruk. Wojownicy Kanuta nieśli dwieście innych chorągwi, ale ja wyglądałem tylko jednej, i ją dojrzałem. Białawe godło Haestena w kształcie czaszki unosiło się na drzewcu pośrodku wojsk. A zatem był tu, nie został jednak zaproszony, aby towarzyszyć Kanutowi i Sigurdowi.

Chorągwie ze złamanym krzyżem i lecącym krukiem zatrzymały się przy południowym krańcu mostu, dwaj jarłowie natomiast jechali w naszą stronę. Zatrzymali swoje wierzchowce tuż przed drewnianymi belkami. Aethelflaed, która stała obok mnie, zadrżała. Nienawidziła Duńczyków, a znalazła się w odległości kilku jardów od najgroźniejszych jarłów w Brytanii.

– Oto, co zrobię – powiedział Kanut. Nie przywitał się ani nawet nie rzucił obelgi. Mówił spokojnie, jakby czynił ustalenia dotyczące uczyty albo wyścigów konnych. – Wezmę cię w niewolę, Uhtredzie z Bebbanburga, i zachowam przy życiu. Przywiążę cię między dwoma palami, żeby gapie mogli z ciebie kpić, i na twoich oczach oddam twoją kobietę swoim ludziom, którzy będą z nią sobie używali do czasu, aż do niczego już nie będzie się nadawała. – Spojrzał na Aethelflaed bladymi, zimnymi oczami. – Obnażę cię, kobieto, i oddam swoim ludziom, nawet niewolnikom, a ty, Uhtredzie

z Bebbanburga, będziesz słuchał jej szlochu, oglądał jej hańbę i śmierć. Potem zajmę się tobą. Śniłem o tym, Uhtredzie z Bebbanburga. Śniłem, że odcinam kawałek po kawałku twojego ciała, aż nie będziesz miał dłoni, stóp, nosa, uszu, języka, męskości. Wtedy zaczniemy cię oskórowywać, cal po calu, wcierać sól w twoje ciało i słuchać twoich krzyków. Mężczyźni będą na ciebie szczać, a kobiety z ciebie drwić. Wszystko będziesz widział, bo pozostawię ci oczy. Na koniec ci je wyłupię. A później umrzesz. I tak zakończy się twój nędzny żywot.

Nic nie powiedziałem, kiedy skończył. Rzeka tworzyła kipieli wokół kamieni ze zburzonego mostu.

– Już straciłeś język w gębie, ty zasrany łajdaku? – warknął jarl Sigurd.

Uśmiechnąłem się do Kanuta.

– Wyłumacz mi, czemu chcesz mi to wszystko zrobić – powiedziałem. – Czyż nie spełniłem twojego życzenia? Czy nie odkryłem, kto przetrzymuje twoje dzieci i żonę?

– Dziecko! – huknął zapalczywie Kanut. – Mała dziewczynka! Co ona ci zrobiła? Odnajdę twoją córkę, Uhtredzie z Bebbanburga, i kiedy zazna tyłu mężczyzn, ilu będzie chciało sobie z nią użyć, zabiję ją w taki sam sposób, jak ty zabiłeś moją córkę! A jeśli znajdę ją przed twoją śmiercią, tego też będziesz świadkiem.

– Zrobisz zatem mojej córce to samo, co ja zrobiłem twojej? – zapytałem.

– Obiecuję ci to.

– Naprawdę?

– Złożyłem przysięgę – odparł, dotykając młota Thora na wypolerowanej kolczudze.

Skinąłem ręką. Mur tarcz za mną się rozstał i mój syn podprowadził córkę Kanuta do barykady. Trzymał ją za rękę.

– Ojcze! – zawołała Sigril, kiedy zobaczyła Kanuta, a on wstrząśnięty tylko wlepił w nią wzrok. – Ojcze! – zawoła ponownie i próbowała się wyrwać mojemu synowi.

Wziąłem dziewczynkę od Uhtreda.

– Przykro mi z powodu jej włosów – powiedziałem. – Pewnie trochę ją bolało, kiedy je obcinałem, bo nóż nie był tak ostry, jakbym tego chciał. Ale włosy odrosną

i za kilka miesięcy będzie równie ładna jak dawniej. – Podniosłem dziecko, przełożyłem przez barykadę i puściłem. Pobieгла do Kanuta, a ja na jego twarzy zobaczyłem radość i ulgę. Pochylił się i wyciągnął do niej rękę, dziewczynka chwyciła jego dłoń, a on uniósł ją na siodło. Uściskał ją, a potem popatrzył na mnie ze zdumieniem. – Już straciłeś język w gębie, ty zasrany łajdaku? – zapytałem z satysfakcją.

Ponownie skinąłem i tym razem zza muru tarcz wyszła Frigg. Podbiegła do barykady, spojrzała na mnie, a ja kiwnąłem głową. Przeszła na drugą stronę, wydając z siebie nieskładny, płaczliwy odgłos, i podbiegła do męża, który spojrzał na mnie z jeszcze większym zaskoczeniem, gdy kobieta przylgnęła do jego nóg i rzemieni strzemion, chwytając się ich kurczowo, jakby od nich zależało jej życie.

– Nie została skrzywdzona – powiedziałem. – Nikt nawet jej nie dotknął.

– Ty... – zaczął.

– Nietrudno było oszukać Geirmunda – stwierdziłem. – Wieprzek i zwłoki dziecka to wszystko, czego było mi trzeba. To wystarczyło, żeby się go pozbyć i spalić wasze statki. Twoje też – rzuciłem do Sigurda. – Ale pewnie już to wiesz.

– Wiemy nawet więcej, ty świński wypierdku – odparł Sigurd. Podniósł głos, żeby ludzie za mną go usłyszeli. – Edward z Wessexu nie nadejdzie! – krzyknął. – Uznał, że lepiej przykucnąć za murami miejskimi! Liczyłeś na to, że przybędzie i cię uratuje?!

– Uratuje? – zapytałem. – A czemuż miałbym chcieć dzielić chwałę zwycięstwa z Edwardem z Wessexu?

Kanut nadal gapił się na mnie bez słowa. Mówił tylko Sigurd.

– Aethelred nadal jest w Anglii Wschodniej! – wrzeszczał. – Boi się, że po przekroczeniu rzek spotka Duńczyków!

– To podobne do Aethelreda – powiedziałem.

– Jesteś sam, ty zasrany draniu. – Sigurd niemal trząśł się z wściekłości.

– Mam dużo wojsk – odrzekłem, wskazując na niewielki mur tarcz za sobą.

– To jest twoja armia? – warknął Sigurd, po czym zamilkł, bo Kanut wyciągnął rękę i dotknął jego pokrytego złotymi bransoletami ramienia.

Nadal przyciskał do siebie córkę.

– Możesz odejść – powiedział do mnie.

– Odejść? – zapytałem. – Dokąd?

– Daruję ci życie – odparł i ponownie dotknął ramienia Sigurda, żeby powstrzymać jego sprzeciw.

– Moje życie nie należy do ciebie, żebyś mógł mi je darować – odrzekłem.

– Odejdź, lordzie Uhtredzie – powiedział niemal prosząco Kanut. – Jedź na południe do Wessexu, zabierz swoich wszystkich ludzi, ale po prostu odejdź.

– Potrafisz liczyć, jarlu Kanucie?

Uśmiechnął się.

– Masz mniej niż trzystu ludzi. A jeśli chodzi o mnie? Nie jestem w stanie zliczyć swoich wojowników. Są jak ziarenka piasku na rozległej plaży. – Przytulił córkę i poklepał ją po policzku. – Dziękuję ci, lordzie Uhtredzie. Tylko odejdź.

Sigurd wydał niechętny pomruk. Pragnął mojej śmierci, ale nie sprzeciwiłby się żadnej decyzji Kanuta.

– Zapytałem cię, czy umiesz liczyć – powiedziałem do Kanuta.

– Umiem – odparł ze zdziwieniem.

– Więc może pamiętasz, że miałeś dwoje dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Nadal przetrzymuję twojego syna. – Wzdrygnął się, słysząc te słowa. – Jeśli zostaniesz w saskiej Mercji albo zaatakujesz Wessex – ciągnąłem – może się okazać, że będziesz miał tylko córkę.

– Mogę spłodzić kolejnych synów – odparł bez większego przekonania.

– Wracaj na swoje ziemie, a oddam ci chłopca – powiedziałem.

Sigurd zaczął coś mówić wściekłym tonem, ale Kanut go powstrzymał.

– Porozmawiamy rano – powiedział i zawrócił konia.

Zgodziłem się i obserwowałem, jak oddalają się z Frigg.

Tyle tylko, że rano nie odbyły się żadne negocjacje, bo kiedy zniknęli nam z oczu, kazałem moim ludziom usunąć drewniane belki z mostu. A potem odjechaliśmy.

Udaliśmy się na zachód.

Wiedziałem, że Kanut podąży za nami.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czy Edward z Wessexu rzeczywiście postanowił zostać za murami swojego burhu? Bez trudu mogłem uwierzyć, że Aethelred przyczał się w Anglii Wschodniej, bo gdyby próbował wrócić do Mercji, musiałby zmierzyć się ze znacznie liczniejszym wrogiem i prawdopodobnie bał się stawić czoło Duńczykom w otwartej bitwie. Czy jednak Edward mógł pozostawić Mercję na łasce sił Kanuta? To było możliwe. Jego doradcy byli ostrożnymi ludźmi, bali się Norwegów, a jednocześnie ufali, że solidne obwałowania burhu są w stanie oprzeć się każdemu atakowi. Nie byli jednak głupcami. Wiedzieli, że jeśli Kanut zajmie Mercję i Anglię Wschodnią, tysiące wojowników przybędzie zza morza i wszyscy oni będą chcieli ucztować na zgliszczach Wessexu. Jeśli Edward będzie czekał za murami, jego wrogowie wzrosną w siłę. W rezultacie będzie musiał zmierzyć się nie z czterema tysiącami Duńczyków, ale z dziesięcioma–dwunastoma tysiącami. Zostanie zmiażdżony.

Nie można było jednak wykluczyć, że postanowił pozostać za murami.

Co innego jednak mógł mi powiedzieć jarl Sigurd? Przecież nie poinformowałby mnie, że Sasi zachodni maszerują ze wsparciem. Chciał zasiać we mnie ziarno niepokoju, i ja to wiedziałem, a mimo to się niepokoiłem.

Co innego mogłem powiedzieć swoim ludziom poza tym, że Sigurd kłamał? Mogłem jedynie z pewnością w głosie stwierdzić:

– Sigurd ma język lisa. Oczywiście, że Edward przybędzie!

Uciekaliśmy, jechaliśmy nocą na zachód. Kiedy byłem młody, lubiłem noc. Nauczyłem się nie obawiać duchów nawiedzających ciemności, poruszać się jak cień wśród cieni, nie wzdrygać się na odgłos szczekania lisów i nawoływania sów. Noc jest królestwem śmierci i żyjący się jej boją, ale tej nocy pędziliśmy przez ciemności, jakbyśmy do nich należeli.

Najpierw dotarliśmy do Liccelfeld. Dobrze znałem to miasto. To tam wrzuciłem do strumienia trupa zdradzieckiego Offy, który tresował psy, sprzedawał informacje, udawał przyjaciela i próbował mnie zdradzić. To było saskie miasto, jednak zamieszkujący okolicę Duńczycy zwykle pozostawiali je w spokoju. Podejrzywałem, że większość Sasów, podobnie jak martwy Offa, kupowała pokój za cenę trybutu płaconego Duńczykom. Niektórzy zapewne znaleźli się wśród ludzi Kanuta i bez wątpienia udali się do grobu Świętego Chada w okazałym kościele w Liccelfeld, by modlić się o zwycięstwo jarla. Duńczycy pozwalali chrześcijanom budować kościoły, natomiast gdybym ja spróbował postawić świątynię Odyna na saskiej ziemi, chrześcijańscy księża zaczęliby ostrzyć rzeźnicie noże. Oni czczą zawistnego boga.

Nietoperze krążyły nad dachami miasta. Psy ujadały, kiedy mijaliśmy domostwa, i były uciszane przez wystraszonych właścicieli, którzy nauczyli się bać odgłosu końskich kopyt w ciemnościach. Nikt nie otwierał okiennic. Przebyliśmy strumień, do którego wrzuciłem Offę. Pamiętam przekleństwa rzucane piskliwym głosem przez jego żonę. Księżyc niemal wszedł w pełnię i srebrzystym światłem oświetlał drogę, która biegła niskim, porośniętym lasem wzgórzem. Drzewa rzucały czarne cienie. Jechaliśmy w milczeniu, słyhać było tylko tętent kopyt i pobrzękiwanie uzd. Podążaliśmy rzymską drogą, która biegła na zachód od Liccelfeld, prosto jak strzała pomiędzy niskimi pagórkami i rozległymi dolinami. Podróżowaliśmy wcześniej tym traktem, niezbyt często, ale nawet w świetle księżyca krajobraz wydawał się znajomy.

Finan i ja zatrzymaliśmy się na nagim szczycie wzgórza, z którego obserwowaliśmy jeźdźców przemierzających drogę za naszymi plecami. Przed nami rozpościerało się długie zbocze pokryte ścierniskiem, a gdzieś w oddali migotało ognisko. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na wschód, na drogę, którą właśnie przebyliśmy. Czy na niebie pojawiła się luna? Szukałem znaku wskazującego, że Kanut zatrzymał się w Tameworthig, że jego olbrzymia armia czekała na świt, by ruszyć za nami. Nie dostrzegłem jednak na horyzoncie palących się ognisk.

– Dranie, gonią nas – burknął Finan.

– Zapewne.

Łunę ujrzałem natomiast daleko na południu. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Trudno było to stwierdzić z pewnością, bo była tak odległa, równie dobrze mogła być to jedna ze sztuczek nocy. Pałacy się dwór? A może obozowisko wojskowe? Czy armia, na którą tak liczyłem, już tam czekała? Finan też wpatrywał się w tę stronę i wiedziałem, że myśli o tym samym i ma takie same nadzieje, ale nic nie powiedziałem. Przez chwilę wydawało mi się, że łuna stała się jaśniejsza, ale nie byłem tego pewien. Czasem na nocnym niebie pojawia się światło, rozległe, połyskujące połacie jasności, które falują i drżą jak woda. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jest to jedna z tych zsyłanych przez bogów tajemniczych kaskad światła. Im intensywniej jednak wpatrywałem się w ciemność, tym mniej widziałem. Jedynie noc, horyzont i czarne drzewa.

– Przebyliśmy daleką drogę od czasu niewolniczego statku – odezwał się tęsknym tonem Finan.

Zastanawiałem się, co przypomniało mu te odległe dni, a później zdałem sobie sprawę, że myśli o tym, iż niedługo jego czas się skończy, a człowiekowi stojącemu twarzą w twarz ze śmiercią dobrze robi spojrzenie wstecz na swoje życie.

– Zabrzmiało to, jakbyś się żegnał – ofuknąłem go.

Uśmiechnął się.

– Co ty zwykle powtarzasz? *Wyrđ biđ ful ãræd*?

– *Wyrđ biđ ful ãræd* – powtórzyłem.

Przeznaczenie jest wszystkim. Dokładnie w tym momencie, kiedy rozpaczliwie wypatrywaliśmy światła, trzy boginie snuły nić mojego życia u stóp wielkiego drzewa. Jedna z nich trzymała nożyce. Finan nadal wpatrywał się w południowy horyzont, wbrew wszelkim prawidłom mając nadzieję, że na niebie pojawi się łuna zapowiadająca obecność wojsk, ale niebo pod gwiazdami było czarne.

– Sasi zachodni zawsze byli ostrożni – odezwał się ze smutkiem w głosie Irlandczyk. – Chyba że ty nimi dowodziłeś.

– A Kanut nie należy do ostrożnych.

– I idzie po nas. – Finan się obejrzał. – Przybędą za jakąś godzinę?

– Ich zwiadowcy. Ale przeprowadzenie wojsk przez rzekę zajmie Kanutowi większą część nocy – odrzekłem.

– Kiedy jednak ją pokonają... – zaczął Finan, ale nie skończył.
– Nie możemy uciekać w nieskończoność, ale spowolnimy ich marsz.
– Dwustu–trzystu wojowników będzie stale deptać nam po piętach i podgryzać w dupę – zauważył.

– To prawda – przyznałem mu rację. – Cokolwiek się wydarzy, dojdzie do tego jutro.

– Musimy więc znaleźć odpowiednie miejsce na bitwę.

– Tak jest, a dzisiejszej nocy spowolnić ich marsz. – Po raz ostatni rzuciłem okiem na południe i uznałem, że łuna była tworem mojej wyobraźni.

– Jeśli dobrze sobie przypominam – Finan skierował konia na zachód – przy tej drodze stoi rzymski fort.

– Tak, jest jednak zbyt duży, żebyśmy dali radę go obronić.

Była to rzymska warownia, cztery wały ziemne otaczające kwadratowy plac w miejscu przecięcia dróg. Nie przypominałem sobie żadnej osady na tym skrzyżowaniu, jedynie pozostałości tej potężnej warowni. Dlaczego została wzniesiona? Czyżby na ich drogach grasowali złodzieje?

– Masz rację – zgodził się Finan. – Ale tam możemy na jakiś czas zatrzymać tych drani.

Jechaliśmy w kolumnie na zachód. Nieustannie odwracałem się w siodle, wypatrując ścigających nas wojsk, ale nikogo nie zobaczyłem. Kanut musiał wiedzieć, że próbujemy mu uciec, i pewnie wysłał ludzi na lekkich wierzchowcach przez bród, żeby nas znaleźli. Mieli nas wytropić, żeby jarl mógł dogonić i zmiażdżyć nasze wojska. Spieszył się, zapewne był też wściekły – nie na mnie, ale na siebie. Zrezygnował z polowania na Aethelreda i teraz musiał uświadomić sobie, że to była zła decyzja. Jego wojska od wielu dni panoszyły się po Mercji, ale musiał jeszcze pokonać saskie armie, a one zyskiwały na sile, możliwe, że wtedy, kiedy on maszerował. A czas uciekał. Ja odwróciłem jego uwagę. Porwałem jego rodzinę, spaliłem flotę i zniszczyłem dwory. Wściekły ruszył na mnie tylko po to, żeby odkryć, że jego żona i dzieci żyją. Gdyby miał choć krztynę rozsądku, porzuciłby pościg, gdyż to nie ja byłem przeciwnikiem, nad którym musiał odnieść zwycięstwo. Powinien

zniszczyć siły Aethelreda, a następnie skierować się na południe i wybić Sasów zachodnich Edwarda, ale podejrzewałem, że będzie kontynuował pościg. Byłem zbyt blisko, stanowiłem zbyt wielką pokusę, a zabicie mnie jeszcze bardziej rozślawiłoby jego imię. Poza tym wiedział, że moja niewielka drużyna stanowi łatwy łup. Miał zamiar nas pokonać, uwolnić syna i zawrócić na południe, by wziąć udział w prawdziwej wojnie. Sądził, że rozbicie moich oddziałów zajmie mu dzień, a później będzie mógł skupić się na silniejszym przeciwniku.

A moją jedyną nadzieją była wiara, że ów silniejszy przeciwnik nie okaże się zbyt ostrożny i ruszy mi z odsieczą.

Wielka warownia czerniła się wśród cieni rzucanych przez księżyc. Była to olbrzymia budowla, ziemny szaniec usypany na równinie w miejscu przecinania się dwóch dróg. Kiedyś zapewne w jej wnętrzu kryły się drewniane budynki koszarów dla rzymskich żołnierzy, ale teraz pokryte trawą wały otaczały tylko rozległe pastwisko zamieszkałe jedynie przez stado krów. Przebyłem płytką fosę i niski nasyp. Wybiegły mi naprzeciw dwa ujadające psy, które pasterz krów natychmiast uciszył. Padł przede mną na kolana, zobaczywszy mój hełm i kolczugę. Pochylił głowę, a dłonie położył na karkach warczących psów i czekał, drżąc ze strachu.

– Jak nazywacie to miejsce? – zapytałem.

– Stary Fort, panie – odparł, nie podnosząc głowy.

– Jest tu gdzieś wioska?

– Tam, w górze.

– Jak się nazywa?

– Nazywamy ją Pencric, panie.

Przypomniałem sobie tę nazwę, kiedy ją wymówił.

– Płynie tam rzeka? – zapytałem, przypomniawszy sobie ostatni raz, kiedy przemierzałem tę drogę.

– Jeszcze wyżej – odparł, wskazując głową na zachód.

Rzuciłem mu obrzynek srebra.

– Ucisz psy – rozkazałem.

– Nawet nie pisną, panie. – Spojrzał na srebrną poświatę na trawie, po czym

podniósł głowę, żeby na mnie spojrzeć. Zauważył młot Thora. – Bogowie cię chronią, panie.

– Jesteś chrześcijaninem? – zapytałem.

Zmarszczył czoło.

– Chyba tak, panie.

– A zatem twój bóg mnie nienawidzi, a ty także mnie znienawidzisz, jeśli twoje psy narobią hałasu.

– Będą cicho jak myszki, panie, jak małe myszki. Ani pisną, przysięgam.

Posłałem większość swoich ludzi na zachód, ale rozkazałem im zawrócić na południe, kiedy dotrą do rzeki, która – jeśli dobrze pamiętałem – nie była ani zbyt głęboka, ani szeroka.

– Podążajcie po prostu wzdłuż rzeki na południe, aż mnie spotkacie – przykazałem im.

Chciałem, żeby Kanut myślał, że uciekliśmy na zachód, kierując się ku wątpliwemu schronieniu, jakie dawały walijskie wzgórza, jednakże ślady kopyt zdradzą, że w rzeczywistości skręciliśmy na południe. Nawet gdyby miało to zatrzymać jego marsz tylko na chwilę, było warte zachodu, bo liczyła się każda chwila. Moi jeźdźcy zniknęli więc, kierując się w stronę rzeki, a ja zostałem z pięćdziesięcioma ludźmi za porośniętymi trawą wałami ziemnymi. Byliśmy lekko uzbrojeni, tylko we włócznie lub w miecze, jedynie Fryz Wibrund na mój rozkaz wziął topór.

– Trudno walczyć konno toporem, panie – utyskiwał.

– Będzie nam potrzebny, więc go zatrzymaj – odparłem.

Nie czekaliśmy długo. Może nawet niecałą godzinę, kiedy na drodze prowadzącej na wschód pojawili się jeźdźcy. Spieszyli się.

– Szesnastu – powiedział Finan.

– Siedemnastu – poprawił go mój syn.

– Powinni posłać liczniejszy oddział – powiedziałem, obserwując odległą drogę, żeby upewnić się, że za nimi nie podążają kolejni wojownicy.

Nikt więcej się nie pojawił, ale grupa szesnastu czy siedemnastu konnych pędziła

z naprzeciwka, chcąc najszybciej nas znaleźć i zameldować nasze położenie Kanutowi. Pozwoliliśmy im się zbliżyć, po czym spięliśmy konie ostrogami i pokonaliśmy wał ziemny. Finan poprowadził dwudziestu ludzi na wschód, żeby zaatakować ich w czasie odwrotu, a ja z pozostałymi wojownikami wyjechałem naprzeciw zbliżającego się oddziału.

Wybiliśmy większość z nich. Nie było to trudne. Okazali się głupcami, zachowali się lekkomyślnie, nie spodziewali się kłopotów. Mieliśmy nad nimi przewagę liczebną, więc zginęli. Kilku udało się uciec na południe, potem w panice zawrócili na wschód. Ich martwe oczy pozdrowią ludzi Kanuta i – jak podejrzewałem – każą im myśleć, że stało się coś złowróżbnego i czarnoksięskiego. Duńczycy poczują magię i się zawahają.

Tylko daj mi czas – modliłem się do Thora. – Tylko daj mi czas.

Wyruszyliśmy na południe.

Dogoniliśmy moich ludzi i brzaskiem kontynuowaliśmy naszą podróż. Wokół ptaki wyśpiewywały radosną pieśń nowego dnia, a ja znienawidziłem jej brzmienie, ponieważ witała – jak sądziłem – dzień mojej śmierci. Nadal kierowaliśmy się na południe ku odległemu Wessexowi i wbrew nadziei mieliśmy nadzieję*, że Sasi zachodni jadą nam na spotkanie.

A później się zatrzymaliśmy.

Zatrzymaliśmy się, bo konie były już zmęczone, tak samo jak my. Jechaliśmy przez niskie wzgórza i spokojne ziemie uprawne, ale nie mogłem znaleźć miejsca, które nadawałoby się na bitwę. Czego oczekiwałem? Rzymskiego fortu na tyle małego, abym mógł go obsadzić swoimi dwustu sześćdziesięcioma dziewięcioma wojownikami? Warowni na odpowiednim wzgórzu? Stromej skały, gdzie człowiek mógł umrzeć ze starości, podczas gdy jego przeciwnik wściekał się u podnóża? Mijaliśmy tylko ścierniska, łąki, na których wypasały się owce, jesionowe i dębowe lasy, płytkie strumienie i łagodne pagórki. Słońce znajdowało się wysoko na niebie. Dzień był ciepły i nasze konie potrzebowały wody.

Dotarliśmy do rzeki i zatrzymaliśmy się na jej brzegu.

Był to raczej strumień pretendujący do miana rzeki, któremu jednak udało się tylko przybrać kształt głębokiej fosy. Stanowił poważną przeszkodę dla każdego, kto chciałby go sforsować. Brzegi strumienia były strome i muliste, choć stawały się niskie i łagodne tam, gdzie rzeka przecinała drogę. Bród nie był głęboki. W tym miejscu strumień się rozlewał i pośrodku wolnego nurtu woda sięgała zaledwie uda. Zachodni brzeg porastały ogłowione wierzby, a jeszcze dalej na zachód znajdowało się niewielkie wyniesienie, na którym stało kilka ubogich chat. Wysłałem Finana, żeby sprawdził tę wyżynę, ja tymczasem zbadałem dolną i górną część rzeczki. Nie udało mi się znaleźć fortu ani stromego wzgórza, ale ta oślizgła fosa była wystarczająco szeroka, żeby spowolnić atak.

Zatrzymaliśmy się więc w tym miejscu. Zaprowadziliśmy konie na ogrodzony kamiennym murem padok na zachodnim brzegu i czekaliśmy.

Mogliśmy jechać dalej na południe, ale Kanut wcześniej czy później by nas dogonił, a rzeka przynajmniej go spowolni. Tak to sobie tłumaczyłem. W rzeczywistości nie miałem wiele nadziei, która stopniała jeszcze bardziej, kiedy Finan wrócił z przespiegów.

– Konni na zachodzie – powiedział posępnym tonem.

– Na zachodzie? – zapytałem, myśląc, że się pomylił.

– Na zachodzie – obstawał przy swoim.

Wojska Kanuta zbliżały się od północy i wschodu, nie spodziewałem się więc nadejścia wroga od zachodu. Czy może raczej miałem nadzieję, że żaden przeciwnik nie pojawi się na zachodzie.

– Ilu?

– Oddziały zwiadowcze. Niezbyt wielu.

– Ludzie Kanuta?

Wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Dranie nie mogą przejść tej fosy – powiedziałem, chociaż nie mogłem wykluczyć, że Kanut właśnie to zrobił.

– To nie jest fosa – poprawił mnie Finan. – To rzeka Tame.

Spojrzałem na mulistą wodę.

– To jest Tame?

– Tak twierdzą wieśniacy.

Zaśmiałem się cierpko. Pokonaliśmy całą tę drogę z Tameworthig tylko po to, żeby znów znaleźć się w górnym biegu tej samej rzeki? Było w tym coś głupiego, pasującego do dnia mojej śmierci.

– A zatem jak nazywa się to miejsce?

– Dranie nie wiedzą – odparł z rozbawieniem. – Jakiś mężczyzna powiedział, że Teotanheale, a jego żona twierdziła, że Wodnesfeld.

Była to więc albo dolina Teotty, albo pole Odyna, jakkolwiek jednak nazywało się to miejsce, tu kończyła się nasza droga. Tu zamierzałem czekać na mściwego wroga. A on się zbliżał. Za brodem dojrzeliliśmy zwiadowców, co oznaczało, że jeźdźcy nadchodzili z północy, ze wschodu i z zachodu. Na odległym brzegu Tame zauważyliśmy co najmniej pięćdziesięciu ludzi, nadal jednak byli dość daleko od rzeki. Finan dostrzegł konnych na zachodzie, podejrzewałem więc, że Kanut podzielił wojska i część ludzi posłał wzdłuż zachodniego brzegu, a część wzdłuż wschodniego.

– Nadal możemy udać się na południe – powiedziałem.

– Dogoni nas – odrzekł posepnie Finan. – Wtedy będziemy musieli walczyć na otwartej przestrzeni. Tu przynajmniej możemy wycofać się na wzgórze. – Wskazał głową na kilka chałup stojących na szczycie pagórka.

– Spal je – rozkazałem.

– Spalić?

– Spal domy. Powiedz ludziom, że to znak dla Edwarda.

Wiara w to, że Edward znajduje się wystarczająco blisko, żeby zauważyć dym, dodałaby nadziei moim nielicznym ludziom. Wojownicy lepiej się biją, kiedy mają nadzieję. Spojrzałem na padok, gdzie zgromadziliśmy konie. Zastanawiałem się, czy powinniśmy ruszyć na zachód i utorować sobie drogę przez oddziały zwiadowcze, które skradały się w naszą stronę, licząc na zajęcie wyniesienia. Były to zapewne próżne nadzieje. A potem pomyślałem, jakie to dziwne, że padok otoczony jest kamiennym murem. To była kraina żywopłotów, ktoś jednak zadał sobie olbrzymi

trud ułożenia głazów w niski murek.

– Uhtredzie! – Skinąłem na syna, który do mnie podbiegł.

– Ojczy?

– Rozbierz ten mur. Weź wszystkich ludzi do pomocy i znieście tu kamienie wielkości ludzkiej głowy.

Chłopak wlepił we mnie wzrok.

– Ludzkiej głowy.

– Po prostu zrób to. Znieście głazy w to miejsce, i pospieszcie się! Rollo!

Potężny Duńczyk podszedł spokojnym krokiem.

– Panie?

– Idę na wzgórze, a ty wrzucisz kamienie do strumienia.

– Tak?

Kiedy wyjaśniłem, co zamierzam, uśmiechnął się szeroko.

– Tylko niech te dranie nie zobaczą, co robisz. – Wskazałem na zwiadowców Kanuta, którzy czekali po wschodniej stronie. – Jeśli podejda bliżej, przerwij pracę. Sihtricu!

– Panie?

– Ustaw tam chorągwie. – Wskazałem miejsce, w którym droga z brodu prowadziła na zachód. Umieściłem tam chorągwie, żeby pokazać Kanutowi, gdzie chcę rozegrać bitwę. Żeby mu pokazać, gdzie chcę zginąć. – Pani! – zawołałem Aethelflaed.

– Nie odjadę – powiedziała z uporem.

– Czy cię o to proszę?

– Zamierzasz.

Podeszliśmy do niskiego pagórka, gdzie Finan z kilkunastoma ludźmi wołali do wieśniaków, żeby opuścili chałupy.

– Zabierzcie wszystko, co ma dla was wartość – mówił Irlandczyk. – Psy, koty, nawet dzieci. Garnki, różna, wszystko. Spalimy wasze obejścia.

Eldgrim wynosił z domu staruszkę, nie zważając na głośne protesty jej córki.

– Musimy spalić te domy? – spytała Aethelflaed.

– Jeżeli Edward nadchodzi, musi wiedzieć, gdzie jesteśmy – odparłem pośpiesznie.

– Pewnie masz rację – odparła tylko. Odwróciła się, żeby popatrzeć na zachód. Zwiadowcy nadal obserwowali nas z bezpiecznej odległości, nic jednak nie wskazywało, aby wojska Kanuta miały nadejść. – Co zrobimy z chłopcem?

Miała na myśli syna Kanuta. Wzruszyłem ramionami.

– Odgraliśmy się, że go zabijemy.

– Ale tego nie zrobisz. I Kanut o tym wie.

– Mógłbym.

Roześmiała się ponurym śmiechem.

– Nie zabijesz go.

– Jeśli przeżyję, zostanie osierocony przez ojca – odrzekłem.

Zmarszczyła brwi, a po chwili zrozumiała, co miałem na myśli. Zaśmiała się.

– Myślisz, że możesz pokonać Kanuta?

– Zatrzymaliśmy się. – powiedziałem. – Będziemy walczyć. Może nadejdzie twój brat. Jeszcze nie jesteśmy martwi.

– Wychowasz go?

– Syna Kanuta? – Pokręciłem głową. – Pewnie go sprzedam. Kiedy zostanie niewolnikiem, nikt mu nie powie, kim był jego ojciec. Nie będzie wiedział, że jest wilkiem, będzie sądził, że jest szczeniakiem. – O ile przeżyję, pomyślałem, a prawdę powiedziawszy, nie liczyłem, że nie dożyję końca tego dnia. – A ty – dotknąłem ramienia Aethelflaed – powinnaś odjechać.

– Ja...

– Ty jesteś Mercją – warknąłem. – Ludzie cię kochają, pójdą za tobą. Jeśli tu zginiesz, Mercja straci swoje serce.

– A jak miałabym się stąd wydostać? – zapytała.

Wpatrywała się w zachód i zobaczyłem nadjeżdżających z tamtej strony jeźdźców. Było ich sześciu albo siedmiu, dzieliły ich od nas co najmniej dwie mile, ale nas dostrzegli. Zapewne inni podjechali bliżej. Gdybym odesłał Aethelflaed, ci wojownicy podążyliby w ślad za nią, a gdybym przydzielił jej drużynę wystarczająco liczną, żeby

miała szansę ją obronić, własną śmierć uczyniłbym pewniejszą.

– Weź pięćdziesięciu ludzi i jedź na południe – powiedziałem.

– Zostanę.

– Jeśli wezmą cię do niewoli... – zacząłem.

– Zgwałcą mnie i zabiją – dokończyła za mnie spokojnie, a potem położyła palec na mojej dłoni. – To się nazywa męczeństwo, Uhtredzie.

– To się nazywa głupota.

Nic na to nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i spojrzała ku północy i wschodowi, a tam w końcu pojawili się ludzie Kanuta. Setki setek wojowników zasnuło ziemię, nadchodzili na południe drogą biegnącą z rzymskiego fortu, gdzie zostawiliśmy odcięte głowy. Jeźdźcy z pierwszego szeregu niemal już dotarli do zakrętu prowadzącego na zachód do brodu, przy którym w płytkiej wodzie pracowali moi ludzie. Rollo musiał ich dojrzeć, bo zwołał towarzyszy na zachodni brzeg, gdzie ustawili się w mur tarcz.

– Słyszałaś kiedyś o wzgórzu Aesca? – zapytałem Aethelflaed.

– Oczywiście. Ojciec lubił opowiadać mi tę historię.

Na wzgórzu Aesca, dawno temu – kiedy byłem chłopakiem – doszło do bitwy. Tego zimowego dnia znalazłem się w duńskich szeregach i byliśmy całkowicie pewni zwycięstwa. A jednak zamarznątą ziemię ogrzała krew Duńczyków, a mroźne powietrze wypełniło się wiewatami Sasów. Harald, Bageg i Sidroc Młodszy, Toki Żeglarz – imiona z przeszłości – wszyscy zostali zabici przez Sasów zachodnich, którzy pod wodzą Alfreda czekali na nich za fosą. Księża, rzecz jasna, przypisali to niezwykle zwycięstwo swojemu ukrzyżowanemu bogu, ale po prawdzie przyczyną klęski Duńczyków była fosa. Mur tarcz jest silny dopóty, dopóki nie zrobi się w nim wyłomu. Tarcza przy tarczy, ramię przy ramieniu, mur z pancerzy, drewna, ciał i stali. Jeśli jednak dojdzie do wyłomu, zaczyna się rzeź. Podczas przeprawy przez wodę pod wzgórzem Aesca mur Duńczyków się załamał i sascy wojownicy sprawili im krwawą łaźnię.

Mój niewielki mur tarcz też stał za wodą. Tyle że przez strumień biegł bród i to tam miała odbyć się bitwa.

Pierwsza chata zajęła się ogniem. Strzecha pod mchem była sucha, więc zachłanne płomienie szybko zaczęły pożerać chałupę. Szczury w popłochu uciekały ze strychów, podczas gdy ludzie podpalali kolejne domostwa. Dla kogo przeznaczone były te sygnały? Dla Edwarda, który może nadal krył się za murami burhu. Spojrzałem na południe, wbrew wszystkiemu łudząc się nadzieją, że ujrzę zbrojnych jeźdźców, ale wysoko na niebie, nad pustymi polami i lasami zobaczyłem tylko szybującego sokoła. Ptak unosił się niemal bez ruchu, tylko lekko przesuwiał skrzydła, potem zaczął pikować, złożył skrzydła i rzucił się w dół, żeby zabić. Czyżby zły omen?

Dotknąłem młota Thora.

– Powinnaś odjechać – powiedziałem do Aethelflaed. – Na południe. Jedź długo i szybko! Nie zatrzymuj się w Gleawecestre, tylko jedź do Wessexu. Do Londynu! Tam są mocarne obwarowania, a jeśli miasto upadnie, możesz popłynąć do Frankonii.

– Tam jest moja chorągiew. – Wskazała na sztandar wbity w bród. – A tam, gdzie jest moja chorągiew, tam jestem ja.

Na jej fladze widniała gęś trzymająca krzyż i miecz. Godło było brzydkie, ale gęś stała się symbolem Świętej Werburgi, świątobliwej niewiasty, która przepędziła stado gęsi z pola – czyn ten zapewnił jej miejsce w szeregu świętych, a pogromczyni gęsi została patronką Aethelflaed. Dzisiaj będzie miała co robić – pomyślałem.

– Komu ufasz? – zapytałem.

Zmarszczyła brwi.

– Komu ufam? Tobie, oczywiście, twoim ludziom, moim ludziom, a dlaczego?

– Wybierz człowieka, któremu ufasz. – Ogień z pobliskiego domu buchał gorącem. – Powiedz mu, żeby cię zabił, zanim trafisz do duńskiej niewoli. Powiedz mu, żeby stanął za tobą i zadał ci cios w kark. – Przyłożyłem palec do jej głowy, żeby wskazać miejsce, w którym czaszka styka się z kręgosłupem. – Dokładnie tu – dodałem, przyciskając palec. – To będzie szybka, nagła i bezbolesna śmierć. Nie bądź męczennicą.

Uśmiechnęła się.

– Bóg jest po naszej stronie, Uhtredzie. Wygramy. – Mówiła zupełnie bezbarwnym głosem, jakby jej słowa były niepodważalne, a ja patrzyłem na nią

w milczeniu. – Wygramy – powtórzyła. – Ponieważ Bóg jest z nami.

Ależ głupcy z tych chrześcijan.

Zszedłem na miejsce swojej śmierci i obserwowałem nadchodzących Duńczyków.

Walkę prowadzi się w określony sposób. Pod koniec mury tarcz muszą się spotkać, wtedy zaczyna się rzeź, jedna strona zyskuje przewagę, a druga zostanie pokonana w chaosie krwawej jatki, ale zanim miecze się skrzyżują, a tarcze zderzą, wojownicy muszą zachować zimną krew, żeby przeprowadzić szarżę. Przeciwnicy mierzą się wzrokiem, szydzą z siebie i obrzucają się obelgami. Młodzi głupcy z obu armii wyskakują przed mur i wyzywają wroga do walki jeden na jeden, chełpią się tym, ile kobiet zostanie przez nich wdowami, a ile dzieci sierotami, które będą opłakiwać śmierć ojców. Staczają pojedynki i połowa z nich ginie, a druga połowa obnosi się swoim zwycięstwem, które w istocie nie jest zwycięstwem, bo mury jeszcze się nie spotkały. I nadal się czeka. Niektórzy rzygają ze strachu, inni śpiewają, jeszcze inni się modlą, aż w końcu jedna ze stron się ruszy. Wojownicy kulą się za tarczami, wiedząc, że włócznie, topory i strzały wyruszą im naprzeciw, nim tarcze o siebie uderzą. Dopiero kiedy są blisko, bardzo blisko, napastnicy rozpoczynają atak. A potem rozlega się ryk wściekłości, tarcze spotykają się z hukiem, brzeszczoty spadają z góry, miecze zadają pchnięcia i wrzask unosi się ku niebu, gdy dwa mury walczą na śmierć i życie. Tak właśnie prowadzi się bitwę.

A Kanut zmienił ów ustalony przebieg.

Zaczęło się zwyczajnie. Mój mur tarcz stanął na odległym krańcu brodu, który miał nie więcej niż dwadzieścia kroków szerokości. Ustawiliśmy się na zachodnim brzegu, ludzie Kanuta nadjechali ze wschodu, a kiedy dotarli do przecięcia dróg, zsiadli z koni. Chłopcy odprowadzili wierzchowce i powiedli je na pastwisko, tymczasem wojownicy zdejmowali tarcze i wybierali towarzyszy broni. Przybywali w grupach. Było jasne, że się spieszą, rozstawili się wzdłuż drogi, a ich liczba gwałtownie wzrastała. Zebrali się jakieś pięćset kroków od nas, gdzie uformowali kiel dzika. Tego się spodziewałem.

– Zadufane dranie – burknął Finan.

– A ty byś nie był?

– Pewnie tak – odparł.

Finan stał po mojej lewej stronie, po prawej mój syn. Powstrzymałem się przed udzielaniem rad Uhtredowi. Przez lata ćwiczył walkę w murze tarcz, opanował już wszystko, więc przypominanie mu tego świadczyłoby jedynie o moim zdenerwowaniu. Milczał. Patrzył tylko na wroga, świadom, że za chwilę będzie musiał po raz pierwszy wziąć udział w murze tarcz. Myślałem, że najpewniej zginie.

Próbowałem policzyć zbierającego się wroga i oszacowałem, że kiel dzika składa się z mniej więcej pięciuset wojowników. Mieli zatem nad nami przewagę liczebną dwa do jednego, a nadal nadchodzili kolejni. Byli wśród nich Kanut i Sigurd, ich chorągwie jaśniały nad tarczami. Dostrzegłem Kanuta, bo nadal siedział na swoim jasnym koniu, w środku klina z ludzi.

Kiel dzika. Zauważyłem, że nikt nie wyszedł na czoło, żeby zbadać bród, co oznaczało, że znają tę część kraju albo któryś z wojowników ją znał. Wiedzieli o przypominającej fosie rzece, a także że na drodze prowadzącej na zachód znajduje się fort otoczony niskimi wałami, które łatwo pokonać – nie musieli więc badać terenu. Wystarczyło, żeby ruszyli naprzód, a Kanut ustawił wojowników w kiel dzika, by nic nie mogło oprzeć się ich pochodowi.

Mur tarcz zwykle jest prosty. Dwa proste szeregi, które zderzają się ze sobą, a ludzie walczą, żeby zrobić wyłom w linii przeciwnika. Kiel dzika natomiast ma kształt klina. Szybko się porusza. Najwięksi i najodważniejsi wojownicy znajdują się na przedzie, a ich zadanie polega na przebiciu się przez mur tarcz wroga niczym włócznia wyważająca drzwi. Po złamaniu szeregów klin się rozszerza i rozrywa linie przeciwnika – tak mieli zginąć moi ludzie.

Żeby mieć pewność, że plan się powiedzie, Kanut wysłał wojowników, by przekroczyli rzekę na północ od nas. Ze wzgórza, na którym płonęły chaty, nadjechał chłopiec ze złymi wiadomościami.

– Panie? – zagadnął z niepokojem.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Godric, panie.

– Jesteś synem Grindana?

– Tak, panie.

– Nazywasz się więc Godric Grindanson – powiedziałem. – A ile masz lat?

– Chyba jedenaście, panie.

Miał zadarty nos, niebieskie oczy, a na grzbiecie skórzany płaszcz, należący zapewne do jego ojca, bo był znacznie dla niego za duży.

– A zatem co Godric Grindanson ma mi do powiedzenia? – zapytałem.

Chłopiec wskazał drżącym palcem północ.

– Przekraczają rzekę, panie.

– Ilu ich jest? I jak są daleko stąd?

– Hrodgeir mówi, że jest ich trzystu, panie, nadal są daleko na północy, ciągle nadchodzą kolejni. – Hrodgeir był Duńczykiem, któremu kazałem zostać na wzgórzu, żeby obserwował poczynania wroga. – I, panie... – ciągnął Godric, aż mu się głos załamał.

– Mów dalej.

– Powiedział, że na zachodzie jest jeszcze więcej ludzi, setki!

– Setki?

– Jadą pośród drzew, panie. Hrodgeir mówi, że nie może ich zliczyć.

– Nie ma wystarczająco dużo palców? – wtrącił się Finan.

Spojrzałem na przerażonego chłopca.

– Powiedzieć ci coś o bitwach, Godricu Grindansonie?

– Tak, panie, proszę.

– Jeden człowiek zawsze przeżyje. Zwykle jest to bard, a jego zadaniem jest napisanie pieśni opiewającej mężną śmierć jego towarzyszy. To zadanie dziś może przypaść tobie. Jesteś bardem?

– Nie, panie.

– Będziesz więc musiał nauczyć się pisać pieśni. Kiedy zobaczysz, że umieramy, pojedziesz na południe, najszybciej, jak będziesz mógł, i nie zatrzymasz się do chwili, aż znajdziesz się w bezpiecznym miejscu, w głowie ułożysz pieśń opowiadającą

o tym, że Sasi polegali bohaterską śmiercią. Zrobisz to dla mnie?

Kiwnął głową.

– Wracaj do Hrodgeira – rozkazałem. – Chcę, żebyś poinformował mnie, gdy zbliżą się ci z północy i z zachodu.

Odszedł. Finan szeroko się uśmiechnął.

– Dranie, otoczyli nas z trzech stron.

– Muszą być przerażeni.

– Zapewne srają pod siebie.

Spodziewałem się, że Kanut podejdzie do brodu, że zabierze ze sobą dowódców, żeby poużywali sobie, obrzucając nas obelgami. Zastanawiałem się, czy nie wziąć ze sobą jego syna – z nożem przy gardle, ale porzuciłem tę myśl. Chłopiec mógł zostać z Aethelflaed. Gdyby pozostał przy mnie, tylko bym go wystraszył. Nie wiedziałem też, co miałbym zrobić, gdyby Kanut kazał mi poderznąć gardło jego synowi. Zabić go? I tak musielibyśmy stoczyć bitwę. Darować mu życie? Kanut pogardliwie uznałby, że jestem słaby. Dzięki chłopakowi udało mi się ściągnąć Kanuta z nadgranicznych ziem Anglii Wschodniej do tego zakątka Mercji, teraz musiał czekać do zakończenia bitwy, żeby poznać swój los. Chwyciłem tarczę i wyciągnąłem Oddech Węża. W niemal każdym starciu murów tarcz używałem Żądła Osy, krótkiego miecza, który był śmiertelnie skuteczny, gdy znalazłem się w objęciach wroga. Tym razem jednak wolałem zacząć z dłuższym i cięższym mieczem. Podniosłem go, ucałowałem rękojeść i czekałem na nadejście Kanuta.

Tyle że on się nie pojawił, żeby obrzucać mnie obelgami, nie wystąpili też młodzi wojownicy, aby mierzyć się w pojedynkach.

Kanut natomiast wysłał nam naprzeciw kiel dzika.

Zamiast obelg i pojedynków rozległ się ryk okrzyku wojennego wydanego przez mężczyzn zebranych pod chorągwiami Kanuta i Sigurda, a potem wojownicy ruszyli naprzód. Szybko schodzili drogą. Teren był płaski, na ich drodze nie znajdowały się żadne przeszkody, utrzymywali więc zwarte szeregi. Ich tarcze ściśle do siebie przylegały. Zobaczyliśmy wymalowane na nich symbole, złamane krzyże, kruki, młoty, topory i orły. Ponad tymi szerokimi, okrągłymi tarczami wznosiły się hełmy

z osłonami twarzowymi, przez które wróg wydawał się ciemnooki i odziany w stal. Przed tarczami stali ciężkozbrojni włócznicy, ich miecze odbijały światło przenikające przez chmury, a poniżej tarcz setki stóp deptające ziemię w rytm ciężkich bębnow, które za kłęb dzika zaczęły wybijać wojenne rytmy.

Bez obelg, bez pojedynków. Kanut wiedział, że ma tak dużą przewagę liczebną, iż może podzielić swoje wojska. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem w oddali kolejnych jeźdźców przepływających się przez fosę. Pięciuset–sześciuset wojowników kroczyło w naszym kierunku i w końcu większa ich część znalazła się po naszej stronie rzeki. Gotowali się do ataku na nasze lewe skrzydło. Cały czas zjeżdżali się nowi konie, poruszający się na wolniejszych wierzchowcach, ale Kanut wiedział, że jego ludzie w formacji bojowej doskonale dadzą sobie radę ze stojącym przed nimi zadaniem. Szli z hukiem w naszą stronę, a w miarę jak się zbliżali, byłem w stanie dojrzeć twarze za osłonami policzkowymi, gorejące oczy i usta wykrzywione w ponurym grymasie. Widziałem Duńczyków nadchodzących, by nas zabić.

– Bóg jest z nami! – krzyknął Sihtric.

Dwaj księża cały dzień spowiadali ludzi, teraz jednak wycofali się za mur tarcz, uklękli i modlili się ze złożonymi dłońmi uniesionymi ku niebu.

– Czekać na rozkaz! – wrzasnąłem.

Mój mur tarcz wiedział, co ma robić: ruszyć w kierunku brodu, gdy klin dotrze do jego przeciwległego brzegu. Miałem zamiar spotkać się z nacierającym wrogiem niemal w połowie drogi przez rzekę, a później zamierzałem dokonać rzezi, zanim sam zginę.

– Czekać! – zawołałem.

Sądziłem, że Kanut się zatrzyma. Powinien kazać poczekać swoim ludziom do czasu, aż wojownicy nadjeżdżający z północy będą gotowi do ataku, ale on był zbyt pewny siebie. A czemu miałyby być inaczej? Kieł dzika miał nad nami przewagę liczebną, bez trudu powinien przebić się przez nasz mur tarcz, rozproszyć nasze szeregi i urządzić nam nad rzeką krwawą łaźnię. Więc nie czekał. Wysłał kieł dzika, który niemal osiągnął już przeciwległy brzeg.

– Naprzód! – krzyknąłem. – Powoli!

Szliśmy miarowym krokiem, nasze tarcze zachodziły na siebie, pewnie trzymaliśmy broń. Mieliśmy cztery szeregi. Ja stałem w środku pierwszego i czubek klina kierował się prosto na mnie, niczym szabla dzika gotowa przeorać ciało i mięśnie, ściągnąć i kolczugę, potrzaskać kości, wypruć flaki i zabarwić powolne wody rzeki saską krwią.

– Do ataku! – krzyknął jakiś człowiek z duńskich szeregów.

Duńczycy przekonali się, jak jest nas niewielu, i wiedzieli, że mają nad nami miażdżącą przewagę, pospieszyli więc wypełnieni chęcią mordownia, nadchodzili radośnie, w ich głosach pobrzmiwała groźba, tarcze nadal się stykały, usta wykrzywiały im grymas bitewnej nienawiści, jakby pędzili nam na spotkanie w przekonaniu, że bardowie będą opiewać tę wielką rzeź.

Wtedy dotarli do kamieni.

Rollo ułożył nierówną barierę z kamieni w najgłębszym miejscu brodu. Głazy były duże, każdy mniej więcej wielkości ludzkiej głowy, ale ukryte pod wodą. Niemal nie do zauważenia. Wiedziałem, że tam są, a ledwie mogłem je dostrzec, widziałem, że rzeka marszczy się niespokojnie wokół zatopionych kamieni, ale Duńczycy niczego nie zauważyli, bo trzymali wysoko tarcze, które zasłaniały im wodę. Patrzyli ponad tarcze, planując naszą śmierć, a wpadli na kamienie i znaleźli się w pułapce. Klin z wojowników niepowstrzymanie prący, aby urządzić nam rzeź, ogarnął chaos. Ludzie zaczęli się wywracać i mimo że ci, którzy znajdowali się po bokach klina, próbowali zatrzymać kroczących za nimi, oni popychali ich w przód na ukryte głazy. Wtedy uderzyliśmy.

Zabijaliśmy.

Tak łatwo zabijać ludzi ogarniętych przez chaos, a każdy, który zginął, stawał się przeszkodą dla tych z tyłu. Na czele klina szedł olbrzymi czarnowłose wojownik. Jego włosy wydobywały się spod hełmu jak grzywa dzikiego konia, broda zasłaniała połowę kolczego płaszcza, na tarczy nosił kruka Sigurda, a jego broń jaśniała od srebra i złota, które zdobył jako wojownik. Otrzymał zaszczytne miejsce, sam czubek kła dzika. W ręku trzymał topór, którym zamierzał rozłupać mi czaszkę i utorować drogę przez nasz mur.

Tymczasem wywrócił się do rzeki, twarzą do przodu, a ja zadałem mu mocny cios Oddechem Węża, przebijając jego kolczugę i trafiając w kręgosłup. Wygiął się w tył, kiedy obróciłem ostrze i wyrwałem broń, pchnąłem tarczą w przód, żeby uderzyć wojownika, który upadł na kolana i desperacko próbował ugodzić mnie mieczem. Oparłem stopę na plecach umierającego, uwolniłem ostrze i mocno pchnąłem. Czubek miecza zanurzył się w rozdziawionych ustach mężczyzny, tak że wydawało się, iż połyka Oddech Węża. Wepchnąłem mocniej broń, oczy mężczyzny szeroko się rozwarły, a z otwartych ust wypłynęła posoka. Moi ludzie rąbali, cięli i siekali Duńczyków, którzy ginęli, wywracali się albo umierali w wodzie od ran.

Wydaliśmy okrzyk. Nasz okrzyk bojowy, okrzyk wojenny, wykrzyčeliśmy naszą radość ludzi biorących udział w bitwie, którymi kieruje strach. W tamtej chwili nie miało znaczenia, że pisana jest nam śmierć, że nasz wróg ma przewagę liczebną, że choć wybiliśmy w pień cały kiel dzika, oni nadal mieli nad nami wystarczająco dużą przewagę liczebną, żeby nas zmiażdżyć. W tamtej chwili byliśmy sługami śmierci. My żyliśmy, a oni polegli. Ulga z tym związana napędzała jatkę. To my byliśmy rzeźnikami. Kiel dzika rozsypał się, został całkowicie rozbity, mur tarcz się nie załamał i to my zabijaliśmy. Nasze tarcze stykały się, staliśmy ramię przy ramieniu i powoli posuwaliśmy się naprzód, stąpając po ciałach wroga, znajdując przestrzenie między kamieniami, siekąc i zadając ciosy, rzucając włócznie w leżących wojowników, rozbijając hełmy toporami, przebijając mieczami ciała, tymczasem Duńczycy nadal nie byli w stanie pojąć, co się stało. Ludzie z tylnych szeregów napierali, wpychając przednie w pułapkę, prosto na nasze ostrza, choć nie można już było mówić o szeregach, bo kiel dzika Kanuta ogarnął zamęt. Chaos i panika rozprzestrzeniły się po całej czerwonej od krwi rzece, a powietrze rozbrzmiewało krzykami umierających ludzi, których flaki spływały do Tame.

W końcu ktoś po stronie Duńczyków zorientował się, że ta klęska jest klęską na własne życzenie i nie ma potrzeby, aby ich wojownicy ginęli od saskich mieczy.

– Wycofać się! – rozległ się rozkaz. – Wycofać!

A my szydziliśmy z nich. Wyśmiewaliśmy się. Nie ścigaliśmy ich, bo odrobinę bezpieczeństwa zapewniało nam trwanie na zachód od głazów zatopionych w brodzie.

Kamienie te usiane były martwymi i umierającymi, plątaniną skrwawionych ciał, które obciążone pancierzami tworzyły niski mur przecinający rzekę. Staliśmy pośród tego muru, wyzywaliśmy Duńczyków od tchórzy, cherlaków i wyśmiewaliśmy ich męskość. Oczywiście kłamaliśmy. Byli wojownikami i odważnymi ludźmi, ale my zostaliśmy skazani na zagładę i to była nasza chwila triumfu. Staliśmy więc po kolana w rzece z zakrwawionymi mieczami i ulgą wypełniającą nasze żyły rozgrzane strachem i wściekłością.

Niedobitki wojowników z klina, którzy nadal mieli nad nami przewagę liczebną, wrócili nad wschodni brzeg rzeki i ustawili się w mur tarcz, większy niż uprzednio, bo dołączyli do nich spóźnialscy. Było ich tam teraz kilkaset, może tysiąc, a my byliśmy pyszałkowatymi głupcami, którzy rozgromili kiel dzika mający zadać nam klęskę.

– Panie!

Hrodgeir Duńczyk zjechał ze wzgórza, na którym nadal płonął ogień, wysyłając próżną wiadomość w puste niebo.

– Panie – powtórzył niecierpliwie.

– Hrodgeir?

– Panie! – Odwrócił się w siodle i wskazał ręką, a ja za wzniesieniem zobaczyłem drugi mur tarcz. Ta linia również składała się z setki wojowników. Nadchodzili. Ludzie Kanuta przekroczyli fosę, zsiadli z koni i szli w naszą stronę. – Przykro mi, panie – powiedział takim tonem, jakby był odpowiedzialny za to, że nie zatrzymał drugiej fali ataku.

– Uhtredzie! – Zza rzeki dobiegł mnie ryk, Kanut stał na brzegu z rozstawionymi nogami i Lodową Furią w ręku. – Uhtredzie, ty wypierdku glisty! – wrzeszczał. – Chodź tu i walcz!

– Panie! – zawołał ponownie Hrodgeir, wpatrując się w zachód.

Spojrzałem również w tę stronę i zobaczyłem konnych napływających z lasu, aby opanować wzgórze. Setki wojowników. Mieliśmy więc wroga przed sobą, za sobą, a teraz także od północy.

– Uhtredzie, ty wypierdku glisty! – darł się Kanut. – Ośmielisz się ze mną walczyć? A może odwaga cię opuściła? Chodź tu i zgiń, ty kawałku gówna, ty

wypierdku, ty oślizgły bobku! Przyjdź do Lodowej Furii. Mój miecz tęskni do ciebie. Daruję twoim ludziom życie, jeśli zginiesz! Słyszysz mnie?

Wystąpiłem przed mur tarcz i spojrzałem na przeciwnika.

– Darujesz życie moim ludziom?

– Nawet twoja dziwka zachowa życie. Wszyscy będą mogli odejść! Daruję im życie!

– Jaką wartość mogą mieć obietnice składane przez człowieka, którego matka urodziła przez dupę?! – odkrzyknąłem.

– Czy mój syn żyje?

– Jest cały i zdrow.

– Twoi ludzie mogą wziąć go dla pewności. Będą żyli.

– Nie, panie – odezwał się żarliwie Finan. – On jest zbyt szybki. Pozwól mi stoczyć z nim walkę.

Norny się śmiały. Usiadły u stóp drzewa życia, dwie trzymały nici, a trzecia nożyce.

– Pozwól mi walczyć – powiedział Uhtred.

Ale *wyrd bið ful ãræd*. Zawsze wiedziałem, że ta chwila w końcu nadejdzie. Oddech Węża zmierzy się z Lodową Furią. Ruszyłem więc przez ciała wrogów, aby stoczyć walkę z Kanutem.

* Por. Rz 4, 18.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Urd, Werdandi i Skuld to Norny, boskie prządki, które u stóp Yggdrasilu, olbrzymiego jesionu podtrzymującego nasz świat, snują nić życia każdego z nas. W wyobraźni widzę je w pieczarze – nie takiej jak ta, gdzie usidliła mnie Erce, lecz znacznie większej, niemal bezkresnej, w upiornej pustce, przez którą przebija się gigantyczny pień drzewa świata. Tam wiją się i skręcają korzenie Yggdrasilu, wnikając w opokę wszechświata, a trzy boginie decydują o naszym losie.

Tego dnia wybrały dwie nici. Zawsze wyobrażałem sobie, że moja jest żółta jak słońce. Nie wiem dlaczego, ale tak sobie ją wyobrażam. Kanuta musi być biała jak jego włosy, jak wykonana z kości słoniowej rękojeść Lodowej Furii, jak płaszcz, który zrzucił z ramion, kiedy ruszył w moją stronę.

A zatem Urd, Werdandi i Skuld miały zdecydować o naszym losie. To nie są miłe kobiety – w istocie są strasznymi, złowrogimi wiedźmami, a nożyce Skuld słyną z ostrości. Cięcie ich ostrzy wywołuje łzy, które zasilają znajdującą się pod drzewem świata studnię Urd – to z niej pochodzi woda utrzymująca przy życiu Yggdrasil. Śmierć tego drzewa będzie oznaczała śmierć świata, dlatego studnia musi być pełna i z tego powodu muszą istnieć łzy. Płaczemy, żeby świat mógł przetrwać.

Żółta i biała nić. I wiszące nad nimi nożyce.

Kanut podszedł powoli. Spotkaliśmy się przy wschodnim krańcu brodu, gdzie woda była płytka – sięgała ledwie kostek. W prawej dłoni trzymał nisko Lodową Furię, ale mówiono, że potrafi z równą sprawnością posługiwać się obiema rękami. Nie miał tarczy, nie potrzebował jej. Był szybki – nie znałem nikogo szybszego – i mógł zasłonić się mieczem.

Ja miałem Oddech Węża. W porównaniu z Lodową Furią wydawał się grubo ciosany. Był dwa razy cięższy, miał dłuższą rękojeść i można zrozumieć, że niejeden

uznałby, iż moja długa głównia roztrzaska na kawałki ostrze miecza Kanuta. Mówiono jednak, że broń jarla została wykuta w lodowych jaskiniach bogów, w ogniu zimniejszym od lodu, jest niezniszczalna i bardziej giętka od języka węża. Trzymał ją nisko.

Dzieliło nas dziesięć kroków. Zatrzymał się i czekał. Uśmiechał się z lekka.

Zrobiłem kolejny krok. Woda opływała moje buty. Trzeba podejść do niego na tyle blisko, żeby nie miał miejsca, by użyć swojego bezwzględno ostrza – pomyślałem. Tego jednak mógł się spodziewać. Może więc powinienem się wycofać i pozwolić mu podejść do siebie.

– Panie! – usłyszałem głos dobiegający z tyłu.

Kanut podniósł miecz, choć nadal trzymał go od niechcenia. Głownia broni połyskiwała srebrem, kiedy poruszał bronią. Patrzył mi w oczy. Wojownik posługujący się orężem ze śmiertelnością skutecznością zawsze patrzy przeciwnikowi w oczy.

– Panie! – To był Finan.

– Ojcie! – zawołał ponagląco Uhtred.

Kanut spojrzał za mnie i wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Wcześniej wydawał się rozbawiony, teraz nagle na jego obliczu pojawił się niepokój. Zrobiłem krok w tył i odwróciłem się.

Zobaczyłem jeźdźców przybywających z zachodu, setki konnych wjeżdżających na wzniesienie, gdzie nadal dopalały się chałupy, wysyłając w niebo ciemny dym. Ilu ich było? Obejrzałem się na Kanuta, którego twarz zdradzała, że przybysze nie byli jego ludźmi. Wysłał swoje wojska na północ od nas, więc przybyli wojownicy mogli powstrzymać ich atak na nasze skrzydło. O ile byli Sasami.

Ponownie się obejrzałem i zobaczyłem, że przybysze zsiadli z koni, a chłopcy sprowadzali je ze wzgórza, a na wzgórzu, gdzie paliła się wieś, formował się nowy mur tarcz.

– Kto to jest?! – zawołałem do Finana.

– Bóg jeden wie! – odparł.

Ukrzyżowany rzeczywiście mógł to wiedzieć, bo nagle na horyzoncie rozpostarła

się olbrzymia chorągiew, a na niej ukazał się chrześcijański krzyż.

Nie byliśmy sami.

Cofnąłem się, niemal potykając się o zwłoki.

– Tchórz! – huknął Kanut.

– Powiedziałaś mi, co się stanie, gdy zginę, co jednak się stanie, gdy ty polegiesz? – zapytałem.

– Jeśli ja polegnę? – Wydawał się zaskoczony tym pytaniem, jakby nie brał pod uwagę takiej możliwości.

– Czy twoje wojska mi się poddadzą?

– Zabiją cię – warknął.

Wskazałem głową na wzgórze, gdzie za chorągwiami z krzyżem stali nowo przybyli wojownicy.

– Teraz będzie to odrobinę trudniejsze.

– Tylko więcej Sasów do wybicia – odparł Kanut. – Więcej plugastwa, z którego trzeba oczyścić te ziemie.

– Jeśli więc będziemy walczyć i ty wygrasz, podążysz na południe, żeby zmierzyć się z siłami Edwarda?

– Możliwe.

– A jeśli przegrasz, czy twoja armia mimo wszystko ruszy na południe?

– Nie przegram – warknął.

– To nie są uczciwe warunki. Chcę, żeby w wypadku mojej wygranej twoja armia przyjęła moje rozkazy – powiedziałem.

Roześmiał się, słysząc te słowa.

– Jesteś głupcem, Uhtredzie z Bebbanburga.

– Skoro moja śmierć niczego nie zmieni, dlaczego miałbym walczyć?

– Bo tak pisał nam los. Ty i ja – odrzekł Kanut.

– Jeśli zginiesz, twoi ludzie muszą przejść pod moje rozkazy. Powiedz im to.

– Powiem im, żeby naszczali na twoje zwłoki.

Najpierw musiał jednak mnie zabić, a ja byłem teraz silniejszy. Wojska przybyłe

pod ogromną chorągwią z krzyżem okazały się sojusznikami, nie wrogami. To ich zwiadowców musieliśmy zauważyć na zachodzie, a teraz znajdowali się na miejscu, i choć nie była to armia, wzgórze musiało przemierzać dwustu–trzystu wojowników, wystarczająco dużo, żeby powstrzymać Duńczyków, którzy przekroczyli rzekę na północ od nas.

– Jeśli mamy walczyć, walczmy uczciwie – powiedziałem Kanutowi. – Moi ludzie odejdą w przypadku twojej wygranej. Jeżeli ja wygram, twoi ludzie przejdą pod moje rozkazy.

Nic na to nie odpowiedział, a ja się odwróciłem i dołączyłem do swoich ludzi. Widziałem, że Duńczycy na północy zatrzymali się, zaniepokojeni nadejściem saskich wojsk, a większe siły Kanuta na drugim brzegu brodu nadal nie utworzyły muru tarcz. Zgromadziły się wzdłuż przeprawy, żeby obserwować pojedynek. Kanut gestem nakazał im uformować się w szeregi. Chciał przeprowadzić szybki atak, ale jego wojownikom musiało chwilę zająć ustawienie się w porządku bojowym z tarczami.

Kiedy ustawiali się ponownie w mur tarcz, ja torowałem sobie drogi przez swoje szeregi. Młody Aethelstan, na nic nie zważając, pędem zjeżdżał z pagórka, za nim podążała Aethelflaed, nie zwróciłem jednak na nich uwagi, bo z tej samej strony zbliżali się dwaj inni jeźdźcy. Jeden z nich był potężnym mężczyzną z brodą, odzianym w kolczugę i hełm. Drugi był mnichem. Nie miał na sobie pancerza, tylko długi czarny habit. Uśmiechnął się, kiedy do mnie dotarł.

– Pomyślałem, że będziesz potrzebował pomocy – powiedział.

– On zawsze potrzebuje pomocy – stwierdził większy mężczyzna. – Lord Uhtred wchodzi w gówno, a my musimy go z niego wyciągać. – Uśmiechnął się do mnie szeroko. – Pozdrowienia, przyjacielu.

To był ojciec Pyrlig, mój przyjaciel. Zanim został księdzem, był wielkim wojownikiem. Walijczyk dumny ze swego ludu. Jego broda była przyprószona siwizną, a włosy pod hełmem zupełnie białe, ale twarz jak zawsze wyrażała energię.

– Uwierzyłybyś, że cieszę się na twój widok? – zapytałem.

– Wierzę, bo wdepnąłeś w gówno, jakiego jeszcze nie widziałem – odparł Pyrlig. – Przyprowadziłem dwustu trzydziestu ośmiu ludzi. Ilu jest tych drani?

– Jakież cztery tysiące?

– O, to dobrze. Na szczęście jesteśmy Walijszykami. Cztery tysiące Duńczyków? Żaden problem dla ludzi z Walii.

– Wszyscy jesteście Walijszykami?

– Poprosiliśmy o pomoc – wyjaśnił drugi zakonnik. – Żeby mieć pewność, że światłość ewangelii nie zgaśnie w Brytanii, że poganie poniosą ostateczną klęskę, a miłość Chrystusa wypełni te ziemie.

– Chce przez to powiedzieć, że wiedział, iż wpadłeś w gówna, więc przyszedł do mnie i poprosił o pomoc, a ja akurat nie miałem nic lepszego do roboty.

– Poprosiliśmy dobrych chrześcijan o wyświadczenie przysługi – wyjaśnił młodszy zakonnik. – I ci ludzie nadeszli.

– „I usłyszałem głos Pana mówiącego: »Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł?« – powiedział dźwięcznym tonem Pyrlig, a ja zorientowałem się, że cytuje świętą księgę chrześcijan. – Odpowiedziałem: »Oto ja, poślij mnie!«”*. – Zamilkł i się uśmiechnął. – Zawsze byłem głupcem, Uhtredzie.

– Król Edward też nadchodzi – odezwał się młodszy zakonnik. – Musimy tylko przez jakiś czas zatrzymać Duńczyków w tym miejscu.

– Jesteś tego pewien? – zapytałem, nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia.

– Jestem pewien... – Zamilkł. – Ojciec. – Młodszy mnich to był ojciec Judasz, mój syn. Syn, którego obrzuciłem obelgami, pobiłem i którego się wyrzekłem. Odwróciłem się, żeby ukryć łzy w oczach. – Armie spotkają się na północ od Londynu – ciągnął ojciec Judasz. – Ale to było już tydzień temu. Dołączył do niego lord Aethelred i razem ruszyli na północ.

– Aethelred opuścił Anglię Wschodnią? – zapytałem. Trudno mi było uwierzyć w to, co słyszę.

– Kiedy udało ci się odciągnąć Kanuta od granicy, natychmiast ruszył na tereny znajdujące się na północ od Londynu.

– Londyn – powtórzyłem bezmyślnie.

– Mają się chyba spotkać z Edwardem na ziemiach leżących na północ od Londynu.

Westchnąłem. Kolejni Duńczycy przekraczali rzekę i mur tarcz Kanuta stawał się coraz szerszy. Teraz otaczał nas z każdej strony. To oznaczało, że nasza przegrana jest przesądzona. Odwróciłem się do człowieka, który kiedyś był moim synem.

– Obwiniałeś mnie o śmierć opata Wihtreda – powiedziałem.

– Był świętym człowiekiem – odparł oskarżycielsko.

– Był zdrajcą! Kanut go wysłał. Wykonywał ich rozkazy. – Wskazałem mieczem na Duńczyków. – To była intryga wymyślona przez Kanuta.

Ojciec Judasz patrzył na mnie bez słowa. Widziałem, że stara się ocenić, czy mówię prawdę.

– Zapytaj Finana albo Rolla. Na własne uszy słyszeli, że dzieci Kanuta mówią o wujku Wihtredzie. Wyświadczyłem przeklętym chrześcijanom przysługę, ale nie doczekałem się zbyt wielu wyrazów wdzięczności.

– Ale dlaczego Kanut chciał, żeby Aethelred wyruszył na poszukiwanie szczątków Świętego Oswalda? – zapytał Pyrlig. – Wiedział przecież, że ich odnalezienie doda odwagi Sasom, więc jaki miał w tym cel?

– Bo wcześniej stał kości na pył albo wrzucił je do morza. Wiedział, że nie ma tam żadnych szczątków.

– Ależ one tam były! – zaproponował triumfalnie ojciec Judasz. – Znaleźli je, Bogu niech będą dzięki.

– Znaleźli szkielet, który dla nich posiekałem, żółtodziobie. Zapytaj Osfertha, jeśli uda ci się dożyć spotkania z nim. Przez pomyłkę odrąbałem niewłaściwe ramię. A twój bezcenny Wihtred został wysłany przez Kanuta! I co mi na to powiesz?

Spojrzał w dal na wroga.

– Powiem, ojcze, że powinieneś wycofać się na wyżynę.

– Ty bezczelny draniu – rzuciłem.

Ale miał rację. Duńczycy byli już niemal gotowi do ataku, a ich mur był znacznie dłuższy od mojego, co oznaczało, że nas otoczą i zginiemy, dlatego naszą jedyną nadzieją było dołączenie do Walińczyków na wzgórzu. Miałem nadzieję, że razem uda nam się powstrzymać wroga do nadejścia odsieczy.

– Finanie! – krzyknąłem. – Na wzgórze, szybko!

Myślałem, że Kanut zaatakuje, kiedy zobaczy, że się wycofujemy, ale był zbyt zajęty zbieraniem ludzi, którzy nadal przybywali i ustawiali się w mur tarcz, teraz złożony z ponad ośmiu rzędów. Mogli przejść rzekę i osaczyć nas, gdy wycofywaliśmy się na szczyt wzgórza, uznali jednak zapewne, że dotrzemy tam, zanim zdołają nas dogonić, woleli więc zaatakować przeważającymi siłami w odpowiednim dla nich momencie.

Tym sposobem znaleźliśmy się na wzgórzu, naszej ostatniej desce ratunku. Nie było to wzniesienie mogące zniechęcić wroga. Jego zbocza były łagodne i łatwe do pokonania, ale znajdowały się na nim płonące budynki, które stanowiły poważną przeszkodę. Było ich siedem i nadal się paliły. Dachy się zawaliły, tak że każdy dom był teraz płonąca jamą, a nasz mur z tarcz wypełniał przestrzeń między buchającymi płomieniami. Walińczycy zwrócili się na północ, w stronę wojsk Kanuta, które przekroczyły rzekę, a moi ludzie na wschód i południe, gdzie Duńczycy skupili najliczniejsze siły. Złączyliśmy tarcze i obserwowaliśmy armię Kanuta przepływającą się przez bród.

Walińczycy śpiewali psalm wychwalający ukrzyżowanego boga. Mocnymi, głębokimi, wyrażającymi pewność głosami. Na szczycie wzgórza utworzyliśmy krąg z tarcz, broni i ognia. Pośrodku tego kręgu, w miejscu, gdzie powiewała chorągiew – i gdzie, jak sądziłem, w końcu zginą ci, którym uda się przeżyć najdłużej – ukryła się Aethelflaed. Ojciec Judasz i dwóch innych mnichów chodzili wzdłuż rzędów wojowników i udzielali błogosławieństwa. Chrześcijanie kolejno klękali, a oni dotykali grzebieni ich hełmów.

– Wierz w ciała zmartwychwstanie – powiedział do Sihtrica ojciec Judasz – żywot wieczny i niech pokój Boży oświeca cię na wieki.

– Mówiłeś prawdę o księdzu Wihtredzie? – zapytał mnie Pyrlig. Stał za mną w drugim rzędzie. Tego dnia, jak się wydawało, znów miał stać się wojownikiem. Trzymał w ręku ciężką tarczę z wymalowanym smokiem owiniętym wokół krzyża, a w drugiej dłoni krótką, mocną włócznię.

– Że wysługiwał się Kanutowi? Tak.

Pyrlig się zaśmiał.

- Cwany drań z tego naszego Kanuta. A ty jak się masz?
- Jestem wściekły.
- A więc nic się nie zmieniło. – Uśmiechnął się. – Na kogo jesteś wściekły?
- Na wszystkich.

Spojrzałem na południe, wypatrując wojsk Edwarda. Dziwne było to, jak spokojna wydawała się okolica pokryta pagórkami, żyznymi pastwiskami i kępami drzew. Ujrzałem łabędzia lecącego na zachód i unoszącego się wysoko na niebie nieruchomego sokoła. Było pięknie i pusto. Nie dostrzegłem żadnych wojowników.

– Pani! – Przecisnąłem się przez nasz cienki mur, żeby zobaczyć się z Aethelflaed. Syn Kanuta był obok niej. Pilnował go wysoki wojownik z obnażonym saksem.

- Lordzie Uhtredzie? – odpowiedziała mi.
 - Czy wybrałaś odpowiedniego człowieka, by wykonał to, co sugerowałem?
- Zawahała się, po czym przytaknęła.
- Ale Bóg ześle nam zwycięstwo.

Spojrzałem na wysokiego mężczyznę z obnażonym mieczem, a on podniósł krótką broń, na znak, że jest gotów wykonać rozkaz.

- Zadam głęboki i szybki cios, panie – powiedział.
- Kocham cię – zwróciłem się do Aethelflaed, nie dbając o to, kto mnie usłyszy.

Przez chwilę się jej przyglądałem, mojej złotej damie o wyrazistych rysach twarzy i niebieskich oczach, a potem szybko się odwróciłem, ponieważ rozległ się gromki krzyk.

Kanut nadjeżdżał.

Nadjechali w taki sposób, jak się spodziewałem. Powoli. Ich potężne tarcze były tak ogromne, że większość wojowników nie musiała walczyć, wystarczyło, że podążali za długim przednim szeregiem, który ciężkim krokiem szedł w stronę wzgórza. Pogańskie chorągwie powiewały wysoko. Duńczycy uderzali bronią w tarcze w rytm wybijany z tyłu przez ogromne bębny wojenne. Śpiewali, ale nie byłem w stanie rozróżnić słów. Walińczycy nadal intonowali pieśni.

Przepchnąłem się do pierwszego rzędu i zająłem miejsce między Finanem a Uhtredem, moim synem. Pyrlig stał za mną, jego wielka tarcza wznosiła się, aby chronić mnie przed włóczniami i toporami, które ciskano przed zwarciem się tarcz.

Zaczęło się od wyzwisk. Duńczycy byli wystarczająco blisko, żebyśmy mogli zobaczyć ich chronione hełmami wykrzywione twarze i usłyszeć szyderstwa.

– Wy tchórze, wasze kobiety będą naszymi dziwkami! – wykrzykiwali.

Kanut stał naprzeciw mnie. Z obu stron otaczali go rośli wojownicy we wspaniałym rynsztunku wojennym. Na ramionach mieli ciężkie bransolety. Byli ludźmi, którzy sławę zyskali podczas bitew. Włożyłem do pochwy Oddech Węża, a wyciągnąłem saks – Żądło Osy – który był znacznie krótszy. W ścisłości bitewnym długa broń przeszkadza, natomiast krótsza może być śmiertelna. Ucałowałem rękojeść miecza, a potem dotknąłem młota Thora na szyi. Kanut nadal trzymał w dłoni Lodową Furię, mimo że wziął tarczę. Była ona pokryta skórą wołową, na której czarną farbą wymalowano topór roztrzaskujący krzyż. Otaczający go wojownicy dzierżyli topory wojenne o długich trzonkach i szerokich żelźcach.

– Będą próbowali pozbawić mnie tarczy toporami, żeby Kanut mógł mnie wykończyć. Kiedy to zrobią, możecie zabić tych z toporami – powiedziałem.

Uhtred nic nie odpowiedział. Drżał. Nigdy wcześniej nie walczył w murze tarcz, może miał być to jego pierwszy i ostatni raz, ale starał się zachować spokój. Był ponury. Wiedziałem, co czuje. Znałem ten strach. Finan mamrotał coś po irlandzku, pewnie modlitwę. Podobnie jak ja dobył krótkiego miecza.

Duńczycy nadal wykrzykiwali obelgi. Byliśmy kobietami, dziećmi, gównem, tchórzami, trupami. Podeszli na odległość dwudziestu kroków i tam się zatrzymali. Zbierali odwagę, żeby ruszyć na wzgórze i spotkać się ze śmiercią. Dwóch młodszych wojowników wystąpiło przed szereg i zaczęło wyzywać nas na pojedynek, ale Kanut warknął, żeby wracali na swoje miejsce. Nie chciał, aby cokolwiek go rozpraszało. Zamierzał nas wszystkich wybić. Za szeregami pieszych czekali konni. Gdyby nasz mur się załamał i moi ludzie zaczęli uciekać na zachód, w jedynym kierunku, gdzie nie było Duńczyków, mieli ruszyć za nimi w pościg i ich zabić. Kanut nie tylko chciał sprawić nam krwawą łaźnię, miał zamiar nas unicestwić, pragnął, by bardowie

opiewali bitwę, którą przeżyła tylko jedna strona i w której wyniku ziemia opłła się saską krwią. Jego ludzie obrzucali nas wyzwiskami, a my patrzyliśmy na ich miecze, widzieliśmy zwarte tarcze i ciskane włócznie. Tylne szeregi rzucały w naszą stronę topory i włócznie, a my przykucnęliśmy i osłoniliśmy się tarczami w czasie, kiedy spadały na nas pociski. Jedna z włócznie mocno uderzyła w moją tarczę, ale się w nią nie wbiła. My również ciskaliśmy włócznie. Istniała niewielka szansa, że przebiją tarczę, ale wojownik, który musi sobie radzić z wbitym toporem lub włócznią wroga, ma utrudnioną walkę. Kolejne żeleźce uderzyło w moją tarczę, po czym Kanut wydał rozkaz:

– Teraz!

– Bóg jest z nami! – krzyknął ojciec Judasz.

– Zewrzeć szeregi! – wydał rozkaz Finan.

Nadeszli. Z wojennym okrzykiem, twarzami wykrzywionymi w grymasie nienawiści, uniesionymi tarczami, bronią w rękach. Może my też krzyczeliśmy, nasze twarze też szpeciła nienawiść, z pewnością zwarliśmy tarcze i chwyciliśmy za broń. Oni uderzyli, a ja upadłem na kolana, kiedy Kanut z całej siły grzmotnął mnie swoją tarczą. Zadał cios nisko, miał bowiem nadzieję, że odsłonię się na tyle, by wojownicy z toporami mogli zahaczyć o jej brzeg i wytrącić mi ją z rąk, ja jednak przewidziałem ten manewr, więc tarcza uderzyła o ołów, a ponieważ byłem cięższy od Kanuta, jarl musiał się cofnąć. Pyrlig osłonił mnie swoją tarczą, kiedy ludzie Kanuta chcieli dosięgnąć mnie toporami, a ja ani na chwilę nie pozostałem bez ruchu.

Posuwałem się do przodu i prostowałem. Topory uderzyły w tarczę Pyrliga, która pod wpływem ciosu ciężko opadła na mój hełm, ale ja ledwie to poczułem, bo szybko parłem naprzód, moja tarcza znalazła się poniżej osłony Kanuta i teraz on musiał unieść swoją. Jego przyboczni próbowali wyrwać broń z tarczy Pyrliga. Finan i Uhtred z okrzykiem przebili obu Duńczyków, ja jednak widziałem tylko tył swojej tarczy, ponieważ unosiłem ją coraz wyżej, a Lodowa Furia okazała się zbyt długa, żeby użyć jej w bitewnym ścisku. Tymczasem Żądło Osy było krótkie, mocne i ostre. Odsunąłem tarczę w lewo, zobaczyłem przed sobą jasną kolczugę i zadałem cios.

Uderzyłem z całej siły. Wykorzystałem lata doświadczenia wojennego i ćwiczeń.

Zadawszy pchnięcie, stanąłem. Uderzyłem Kanuta tarczą w bok. Jarl się odsłonił. Lodowa Furia skrzyżowała się z rękojeścią topora. Miałem zaciśnięte zęby, a moje dłonie ścisnęły rękojeść Żądła Osy.

Uderzyłem.

Cios wstrząsnął całym moim ramieniem. Mocno pchnąłem krótkie ostrze, poczułem, że Kanut się wycofuje po tym bezlitosnym uderzeniu, ale ja nie ustępowałem, pragnąłem wypruć przeciwnikowi flaki, wtedy jednak Duńczyk z lewej strony jarla opuścił tarczę, której krawędź uderzyła mnie w przedramię z taką siłą, że ponownie upadłem na kolana, a Żądło Osy cofnęło się pod wpływem mojego ruchu. Topór uniósł się nade mną, ale zawisł w powietrzu, a ręka dzierżąca tarczę opadła bez siły. W klatce piersiowej Duńczyka utkwiała włócznia rzucona przez stojącego za mną wojownika. Zadałem dodatkowy cios mężczyźnie, któremu po kolczudze na piersiach już spływała krew. Wojownik upadł. Uhtred zagłębił saks w gardle umierającego, po czym uwolnił ostrze, ja tymczasem uniosłem tarczę, żeby się zasłonić, i ponad jej krawędzią wypatrywałem Kanuta.

Nie mogłem go znaleźć. Zniknął. Czyżbym go zabił? Moje uderzenie mogło powalić wołu, wydawało mi się jednak, że miecz nie przebił kolczugi ani nie przeniknął przez skórę i mięśnie. Czułem, że zadałem cios ze śmiertelnością siłą, potężny niczym grzmot Odyna, i wiedziałem, że jeśli nie zabiłem Kanuta, musiałem poważnie go zranić. Nigdzie jednak go nie widziałem. Jego miejsce w szeregu zajął mężczyzna z blond brodą i ze srebrnym naszyjnikiem w kształcie podkowy. Wykrzykiwał do mnie, podczas gdy jego tarcza uderzyła o moją, i zaczęliśmy się przepychać. Próbowałem zadać pchnięcie, ale nie znalazłem żadnej szczeliny w szeregu. Pyrlig krzyczał o bogu, ale trzymał wysoko swoją tarczę. Włócznia uderzyła mnie w lewą kostkę, co oznaczało, że została rzucona przez wojownika przykucniętego w drugim szeregu Duńczyków, zadałem więc silny cios tarczą i mężczyzna z żółtą brodą upadł na włócznika. W szeregach wroga powstał wyłom, a Finan zajął to miejsce szybciej niż łasica spiesząca się do miodu. Jego miecz pił krew. Czubek klingi wbił się w gardło włócznika, niezbyt głęboko, ale jasna krew obficie wyciekała z rany. Finan obrócił ostrze, podczas gdy ja zadałem mocny cios mężczyźnie po swojej prawej stronie. Poczułem ból przedramienia w miejscu, gdzie

uderzyła mnie krawędź tarczy, ale Żądło Osy dotarło do ciała wroga, a ja poprowadziłem ostrze między żebra. Mój syn tymczasem zadał mu cios od dołu, zagłębiając miecz we flakach Duńczyka, który uniósł się, gdy Uhtred przesuwiał głownię ku górze.

Flaki, krew, połyskujące ogniwa kolczug, smród gówna unoszący się z trzewi umierających wdeptywanych w błoto, huk uderzających o siebie tarcz, a przecież walka trwała tylko chwilę. Nie wiedziałem, co się dzieje na płaskim, spowitym dymem wierzchołku wzgórza. Nie wiedziałem, kto z moich ludzi umiera ani czy wrogowi udało się zrobić wyłom w murze tarcz, ponieważ kiedy tarcze się spotkają, widać tylko to, co znajduje się bezpośrednio z przodu i z tyłu. Włócznia uderzyła mnie w lewe ramię, ale mnie nie zraniła. Nie zauważyłem, kto ją rzucił. Zrobiłem krok w tył, trzymałem wysoko tarczę, którą dotykałem brzegów tarcz stojących po obu moich stronach Finana i Uhtreda. Wiedziałem tylko, że nasza część muru wytrzymała atak i że udało nam się odeprzeć Kanuta. Duńczykom przeszkadzali teraz w marszu ich polegli ludzie, których ciała układały się w niewysoki wał przed nami. To sprawiało, że nasi przeciwnicy mieli utrudnione zadanie, a nam było łatwiej ich zabijać, a jednak nadal nacierali.

Walijczycy przestali śpiewać, co oznaczało, że przystąpili do walki. Słyszałem niewyraźne odgłosy bitwy toczącej się za mną, huk zderzających się tarcz, szcęk oręża, ale nie mogłem się odwrócić, bo wojownik z toporem zamachnął się żeleźcem na długim drzewcu, musiałem więc zrobić krok w tył i podnieść tarczę, żeby osłonić się przed ciosem. Uhtred wystąpił naprzód, depcząc po ciałach zabitych, i wycelował w gardło wojownika. Jedno szybkie pchnięcie do góry i ostrze przeszło przez gardło, usta, język i tylną część nosa. Zadawszy cios, Uhtred cofnął się, żeby znaleźć się poza zasięgiem duńskich mieczy. Zraniony przez niego wojownik trząsł się jak liść osiki, zapomniał o toporze w ogarniętej nagłą słabością dłoni, a z ust ciekła mu krew, spływając strugami po brodzie spiętej ciemnymi żelaznymi pierścieniami.

Po mojej lewej stronie rozległ się przerażający wrzask i nagle pośród smrodu posoki, ale i gówna poczułem zapach palącego się ciała. Jakiś człowiek został wrzucony do płonącej chaty.

– Powstrzymamy ich! – krzyknąłem. – Powstrzymamy ich! Niech te dranie po nas przyjdą! – Nie chciałem, żeby moi ludzie złamali szyk, aby ścigać rannych nieprzyjaciół. – Trzymajcie pozycje!

Wybiliśmy w pień pierwszy rząd wroga i zadaliśmy rany wojownikom z drugiego, Duńczycy przede mną cofnęli się o krok lub dwa. Żeby przeprowadzić atak, musieli teraz przejść po ciałach swoich zabitych i umierających ludzi, dlatego się wahali.

– Chodźcie do nas! – szydziłem. – Wyjdźcie naprzeciw śmierci!

Zastanawiałem się, gdzie podział się Kanut. Nie mogłem go dostrzec. Czy został ranny? Czy jego ludzie znieśli go ze zbocza, żeby umarł na tyłach, gdzie ogromne bębny nadal wybijały rytmy wojenne?

Kanuta nie było, ale zjawił się Sigurd Thorrson. Przyjaciół jarła, Sigurd, któremu zabiłem syna. Gestem kazał zrobić sobie miejsce.

– Zabiję cię! – wrzasnął do mnie.

Miał oczy obwiedzione czerwoną farbą, grubą, ciężką kolczugę i miecz z długim topornym brzeszczotem, szyję obwieszoną złotem, jego ramiona jaśniały od ozdób z cennych metali. Szedł w górę zbocza, szukając mnie, ale to mój syn wystąpił mu naprzeciw.

– Uhtredzie! – zawołałem.

On jednak nie zwrócił na mnie uwagi i tarczą odparował pchnięcie, operując saksem z młodzieńczym refleksem i siłą. Ostrze uderzyło o krawędź tarczy Sigurda, który chciał zadać mu cios w bok, ale jego uderzenie okazało się zbyt słabe, bo Duńczyk stracił równowagę. Wojownicy cofnęli się o dwa kroki i przez chwilę szacowali siły przeciwnika.

– Najpierw zabiję twojego szczeniaka – warknął Sigurd. – A potem ciebie. – Gestem ręki kazał swoim ludziom cofnąć się o krok, żeby zyskać miejsce do walki, po czym wskazał mieczem na mojego syna. – Chodź no tu, chłopczyku, chodź i zgiń.

Uhtred się roześmiał.

– Jesteś tłusty jak biskup – powiedział do Sigurda. – Wyglądasz jak wieprz spasiony na święta. Jesteś nadętym kawałkiem gówna.

– Szczeniak – rzucił Duńczyk i zrobił krok naprzód.

Trzymał wysoko tarczę, a w prawej ręce kołysał mieczem. Pomyślałem, że Uhtred ma znacznie mniejsze szanse, bo walczył saksem, i nawet chciałem rzucić mu Oddech Węża. A wtedy on opadł na ziemię.

Ukląkł na jedno kolano, trzymając tarczę nad sobą niczym dach, po którym długi miecz Sigurda bezsilnie się ześliznął. Wówczas mój syn wstał, dzierżąc pewnie saks, po czym wykonał manewr tak szybko i płynnie, że wydawało się, iż robi to bez najmniejszego wysiłku. Krótkie ostrze przebiło pancerz Sigurda i zagłębiło się w jego trzewiach, a Uhtred, nadal się podnosząc, całą siłą ciała napierał na broń, która wbiła się głęboko w brzuch wroga.

– W imię mego ojca! – krzyknął Uhtred, prostując się.

– Dobry chłopak – mruknął Finan.

– I w imię Boga Ojca – dodał Uhtred, unosząc ostrze – Ojca i Syna – ciągnął, podnosząc broń wyżej – Ojca i pieprzonego Ducha Świętego.

Wymawiając te słowa, całkowicie się wyprostował. Tym sposobem rozciął kolczugę oraz ciało Sigurda od pachwiny po klatkę piersiową i tam zostawił ostrze w rozprutym tułowiu, a wolną ręką wyrwał mu miecz z dłoni. Zdobytą bronią zadał cios w hełm przeciwnika, a wtedy olbrzym upadł we własne flaki, które wylały się na ziemię. Grupa Duńczyków ruszyła, żeby pomścić wodza, wyszedłem więc naprzód, by wciągnąć syna do szeregu. Uhtred uniósł tarczę, aby dotknęła brzegu mojej tarczy. Śmiał się.

– Ty głupcze – powiedziałem.

Śmiał się nadal, kiedy tarcze uderzyły o siebie. Duńczycy deptali po zwłokach i ślizgali się na wnętrznościach. My też mieliśmy udział w tej rzeźni. Żądło Osy przebijało kolczugę i klatkę piersiową, wysysając życie z mężczyzny, który sapał mi kwaśnym oddechem w twarz, później jego trzewia puściły i czułem już tylko zapach gówna. Uderzyłem tarczą w twarz innego i wycelowałem Żądło Osy w jego brzuch, ale nim się cofnął, zdążyłem tylko przeciąć jego kolczugę.

– Z Bożą pomocą wytrzymamy – rzekł ze zdziwieniem Pyrlig.

– Bóg jest z nami! – krzyknął ojciec Judasz. – Paganie zginą!

– Nie wszyscy – mruknąłem.

Następnie zacząłem nawoływać Duńczyków, żeby wyszli śmierci naprzeciw, szydzić z nich i błagać, by walczyli ze mną.

Próbowałem wytłumaczyć to uczucie kobietom, ale niewiele z nich potrafiło to pojąć. Rozumiały mnie Gisela i Aethelflaed, ale większość patrzyła na mnie z obrzydzeniem, kiedy mówiłem o radości z walki. Bitwa jest obrzydliwa. Niszcząca. Przerazająca. Cuchnie. Unieszczęśliwia. Przynosi śmierć przyjaciół, rany, ból, łzy i umieranie w męczarniach, a mimo to jest radością. Chrześcijanie mówią o duszy, ale ja nigdy nie widziałem, nie czułem smaku czy zapachu ani nie dotknąłem czegoś takiego. Może jednak dusza to duch człowieka, który w czasie walki unosi się jak sokół na wietrze. Bitwa zabiera człowieka na skraj rozpacz, daje mu wyobrażenie o chaosie, który zapanuje wraz z końcem świata. Trzeba żyć na tym skraju i w tym chaosie, i to daje ową radość. Łkamy i się radujemy. Czasem, gdy zapada noc, a zimowe dni są krótkie, sprowadzamy do dworu wędrownych artystów, którzy śpiewają, robią sztuczki, tańczą, niekiedy żonglują. Widziałem człowieka wyrzucającego w górę pięć ostrych wirujących mieczy. Wydaje się, że któreś ciężkie ostrze podczas spadania musi w niego trafić, jemu jednak jakoś udaje się chwycić je w powietrzu i ponownie podrzucić. To jest właśnie skraj rozpacz. Zrób to, jak należy, a będziesz czuł się jak bóg, jeśli jednak popełnisz błąd, staniesz we własnych flakach.

My zrobiliśmy wszystko, jak należy. Wycofaliśmy się na wzgórze, gdzie ustawiliśmy mur tarcz w krąg, nie można więc było nas podejść i przeciwnikowi na nic zdała się jego przewaga liczebna. Chociaż oczywiście koniec końców miała znaczenie. Nawet gdybyśmy walczyli jak demony piekielne, wreszcie zmęczyliby nas i pokonali, ale ludzie Kanuta nie mieli czasu zadać nam klęski. Walczyli, posuwali się naprzód, powoli zdobywali przewagę i w pewnym momencie zacząłem godzić się z myślą, że pisana jest nam śmierć. Tyle że nacisk umierających wojowników z tarczami, których pchali ich towarzysze z tyłu, nagle ustąpił.

Przez chwilę sytuacja wydawała się beznadziejna. Duńczycy przekroczyli linię utworzoną przez zabitych i starli się z nami tarczami, wojownicy z tylnych szeregów pchali tych z przodu, a jednocześnie oddziały po bokach zaczęły intensywniej ciskać włócznie i topory. Zabiłem człowieka przede mną, wbiłem Żądło Osy w jego pierś i poczułem ciepłą krew na osłoniętej rękawicą dłoni, zobaczyłem, że jego oczy gasną,

głowa opada, ale on nie zwał się na ziemię. Podtrzymały go mój miecz i tarcza jego towarzysza z tyłu. Duńczyk z tyłu nacierał z całą siłą, tak że pod naporem zabitego wojownika musiałem się cofnąć. Nie mogłem nic zrobić prócz zepchnięcia go na ziemię tarczą, ale to groziło, że otrzymam cios toporem na długim drzewcu. Pyrlig próbował odeprzeć broń, a to znaczyło, że nie mógł mnie pchać w przód, zaczęliśmy więc krok po kroku się cofać. Widziałem, że Duńczycy dążą do tego, abyśmy zbili się w niewielką grupkę, którą będą mogli wyciąć w pień.

Udało mi się zrobić szybko krok w tył, dzięki czemu pojawiło się trochę miejsca i martwy przeciwnik padł na ziemię, ruszyłem do przodu, stanąłem na plecach zmarłego i zadałem cios wojownikowi z toporem. Coś uderzyło w mój hełm z taką siłą, że przez chwilę nie widziałem nic poza ciemnością z jasnymi punkcikami, ale mimo to mocno trzymałem broń i zadawałem cios za ciosem. Później znów zaczęliśmy napierać. Rozległo się uderzenie tarczy o tarczę. Ktoś walnął toporem w moją tarczę, zmuszając mnie do jej opuszczenia, włócznia przeleciała nad jej krawędzią, trafiła mnie w ramię i uderzyła w kość, zasłoniłem się więc, czując przeszywający ból w ramieniu, Żądło Osy odnalazło ciało wroga, a ja przekręciłem ostrze miecza w ranie. Mój syn odrzucił tarczę, która zmieniła się w drzazgi utrzymywane w jednym kawałku przez skórę, i dwuręcznym mieczem Sigurda walczył z Duńczykami. Finan w przyuczajonej pozycji celował mieczem w szczeliny między tarczami, a wojownicy za nami ciskali włócznie w brodate twarze. Nikt już nie krzyczał. Ludzie charczeli, przeklinali, jęczeli i znów klęli.

Nacierające wojsko zmuszało nas do wycofania. Wiedziałem, że w pewnym momencie dotrzemy do linii palących się zabudowań, a wówczas powstaną luki w naszym murze, które Duńczycy czym prędzej wypełnią, żeby od środka rozpocząć rzeź naszych szeregów. W ten sposób umrę – pomyślałem i silniej zacisnąłem dłonie na Żądle Osy, ponieważ w chwili śmierci musiałem trzymać miecz, żeby zaprowadził mnie do Walhalli, gdzie miałem pić i ucztować ze swoimi wrogami.

A potem nagle natarcie osłabło. Duńczycy niespodziewanie zaczęli się cofać. Nadal walczyli. Warcząca bestia waliła toporem w moją tarczę, rozłupała jej krawędź i próbowała wyrwać mi ją z rannej ręki. Uhtred stanął przede mną i zadał nisko cios, tak że wojownik musiał się odsłonić, a mój syn zdobyczym mieczem – chyżo jak lot

zimerodka – poderżnął mu gardło i broda olbrzyma zabarwiła się na czerwono od kapiącej krwi. Uhtred zrobił krok w tył. Jakiś Duńczyk podążył za nim, a mój syn wzgardliwie sparował jego uderzenie i wbił miecz w pierś napastnika. Mężczyzna przewrócił się w tył, ale teraz nie było nikogo, żeby go powstrzymać, a ja uświadomiłem sobie, że Duńczycy się wycofują.

Bo nadjechał Edward w Wessexu.

Bardowie opiewają rzezie, chociaż na polach bitwy widywałem ich bardzo niewiele, a ci, których spotkałem, zwykle chlipali na tyłach, zasłaniając oczy dłońmi. Jednakże bitwa pod Teotanheale była warta tego, aby opisał ją największy poeta. Bez wątplenia słyszeliście pieśń sławiącą triumf króla Edwarda, to jak wyciął w pień duńskiego wroga, jak brodził we krwi pogan, a bóg zesłał mu zwycięstwo, które do końca świata przetrwa w pamięci potomnych.

To nie do końca prawda. W rzeczywistości Edward przybył w chwili, kiedy było już po wszystkim, choć wziął udział w bitwie i walczył dzielnie. To mój przyjaciel Steapa wzbudził panikę wśród Duńczyków. Nazywano go Steapą Snotorem – Roztropnym – co jest okrutnym żartem, bo inteligentny to on nie był. Myślał wolno, był jednak lojalny i nieustraszony w walce. Urodził się jako niewolnik, ale awansował na dowódcę dworskich wojsk Alfreda, a Edward miał na tyle rozumu, żeby zachować go na służbie. Steapa dowodził saską jazdą, która zaatakowała tylne szeregi wroga.

To prawda, że mężczyźni, którzy nie odczuwają radości z walki, boją się stanąć w murze tarcz, zajmują pozycję na tyłach. Niektórzy z nich – może większość – byli pijani, bo wielu używa ale albo miodu dla animuszu. Są to najgorsze oddziały, więc kiedy konne oddziały dowodzone przez Steapę ich zaatakowały, zaczęła się rzeź, a ta szybko prowadzi do wybuchu paniki.

Siły duńskie się załamały.

Oddziały na tyłach tworzyły luźny szyk, ich tarcze się nie stykały, nikt nie spodziewał się ataku i ludzie się rozpierzchli, jeszcze zanim Steapa do nich dotarł. Rozbiegli się w poszukiwaniu wierzchowców, a saska konnica ich stratowała. Pozostali Sasi utworzyli nowy mur tarcz w brodzie, więc okazało się, że

wypatrywałem nadejścia Edwarda z niewłaściwej strony. Sądziłem, że przybędzie z południa, tymczasem on nadjechał rzymską drogą z Tameworthig, odsiecz więc nadciągnęła ze wschodu. Sasi rozwinęli chorągiew Wessexu ze smokiem, a tuż obok powiewała chorągiew Aethelreda z krocącym koniem. Nagle wybuchnąłem głośnym śmiechem, bo zauważyłem też trzeci maszt chorągwi, wznoszący się pośrodku pospiesznie uformowanego muru tarcz, zamiast flagi zawieszono na nim szkielet bez czaszki i jednego ramienia. Święty Oswald przybył walczyć za swój lud, a jego kości górowały nad wojskami Sasów zachodnich i Mercjan. Mur tarcz stawał się coraz dłuższy, podczas gdy konni Steapy zganiaли uciekających Duńczyków jak wilczarze rozproszone stado kóz.

Ktoś jednak powstrzymał panikę wśród Duńczyków. Ich walka nie była jeszcze przegrana. Tyły muru tarcz załamały się i zostały wycięte przez mściwych konnych Steapy, ale setki duńskich wojowników ruszyły na wschód w stronę rzeki, gdzie jakiś człowiek wykrzykiwał rozkazy, aby uformowali nowy mur tarcz. A oni to zrobili. Pamiętam, że pomyślałem z podziwem, jakimi są wspaniałymi wojownikami. Zostali zaskoczeni i ulegli panice, a mimo to odnaleźli w sobie wystarczająco dużo dyscypliny, aby zawrócić i ponownie stanąć do boju.

Mężczyzna wykrzykujący rozkazy dosiadał konia.

– To jest Kanut – powiedział Finan.

– Myślałem, że drań nie żyje.

Już nie walczyliśmy. Duńczycy uciekli, a my staliśmy na wzgórzu otoczonym ciałami skąpanymi we krwi, wewnątrz kręgu z ciał. Niektórzy wojownicy jeszcze żyli.

– To jest Kanut – powtórzył Finan.

To był Kanut. Teraz widziałem jego białą postać pośród szeregów mężczyzn ubranych w siwe kolczugi. Jechał konno pod swoją olbrzymią chorągwią, nieustannie obracając się w siodle i obserwując Sasów przemierzających bród. Za wszelką cenę chciał uratować jak najpokaźniejszą część swoich wojsk. Największe szanse miał na to, udając się na północ, ponieważ siły Edwarda i Aethelreda uniemożliwiły ucieczkę na południe. Konni Steapy pustoszyli zachód, ale pozostały jeszcze oddziały duńskie, które mimo że nie zdołały złamać muru Walińczyków, zachowały dyscyplinę podczas

wycofywania się ze wzgórza. Kanut prowadził niedobitki swoich wojsk ku tym oddziałom, przez wąskie pastwiska między rzeką a wzgórzem. Stracił niemal wszystkich jeźdźców, a jedna czwarta jego wojowników poległa, odniosła rany albo uciekła, nadal jednak dysponował potężną armią i zamierzał poprowadzić ją na północ, gdzie miał nadzieję znaleźć miejsce odpowiednie na postój.

Wojska Edwarda formowały szeregi, natomiast ludzie Steapy nie mieliby szans w walce z nowym murem tarcz Kanuta. Konni są w stanie wybić uciekających wojowników, ale nie nadają się do przeprowadzenia ataku na mur tarcz, co oznaczało, że Kanut chwilowo nie musiał się niczego obawiać. Uciekał niczym niezagrożony. Znałem tylko jeden sposób, żeby go zatrzymać.

Chwyciłem konia Aethelstana i ściągnąłem chłopca z siodła. Zaprotestował krzykiem, ale ja wziąłem go pod pachę, włożyłem stopę w strzemię i dosiadłem wierzchowca. Chwyciłem za cugle i popędziłem konia w stronę rzeki. Walińczycy znajdujący się na wschód od wzgórza rozstąpili się, żeby pozwolić mi przejechać. Pognałem w drażniący dym unoszący się z dogasającej pożogi, dotarłem do polanki na szczycie wzgórza, pogalopowałem w dół i dogoniłem Duńczyków.

– Uciekasz, ty tchórze? – wrzasnąłem do Kanuta. – Nie w smak ci dalsza walka, ty wypierdku glisty?

Zatrzymał się i zawrócił w moją stronę. Jego ludzie też stanęli. Jeden z wojowników rzucił w moim kierunku włócznię, ale broń mnie nie dosięgnęła.

– Uciekasz? – szydziłem. – Porzucasz syna? Sprzedam go jako niewolnika, Kanucie, synu Gnojka. Sprzedam go jakiemuś tłustemu Frankowi, który lubi małych chłopców. Tacy ludzie dobrze płacą za świeże mięso.

Kanut połknął haczyk. Opuścił szereg i ruszył w moją stronę. Zatrzymał się kilka kroków ode mnie, wysunął stopy ze strzemion i ześliznął się z siodła.

– Tylko ty i ja – rzucił, wyciągając Lodową Furię. Nie trzymał tarczy. – To jest przeznaczenie – powiedział niemal łagodnym tonem, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. – Taka jest wola bogów, chcą jednego z nas. Pragną się przekonać, kto jest najlepszy.

– Nie masz dużo czasu – odparłem. Edward już prawie uformował mur tarcz

i docierały do mnie okrzyki dowódców, którzy pilnowali, żeby szeregi były odpowiednio zwarte.

– Nie potrzebuję czasu, żeby zakończyć twój nędzny żywot. A teraz zsiadaj z konia i walcz.

Zeskoczyłem na ziemię. Pamiętam, że zdziwił mnie widok dwóch kobiet na drugim brzegu rzeki wyszukujących cenne ziarna na rżysku i najwyraźniej zupełnie obojętnych wobec dwóch armii za rzeką. Trzymałem w ręku tarczę, ale ramię i ręka mnie bolały. Czulem palenie w mięśniach, a kiedy podniosłem tarczę, ukłucie bólu sprawiło, że się wzdrygnąłem.

A Kanut przeszedł do ataku. Biegł w moją stronę, z Lodową Furią w prawej dłoni wymierzona w moją lewą skroń, uniosłem tarczę mimo bólu, ale jakimś cudem – nie mam pojęcia jakim – brzeszczot dosięgnął moich żeber i zapamiętałem uczucie zdumienia tym, jak sprawny i szybki był ten cios. Oddech Węża odparował jednak ostrze, a ja próbowałem podnieść miecz, żeby zadać pchnięcie przeciwnikowi, Kanut zdążył jednak wcześniej skierować broń w stronę mojej szyi i musiałem zrobić unik. Usłyszałem uderzenie ostrza o hełm, zaatakowałem go tarczą, wykorzystując cały ciężar swojego ciała, ale on znów uskoczył, ponownie zadał cios i tym razem przeciął kolczugę, raniąc mnie w brzuch. Szybko zrobiłem krok w tył, dzięki czemu ostrze wysunęło się z rany, ale poczułem krew spływającą po skórze. A potem ja uderzyłem Oddechem Węża z lewej strony, celując w jego ramię, tak że musiał się cofnąć, ale gdy tylko ostrze przeszło obok niego, znów natarł, a mnie udało się zatrzymać jego broń dolną częścią tarczy i zadałem mu cios w głowę. Brzeszczot głośno zabrzączał na jego hełmie, ale Kanut zdążył się odsunąć i uderzenie w rzeczywistości pozbawione było siły. Nieustannie go poszturchiwałem i zobaczyłem, że zaciska zęby, udało mu się wyrwać Lodową Furię z mojej tarczy, po czym wycelował miecz w moją lewą stopę. Poczułem przeszywający ból. Wycelowałem Oddech Węża w jego twarz, żeby zmusić go do cofnięcia się. Zrobił krok w tył, a ja podążyłem za nim, kołysząc bronią, ale wdepnąłem ranną nogą w krowi placek i upadłem na prawe kolano, a Kanut – który krwawił z nosa – przeszedł do ataku.

Był szybki. Niczym błyskawica. Jedynym sposobem, żeby go spowolnić było

pozostawanie z nim w bliskim kontakcie, osaczenie go. Wstałem więc i używając tarczy do osłony przed ciosami, jednocześnie starałem się uderzyć go nią w twarz. Byłem od niego wyższy i cięższy, musiałem wykorzystać te swoje cechy, żeby go obezwładnić, on jednak doskonale wiedział, co robię. Na jego pokrytej krwią twarzy błysnęły zęby, które wyszczerzył w uśmiechu. Zrobił zamach Lodową Furią, której ostrze uderzyło mnie w bok hełmu, po czym się cofnął z wahaniem, był to jednak podstęp, ponieważ chwilę później spróbował ugodzić mnie w twarz. Udało mi się odparować ostrze, które znów trafiło w hełm.

Roześmiał się.

– Nie jesteś wystarczająco dobry, Uhtredzie.

Zatrzymałem się, dysząc. Patrzyłem na niego, ale on przejrzał mój podstęp. Uśmiechnął się i opuścił Lodową Furię, jakby zachęcając mnie do zadania ciosu.

– Dziwne – odezwał się. – Ale cię lubię.

– Też cię lubię – odrzekłem. – Myślałem, że zginąłeś na wzgórzu.

Prawą ręką dotknął ciężkiej żelaznej sprzączki od pasa do miecza.

– Trafiłeś w to – powiedział. – Całkiem straciłem oddech. Bolało, naprawdę mocno. Przez chwilę nie mogłem oddychać i moi ludzie wyciągnęli mnie z szeregu.

Podniosłem Oddech Węża, a on uniósł Lodową Furię.

– Następnym razem to będzie twoje gardło – zapowiedziałem.

– Jesteś szybszy od większości ludzi – odrzekł. – Ale niewystarczająco.

Jego wojownicy stali u podnóża pagórka i obserwowali nas, a moi i Walińczycy patrzyli z jego szczytu. Nawet mur tarcz Edwarda zatrzymał się, żeby popatrzeć.

– Twoja śmierć – powiedział Kanut, wskazując Lodową Furią na armię Sasów zachodnich i Mercjan – sprawi, że opuści ich odwaga. Dlatego muszę cię zabić, ale zrobię to szybko. – Wyszczерzył zęby. Krew zabarwiła jego płowe wąsy i nadal ciekła mu z nosa. – Nie będzie bardzo bolało, obiecuję, więc trzymaj mocno miecz, przyjacielu, spotkamy się w Walhalli. – Zrobił krok naprzód.

Spojrzałem na prawo, gdzie wojska Edwarda przekraczały bród.

– Ruszyli – powiedziałem.

Kanut spojrział w tamtym kierunku, a ja skoczyłem w jego stronę. Naskoczyłem na

niego w ułamku sekundy, kiedy odwrócił wzrok, szybko jednak odzyskał uwagę i podniósł Lodową Furię, żeby ugodzić mnie w twarz. Poczułem ostrze na kości policzkowej i cięcie między czaszką a hełmem. Wydałem z siebie wojenny okrzyk – choć sam nie byłem tego świadom – zamierzyłem się tarczą, chcąc powalić go na ziemię, ale on uniknął mojego uderzenia jak wąż, cofnął rękę trzymającą miecz i zranił mnie w policzek. Zadałem mu cios tarczą w prawe ramię, wykorzystując do tego uderzenia cały swój ciężar i wszystkie siły, mimo to ponownie udało mu się zrobić unik. Znow zaatakowałem, ale on zdołał uniknąć ciosu, który był na tyle szeroki, że zmusił mnie do rozwarcia ramion, przez co odsłoniłem lewą stronę, kiedy prawą wykonałem pchnięcie. Zobaczyłem, że Kanut przełożył Lodową Furię do lewej ręki, i ujrzałem jego ostrze nacierające na mnie jak błyskawica. Poczułem cios, który przebił kolczugę, skórę i żebro. Duńczyk gromkim głosem ogłaszał swoje zwycięstwo, kiedy ja podniosłem Oddech Węża i zadałem ostatnie, rozpaczliwe uderzenie w hełm wroga. Kanut był tak osłupiały ze zdumienia, że cofnął się, potknął i zatoczył do tyłu, a ja rzuciłem się na niego. Czułem palący ból w klatce piersiowej, w której tkwiła Lodowa Furia, mimo to przyłożyłem Oddech Węża do jego gardła i pamiętam, że przesuwałem ostrze i widziałem powstającą ranę, z której krew chlusnęła mi w twarz, a mój wojenny okrzyk zmienił się w krzyk bólu, kiedy obaj upadliśmy na trawę.

A potem już nic nie pamiętam.

– Cisza. – Usłyszałem głos. – Cisza! – powtórzył głośniejsze.

Płonął ogień. Czułem, że w niewielkim pomieszczeniu zgromadziło się dużo ludzi. Unosił się zapach krwi, przypalonego chleba, dymu i zbutwiałych mat podłogowych z sitowia.

– Nie umrze – stwierdził ktoś inny, ale nie obok mnie.

– Włócznia przebiła mu czaszkę?

– Wyciągnąłem kość, teraz pozostaje nam się modlić.

– Ale ja nie zostałem ranny w głowę, tylko w pierś – powiedziałem. – Jego miecz ugodził mnie w klatkę piersiową. Z dołu, od strony lewego boku.

Nie zwrócili na mnie uwagi. Zastanawiałem się, dlaczego nic nie widzę.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem błysk w ciemności.

– Lord Uhtred się poruszył. – To był głos Aethelflaed, a ja poczułem jej drobną dłoń na lewej ręce.

– Klatka piersiowa, powiedz im, że jestem ranny w pierś. Nie w głowę.

– Głowa się goi – odezwał się ten sam męski głos, który mówił o wyciąganiu kości.

– Nie chodzi o głowę, głupcze.

– On chyba próbuje coś powiedzieć – zauważyła Aethelflaed.

Trzymałem coś w prawej dłoni. Zacisnąłem palce i poczułem znajomą szorstkość skózanego rzemienia. Oddech Węża. Poczułem ulgę, bo wiedziałem, że cokolwiek się stanie, mam go przy sobie i on poprowadzi mnie do Walhalli.

– Walhalla – powiedziałem.

– Chyba tylko jęczał – stwierdził mężczyzna obok mnie.

– Nigdy nie dowie się, że zabił Kanuta – odezwał się inny mężczyzna.

– Dowie się! – odparła gniewnie Aethelflaed.

– Pani...

– Dowie się – powtórzyła z uporem, a jej palce zacisnęły się na moich.

– Wiem to – powiedziałem. – Poderżnąłem mu gardło. Oczywiście, że wiem...

– Tylko jęczy – odezwał się tuż obok mnie męski głos.

Tkanina o grubym splocie dotknęła moich warg, później poczułem chłodniejsze powietrze i usłyszałem ludzi wchodzących do izby. Kilka osób mówiło równocześnie, potem ktoś do mnie podszedł i czyjaś ręka dotknęła mojego czoła.

– On żyje, Finanie – rzekła łagodnie Aethelflaed.

Finan milczał.

– Zabiłem go. Ale był szybki. Nawet szybszy od ciebie – powiedziałem mu.

– Słodki Jezu! – Usłyszałem głos Finana. – Nie wyobrażam sobie życia bez niego. – Wydawał się załamany.

– Ja żyję, ty irlandzki draniu. Mamy jeszcze przed sobą niejedną wspólną bitwę.

– Czy on coś mówi? – zapytał mój przyjaciel.

– Tylko jęczy – odparł męski głos, a ja czułem, że do pomieszczenia weszło więcej osób.

Finan zabrał dłoń i ktoś inny położył mi rękę na czole.

– Ojczy? – To był Uhtred.

– Przykro mi, jeśli obchodziłem się z tobą okrutnie. Dobry jesteś. Zabiłeś Sigurda! Twoje imię będzie sławne.

– Dobry Boże – powiedział Uhtred i zabrał dłoń. – Panie? – zapytał.

– Jak on się czuje? – To był Edward z Wessexu. Usłyszałem szmer klękających ludzi.

– Nie pożyje długo – odparł męski głos.

– A lord Aethelred?

– Jest ciężko ranny, panie, ale myślę, że z tego wyjdzie.

– Bogu nich będą dzięki. Co się stało?

Zapanowała cisza, jakby nikt nie chciał odpowiedzieć na to pytanie.

– Ja nie umieram – odezwałem się, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Oddział Duńczyków zaatakował lorda Aethelreda, panie – powiedział jakiś mężczyzna. – Pod koniec bitwy. Większość ich wojsk została otoczona, ale ci chcieli zabić lorda Aethelreda.

– Nie widzę rany – odezwał się król.

– Z tyłu głowy, panie. Hełm wziął na siebie większość ciosów, ale przebiła go włócznia.

Tył głowy. Chodzi chyba o tył jego głowy – pomyślałem. Zaśmiałem się. Zabolało. Przestałem się śmiać.

– Czy on umiera? – zapytał głos tuż obok.

Aethelflaed złapała mnie mocno.

– Tylko kaszle – powiedziała.

– Siostrze – odezwał się król.

– Zamilcz, Edwardzie! – odparła gniewnie.

– Powinnaś być przy mężu – stwierdził stanowczo.

– Ty nudny, mały gnojku – rzuciłem.

– Przebywam w miejscu zgodnym z moją wolą – rzekła Aethelflaed wyniosłym tonem, który tak dobrze znam. Nikt z nią nie mógł wygrać kłótni i nikt nawet tego nie próbował, choć usłyszałem głos mamroczący, że jej zachowanie jest niestosowne.

– To są półgłówki – powiedziałem do niej, a ona położyła mi dłoń na czole.

Zapadała cisza, słyhać było tylko trzeszczenie polan w palenisku.

– Czy udzielono mu ostatniego namaszczenia? – zapytał po chwili król.

– On nie chce ostatniego namaszczenia – powiedział Finan.

– Musi je otrzymać – zdecydował Edward. – Ojczy Uhtredzie?

– On nie ma na imię Uhtred – warknąłem. – Mówią na niego ojciec Judasz. Drań powinien zostać wojownikiem!

Jednak ku mojemu zdumieniu ojciec Judasz zalewał się łzami. Ręce mu drżały, kiedy mnie dotykał, modlił się za mnie i namaszczał olejami. Kiedy skończył, położył palce na moich ustach.

– Był kochającym ojcem – powiedział.

– Ależ skąd! – zaprotestowałem.

– Był trudnym człowiekiem – stwierdził Edward, ale w jego głosie słyhać było współczucie.

– Wcale nie był trudny – zaprzeczyła gorączkowo Aethelflaed. – Ale szczęśliwy był tylko wtedy, kiedy walczył. Wy wszyscy się go baliście, w rzeczywistości jednak był wielkoduszny, uprzejmy i uparty.

Rozpłakała się.

– Och, przestań, kobieto – powiedziałem. – Wiesz przecież, że nie cierpię kobiet, które się mażą.

– Jutro pojedziemy na południe – oświadczył król. – Podziękujemy za to wielkie zwycięstwo.

– Zwycięstwo, które zawdzięczasz lordowi Uhtredowi – odezwała się Aethelflaed.

– Które my mu zawdzięczamy – przytaknął władca. – A Bóg zgodził się, żeby je nam dał. Wybudujemy w Mercji burhy. To Boże dzieło, które musimy wykonać.

– Mój ojciec chciałby zostać pochowany w Bebbanburgu – powiedział ojciec

Judasz.

– Chcę zostać pochowany z Giselą! Ale ja nie umieram!

Nic nie widziałem, nawet blasku ognia. A raczej widziałem tylko olbrzymie sklepienie, jednocześnie pogrążone w ciemności i rozświetlone. Widziałem jaskinię mieniącą się dziwnym światłem, a gdzieś na odległym krańcu tej jarzącej się ciemności ujrzałem postacie – wśród nich Giselę. Chwyciłem Oddech Węża, bo znów poczułem ból, wygiąłem więc plecy w łuk, ale ból stał się jeszcze większy. Aethelflaed westchnęła i chwyciła mnie za dłoń, a inna ręka objęła moją dłoń trzymającą Oddech Węża w taki sposób, że moje palce mocniej ścisnęły rękojeść.

– Odchodzi – odezwała się Aethelflaed.

– Bóg zabiera jego duszę. – To Finan zacisnął moją dłoń na rękojeści miecza.

– Nie umieram. Nie umieram! – powtórzyłem. Kobieta w jaskini była teraz sama i okazało się, że to naprawdę Gisela. Najdroższa Gisela uśmiechała się i wyciągała do mnie ręce. Mówiła coś, ale ja nie słyszałem jej głosu. – Bądźcie cicho, wszyscy. Chcę usłyszeć, co mówi do mnie Gisela.

– W każdej chwili – wyszeptał ktoś.

Znów zapadła cisza. Długa cisza. Postać Giseli zbladła, a ja wpatrywałem się w zamgloną pustkę. Wiedziałem, że wokół mojego łóża zebrali się ludzie. Zarżał koń, w ciemnościach zahuczała sowa.

– *Wyrđ bið ful āræd* – powiedziałem, ale nikt mi nie odpowiedział. Powtórzyłem więc: – *Wyrđ bið ful āræd*.

* Iz 6, 8.

NOTA HISTORYCZNA

„A.D. 910. W tym roku Frithestan objął biskupstwo w Wintanceasterze. W tym samym roku król Edward wysłał wojska zarówno z Wessexu, jak i z Mercji, które poprzez ataki na ludzi i dobytek wszelkiego rodzaju poczyniły wielkie szkody północnej armii. Tego roku Anglowie i Duńczycy walczyli pod Teotanheale i zwycięstwo przypadło Anglom”.

Tak wygląda jeden z wpisów w kronice anglosaskiej dla 910 roku. Inny donosi o śmierci Aethelreda. Zdaniem niektórych historyków przedwcześnie, gdyż ciężkie rany, które Aethelred odniósł pod Teotanheale, miały doprowadzić do jego śmierci dopiero w 911 roku.

Teotanheale dziś nosi nazwę Tettenhall i jest miłym, leżącym w zachodniej części środkowej Anglii przedmieściem Wolverhampton. Czytelnicy znający ten region mogą zaprotestować, że Tamiza nie przepływa blisko Tettenhall, ale istnieją przesłanki poświadczające taki bieg rzeki w X wieku, czyli na długo przed tym, zanim budowa wałów, melioracja i inne zmiany doprowadziły do jej obecnego biegu.

Wiemy, że w 910 roku pod Tettenhall rozegrała się bitwa i że zdecydowane zwycięstwo nad plądrującymi region Duńczykami odniosły wówczas połączone siły Wessexu i Mercji. Zginęli dwaj przywódcy najeźdźców. Nazywali się oni Eowils i Healfdan, ale zamiast wprowadzać nowych bohaterów tylko po to, by ich szybko uśmiercić, zdecydowałem się w ich roli obsadzić Kanuta i Sigurda, którzy są znani z wcześniejszych części cyklu o przygodach Uhtreda. Niezwykle mało wiemy o tym, co wydarzyło się pod Tettenhall. Wiadomo tylko, że Duńczycy ponieśli klęskę w tej bitwie. Okoliczności pozostają tajemnicą. Sama bitwa jest więc wydarzeniem historycznym, ale mój opis jest w pełni fikcyjny. Wątpię, żeby Duńczycy przyspieszyli poszukiwania relikwii Świętego Oswalda, a doszło do nich w czasie, gdy

Aethelred z Mercji wysłał wyprawę do południowej Northumbrii, aby odnaleźć szczątki tego lokalnego świętego. Według jednej z teorii Aethelred zabiegał o poparcie Sasów żyjących pod panowaniem duńskim w Northumbrii. Odnalezione relikwie zabrano do Mercji i złożono w Gloucesterze. Jedynie czaszka pozostała w Durham (cztery inne kościoły w Europie także utrzymują, że relikwia ta znajduje się u nich, ale Durham pozostaje najbardziej prawdopodobną lokalizacją), jedno ramię początkowo przechowywano w Bamburghu (Bebbanburgu), z którego po paru stuleciach zostało skradzione przez mnichów z Peterborough.

Pierwszy łaciński cytat w rozdziale jedenastym: *Moribus et forma conciliandus amor* – wyryty na rzymskiej misie, którą Uhtred zmienił w srebrny złom – pochodzi z Owidiusza. „Miłość winna się rodzić dzięki piękności i cnotom”*. Stwierdzenie to jest zapewne prawdziwe, niewątpliwie jednak rzadko stosowano się do niego w saskiej Brytanii. Drugi cytat (z mostu w Tameworthig) pochodzi ze wspaniałego rzymskiego mostu Alcántara w Hiszpanii: *Pontem perpetui mansurum in saecula*, co oznacza „Zostawiłem most, który trwać będzie po wsze czasy”. Sasi żyli w cieniu rzymskiej Brytanii, otoczeni ruinami wielkich budowli, używali rzymskich dróg i niewątpliwie zastanawiali się nad przyczynami, które doprowadziły do zapomnienia tak świetnej cywilizacji.

Od dawna nie pamięta się o bitwie pod Tettenhall, a była ona przecież jednym z ważnych wydarzeń w powolnym procesie tworzenia się Anglii. W IX wieku wydawało się, że saska kultura skazana jest na zagładę, a Duńczycy podporządkują sobie całą południową Brytanię. Zamiast dzisiejszej Anglii powstałoby w takim przypadku państwo o nazwie Daneland. Alfred z Wessexu powstrzymał jednak najazd Duńczyków i przeszedł do ofensywy, żeby zabezpieczyć granice swojego kraju. Jego najważniejszą bronią były burhy – pospiesznie ufortyfikowane grody, w których znajdowali schronienie mieszkańcy. Sprawiły one trudności Duńczykom, którzy unikali oblężeń. Wessex stał się więc bazą, z której wyruszały wyprawy, aby odzyskać północ i stworzyć zjednoczone państwo angielskojęzycznych ludów – Anglię. Do śmierci Alfreda w 899 roku cała północ, wyjąwszy niezdobyty Bebbanburg, znajdowała się pod duńskim panowaniem, podczas gdy środek kraju podzielony był między Sasów i Duńczyków. Jednak powoli i nieubłagane wojska Sasów zachodnich

posuwały się na północ. Proces ten w 910 roku nie miał się jeszcze ku końcowi. Niemniej decydujące zwycięstwo pod Tettenhall umożliwiło Sasom zachodnim wyparcie Duńczyków z zachodniej części środkowej Anglii. Budowa nowych burhów na podbitym terenie pozwoliła zachować owoce zwycięstwa. Klęska Duńczyków była jednak wciąż odległa. Wciąż przeprowadzali najazdy, w dalszym ciągu sprawowali ścisłą kontrolę nad północą, ale znaleźli się raczej w defensywie. Siłom saskim przewodziły dzieci Alfreda, syn Edward i córka Aethelflaed, które nie doczekały ostatecznego zwycięstwa – powstania państwa zwanego Anglią. Doprowadził do tego Aethelstan, syn Edwarda, i Uhtred będzie świadkiem jego triumfu.

Ale to już inna historia.

* Owidiusz, *Heroidy*, tłum. i oprac. W. Markowska, Kraków–Wrocław 1986, s. 56.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Nazwy geograficzne

Drzewo genealogiczne królów wessexu

Część pierwsza. Opat

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Część druga. Middelniht

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Część trzecia. Pogłoski o wojnie

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Część czwarta. Lodowa Furia

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Nota historyczna

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Pagan Lord*

Copyright © Bernard Cornwell 2013

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-817-0



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek